

ATENEUM.

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

ZBIORU OGÓLNEGO TOM XIV.

ROK IV.

TOM II — ZESZYT I.

Kwiecień.

WARSZAWA.
DRUKIEM K. KOWALEWSKIEGO,
ulica Królewska, Nr. 23.

1879.

SPIS RZECZY.

PRZED GRUNWALDEM.

Działo się to w przededniu wiekopomnéj bitwy pod Grunwaldem w zapisanéj, oddanéj i w owéj chwili zostającéj pod jarzmem zakonu Żmudzi. Z ramienia W. Mistrza zarządzający Żmudzią Sołtys, ćwiczony w mowie litewskiéj i żmudzkiéj Michał Kuchmajster, pewniejszym był niż kiedykolwiek, że Żmudź jest wierną zakonowi i że zakon w ten sposób bliskim jest spełnienia swego zadania, to jest wynagrodzenia szkodliwych dlań skutków, jakie wynikały z koronacyi Jagiełły na króla Polski (1). Sołtys był pewnym, że zakon zajaśnieje dawniejszém majestatyczném światłem, a podając rękę mistrzowi inflanckiemu i licznym niemieckim jarzmicielom północnéj Słowiańszczyzny, stanie się panem Bałtyku a przez to różnolicznych plemion słowiańskich (2).

W tym celu pracował téż niestrudzony Sołtys przez całe pięciolecie a właśnie w 1408 roku zaręczał mistrzowi o wierności Żmudzinów, malował mu charakter tych ludzi w najkorzystniejszém świetle, a całém zadaniem zakonu było już tylko przez coraz liczniejszą niemiecką kolonizacyą kraju „wyrównać języki“ na Żmudzi. Drugim przedmiotem trosków zakonu były ówczesne zamki żmudzkie: Tylża, Kłajpeda, Ragneta, Dobissa, Fridenburg, Christmemel i inne, których utrzymanie na wojennéj stopie olbrzymich sum wymagało, które atoli zakon w największym utrzymywał porządku i z niesłychaną zaopatrywał szczodrobliwością we wszystkie potrzeby wojenne.

Zakon wysoce pojmował swoje zadanie. Ale nie obwoływał, nie głosił go, jak to się działo przedtém. I owszem w największym

(1) Skarga zakonu na Polskę z 26 Kw. 1397 r. Voigt C. D. Pr. T. V. N. 99 p. 124—230; w skróceniu Bunge UB. IV. MCDLXX.

(2) Voigt. C. d. Pr. VI. Nr. 50. p. 50.

sekrecie strzeżono i zachowywano swą „tajemnicę zakonu," w legacyach poselskich nie poważano się nawet jéj wymieniać; powierzano ją ustnie posłowi. Tam na wschód do Pskowa i Nowogrodu „do Warczlandu" otwiera się szerokie pole działań, tam złote błyska wdali żniwo dla zakonu, dla rycerskich mężów niemieckiego języka (1). Pod koniec przeto roku 1408 poczęto kroczyć po kilkuletniéj ciężkiéj pracy do odcięcia Żmudzi od Litwy, do usunięcia jéj z pod wpływu i protektoratu Witolda, do zamienienia kraju w narzędzie dla planów zakonu.

Zdawało się jednakowoż, iż było dwóch mężów w szerokiéj Słowiańszczyznie, którzy podpatrzyli tajemnice zakonu. I oto w chwili kiedy zakon kroczy ku całkowitemu odcięciu Żmudzi, przeciągnęły kraj ten wszerz i wzdłuż ciżby Rusi i Tatarów. Nigdzie białe płaszcze nie ważyły się stawiać im oporu. A siły „tych barbarzyńców" nie zabawiały się obleganiem twierdz, nie zaczepiały krzyżaków w ich kryjówkach; one spustoszyły tylko żmudzki kraj zakonny i znikły przed oczyma zdumiałych, strwożonych i zawiedzionych krzyżaków. Sołtys przeczuwał jakieś nieszczęście, jakąś klęskę zakonu. Dorozumiewać mógł się on skąd ona pochodzić może. Nigdy atoli nie ważył się dotychczas mieć w podejrzeniu Witolda, dobroczyńcę, łaskawego pana i wielkiego protektora zakonu.

O, bo nie było większego dobroczyńcy zakonu nad Witolda. On to bowiem darował na wieczne czasy zakonowi ziemię żmudzką i pomógł im do zawojowania krnąbrnych i upartych Żmudzinów. W całym świecie, pisał do Witolda Mistrz zakonu, nie mamy łaskawszego pana, większego protektora nad Ciebie, nasz panie. Bóg jedyny potrafi Ci wynagrodzić za twe niezmierne dobrodziejstwa, któremi nas obdarzasz, za twą łaskę, w któréj obfitujemy. Zakon, o ile to w jego możności, starać się będzie o odwzajemnienie za twe dobre i szczére dla nas chęci.

Tak na papiérze — inaczéj w czynach. Zakon przewidywał cele polityki Witolda na wschodzie, podkopywał Polskę, obecnie starał się wyzuć Witolda z wpływu, jaki tenże posiadał na Żmudzi. Skutkiem tych ostatnich zamiarów, były zrazu małe, potém coraz większe nieporozumienia pomiędzy zakonem a wielkim księciem Litwy.

W początkach roku 1409 począł się zmartwiony sołtys Żmudzi dorozumiewać kto był właściwą przyczyną i motorem zawieruchy

(1) Porównaj instrukcyą w M. dla posła komtura hr. Kyburga z 21. Paźd. 1397 r. Voigt. C. D. Pr. VI. N. 48 i 49 p. 52 i nast. I drugą z 8 sierpnia t. r. VI. N. 50.

Rusinów i Tatarów na Żmudzi. Bo kiedy zakon, z gorączkową usilnością starał się odciąć Żmudź od Litwy, okazały się w téj nowéj ich prowincyi dziwne jakieś oznaki powszechnego niezadowolenia z rządów krzyżackich. Tajemne schadzki, zebrania, jakieś poselstwa z Litwy, w końcu wieść o zatrzymaniu zboża w Ragnecie, poczém straszliwe wybuchło powstanie. Twierdze krzyżaków poczęto szturmować, z Litwy pospieszały zbrojne oddziały na pomoc Żmudzinom. Witold posyłał bojara Rambolda na objęcie Żmudzi w swoje posiadanie; wydalono krzyżackich urzędników, sprzątano kolonistów niemieckich, pojmaną z zamków brać zakonną uprowadzano w dalekie kraje Witolda. Zaledwie kilka białych płaszczów potrafiło ratować się ucieczką, by donieść zakonowi o przerażającéj, niesłychanéj zdradzie Żmudzi. Przekleństwo „Niemcom przebrzydłym" — wołano po wszech stronach kraju. Zakon stracił panowanie na Żmudzi i gotował się do srogiéj zemsty na sprawcach zdrady, na Jagielle i Witoldzie, na Polsce, Rusi i Litwie.

Cała Słowiańszczyzna zbroi się do walki z Niemcami a ma jéj przewodzić król Polski i „wielki król" Litwy (1).

---

(1) W archiwum N. Z. w Królewcu znajduje się nader bogaty materyał, dotyczący téj przez Krzyżaków tak nazwanéj „Zdradzie Żmudzi." Materyał ten, dotychczas niewydany, znany był z notatek w Voigta: Gesch. Preussens t. VII. Braki tego dzieła aż zanadto dobrze są znane, abym potrzebował usprawiedliwiać dla czego podjąłem opracowanie niniejsze. Do licznych listów korespondencyi, aktów poselskich, instrukcyj poselskich, z których w archiwum N. Z. w Królewcu skorzystać się starałem i które w notatkach wymieniam, dołączam znany zresztą Voigtowi nadzwyczaj ważny pamiętnik zakonu z dziejów 1409 r. p. t. Illa causa inter ducem Witoudum et ordinem et illa prodicio quam illi Semogite contra ordinem et totam Christianitatem fecerunt, habet se sic desecuta, sicut hic post scripta stat. Anno etc. nono. Pamiętnik ten z dawniejszego Registrantu E. fol. 22—30 jest dosłownem tłómaczeniem z niemieckiego p. t. Die sache und geschicht czwuschen herczog Wytawt und dem Orden und das vorretnisse das die Samayten am Orden und an ganczer Christenheit haben gethan, das sich also dirfolget hat, als hirnoch steet geschrebin. Anno domini MCCCC⁰ nono umb pfingsten. Ten w niemieckim języku w kancelaryi zakonu napisany pamiętnik znajduje się w archiwum N. Z. w dwóch równobrzmiennych odpisach. Pierwszy z Reg. E. fol. 249—258, drugi z Reg. D. fol. 265—268. Z dopełnień, jakie się w niemieckich pamiętnikach znajdują a jakich nie posiada łaciński, skorzystałem również w téj pracy. Nadto wymieniam wcale nieznany dotychczas ułamek traktatu poselskiego, poczynający się od słów: Also sante her (Witoud) sine schriber beide czu uns, znajdujący się w rzeczoném archiwum szuflada XVII. a Nr. 111. z końca Maja 1409 roku. Pamiętniki te jednakowoż są w obronie zakonu pisane z widoczną przeto tendencyą, a chociaż nadzwyczaj ważne — bez pomocy i użycia innych współczesnych źródeł przedstawiłyby rzecz w bardzo jednostronném świetle. Cytuję w skróceniu pamiętnik bez wymienienia paginy, gdyż mam nadzieję, że okaże się on niezabawem w III tomie Monumentów H. P. i kontrolowanie powyższego przedstawienia ułatwi.

Aby zrozumiéć tę nader ważną kartę dziejową, traktującą o tak nazwanéj przez Niemców „zdradzie Żmudzi,“ cofnijmy się o parę lat wstecz i rozpoznajmy przyczyny tego ciekawego ustępu dziejowego, który trudnoby nie uważać za przyczynę, która doprowadziła do bitwy pod Grunwaldem.

Z koronacyą Jagiełły na króla Polski począł zakon tracić grunt pod nogami, począł tracić racyą bytu. Cóż się z nami stanie, skoro cała Litwa przyjmie chrzest święty, skoro Polska obejmie misyą nad pobratymczemi ludami Rusi? To pytanie srodze ciężyło na umysłach rycerzy zakonnych. To téż całém ich staraniem było przedstawić przed oczyma Europy, iż Litwa jeszcze jest pogańską, iż chociaż Jagiełło „mieniący się królem Polski przyjął chrzest święty; toć jego brać liczna w przebrzydłéj ruskiéj trwa wierze.“ Że zresztą uczynił to, on, aby wsparłszy Litwę i Ruś bronią, odzieżą, strzelbą, wyćwiczonymi w rzemieśle wojny rycerzami polskimi, tém bardziéj naprzéć potém na obrońców Chrystusowéj wiary, na niemiecki zakon, a uczynić potém odstępstwo od kościoła, jakie uczynił poprzednik jego król Mindowe.

Oczywiście, że zarzuty takie i czernienia, powszechnym podówczas zwyczajem w drodze dyplomatycznéj podawane do wiadomości królów europejskich i kuryi, odpiérali Polacy również bezwzględném i srogiém piórem. Co gorsza, to że zabiegi krzyżackie dyplomatyczne wywarły skutek wcale przeciwny aniżeli zamierzali, i wkrótce cała Europa poczęła się przekonywać, że zarzuty zakonne nie mają należytéj podstawy. Płaczących i zakłopotanych krzyżaków poczęli nawet ówcześni politycy do własnych używać celów, a podczas tego ostrożni Polacy z największym zapałem przeprowadzili dzieło ochrzczenia Litwy.

A skoro zakon ujrzał, że tą drogą nie dojdzie do celu, począł wytwarzać w Polsce stronnictwo przeciwne polityce królewskiéj, począł schlebiać wpływowym osobom, przybierać minę poufnego przyjaciela Polski, byle ona tylko nie pomagała, nie łączyła się z Litwą i Rusią. Równocześnie korzystają krzyżacy z licznéj braci Gedyminowiców i Kiejstutowiców, téj licznéj rzeszy książąt, z których prawie każdy niepoślednim odznaczał się umysłem a jeszcze większą żądzą panowania. Poczęły tedy tajemne poselstwa W. Mistrza obiegać całą Litwę i Ruś. Przyobiecywano wiele każdemu z książąt zosobna, każdemu tajném poselstwem. Andrzéj Polocki, Skirgiełło, Swidrygiełło, Witold i inni nieznani otrzymali, każdy zosobna, zapewnienia wiecznéj przyjaźni, pomocy wiecznego ze strony zakonu pokoju, skoro tylko usuną się z protektoratu Jagiełły, skoro wypowiedzą przyjaźń Polsce a trzymać będą z zakonem. Niektórym przyrzekano

wielko-książęcą mitrę nad Litwą, łudzono i wichrzono bez końca, bez miary. Brudne te tajemnice pokrywa pył wieków; niektóre tajniki ogłoszone dziś, ale i któżby miał zamiar wydobywać je na widownię; wszakżeż zresztą wiadomo, iż tonący chwyta się i brzytwy.

Lecz czy powstrzymasz w biegu potok dziejowy? Nawet przemądry niemiecki zakon nie powstrzymał tego prądu obmyśloną siecią intryg, na jaką i dzisiejsza dyplomacya z trudnością tylko zdobyćby się mogła. Przypomnijmy sobie powaśnienie królowéj Jadwigi z Witoldem 1398 r., dzieje Swidrygiełły.

Z tém wszystkiém zapobiegliwi Polacy i król Jagiełło wytężali wszystkie środki, aby zjednoczenie z Litwą przyprowadzić do skutku. Sam los wojny, która wpośród domowych zawichrzeń na Litwie, jakie urządzili krzyżacy, tak Olgierdowiców jak i Kiejstutowych synów sprzątała z widowni dziejów, zdawał się sprzyjać tendencyi połączenia narodów. A gdy w końcu Jagiełło powierzył mitrę wielkoksiążęcą genialnemu Witoldowi, związek Polski i Litwy zdawał się utwierdzać i uiszczać.

Zakon tedy o doraźniejszych począł myśléć środkach. W obec zdrad pojedyńczych książąt, w obec powtórnéj zdrady Witolda, który po dwakroć zapisawszy się zakonowi po dwakroć zdradził go w niesłychanie junacki, lecz straszliwy sposób, zakipiała krew rycerskich mnichów. Niemieccy panowie pomorskich i pruskich ludów poczęli myśléć o odwecie. Ćwiczeni atoli w polityce jak żaden z ówczesnych książąt, uorganizowani w potęgę z jaką żadna podówczas w Europie nie mogła się mierzyć, przezorni i chytrzy jak wąż biblijny, nie uczynili oni nigdy niczego bez głębokiego namysłu. Ich tedy olbrzymie rejzy, na które potężne wydali skarby, owe weszłe w przysłowie „góry złota,“ które od wieków gromadził zakon, na reizy jakie teraz obwoływali po całéj Europie, były nadzwyczaj wyrafinowanym sposobem zapanowania i podbicia Litwy a przeszkodzenia połączeniu się jéj z Polską. Po trzykroć tedy obwoływał zakon wielkie wyprawy przeciwko „niewiernym Litwinom,“ a chociaż skłaniający się ku upadkowi, zajaśniał on jeszcze olbrzymim, chociaż złudnym blaskiem. Zamorscy książęta Lankastru, najsławniejsi rycerze jak Boucicoault, Connetable hrabia de Eu, książęta burgundcy, austryaccy, szczecińscy, pomorscy, rzesza zniemczałych książąt szlązkich i nieprzeliczone tłumy awanturniczych rycerzy spieszyli z orężnemi tłumami ludów, aby nieść mord i pożogę pogańskiéj, jak ją zawistni krzyżacy nazywali, Litwie. Ale im większe wyprawy, tém zaciętszy opór, ba opór niesłychanie silny, bo za ciemną barbarzyńską Litwą stali rycerscy Polacy, o których męstwo, wytrwałość i poświęcenie, rozbijały się potężne najazdy zakonu. „Polska, jéj

król i naród, jéj przeklęte instytucye i zwyczaje, które mienią prawami, Polska stoi nam w drodze,“ wołał do Niemców i elektorów oburzony mistrz zakonu. „Gdyby nie Polska, Litwa moja byłaby dziś niemiecką,“ zwykł był mawiać późniéj W. książę Witold (1).

A gdy w obec bull papieskich, które za staraniem duchowieństwa polskiego wysyłała kurya zakonowi, aby nie ważył się napadać na chrześciańską już Litwę, tém bardziéj stał się ten środek zawojowania Litwy niemożliwym, gdy i tak wojna zasoby materyalne i siły zakonu niesłychanie nadwątliła, nie znachodził już prawie zakon środków do dopięcia swych marzeń, swych celów. Lecz geniusz niemieckiego na wschód pochodu, nawet wśród najkrytyczniejszych chwil, znajdował zawsze drogę do wyjścia. Z podwojonemi przeto zabiegami, z niesłychaną trudów i prac ofiarnością, z poświęceniem, któreby prawie uwielbiać należało, gdyby....—ale przemilczmy o tém — poczęto kroczyć do jednego tylko celu. Tym celem było podać rękę zakonowi inflanckiemu i Niemcom inflanckim, dalekiéj Harrii i Wirlandyi, aby w ten sposób utorować sobie drogę na wschód słowiański, gdzie kupiec niemiecki zbierał złote owoce i sute zyski, gdzie już oddawna hanza niemiecka zakorzeniła handlową oświatę, gdzie wdali po latach trudu i pracy świtało dla zakonu obfitsze i daleko ponętniejsze żniwo aniżeli na Pomorzu i w nieżyznych Prusiech.

Ale jakżeż dojść do tego celu, kiedy Inflanty oddzielone od Prus litewskim ludem Żmudzinów; gdy szeroki pas ziemi żmudzkiéj oddzielał Prusy od Inflant? Uzyskanie przeto Żmudzi było dla zakonu niezbędną rzeczą, i ku niéj poczęły teraz zmierzać zabiegi niemieckiego zakonu. Pokuszanoć się wprawdzie wespół z Niemcami inflackimi wydrzéć orężem tę ziemię Litwie, i w sam dzień chrztu Jagiełłowego napadnięto, spustoszono kraj i uprowadzono wielu czcicieli znicza; lecz gdy rycerze zakonni powrócili do swych grodów, zazieleniała ziemia Perkuna jak dawniéj, jak grzyby wśród litewskich borów wyrastali na Żmudzi nowi zapaśnicy, gotowi do nowego oporu, do nowych zapasów, oczekujący ponownego przybycia „przebrzydłych Niemców.“ A gdy mieczem trudno było wytępić ludy szeroką przestrzeń ziemi zajmujące, nadto wytrwałe w oporze i ćwiczone w zapasach boju, których grunt, klimat i lesista ziemia istotnemi były twierdzami, trudniejszemi do zdobycia aniżeli ówczesne kamien-

(1) Dł. X. 44. Quod et dux Withawdus quamvis florentes suas res vidisset, ingenue profitebatur asserens suam et suorum omnium eieccionem et discessionem ex terris Lithuanie et Samogithie beneficio polonico esse et fuisse aversam et prohibitam. Polonisque patriae potitae et restituae gratificacionem perpetuo deberi.

ne, postanowił zakon drogą układów, targów, obietnic, wyłudzić i posiąść tę ziemię.

Dwa były powody, dla których zakon z większą aniżeli kiedy łatwością mógł posiąść Żmudź drogą układów. A to nasamprzód, iż Żmudzini chrztu świętego jeszcze nie byli przyjęli, dla czego téż zakon, którego powołaniem było nakłaniać ludy bałwochwalcze do wiary świętéj, rościł sobie do Żmudzi pretensye. Pomagała mu i ta okoliczność, że wszystkie zabiegi Jagiełły i Witolda, aby Żmudzinów dobrowolnie skłonić do przyjęcia Chrystusowéj wiary spełzły na niczém. Powtóre, iż na stolicy wielkoksiążęcéj zasiadał podówczas Witold Kiejstutowic, po dwakroć przesiadujący u krzyżaków książę, wyćwiczony w szkole ich polityki, przebiegły, zdradliwy, mężny i mądry i acz młody, w szkole życia aż nazbyt doświadczony. Ten to książę objąwszy w silne swe dłonie ster rządów Litwy, mający na swe rozkazy usłużnych mężnych rycerzy polskich, wierną Litwę i bogactwa Rusi południowéj, skoro się tylko poczuł na siłach, począł dzieło cywilizatorskie, które oduczył się od krzyżaków nieść daléj na wschód, przeciwko w oczach ówczesnéj Europy „pogańskiéj Rusi“ i przeciwko uciskającym Słowian Tatarom. Zatrudniony swą misyą cywilizatorską zdawał się zapominać o ojczystéj Żmudzi, o téj Żmudzi, która tak wiernie służyła ojcu jego Kiejstutowi a i jemu samemu, kiedy ogołocony z ojczystych księstw przesiadywał u krzyżaków, snując swe wielkie zamiary. Wielki książę skłaniał się oddać Żmudź zakonowi, zapisać ją na wieczne czasy, poświęcając święte lasy, święte błonia i rzeki dla praktycznych i donioślejszych celów. Bo i jakżeż nie miał Witold tego uczynić. Byłże on bowiem spokojny o własne księstwo litewskie, kiedy zamierzał jaką wyprawę na wschód? Zakon w każdéj chwili mógł napaść na ogołoconą z wojsk ziemię i podczas, kiedy on bawiłby w Smoleńsku, Pskowie lub Nowogrodzie, mógł mistrz spalić, zniszczyć i spustoszyć jego dziedziczną Litwę.

Przemądry zakon umiał nawet powstrzymywać zapał księcia ku jego wojennym wyprawom. On bowiem rościł sobie prawa oparte na papieskich i cesarskich darowiznach do Litwy, on przeto pozostawał z Litwą w ciągłéj wojnie, którą co chwila groził Witoldowi. Wojowniczy książę ceną ustępstw okupywać sobie musiał kilkomiesięczne, późniéj roczne zawieszenie broni, aby mógł działać na Rusi, zwalczać grożących mu od południa Tatarów.

Ofiara przeto ze Żmudzi dla zakonu okazała się niezbędną dla Witolda, snującego plany, którychby bez przyjaźni i spokoju ze strony zakonu nie mógł swobodnie przeprowadzać.

A zakon widząc zaborcze wyprawy Witolda, ich powodzenie, a przewidując skutki tychże, widząc jak intrygę intrygą odpierał, (1) począł się doń zbliżać, przyjaźnić, a skutkiem tych zabiegów miała Żmudź przypaść w podarunku dla nienasyconego zakonu.

Dnia 23 Kwietnia 1398 roku, przedłożyli posłowie krzyżaccy warunki, pod jakiemi zamyślają „wieczny“ z Witoldem zawrzéć pokój. Najważniejszém było odstąpienie na wieczne czasy Żmudzi, a daléj, aby Witold do Pskowa, o którego panowanie poczęli się już byli inflanccy krzyżacy dobijać, nie rościł sobie żadnych pretensyj. Inne warunki miały na celu osłabienie związku Litwy z Polską, Witolda z Jagiełłą. Witold musiał się zobowiązać, iż dopomoże zakonowi celem upewnienia chrześciaństwa i rozszerzenia wiary świętéj, do wybudowania nie kilku kościołów, jakby się spodziewać należało, lecz twierdz warownych w nowo odstąpionéj ziemi; że daléj przyrzeka bezwzględne posłuszeństwo nie Polsce i Jagielle, od którego dożywotnią darowizną otrzymał Litwę, lecz rzymskiemu państwu i Niemcom. Za to okupuje sobie Witold pokój z zakonem, a zakon obiecywał go wesprzéć w wyprawach jego na Nowogród i przeciwko Tatarom. O Polsce nie było i mowy w układzie pokoju a w obec ciężkiéj konieczności patrzał na to Jagiełło przez szpary a Witold na św. Michał tego roku wydał opieczętowany dokument w ręce krzyżaków.

Zakon Pruski poczyna budować twierdze celem zapanowania nad Żmudzią a równocześnie Niemcy inflantcy wyciągają chciwie ręce po pograniczne ziemie ruskie. Dwie na raz rzeczy, to za wiele myślał Witold i wnet ze skargą do W. Mistrza, iżby zakazał swemu inflanckiemu zastępcy sięgać po obce ziemie (2). A mistrz Konrad chcąc nie chcąc musi zadość uczynić natarczywym żądaniom, chociaż te niezastrzeżone były brzmieniem dokumentów, które zresztą obie strony uważały za zawieszenie broni i środek do własnych celów.

Witold począł gospodarzyć na Rusi. 13 Stycznia 1399 roku biją Niemcy czołem przed „wielkim królem“ Litwy, (3) który z olbrzymią armią wyruszał na Nowogród. Byli to Ryżanie, poddani zawiedzionego mistrza inflanckiego. W początku Marca przyjmuje Połock Witolda w swe wrota i tu téż załatwił książę sporne kwestye kupieckie z Niemcami ku powszechnemu zadowoleniu swoich poddanych.

---

(1) Bunge UB. IV. MCDXXV; VI. MMCMXXXIX.
(2) Bunge UB. IV. Nr. MCDLXXX.
(3) Bunge VI. MMCMXLV.

Wprawdzie zadrżał Nowogród w obec wojny wypowiedzianéj ze strony Witolda, (1) wprawdzie i inne ziemie ruskie opanowała obawa z powodu groźnego pochodu armii Witoldowéj, ale księciu widocznie nie szło o wojnę, to téż o przelewie krwi nigdzie nie słyszymy. Przeciwnie, w Pskowie, Nowogrodzie, w Smoleńsku zaszły małe zmiany. Witold pousuwał książąt a osadził sobie przyjaźnych, a w lecie tegoż roku cała Ruś stała już po jego stronie. Do nieszczęśliwéj walki nad Worsklą (Sierpień 1399) z Tatarami, których jako najniebezpieczniejszych wrogów plemion słowiańskich zgnieść postanowił książę, ciągnie cała Ruś, ciągną posiłki z Polski; tam to posyła nawet M. W. chorągiew zakonną, aby tylko wolno mógł gospodarzyć na Żmudzi. Witold przegrał bitwę nad Worsklą, ale potęga złotéj ordy runęła z dniem bitwy, a imię Witolda zabrzmiało po caléj Rusi jako wielkiego obrońcy od jarzma Tatarów. Rozdzieleni na stronnictwa Tatarzy mieli się stać wkrótce narzędziem planów Witolda.

Książę atoli wcale nie spuszczał z oka prac i działań zakonu. Nie tajném mu było jak podkopywał on złączoną z Litwą Polskę uzyskaniem Dobrzynia, zastawem mazowieckiéj Wizny, oczernianiem przed Europą z powodu jéj związków z pogranicznymi książętami „ku zgubie zakonu i Chrześciaństwa.“ Owszem, Witold zdawał się skłaniać ku namowom krzyżackim, mającym na celu przeszkodzenie połączeniu się Litwy z Polską. Lament ujarzmionych przez zakon bojarów żmudzkich, wzmacnianie się zakonu w nowo pobudowanych twierdzach, na wszystko to ozięble zdał się patrzéć książę. Lecz skoro ubezpieczył swą zwierzchniczą władzę w Pskowie i Nowogrodzie, skoro poprzyjaźnił się z rzeszą litewskich i ruskich książąt a ubezpieczył się ze strony Tatarów, nie myślał on wcale „prawnych“ roszczeń krzyżackich odpierać piórem, jak to czynili Polacy, a tém mniéj drogą układów, na któréj zakon każdą razą wychodził zwycięsko. On począł tajemne układy z biskupem dorpackim, wrogiem zakonu, o którym dobrze mógł wiedziéć, iż miał instrukcye, jak wszyscy biskupi inflanccy, od zakonu, aby nie dopuszczali Litwinów i Rusinów do swoich dyecezyj (2). Witold przyobiecał pomoc biskupowi dorpackiemu, ubezpieczył z nim związek setkiem pieczęci, nakazał swemu kasztelanowi nowogrodzkiemu księciu Lingwenowi popiérać sprawę biskupa, a skoro zakon zmuszony był wysłać swe wojska dla pokazania zdrad biskupich, chwyta on za nadarzającą się sposobność, wpada na Żmudź, z ziemią równa wystawione przez zakon dwa zamki

(1) Bunge Chronogr. 199.
(2) Bunge UB. ad 1395. MCCCLXXXIII.

i bierze załogi w niewolę. Według swego starego haniebnego zwyczaju zdradził nas Witold, skarży się Mistrz zakonu, (1) Chrystusa i Beliala, Boga i bałwana połączył ku zgubie naszéj i świętéj chrześciańskiéj wiary (2). Potrójną spełnił zdradę,—kazał zapisać w księgi zakonu Mistrz Wielki; zdradził Żmudzinów odstępując ich zakonowi a nie mając zamiaru dotrzymać słowa, biskupa dorpackiego, gdyż użył go za narzędzie poświęcając go naszéj zemście, — a w końcu zakon i chrześciaństwo haniebnie zdradził zły Witold. Było to pod wiosnę 1401 roku.

Tak tedy trzyletnie zabiegi zakonu o zawojowanie Żmudzi spełzły na niczém. Lecz mistrz nie rozpacza, podwaja on tylko zabiegi, aby naprawić błąd pochodzący z nieprzezorności, nieostrożności i bezwzględnego zaufania jakie żywił ku księciu. Zakon nie wydaje zrazu wojny Witoldowi, lecz natomiast intryguje w Polsce, intryguje na Rusi, przyjmuje wroga witoldowego księcia Swidrygiełłę, z którym knuje zamiary zgubne dla wielkoksiążęcéj mitry litewskiéj (3). Ba nawet na życie Witolda nastawał zakon, (4) bezcześcił go skargami przed całym zachodem i zmuszał go wojennemi na Litwę najazdami do nienawistnéj mu bezczynności, do biernego oporu.

Te zabiegi zakonu, jak znowu z drugiéj strony miodowe listy jakie otrzymywał Witold od W. mistrza, liczne poselstwa domagające się odeń, aby wrócił Żmudź zakonowi, upewnienia wiecznego pokoju, a nadto liczne odstępstwa na Rusi budzą Witolda z jego nieczynności i spowodowują, iż podał na nowo rękę zakonowi. Pouczony atoli doświadczeniem mistrz, kazał sobie powtórne odstąpienie Żmudzi przez Witolda potwierdzić bojarom Litwy a przedwszystkiém królowi Polski. Jagiełło miał ręczyć za Witolda, w razie gdyby tenże warunków swych i zobowiązań poczynionych zakonowi ze względu na Żmudź nie wypełnił (5). Na Wniebowzięcie Maryi Panny 1404 r. hołdowali na nowo bojarzy żmudzcy W. mistrzowi, ale już w obec Witolda i króla Polski. Witold, okupiwszy sobie pokój ze strony zakonu, począł zaniedbane dopełniać dzieło. Przygotowywał on teraz większe jak kiedykolwiek wyprawy na Ruś, do których mu dokumentnie zaręczał pomoc dać zakon. Snać ciasno mu było w ojczystéj Litwie.

---

(1) nach siner alden bosen wisen.“ Voigt C. D. Pr. Nr. 109. tom VI.

(2) Voigt ibid. V. N. 122. p. 136—165.

(3) Kotzebue, Swidrigail. dok. układu zak. z Swidrygiełłą, pag. 164.

(4) Odpowiedź W. M. na skargę Witolda u Voigta C. D. Pr. VI. Nr. 159, p 173—176.

(5) Raczyński, C. D. Lith. p. 87 i n. 252 i nast. Działyński Lites I. Cz. II. 45 i n.

Zakon ze znaną gorliwością, nie żałując olbrzymich wydatków, poświęcenia i trudów, począł po raz drugi utwierdzać na Żmudzi swoje panowanie.

Nie tak to łatwo atoli, jakby się zdawać mogło, przyszło zakonowi pokonać Żmudzinów. Światło chrystusowéj wiary nie zaświtało jeszcze w ich sercach; oni całą duszą i sercem byli poganami, gdyż zakon w ciągu trzyletniego nad nimi panowania bynajmniéj się nie starał o zakrzewienie wiary na Żmudzi. Trudność i z téj strony okazała się, iż Żmudzini wcale nie mogli zapomniéć tradycyjnego związku z ludźmi jednéj mowy, z pobratymczymi Litwinami, od których ich żadne geograficzne nie dzieliły granice. Z pogańskim tedy ludom właściwą hardością i oporem, nie chcieli oni „wydać się na pastwę“ „Niemcom obrzydłym,“ jak obwołali w swym manifeście (1). Ale wola W. księcia Witolda nie znała co to opór znaczy, słowo jego musiało być świętém dla wszystkich ludów, nad któremi on panował. Nad nieposłusznymi wisiał miecz kary.

Przeciwko opornym tedy wysyła Witold w posiłku krzyżakom wielkie wojska, Żmudzini słuchają gróźb, które książę obwoływać każe i, chcąc nie chcąc, muszą usłuchać nakazów posłuszeństwa. Co też zamyśla nasz książę? pytali. Odstąpił nas, którzyśmy tak mu byli wierni. Może też nie da nam zaginąć; przecież nie wyda nas Niemcom na wieczne czasy. Tak się uspakajali Żmudzini, a groźbą miecza zniewoleni, poddawali karki pod jarzmo zakonu.

Niezmiernie ciekawém jest studyowanie ujarzmienia Żmudzinów przez zakon niemiecki, jakie się działo od 1404 do 1409 r. włącznie. Poucza ono o wysokiém rozumieniu politycznych zadań i prac zakonu niemieckiego, o jego racyonalném, jeżeli tak nazwać można, usiłowaniu zniemczenia podbitych, o środkach jakiemi podówczas rozporządzał zakon już upadający, aby dopiąć zamiaru, jak wreszcie o tém nieubłaganém parciu na wschód i groźném podówczas stanowisku ludów słowiańskich w obec parcia niemieczczyzny. Wypadki, jakie się z usiłowaniami zakonu na Żmudzi wiążą, stanowią zdaniem naszém powód do starcia się dwóch wrogich światów, niemieckiego i słowiańskiego; prowadzą one nas wprost do wiekopomnéj bitwy grunwaldzkiéj. Zakon wiedział kto wskrzesił niebezpieczne dlań „tajemnice ludów,“ i podczas kiedy pracował nad ujarzmieniem Żmudzi,

(1) Dł. X. 108.... quoniam nullo pacto Vakkis chridlis id est Cruciferis teutonicis vellebit subiecti esse, etc,

równocześnie podkopywał z gorączkowym pośpiechem tego wroga, o którym zresztą w obec całego świata mówił, jako na jego podżegania, zdradzał już potrzykroć Witold chrześciaństwo. Może téż po ujarzmieniu Żmudzi nie będzie miał Zakon potrzeby obawiać się tego wroga, téj Polski; do tego celu kroczą niemieccy krzyżacy.

Żmudź ówczesna, któréj granice Niewiażą, Niemnem od ujścia Niewiaży do Baltyku, a stąd pobrzeżem morskiém i świętą rzeką A były zamknięte, była podówczas na wskróś odmienną ziemią od Litwy. Te same wprawdzieć olbrzymie lasy, te same bory i puszcze, ten sam posępny koloryt nieba i ta sama niezbyt płodna ziemia jako i w Litwie, co więcéj, ci sami ludzie o wyrazistych i surowych rysach twarzy i jednéj, lubo trochę odmiennéj mowy, lecz jakżeż to wszystko odmienne od Litwy i Litwinów. Podczas kiedy właściwa Litwa porzuciła swych pogańskich bogów i przyjęła od Polski świętą wiarę, trwa obecnie na Żmudzi kult Perkuna i starych bogów litewskich. Tu w żaden sposób lud nie daje się ani przekonać o nicości i błędach swéj wiary. Litwinów, którzy przyjęli „polskiego boga“ uważają jako odstępców. Lud téż żmudzki żywi w całéj nieświadomości dziewiczéj, z najczystszém sercem wiarę w ulubionych a pokonywanych bogów. Odstępców przeklina tu Kriwe Kriwejto; kapłani wajdeloci głoszą chwałę boga ognia. W niedostępnych borach, na szczytach pagórków i gór nad rzeką Niewiażą, płonie olbrzymi stos wiecznego znicza. To najcelniejsze bóstwo Żmudzinów; granic tych borów nie przekracza nieczciciel jego lub odstępca; tu się odbywają tajemne narady zgromadzonego ludu. Kapłani głoszą tu rozkazy książąt, podsycają zapał do wojny przeciwko strasznemu wrogowi, przeciwko „Niemcom“. A gdziekolwiek stąpiłbyś nogą, wszędy napotykałeś jakąś świętość. Do Niemna wpada rzeka Święta, do Baltyku tuż obok granicy ówczesnéj od Inflant również święta rzeka A; nad Niewiażą mnóstwo świętych lasów, borów, gajów. Jeden z nich „Wentis“, nad Niemnem leżący, do późna przechował pogańskie swe święte miano. W tych borach i lasach wszystko było nietykalne. Mnóstwo dzikiego zwierza, w jakie obfitowała ówczesna Żmudź, a co było główném pożywieniem ludu, zamieszkuje te świętości.

A jak świętą jest ziemia żmudzka, jéj rzeki, bory i lasy, tak świętym i nietykalnym jest Żmudzin. Nadzwyczaj téż trudno przychodziło kapłanom polskim nawrócić ten lud do chrześciańskiéj wiary. Żmudzin słuchał kazania, w głębi duszy krytykował, nie dowierzał i rad był kiedy księża bez skutku nazad wracali, pozostawiając ich przy ich świętościach. Przytrafiało się tym kapłanom, jak owe-

mu Wężykowi kaznodziei królewskiemu, któremu gdy począł prawić Żmudzinom o tajemnicach wiary i o stworzeniu świata, jeden z pilnych słuchaczów temi słowy przerwał kazanie: „Kłamiesz księże, skoro twierdzisz, jakoby ten nasz świat miał być stworzony. Pomiędzy nami są także starzy ludzie, starsi od ciebie, bo przeszło stuletni, a tego nie zapamiętali jakoby wasz Bóg miał ten świat stworzyć“ (1). Skoro nadto nauki takie zwykły się były dziać przez tłómaczów, skoro Polska zabiegi swe około nawracania do św. wiary, na właściwą Litwę skierowała, nie dziw, że Żmudź przy swéj wrodzonéj oporności była siedzibą kultu pogańskich bogów.

Właściwym wrogiem Żmudzinów był „Niemiec“, tak bowiem, trafniejszém aniżeli Polacy mianem, nazywali oni krzyżaków tak pruskich, jak inflanckich, czyhających na ich zagładę. Czy to instynktem wiedzeni, czy tradycyą historyczną, przeczuwali oni dobrze, że zakonnym rycerzom nie o to idzie, aby „niemiecki bóg“ zapanował w ich ojczystéj ziemi. Wiedzieli aż nadto dobrze, że niemiecki miecz i niemiecki język ma według planu krzyżaków zająć miejsce żmudzkiego, że oni sami mieli się stać narzędziem „obrzydłych Waków.“ Dla Witolda, obecnie W. księcia Litwy, żywili oni tradycyjną wierność, może z wdzięczności dla bohatérskiego jego ojca Kiejstuta, może, iż matka księcia, Biruta, była rodowitą Żmudzinką a może, iż czuli, że ich wrogowie krzyżacy są i księcia wrogami. Obecne atoli powtórne już wydanie ich w ręce zakonu, które według ich mniemania rozporządził książę, zachwiało ich wierność dla Kiejstutowica. Na jego to rozkaz podjęli byli oni broń przeciwko zakonowi a obecnie oddaje on ich powtórnie w ręcę i pod jarzmo zakonu! Niektórzy mówili: A któż wié, jakie ma zamiary nasz książę; przecież na wieki nie wyda nas Niemcom na pastwę. Z tém wszystkiém gotowali się do oporu, gdyż już zbliżała się chwila, w któréj zakon powtórnie miał wejść w posiadanie ich ziemi.

Właśnie pod ten czas mistrz zakonu, ukończywszy targ o Żmudź, ułożył się był z Jagiełłą i Witoldem, iż w Lipcu 1405 roku przy pomocy oręża wejdzie w posiadanie odstąpionéj mu ziemi. Witold przyobiecywał mu również wojenną pomoc a król Polski kilka chorągwi w posiłku. Tak tedy przybywszy do Malborga mógł Konrad Jungingen swobodnie układać plan ujarzmienia Żmudzinów (2).

---

(1) Długosz. XI. 345 Mentitur, inquit, illustrissime rex sacerdos ille, etc.

(2) Pierwszy dokument oryginalny Witolda, mocą którego obiecuje dotrzymać wszystkie artykuły o Żmudź ułożone na zjeździe Raciązkim pomiędzy W. mistrzem a królem Polski, datowany w Raciążu am donnirstage in octaven czu pfhyngsten, tj. 22

Wnet też zabrano się do pracy; liczono siły, opisywano wydatki, zakupywano potrzebne narzędzia do wojny, wysyłano instrukcye i pieniężne posiłki do komturów, a w Czerwcu wyszedł z Malborga plan wojny jakiego już oddawna nie wydał zakon. Mistrz W. rozkazuje wszystkim komturom, sołtysom i burgrabiom zakonnym, iż z dostawionem wojskiem mają być na św. Jakób w Justerburgu, skąd rozpocznie się wyprawa. Każdy ma wziąć ze sobą prowiant, zbroję na czterytygodniową rejzę na plac zboru. Okręty i statki, przeznaczone do przewozu broni i pożywienia, mają być we wtorek po św. Jakóbie w Labiawie; każdy z komturów ma być uzbrojony od głów do stóp, braciszkowie i słudzy zakonni co drugi mają mieć strzelbę. Zakonni starsi z Bałgi, Brandenburga, Elbląga, Christburga, Ostrudy, Malborga i Gdańska oprócz braci i sług zakonnych mają dostawić każdy po 10 celnych strzelców, zaś z Gniewu, Świeca, Tucholi i Człuchowa po 12. Wszyscy inni po ośmiu, tylko Gołub, Neuhaus, Popów, Lipa i Rogóżno po czterech. Wyznaczono którzy z komturów zachodnich Prus mają się osobiście stawić i służyć w czasie wyprawy. Nadto rozporządzono, aby Toruń dostawił 350 zbrojnych, Elbląg 50, Gdańsk 40, inne miasta stosownie do wielkości po 10 i mniéj żółdowników (1).

W ten sposób stanęła 25 Lipca 1405 r. potężna armia zakonu w Justerburgu. Stąd pociągnęły wojska wprost ku Dubissie, gdzie miano się połączyć z armią Witolda. Ciągnął on z olbrzymiemi siłami, z nieprzeliczoną rzeszą, różnojęzycznych, lecz pod orężną jego ręką pobratanych ludów. Były tu na samym czele przesłane od Jagiełły chorągwie polskie, daléj cała potęga Litwy, zamykali zaś pochód Kijowianie, Smoleńszczanie, Połoczanie i inne pułki ruskie. Jakżeż musieli się zdziwić krzyżacy, skoro ujrzeli wojsko Witolda, a i nam dziś trudno rozwiązać pytanie, dla czego z całą potęgą wyruszał książę na oddanie Żmudzi w ręce W. mistrza (2).

Ale też niedziw wcale, że Żmudzini nie stawili najmniejszego oporu: była to rejza zwycięzców nie wyciągających miecza z pochwy, jedyna bez krwi rozlewu jaką kiedykolwiek przedsięwziął za-

---

Maja 1404 r. w Arch. Królewieckiém N. Z. Szuflada 56 N. 3. Inne trzy oryginały z datą: Cauen an suntage neste noch assumpcionis w Archiwum N. Z. Szuflada 55. N. 7. 6. N. 8 i 5. Dokument W. M. mocą którego zobowiązuje się być opiekunem żony księcia Anny z datą Ritterswerder am montage nach assumpcionis w Szufladzie 53. N. 11 tegoż archiwum.

(1) Instrukcya dla kom. zak. Archiw. N. Z. w Królewcu. Szuflada XX N. 22.

(2) una Withaud quam ouch dar mit vil eime mechtigerem heere; Posilge w SS. r. Pr. III. 278.

kon. Przestraszeni potęgą wojsk Żmudzini, tém pokorniéj składali hołd zakonowi. Książę dyktował warunki oddania Żmudzi; na jego doradę zabezpieczono mieszkańcom ich wiekiem uświęcone przywileje, nie miano im narzucać poddaństwa, bojarzy mieli pozostać przy wolnościach i przywilejach jako litewscy; lecz wszystko to zaręczano słowem a nie pismem, czego się nie domagał książę, zadawalniając się tém, iż przeznaczony na sołtysa Żmudzi Kuchmejster wraz z marszałkiem zakonu przyrzekli święcie zachowywać stare przywileje Żmudzinów. Działo to się w obec posłów króla Polski, w obec bojarów litewskich i ks. Witolda. Dla zabezpieczenia wiary św. mieli krzyżacy wybudować w téj ziemi kilka zamków a książe z nieznanych podówczas powodów miał sobie w czasie wybrać 250 Żmudzinów celem przesiedlenia ich na Litwę.

A podczas tego tryumfalnego pochodu krzyżaków, starają się oni równocześnie silnie ubezpieczyć w kraju. Znając już oddawna w najdokładniejszy sposób terren ziemi żmudzkiéj. upatrzyli oni dogodne i korzystne miejsce dla wybudowania nowego zamku. Witold ofiarował się najchętniéj z pomocą: i wojska, które przeznaczone były dla zawojowania Zmudzinów, i poddający się pod jarzmo Żmudzini rzucają się chętnie do pracy. Inżynierowie zakonni, jak głośny podówczas Flintz, kierują budową, i w kilka dni stanęła mała twierdza, nazwana Königsburg, a zupełne wykończenie budowy i oddanie jéj do użytku zakonowi bierze książę na własną rękę. Czterystu Polakom nakazał on na pewien czas osiąść w zamku i kierować robotami, a starsi zakonu przeznaczyli 40 najdzielniejszych braci ku obronie twierdzy.

Na Żmudzi zapanowała cisza, a Witold, spełniwszy swe zadanie, odciągnął z wojskami w głąb' Litwy. Jemu pilno gdzieindziéj działać, on usnuł już nowe plany, które zamierza wykonać.

A rycerze zakonni spieszą teraz zewsząd na rozkaz W. mistrza do wzmocnienia załóg w Königsburgu, w Ragnecie i Kłajpedzie; skąd rozpoczynają dzieło ujarzmienia i kolonizacyi darowanéj im ziemi. Wprawdzie Żmudzini widząc, iż Witold opuścił Żmudź, gromadzą się zewsząd, by przeszkodzić pracującym około wykończenia Königsburga; ale silny opór załogi, gońce Witolda nakazującego bezwzględne posłuszeństwo zakonowi, jego groźby karą przywodzą zbuntowanych do upamiętania. Jakżeż słodkim jest obecnie mistrz wielki dla Witolda, który w pięć lat przedtém tak srodze zdradził zakon? Mistrz nie znajduje dość słów do wynurzenia księciu swéj wdzięczności, radzi się w najmniejszéj rzeczy księcia o każdy krok, który obecnie czyni celem zmuszenia Żmudzinów do posłuszeństwa, zapytuje o radę Witolda, nawet przyobiecuje mu święcie, iż niczego

nie waży się działać w téj ziemi bez dorady księcia, gdyż całą radę, pomoc i życzliwość dla zakonu pokłada tenże tylko w księciu Litwy.

Ucieszony książę miasto odpowiedzi zarzuca mistrza skarbami podarunków. Najpiękniejsze konie, szuby sobolowe, drogie futra, to podarunki z Litwy; księżniczka ze swéj strony posyła W. mistrzowi drogie upominki.

A kiedy zakon pod koniec roku zażądał zakładników od Żmudzinów, synów najprzedniejszych bojarów, a ci obawiając się o los dzieci wzbraniali się spełnić żądanie sołtysa, znowu był książę tym, który nakazał wydać zakładników i tak zgasił Żmudzinom ostatnią nadziei iskierkę, nadziei wolności.

Że wśród takich okoliczności apoteoza Witolda ze strony w. mistrza i zakonu wzrastała, możemy się dorozumiewać. Nie zadziwi ona nas wcale, skoro weźmiemy na uwagę, iż obdarzający się wzajem podarunkami i komplementami, tak zakon jak i książę, byli mistrzami dyplomatycznéj obłudy, tak wysoce pielęgnowanéj w ówczesnym wieku. Obie strony aż nadto dobrze znają się nawzajem, na wskróś wiedzą o zamiarach wzajemnych dążeń i zamysłów politycznych; obie postanawiają się wspierać, korzystać z udzielanéj pomocy i wyświadczanych przysług... dla własnych celów. Jedna strona postanawia drugą wyzyskać dla swych planów, aby potém, wzmocniwszy się, strącić wroga w przepaść.

Zbyteczném byłoby wykazywać prąd niemieckiego na wschód słowiańskiéj Rusi pochodu, ten zresztą tak naturalny objaw wykształceńszéj, ruchliwszéj i pracowitszéj rasy germańskiéj nad słowiańską. Przy końcu XIV stulecia ukształtowały się tak rzeczy, iż zakon inflancki mógł swobodnie myśléć o środkach zapanowania nad Pskowem i Nowogrodem. Wszakżeż tam kupiec niemiecki szeroko rozpostarł oświatę i przemysł niemiecki, zaszczepił handel, wyzyskiwał kraj, wprowadzając towar zachodni, język i kolonie niemieckie. Nad Pskowem miał zresztą zakon zapewnione już panowanie przez zapis Andrzeja Olgierdowica; Witold nawet pokojem Raciązkim obiecał wspomagać mistrza inflanckiego do zawojowania Pskowian; do szerokiéj Watllandyi szukał obecnie mistrz dokumentów darowizn pośród pargaminów kancelaryi zakonnéj; słowem, w Inflanciech poczęto na dobre myśléć o rozszerzeniu się na wschód ruski.

Cóż, kiedy ten „zdradziecki i przeklęty“ Witold, jakiemi to przydomkami zaszczycał zakon księcia Litwy, wiedział dobrze

o planach rycerzy inflanckich. Cóż, kiedy Polska pracująca nad zbrataniem języków i ludów słowiańskich obsélała i najodleglejsze zamki ruskie polskimi rycerzami, ćwiczonymi w rzemiośle wojny, przemycając do Rusi zakazaną przez Krzyżaków broń, jak pancerze, puklerze, tarcze, miecze, hełmy, a co gorsza broń ogniową, ówczesne śmigownice i strzelbę. Niejednokrotnie przeto oskarżał zakon Polskę o te zbrodnie, których się dopuszczała względem „pogańskiéj Litwy" a co gorsza, szyzmatyckiéj Rusi (1). W obec połączonéj z Litwą Polski, w obec zaborczych planów Witolda na tym wschodzie, do którego zakon na dokumentach oparte rościł pretensye, musieli Inflantczycy przyśpieszyć swe działania, potroić zabiegi około pracy, słowem zapobiedz planom Witolda. Witold poruszał wszystkie sprężyny tajemnych knowań, aby nie dopuścić tu Niemców. Układy z krolem duńskim, z rozbójnikami morskimi, z wrogim zakonowi biskupem Dorpatu miały tylko ten jedyny cel na oku, aby przeszkodzić Inflantczykom do ustalenia ich panowania na północnéj Rusi. Z ostatnim układał się wreszcie książę, aby Litwie i Rusi wolny był przystęp do morza, na co mistrz inflancki nigdy zezwolić nie chciał, wiedząc iż krok ten, gdyby nań zezwolił, zakończyłby panowanie niemczyzny w Inflanciech i na Rusi.

Od czasu odpadnięcia Żmudzi od zakonu w 1401 r. stała kwestya o Ruś na takim stopniu, iż zakon uzyskał zapis Pskowa od Swidrygiełły (2), a podczas gdy Witold o własną Litwę musiał się troskać, przyjmowali krzyżacy inflantcy w Dorpacie poselstwa Nowogrodzian (19 Lutego 1402 r.), zawierali z nimi układy wypiérając współzawodniczących z nimi Skandynawów, a pod koniec roku 1404 uzyskali i nad Pskowianami wpływ zwierzchniczy. Z ostatnimi to związali się oni byli dokumentem przeciwko wszelkim wrogom bez wyjątku wspólnie działać, co oczywiście wprost przeciwko Witoldowi wymierzonéin było. Ba nawet Jerzy Smoleński, wyzuty z księstwa przez Witolda, szukał obecnie łaski u mistrzów obu zakonów.

Wielki książę Witold pogodziwszy się z zakonem nie troskał się wcale o skutki tych zabiegow inflanckich. Postanowił on bądź

---

(1) Przed pokojem w Raciążu skarży się Konrad Jungingen na Witolda: revocare nos studet a prosecucione catholice fidei contra inimicos crucis Christi presertim contra Lithvanos et Rutenos quorum se intitulat princeps et heres etc. W Reg. F. fol. 104—105. Porównaj skargi zakonu na Polskę z powodu jéj łączenia się z Litwą i Rusią i wspomagania tych krajów przeciwko orężowi Krzyżackiemu: Voigt C. D. Pr. V. N. 99, p. 124—130; Bunge IV. N. MCDXLIX. Voigt C. D. Pr. VI. N. 42, p. 46—47, ibidem VI. LXI, p. 65—67 itd.

(2) Liv. Urk. IV. n. 1603, 1604.

co bądź wydrzéć zakonowi wpływ zwierzchniczy nad Rusią, a to w sposób, iżby wszelką możność wpływu niemczyzny na wschodzie uczynić nadal niemożliwą. I owszém postanowił on choćby za nader wielką cenę, ustalić tam własny swój wpływ, uzyskać w Pskowianach, Nowogrodzianach i Moskwie pożytecznych przeciwko Niemcom sprzymierzeńców, połączyć interesa własnéj, z Polską związanéj ojczyzny z interesami tych bogatych a chociaż ciemnych, to walecznych i wytrwałych ludów.

Wielki Olgierd miał odżyć teraz w postaci Witolda, ale taki Olgierd, który z dzielnością wojenną i mądrością w rządach łączył zdwojoną chytrość Kiejstuta. Nieznacznie poczyna on najprzód osłabiać wpływ inflanckiego mistrza, zatrudniać go zwalczaniem żywiołów wrogich we własnym kraju i tak usuwać go od wpływu na Psków i Nowogród; rozdziela daléj interesa mistrza Prus od jego namiestnika inflanckiego; przez pierwszego, którego najwierniejszym stał się przyjacielem, postanawia złamać upór drugiego, rozdzielić obu i namiestnika poróżnić z jego zwierzchniczym mistrzem; wreszcie ma on poróżnić i na wieki rozbratać Ruś z Niemcami a podczas tego przywieść do skutku własne swe plany.

Dobrodziejstwa, wyświadczane zakonowi na Żmudzi, postanowił sobie Witold w trójnasób wynagrodzić, wyzyskując właśnie usłużność pruskich Niemców. W Polsce, w Niemczech i po całym zachodzie obwoływano teraz wielkie rejzy księcia na Ruś, a nawet przez kuryą papieską pracuje Polska, aby oddać Ruś pod mitrę Witolda.

Panowanie Witolda sięgało obecnie po Smoleńsk, gdzie osadził swego litewskiego wojewodę, wygnawszy sprzymierzeńca zakonu, księcia Jerzego Smoleńskiego. Wygnaniec, przyjęty gościnnie od Nowogrodzian, wysłał posłów do obu mistrzów zakonu, prosząc aby mu udzielili pomocy przeciwko wrogowi, księciu Witoldowi. Powoływal on się na dawne związki i przymierza, na przyjaźni dowody, jakie zawsze zakonowi wyświadczał, prosił o litość i o rychłą pomoc. Zaledwie poselstwo stanęło w Malborgu, wiedział już o niém książę Witold i wnet wysłał gońców do mistrza, aby stosownie do układów raciąskich z niczém odprawił posłów Jerzego. Zakon, któremu obecnie szło o ustalenie się na Żmudzi, odpowiada posłom: Prawdą jest, jako mamy z waszym księciem Jerzym pokój zawarty pomiędzy jego rodzicami z jednéj a zakonem z drugiéj strony; lecz czy my pokój ten złamaliśmy, wszedłszy w przymierze z ks. Witoldem? My czy to z nim w pokoju, czy w wojnie żyć będziemy, pomocy waszego księcia z pewnością nie będziemy wzywać. A skoro wasz książę Smoleński

własne księstwo utracił z przyczyny księcia Witolda, to i cóż my temu winniśmy? Wszak nam z téj utraty żadna korzyść nie przybyła, ani też popadliśmy przez to w szkodę.

Posłowie prosili, aby zakon wstawił się u ks. Witolda, aby Jerzemu żonę napowrót oddał. Mistrz obiecał wstawić się, a księciu pisał: „iż o to wcale dobijać się nie myśli.“ Wreszcie odpowiedział posłom: „Skoro ks. Jerzy jest wrogiem ks. Witolda, to niepotrzebnie wzywa zakon o pomoc przeciwko ks. Litwy, gdyż zakon w takiéj z nim żyje przyjaźni, iż nikogo przeciw niemu wspiérać nie może, ani też nawet rady udzielać. Zakon zastrzegł sobie na mocy układu, iż kto jest zakonu wrogiem jest tém samém wrogiem księcia Witolda, a kto jego wrogiem, jest wrogiem naszym.“

Wielki Mistrz uwiadomił natychmiast Witolda o sposobie, w jaki odprawił posłów Jerzego, i zapewniał, iż zawezwał swego namiestnika w Inflanciech, aby podobnież sobie postąpił z posłami, iżby nie ważyli się po drugi raz prosić zakonu o pomoc (1).

Ale nie o to szło Witoldowi, któremu zakon odwdzięczając się za jego przyjaźń podawał broń do rąk, o któréj mógł się spodziewać, iż w końcu przeciwko zakonowi zmierzoną zostanie. W gruncie rzeczy był może mistrz kontent, iż oddala Witolda od Żmudzi i od wspólnych z Polską działań. Witoldowi szło teraz o to, aby mistrz inflancki wypowiedział pokój Pskowianom a zwłaszcza Nowogrodzianom, z którymi to ostatnimi przedsięwziął prowadzić wojnę a to z przyczyny, iż poważyli się przed wrogiem jego, Jerzym, otworzyć gościnne wrota. Przed pokojem raciąskim zdawał się Witold wcale nie zważać na to, jako z temi ludami zawarł mistrz inflancki pięcioletni pokój, obecnie atoli stawszy się z wroga dobroczyńcą zakonu, wyzyskuje nadarzającą mu się sposobność i wysyła posłów do mistrza inflanckiego z prośbą, aby zawiadomił Pskowian i Nowogrodzian o „zawartym pokoju.“ Innemi słowy miał mistrz według prośby księcia rzec do Rusi: książę Witold stał się obecnie przyjacielem zakonu; wiedźcie przeto, że kto z nami pocznie, będzie miał i z księciem do czynienia; a kto z księciem będzie w wojnie, zyska sobie i w nas nieprzyjaciół. Mistrz inflancki Vietinghof wiedział dobrze do czego słowa księcia zmierzają i odpowiedział posłom: Jakżeż mogę ja zgodzić się na takie żądanie? Wszakżeż zakon mój od stu lub więcéj lat ma złotą pieczęcią potwierdzony z Pskowem i Nowogrodem pokój, nie mógłbym przeto im tegoż wypowiedzieć, nie działając wbrew traktatom uświęconym wiekami. Na to posłowie Witolda: „Pan nasz nie

(1) Bunge. L. E. C. Urk. B. Nr. MDCLIV.

żąda, abyś im wypowiedział wojnę, lecz żebyś ich uwiadomił o zawartym pokoju w Raciążu. Rozważcież bowiem mistrzu, gdyby nasz pan z Pskowianami i Nowogrodzianami się poprzyjaźnił, a podczas tego wy z pomocą Boga na Żmudzi ustalili swe panowanie, wszakżeż jasna rzecz, iż nie będziecie natenczas mieć ziemi, gdziebyście z pomocą rejz waszych rozszérzać się mieli. Natenczas z pewnością zbierze was chęć wypowiedziéć Pskowianom i Nowogrodzianom pokój, a w tym celu udacie się do naszego pana z prośbą o doradę. Podówczas rzecze do was nasz pan: „Ja mam z Rusinami pokój, ja wam przeciwko nim nie pomogę.“ Lecz i ta wysoce polityczna argumentacya posłów Witolda nie potrafiła przemówić do serca mistrza inflanckiego. „Wasz pan szuka własnéj korzyści, tedy dozwoli, że i my na własną korzyść działać będziemy (1).

Posłowie wrócili z tą odpowiedzią do księcia Witolda. Było to właśnie podtenczas, kiedy zadowolniony komtur Bałgi oddalił się z dworu jego, uskuteczniwszy poselstwo W. mistrza, w którém sprawa Żmudzi nadzwyczaj popartą została ze strony księcia. Rozgniewany odpowiedzią mistrza inflanckiego Witold, każe śpiesznym gońcem dognać komtura i uwiadomić przezeń o całém poselstwie W. mistrza. Domaga on się od W. mistrza, aby wpłynął na swego namiestnika w Inflanciech i nakazał mu wypowiedziéć pokój Pskowianom i Nowogrodzianom.

Po zwołaniu rady starszych zakonu, uchwalono natychmiast zadość uczynić woli Witolda. Wiedz nasz namiestniku, upominał mistrz pruski inflanckiego, jako nam się zdaje, iż rzeczy wezmą zły obrót, skoro Witold na ciebie skarzyć się poczyna, a ty tak bezwzględnie mu odpowiedziałeś. Wiedz, iż Witold o sobie nie zapomni, a nikt nie wié jaką on zemstę uknuć może (2). Nam się zdaje, że gdyby on chciał nas potrącić, popadlibyśmy w wielki kłopot i podejrzenie. Co bardziéj, gdyby on spostrzegł, że pomiędzy nami jakieś różnice panują, z pewnością osiągniemy przez to złe skutki.

Uchwalono tedy zjazd na Zielone Świątki do Kowna, dokąd i inflancki mistrz miał wysłać swoich pełnomocników. Witolda prosił mistrz, aby nie brał za złe mistrzowi inflanckiemu, który się tylko zapomniał, a tém bardziéj, aby nie zechciał odwetować tego zakono-

---

(1) List Wit. do W. M. DD. Iaroslawer Wesen dienstag Paschalis 1405. Arch. N. Z. szuflada XVII. nr. 133.

(2) Wol ist czu glouben das herczoge Wytoud sines selbens nicht vorgessen wurde und nimand woste, wes her czu leczt undir eim sulchen mochte czur riche werden etc. Kopia listu W. M. do M. Infl. DD. Marienb. dinstag nach misericordiam. Arch. król N. Z. Szuflada XVIII.

wi. Nasz zakon już się w tém porozumiał, jako ma wiernie waszéj książęcéj Mości dopomagać, zaręczał Witoldowi mistrz W., o czém oby Bóg dozwolił rychłobyście się przekonali. (1)

Witold nie miał powodu nie wierzyć zakonowi, tém bardziéj, że widział całą pracę zakonu na jaką wysilał się, aby zapanować i ustalić się na Żmudzi. Snać aby całkowicie pozyskać dla się zakon pruski, obiecał on w tym czasie mistrzowi wybudować własnym nakładem nową twierdzę na Żmudzi. A wśród takich stosunków, zjazd pełnomocników zakonnych w Kownie, musiał dla planów Witolda wypaść nader pomyślnie. Krzyżacy obiecują rychło już wesprzéć Witolda posiłkami w wyprawach, jakie miał przedsięwziąć na Rusi.

Niemiecką bronią począł teraz działać Witold. Spokrewniony z księciem Iwanem Twerskim, wysłał on wraz z nim posłów do Nowogrodu, aby mu wydali księcia Jerzego Smoleńskiego. Jeżeli mi nie wydacie, kazał on im pogrozić, napadnę wraz ze sprzymierzeńcami moimi z Niemcami wasz kraj; ogniem, mordem i grabieżą spustoszę i zrujnuję was. Niemcy byli wielkim dla Słowian postrachem. Przelęknięci Nowogrodzianie, uchwalają wysłać posłów do księcia by zgodzić się na jego żądanie. Działo to się pod koniec 1405 roku.

Witold nie oczekuje skutków swego poselstwa. On snać wié o wrażeniu i koniecznych skutkach, jakie wywoła jego żądanie w obec Nowogrodzian. Aby czynem poprzéć pogróżki, zbiera on wielkie siły wojska: z Niemiec mają nadciągnąć ochotnicy, z Polski chorągwie w posiłku na wyprawę. A podczas tych przygotowywań odciął książę Niemcom przystęp do tych krajów, nad któremi wpływ swój zwierzchniczy rozciągnąć zamyślał. Był to nadzwyczaj zręcznie obmyślony środek, jaki Witold 21 Lipca 1405 roku wprowadził w życie. Połoczanie, poddani Witolda, zawiérają na tym dniu układ z Rygą, na mocy którego wolno jest pierwszym w Rydze mieć składy towarów litewskich i ruskich; tak samo Ryżanom dozwolono jest w Połocku mieć składy towarów niemieckich; jednakowoż handel Niemców z Nowogrodem i Moskwą dozwolony jest li tylko za pośrednictwem Połoczan (2). Mistrz inflancki musiał ze swéj strony potwierdzić ten układ, zamykający poddanym jego niemieckim wstęp do Rusi.

Nowogrodzianie zastosowali się do żądań wielkiego księcia Litwy; wydalili oni z kraju Jerzego Smoleńskiego a ten umknął do księcia Wasyla moskiewskiego, zięcia Witolda, dając ostatniemu tém samém powód do zwady z Moskwą. Nowogrodzianie atoli uszli zemsty księ-

---

(1) Bunge IV. MDCLIX.
(2) Russ. Liol. Urkunden nr. 154. str. 120.

cia, zwracającego rychło uwagę na Psków, który, jako bardzo odległy od Litwy, opiérał się jego żądaniom. A chociaż czas wcale nie był stosowny do przedsięwzięć wojennych, nadzwyczaj bowiem łagodna zima utrudniała pochód w tak daleki kraj, Witold pomimo to podjął olbrzymią na Pskowian wyprawę. Przy końcu Stycznia 1406 r. wyruszył on z Litwy; (1) nie oblegał on zamków Pskowian, ani téż długo zabawiał się wyprawą. Kroniki ruskie donoszą, iż książę miał się tém zadowolić, iż spustoszył im kraj i uprowadził 11.000 Pskowian w niewolę (2).

Nie wiemy w jaki sposób właściwie ustalił książę Witold wpływ swój w Pskowie i Nowogrodzie. To wiemy, iż pierwsi wysłali swego arcybiskupa Cypryana z poselstwem do Litwy, iż pierwsi i drudzy prosili o przebaczenie i udawali się do jego łaski. Ale jakie skutki Witold osiągnął, mniejsza o nie; to pewna, że z téj strony nie potrzebował się obecnie obawiać i że podczas, kiedy wybierał się na wyprawę moskiewską, Pskowianie, którzy z razu mieli zamiar nań obrócić swój oręż, zwrócili go przeciwko Niemcom w Inflanciech, kilkakrotną zadając im klęskę. W tym samym czasie Nowogrodzianie, miasto uderzyć na Witolda, okazywali wcale nietajoną chęć popróbować mocy oręża na Niemcach. Od téj chwili ustawicznymi wrogami Niemców inflanckich są Pskowianie i Nowogrodzianie, pierwsi w ustawicznéj z mistrzem wojnie (3).

Ale nie o to snać tylko chodziło Witoldowi. Wyprawa jego moskiewska, którą obecnie na Lipiec obwoływano we wszystkich krajach Litwy, wcale się różni od poprzedniéj pskowskiéj. Na nią zbiéra się w Polsce liczne rycerstwo, a Swidrygiełło ma przewodzić polskim chorągwiom. Z Wołoszczyzny spieszą zbrojne tłumy posiłkowych ludów. Wielki mistrz przeznaczył komtura Ragnety i sołtysa Żmudzi, aby z posiłkami pospieszyli do wojsk Witoldowych. Na Żmudzi obwoływano wyprawę przeciwko Moskwie. Żmudzini mieli okazać niechęć ku dalekiéj rejzie. My poddaliśmy się Niemcom, mieli oni rzec do obwołującego wyprawę Nigaiła, z Niemcami pociągniemy gdziekolwiek tylko nam rozkażą, cóż nam do księcia Witolda (4).

Daleki Brańsk miał być miejscem zboru wojsk, ciągnących na moskiewskie boje. Krzyżacy z licznóm wojskiem, z heroldami holen-

---

(1) List księcia do marszałka zakonu DD. in die Agnetis virginis. Arch. N. Z. Szuflada XVIII. Skarży się tu książę na „gar weich wethir.“ Porównaj „von eime weichin wintir“ u Jana Posilgego w SS. r. Pr. III 284.

(2) Psk. l. letop. rok 6914; Sofijski, rok 6915.

(3) Wyciąg z ruskich let. u Bonnela Chr. p. 217.

(4) List Sołtysa Żmudzi do W. M. z 30 Czerwca [1406 r.] Archiw. Królewieckie N. Z. Szuflada XVI. a.

derskimi i burgundzkimi kilka tygodni stracili w podróży z właściwéj Litwy do Brańska. Siedmnaście dni maszerowali oni przez pustynię, natrafiając na dwie tylko wioski; rycerze przyzwyczajeni do obfitej i sutéj strawy „pomizernieli srodze w pustyni, ba nawet konie krzyżackie schudły nam,“ skarży się komtur Raynety (1).

Z początkiem Września stanęła różnojęzyczna armia w Brańsku. Posiłkowe wojska, strudzone pochodem, musiały długo wypoczywać: 11-go miano rozpocząć wojnę. Ale książę Wasyli nie wyruszał naprzeciwko rozgniewanemu teściowi. Witold tedy każe spustoszenia jak najszerzéj rospostrzéć po kraju. Grabieże i pożary trwały ze cztéry tygodnie a wśród tego zaczęły pomiędzy wojskami krążyć pogłoski, iż książę Witold pogodzi się z zięciem. Byle mu wydał książę Wasyli Jerzego Smoleńskiego i Aleksandra Starodubowskiego a nastąpi zgoda. Tak sobie tłómaczą politykę Witolda krzyżacy, a wszyscy wiedzą, jak sprytnie pojmał on księcia Aleksadra, który go chciał zdradzić (2). Książę odsyłał wielkie zdobycze, moc pobranych w niewolę do Litwy, rozdawał rycerzom herby nad Ugrą i oczekiwał posłów upokorzonego zięcia. Książę Wasyli wyruszył sam naprzeciwko napastnikowi, a jak krzyżacy przewidywali, nastąpiło zawieszenie broni. Bóg wié jakie były onego warunki, współczesnych to mało obchodziło; wszyscy wiedzieli, iż Witold wcale nie żałował swego książęcego zięcia, a że go zmusił do pokoju, wiadomą było rzeczą. Ucieszeni krzyżacy zapisali ku pamięci wieków potomnych, że ich wojska „dzięki Bogu“ nie poniosły najmniejszéj w ludziach straty, (3) a zatrudnieni gdzieindziéj zdawali nie domyślać się przeciwko komu zmierza potęga Witolda, którą ugruntowywał na Rusi.

A podczas tego wrzała wojna Pskowian i Nowogrodzian z mistrzem inflanckim (4). Nikt nie wiedział, kto ją podsycał, kto był jéj powodem, a wszakże przed pokojem raciąskim żył mistrz w pokoju z Rusinami i swobodnie, cicho i nieznacznie ugruntowywał tamże swój wpływ. Obecnie grozili północni Rusini Niemcom srożéj, aniżeli w dawniejszych czasach. Kupcom niemieckim zakazywano co chwila wolnego handlu w granicach Pskowa i Nowogrodu, nawet przemocą wydalano ich z kraju, zabiérano towary. Ale któżby

---

(1) List komt. z 2 Września [1406] D. Brentz LVI milen gelegen verzer voen di Tunneper am dunnerstage nach Egidii. Szuflada *varia* w Arch. N. Z. List Witolda z 3 Września dat. z Brańska. Szuflada XVII. Nr. 147.

(2) List marszałka zakonu do W. M. z 13 Paźdz. [1406] Schaaken mitwoch nach Dionisii. Ar. N. Z. Szuflada XVIII.

(3) SSr. Pr. III. 283.

(4) Psk. lit. r. 6914 i 6915.

był odważył się posądzać o tych zwad przyczynę księcia Witolda? Wszakże wiedzieli krzyżacy, iż ludy te były i Witolda wrogami, iż starał się on o to w Rzymie, aby mu stolica apostolska dała zezwolenie na „rejzy ruskie“, jaki to przywilej miał zakon ze względu na Litwę i Ruś. Wreszcie doznawali krzyżacy od Witolda większych aniżeli kiedykolwiek łask na Żmudzi, a on sam wreszcie wspomagał Inflantczyków w wojnie przeciwko Pskowianom.

(C. d. n.)

Dr. Antoni Prochaska.

LUDY PIERWOTNE

POŁUDNIOWÉJ AFRYKI.

III.

Kafrowie (1).

Nie podlega najmniejszéj wątpliwości, że Kafrowie przybyli do Afryki południowéj z północy, a wyparłszy pierwotnych mieszkańców, przywłaszczyli sobie ich ziemie i najpierwsze obecnie pomiędzy nimi zajmują miejsce, bo podczas kiedy plemiona Buszmanów i Hottentotów upadły pod wpływem nieprzyjaznych okoliczności i są zagrożone zupełném wyginięciem: Kafrowie wyszli zwycięsko z walki z pierwotnymi krajowcami i z napływem cywilizacyi europejskiéj i tworzą dzisiaj lud bardzo liczny, prawie zupełnie niezawisły, cieszący się dobrobytem materyalnym i poczuciem własnéj potęgi. Należą oni do wielkiéj rodziny ludów murzyńskich, zamieszkujących środkową Afrykę od brzegów morza Indyjskiego aż po Atlantyk i od południowych brzegów Sahary aż po Przylądek Dobréj Nadziei. Są oni dziś rozdzieleni na rozliczne mniejsze lub większe narody, różniące się pomiędzy sobą mową i obyczajami, ale połączone za-

(1) Treść niniejszéj pracy była przedmiotem trzeciego odczytu Dr. A. Rehmana, wygłoszonego w sali Resursy obywatelskiéj w końcu roku 1877. Dwa pierwsze rozdziały, opisujące ludy pierwotne południowéj Afryki, drukowano w „Ateneum" 1878 r. T. I str. 94 i 468. Obecna wojna Anglików z Kaframi, z plemieniem Zulu, wywołała na nowo zainteresowanie się publiczności temi oddalonemi krajami. Podajemy tu wiadomości, zebrane na miejscu przez Dr. Rehmana.

Szczególne znamiona drugorzędne, właściwe kobiétom buszmańskim i Hottentotkom, u Kafrów nie istnieją wcale. Nie napotkałem nigdzie u nich śladu steatuspygii, w budowie ciała kobiéty kaferskie zbliżają się w ogóle do kobiét rasy kaukaskiéj, a zbliżenie to jest także widocznem i w układzie kości.

Szerokość czaszki u Kafrów podaje Welker na 69, a jéj wysokość na 74, w skutek czego wypada ich zaliczyć do ludów długogłowych. a od Hottentotów różnią się oni tylko wysokością czaszki. Jednakowoż i pod względem rozmiarów czaszki, plemię to odznacza się przed innemi daleko większą rozmaitością. Davis znalazł pomiędzy ośmnastu czaszkami Murzynów Sudańskich cztery, przewyższające rozmiarem średnią szerokość rasy kaukazkiéj, których właściciele w skutek tego do ludów krótkogłowych zaliczonymi byćby musieli.

Co do budowy twarzy i składu ciała ludy afrykańskie były uważane przez długi przeciąg czasu za wzór brzydoty. Znajdowała się nawet niesmaczna szkoła antropologów, która Murzynów stawiała za przykład dzikości i zwierzęcości, odmawiała im zdolności do rozwoju i powątpiewała nawet, czy są rzeczywiście ludźmi. Murzyn według tych opisów musiał mieć owalną czaszkę, płaskie czoło, szczęki wystające, wargi nabrzmiałe, szeroko rozpłaszczony nos, krótkie kędzierzawe włosy, czarną barwę ciała, długie ramiona, cienkie nogi, wystające pięty i płaskie stopy. Sprawozdania bezstronnych i wykształconych podróżników ostatnich czasów rozproszyły już oddawna te przestarzałe przesądy i wykazały, że czarni Afrykanie są w zasadzie tak samo zbudowani jak i Europejczycy. Co do Kafrów z własnego doświadczenia mogę powiedzieć tyle, że można napotkać nieraz pomiędzy nimi twarze o rysach zupełnie regularnych, a nawet odpowiadające poniekąd naszym pojęciom estetycznym. Czoło bywa niekiedy zwężone i nisko zarośnięte, ale zdarza się dość często wysokie i wypukłe. Nos rzadko, i to tylko u indywiduów podejrzanego pochodzenia, zakląknięty, a zazwyczaj dobrze rozwinięty, czasami zupełnie równy, a niekiedy nawet, jak np. u Kafrów, około zatoki Delagoabay mieszkających, zakrzywiony, rzadziéj zadarty, a bardzo rzadko na końcu przygnieciony. Kości policzkowe słabo wystające i nie tak oddalone jak u Hottentotów. Wargi pełne, ale nabrzmienie charakteryzujące Murzynów Sudańskich jest u Kafrów zjawiskiem wyjątkowém; również i wystające szczęki są rzadkością, a zęby zazwyczaj proste, równe i białe; broda przeważnie ostro zakończona, ale nie tak śpiczasta jak u Hottentotów. Twarz bardzo rzadko okrągła, zazwyczaj owalna albo podłużna, oczy ciemno-bru-

natne, niekiedy krwią nabiegłe, znamionują pomimo tego bystrość umysłu i rozsądek, a niekiedy pewność samego siebie.

Włosy w przekroju słabo eliptyczne, zazwyczaj wpodłuż rozszczepane, kędzierzawe, porost w ogóle dość bujny. Zarost na twarzy występuje bardzo późno, widywałem go jednak dosyć często u podeszłych mężczyzn; na reszcie ciała jest on prawie żaden. Włosy siwieją z wiekiem. Pomiędzy Kaframi Basuto napotykałem niekiedy porost głowy, właściwy Hottentotom i Buszmanom, mianowicie włosy zbite w krótkie, drobne kręcone kosmyki, pomiędzy któremi prześwieca naga skóra, ale jaśniejsza barwa skóry i rysy twarzy odpowiednich indywiduów każą mi powątpiewać o czystości ich rasy. Zazwyczaj włosy pokrywają jednostajnie całą głowę i wytwarzają gęste, zbite runo, którego średnica dochodzi od 2 do 3 centimetrów. Bujny porost głowy bywa uważanym w ogóle pomiędzy Kaframi za największą ozdobę i dla tego w wielu okolicach wydłużają włosy przez staranne rozczesywanie, i w różny układają je sposób; wspomnę o tych sztucznych perukach, mówiąc o ozdobach. Najdłuższe włosy, jakie widziałem u Kafrów południowéj Afryki, dochodziły do 10 centimetrów długości.

Barwa ciała jest brunatna, u Zulu ciemniejsza, u Basuto zazwyczaj jaśniejsza. Do najciemniejszych należą Swazi i Matabili, a w ogóle ludy mieszkające w okolicach bagnistych i niezdrowych. Brudno-żółtą barwę, o któréj wspominają niektórzy podróżnicy, napotykałem bardzo rzadko pomiędzy Kaframi z rodu Basuto i sądzę, że powstała przez pomieszanie z Buszmanami. Niemiły wyziew skóry, uważany niegdyś za znamię właściwe rasie murzyńskiéj, napotkałem kilka razy w Kimberley u indywiduów nieznanego mi pochodzenia, i nie sądzę, ażeby był ogólną Kafrów własnością.

Wspominałem już o dwojakiém znaczeniu, jakie ma ubranie dla człowieka. Nie podlega najmniejszéj wątpliwości, że uczucie wstydu obudziło się u Kafrów już bardzo dawno, chociaż nie rozwinęło się tak wysoko jak u Hottentotów. W porze zimowéj odziewają ciało, ażeby ochronić je przed niekorzystnym wpływem klimatu, a w lecie używają swobody, ale nie ukazują się nigdy bez pewnéj części ubrania. Tylko dzieci chodzą zupełnie nago, i w tym stanie można napotkać nieraz tak chłopców jak i dziewczynki do dwunastego roku życia.

Strój mężczyzny składa się w lecie z kilku ogonów drobnych zwierząt, połączonych w jednę wiązkę i przymocowanych do sznurka albo rzemienia przepasanego około bioder. Zulu używają dwóch takich wiązek i przywiązują jednę z przodu, drugą z tyłu; Basuto ograniczają się do jednéj, którą noszą z przodu. Odpowiedni strój

u kobiét składa się zazwyczaj z kawałka skóry trójkątnéj postaci, szerokiego co najwięcéj na 2o centimetrów, przymocowanego do sznurka przepasanego przez biodra. W miejsce trójkąta używają niekiedy szerokiego paska skórzanego, który nacinają w wązkie rzemyki i zdobią je szklanemi paciorkami. W kraju Basuto wplatają niekiedy w sznurek frendzle, długie na 1o do 15 centimetrów, które barwią na czarno i ozdabiają również paciorkami.

Młode dziewczyny, zaopatrzone w takie ubranie, uważają toaletę swoję za najzupełniéj wykończoną, a wszelkie inne dodatki za ciężar zbyteczny. W ich rodzinnych kraalach, w tym tylko napotykałem je stroju. W Natalu i staréj kolonii, nie wolno Kafrom przychodzić bez ubrania do miasta, i dla tego ukazują się zazwyczaj odziani w lekką kołdrę bawełnianą, albo w skóry zwierząt; ale w porze letniéj spotykałem nieraz tuż pod miastem gromady dziewcząt, niosących swoje kołderki na ramionach i używające miłéj swobody. Inaczéj zachowują się starsze kobiéty; zakrywają one ciało w lecie i zimie bardzo starannie i nie ukazują się bez odzieży nawet pomiędzy swoimi. Mieszkając w Natalu w Oukford nad rzeką Umhloti przybliżyłem się raz przypadkiem do miejsca, gdzie się kąpało kilka kobiét zamężnych. Gdy mnie spostrzegły dwie najmłodsze wyskoczyły natychmiast na brzeg, pochwyciły leżące tam ubrania, poczém wszystkie przeprawiły się z pośpiechem na drugą stronę rzeki i ukryły w zaroślach. Upewniano mnie w Natalu, że kobiéty zamężne, przydybane przez mężczyzn bez ubrania, srogiéj podlegają karze.

W porze zimowéj ubierają się nieco staranniéj, bo poranki i wieczory bywają tutaj dosyć chłodne. Obecnie rozpowszechnił się gdzieniegdzie użytek bawełnianych kołder, które kupują w mieście od przejeżdżających handlarzy, ale w odległych kraalach zastępują je skórami kóz, owiec, lub antylop. Strój taki składa się u kobiét z dwóch skórek, z których jedna pokrywa biodra a druga—ramiona. Mężczyźni używają zazwyczaj karosów; jest to rodzaj płaszcza zeszytego z kilku skór, w który zawijają ciało, podtrzymując końce rękami pod szyją, a czasami zaszywają go zupełnie z boku i wdziewają przez głowę. Używają na karosy zazwyczaj skór antylop. Są one bardzo starannie wyprawione, lekkie i miękkie, a Kafrowie Bezuana używają w tym celu nawet skór wołowych, które tak znakomicie wyprawiają, że nadają im miękość sukna. Wyższość tego ubrania nad hottentockiém polega w tém, że jest szyte za pomocą igły, któréj użytku Hottentoci nie znali. Wykonanie bywa niekiedy nadzwyczaj staranném. Widziałem wspaniałe karosy, szyte z niesłychanym trudem z drobnych skórek łasic, nazywanych w kolonii „Mierkats“; potrzebą było przeszło 3o takich skórek na jeden karos.

Każda skórka była na dolnym brzegu wycięta w regularne półkole, a do wierzchu karosa były przymocowane dwie długie klapy, każda z kieszonką od wewnątrz, do umieszczenia w nich rąk i podtrzymywania stroju.

Kafrowie nie znają wcale użytku obuwia i nie nakrywają głowy. Zdaje się, że zbite runo ich włosów chroni głowę dostatecznie przed szkodliwém działaniem promieni słonecznych. Również i strój europejski nie bardzo ich nęci; kupują tylko kołdry wełniane lub bawełniane, bo te w podróży, w porze zimowéj, rzeczywiste oddają im usługi, a w kraju Basuto, gdzie klimat jest ostrzejszym i łatwość nabycia ubrania od angielskich handlarzy większą, zaopatrują się w koszule i pantalony. Gdy się wybierają w drogę, strój swój uzupełniają skórzanym workiem, który przepasują przez plecy i umieszczają w nim pożywienie i inne drobiazgi. Worek ten jest zrobionym zazwyczaj ze skóry małpy, lub innego małego zwierzęcia, przewróconéj włosami na wewnątrz.

Kafrowie kochają się bardzo w ozdobach. Mężczyzni dziurawią uszy i w jedném z nich umieszczają długą trzcinkę, służącą do przechowania tabaczki, a w drugiém kolec jeżozwierza, albo kołeczek. Czasami znajduje się w uchu kilka otworów wzdłuż brzegu muszli, wówczas w górnych umieszczają kolczyki własnego wyrobu z żelaza albo mosiądzu, ozdobione niekiedy paciorkami albo muszelkami. Na rękach noszą bransoletki z drutu mosiężnego, który dostają od handlarzy. Drut ten tną na kawałki kilkocalowe, kują na płasko młotkiem, albo kamieniem, nacinają w różne rysunki, złożone wyłącznie z linij prostych, nawzajem się krzyżujących, i wyginają. Widywałem także niekiedy bransoletki z kości słoniowéj, albo z rzemienia, nabijane gwoździmi metalowemi. Oprócz tabakierek w uchu, które niegdyś wyrabiali z trzciny, a teraz zastępują w ogóle brązowemi, Kafrowie Zulu używają tabakierek z kulistego i twardego owocu; zdobią je również rysunkiem, przywiązują do sznurka korali i noszą na szyi. Kafrowie południowi wyrabiają tabakierki ze krwi zwierzęcéj, które nazywają „ikwaka“. Mieszają świeżą krew z delikatną czerwoną glinką i zarabiają na ciasto; potém robią z gliny model jakiegoś zwierzątka i pociągają go cienkim pokładem wzmiankowanego ciasta, zdobią zewnątrz rysunkiem a wysuszywszy na słońcu, wilżą glinę wewnątrz i starannie usuwają. Pomiędzy mężczyznami za największą ozdobę bywa uważany sznurek zębów lwa, pantery, albo tygrysa, lub szponów ptaków drapieżnych.

Kobiéty noszą w uszach kolczyki, bransoletki na ramionach a czasami i na nogach pod kolanami. W ostatnich czasach rozpo-

wszechnił się pomiędzy niemi użytek szklanych pereł i paciorków, noszą także na szyi szerokie brązowe obręcze. U kobiet Basuto widziałem szczególną ozdobę, którą nazywają: „ameklate.“ Jest to kawał skóry wycięty w czworobok, albo w postać pola herbowego, niedochodzący wielkości stopy kwadratowéj, ponabijany metalowemi gwoździkami, albo naszywany paciorkami; zawieszony na sznurku przez szyję, spada zazwyczaj poniżéj pasa. Młode dziewczyny przeciągają przez czoło sznurki z łyka, zazwyczaj dwa w podłuż, połączone kilku poprzecznemi. Sznurki te wpijają się bardzo głęboko w ciało i, gdy po pewnym przeciagu czasu zostaną usunięte, pozostawiają głębokie blizny na czole.

Do wszystkich tych ozdób przywiązują bardzo wielką wagę i niechętnie je odstępują. Udało mi się kilka razy nabyć nieco takich drobiazgów od mężczyzn w zamian za fajkę, albo pieniądze, ale nigdy od kobiét, bo żądania tych były zawsze wygórowane. Zwiedzając w kraju Basuto kraal, należący do naczelnika Kadżi, chciałem nabyć kilka ozdób kobiécych, ale za zwyczajną bransoletkę, któréj rzeczywista wartość może wynosić sześć pensów, żądano dziesięć szylingów, a za obręcz ze szyi—funta. Jedna tylko dziewczyna znajdowała się w posiadaniu wzmiankowanéj ozdoby ameklate; po długich namowach zgodziła się na jéj odstąpienie, ale w zamian za nią wybrała sobie u obecnego handlarza angielskiego najpiękniejszą kołdrę wełnianą, jaka w Cape-Town kosztuje półtora funta, a w kraju Basuto dwa razy tyle.

Zwyczaj nacinania skóry dla ozdoby (tatuowania) nie jest bardzo rozpowszechniony. Nie widziałem go nigdzie u Zulów, ale spotkałem kilka przykładów między Kaframi Basuto, tak u mężczyzn, jak i u kobiét. Nacinanie ograniczało się do twarzy i przedstawiało linie krzywe, rozchodzące się w kierunku promieni od podstawy uszu po policzkach. U jednego mężczyzny znalazłem na każdym policzku koło; linie bywały po części ciągłe, po części przerywane i nie mogłem dopatrzéć się śladów zabarwienia. U Kafrów Makalaka, żyjących na północ od rzeki Limpopo czyli Krokodylów, według twierdzenia Maucha tylko kobiéty bywają nacinane dla ozdoby i to w wieku dojrzałym, bezpośrednio przed zamążpójściem. Operacya ta jest nadzwyczaj bolesną. Proszę wyobrazić sobie, powiada Mauch, okropny ból, gdy cała okolica piersi i brzucha otrzyma po obydwoch stronach, z wyjątkiem średniéj linii, szerokiéj na cal, 4.000 nacięć ustawionych co 30 równoległych linij, nie licząc nacięć na innych częściach ciała. Ból ten zostaje zwiększony przez nacieranie ran płynem, zaczernionym roztartym węglem, w celu uzyskania blizn wypukłych; ale nie na tém koniec cierpienia, bo zdarza się czasami,

że nacięcia nie zadawalniają estetycznego zmysłu rodziny, albo nie podobają się narzeczonemu, a wówczas okropna operacya trwająca dni kilka musi być powtórzoną.

Ale wysoka wartość jaką przywiązują do ozdób zewnętrznych najlepiéj objawia się w pracy około włosów, chociaż, jeżeli objaw ten można uważać za dowód próżności, to ona jest między kaframi prawie wyłącznym przymiotem mężczyzn, a odnosi się to przedewszystkiém do Kafrów z rodu Zulu. Są oni zakochani w swoich włosach, każden z nich jest od urodzenia perukarzem swéj własnéj czupryny. Młodzi układają swe włosy w różny sposób; przedewszystkiém rozczesują je starannie i wymuszają na nich większą długość, przez zmniejszenie ich kędzierzowatości. Układają je niekiedy w wydłużone, stojące kudełki, albo rozczesują w bardzo regularne podłużne zagony, przebiegające od przodu głowy ku tyłowi a rzadziéj w poprzek od ucha do ucha. Jeżeli porost głowy jest bardzo bujnym, wówczas podcinają włosy od spodu i po bokach w ten sposób, że dla patrzącego z przodu wydaje się, jak gdyby głowa była nakryta czapką sercowatéj postaci. Starsi podgalają głowę dokoła i pozostawiają tylko na jéj wierzchołku wysoki walec z włosów. Wierzchołek tego walca ścinają oni na płasko a brzeg smarują rozpuszczoną gumą tak długo, dopóki nie wytworzy się na nim pierścień grubości palca; jest on barwy czarnéj, odznacza się silnym połyskiem i sprawia wrażenie, jak gdyby był wyrobiony z rogu. Opieka nad czupryną mężczyzny jest jednym z najgłówniejszych obowiązków kobiét. Gdy fryzura jest wykończoną, zatykają w nią kość jeżozwierza, czasami półksiężyc metalowy, albo pióra ptaków drapieżnych, a głowa Kafra przeładowana takiemi ozdobami, przedstawia czasami widok, mogący przerazić niedoświadczonego przybysza.

Ażeby dać dokładne wyobrażenie o powierzchowności Kafra, muszę dodać, że nie oddala on się nigdy od kraala bez broni, spotkany w drodze znajduje się zawsze w posiadaniu kilku lśniących assagai, krótkich do polowania i długich do walki z nieprzyjacielem i kilku kijów zakończonych gałką, nazwanych kiri. Broń tę niesie zawsze w ręku, a gdy się wybiera na wojnę zarzuca przez plecy podłużną tarczę z wołowéj skóry.

Mieszkaniami Kafrów południowych są chaty postaci półkulistéj, szerokie na 10 do 12 stóp a tak wysokie, że mężczyzna średniego wzrostu w środku chaty, głową jéj powały dotyka; plotą te chaty z trawy, a wykonanie ich jest nadzwyczaj staranne. U Zulów wbijają przedewszystkiém w ziemię obręcze, które łączą za pomocą rzemieni tak, ażeby tworzyły rusztowanie przyszłéj chaty i oznaczały jak najdokładniéj jéj postać. Potém oplatają rusztowanie trawą na-

zwaną tambuki; źdźbła téj trawy układają razem z liśćmi w pęczki grubości palca i przeplatają sznurkami kręconemi z łyka różnych krzewów, a cała chata ma postać olbrzymiego koszyka półkulistéj postaci, przewróconego dnem do góry. Ażeby zabezpieczyć chatę przed działaniem wiatru, pokrywają ją jeszcze wielką siecią, splecioną starannie ze sznurka łykowego. Jeżeli zważymy, że w wielu miejscach trudno jest o elastyczne pręty do utworzenia rusztowania, to gładkość i czystość roboty dowodzi nadzwyczajnéj staranności w jéj wykonaniu i zasługuje na uznanie. Jeden tylko otwór prowadzi do chaty, wysoki najwięcéj na 2 do 3 stóp. Można go przebyć tylko na czworaku, a wchodzi się i wychodzi przodem; jeżeli cudzoziemiec, nie znający zwyczajów krajowych, opuszcza chatę z głową odwróconą do jéj wnętrza, naraża się na śmiech jéj mieszkańców; twierdzą oni, że w ten sposób tylko wrogi chatę opuszczają. Kafrowie Basuto nadają chacie podstawę kamienną.

Odmienną jest budowa chaty u Beczuanów; robią oni przedewszystkiém mur z gliny, wysoki na trzy stopy; na nim układają rusztowanie z prostych drągów i pokrywają takowe dachem ostrokrężnym, którego brzeg wystaje na dwie stopy po nad podmurowaniem; malują podmurowanie na żółto albo biało, a chaty naczelników zdobią postaciami zwierząt.

Podłoga wewnątrz chaty jest wylepiona gliną, zawsze czysto zamieciona, a porządek wewnątrz wzorowy. Sprzęt domowy u Kafrów jest bardzo prosty. Wyrabiają oni z gliny miski, talerze, garnki i dzbanki z wązkiemi szyjkami i wypalają je starannie, ale ponieważ nie znają sposobu polewania, a wyrób w skutek wypalenia staje się niekiedy porowatym, przeto gotują w nowych naczyniach przez kilkanaście godzin papkę z mąki, która otwory zapycha. Te same naczynia wyrabiają także i z tykwy, zdobiąc je od zewnątrz prostym rysunkiem, a flaszki używane w podróży oplatają siatką z łyka. Do przechowania mąki i zboża używają koszyków plecionych z trawy. Jedynym przedmiotem zbytku, jaki wewnątrz tych chat napotykałem, były drewniane poduszki. Wyrzynają je z kawałka grubéj deski i nadają im postać litery *Z*, albo dwóch ramion podłużnych, połączonych dwoma poprzecznemi. Poduszka taka ma zazwyczaj 15 do 20 centymetrów długości, a 10 do 15 wysokości. Brzeg, na którym głowa spoczywa, jest szeroki na 3 centymetry. Wyrób takich poduszek jest bardzo trudny, bo deskę otrzymują przez ociosywanie klocka z obu stron, a wyrzezanie poduszki z deski za pomocą zwykłego noża wymaga długiéj pracy.

Kafrowie są ludem towarzyskim i, gdy nadzwyczajne okoliczności nie staną na zawadzie, łączą się w gromady mniéj albo więcéj

liczne. W Natalu, gdzie obecnie 360.000 Kafrów z rodu Zulu cieszy się pod opieką rządu angielskiego zupełnym spokojem i bezpieczeństwem, żyją w małych gromadkach z kilku zaledwie rodzin złożonych. Wioski ich, znane pod nazwą kraalów, składają się przedewszystkiém z obszernego ogrodzenia, przeznaczonego dla przechowania bydła, około którego kupią się mieszkania pojedyńczych rodzin. Każda chata otoczona jest wysoką ścianą z trawy tambuki, albo z innego szuwaru w ten sposób, że około chaty pozostaje jeszcze maleńki dziedziniec, wylepiony zazwyczaj gliną i starannie wymieciony. W jednym zakątku tego dziedzińca znajduje się ognisko ułożone z kamieni, około którego gospodyni domu większą część dnia przepędza. Obok ogniska można widziéć zazwyczaj małe poddasze, pod któróm przechowują się naczynia z wodą, dzbanki i garnki większych rozmiarów, a w porze mokréj, drzewo służące na opał. Pojedyńcze domostwa stykają się zazwyczaj ze sobą, ale bywają także pooddzielane wązkiemi uliczkami, które w większych wioskach tworzą labirynt niemiły dla oka przybysza lękliwego i nieoswojonego z tym widokiem. Cała wioska jest od zewnątrz otoczona żywym płotem z kolczatych roślin, wzmocnionym niekiedy grubemi palami, albo suchym chrustem z kolczatych akacyj. Wioski takie znajdują się zazwyczaj nad brzegiem potoków, a w sąsiedztwie ich można napotkać starannie utrzymywane ogródki.

Inaczej urządzają się w kraju Basuto, gdzie przed niedawnym jeszcze czasem srogie wrzały walki, a mieszkańcy kraala nie byli pewni wieczorem, czy wschodzące słońce na tém samém zastanie ich miejscu. Ciągła obawa przed napadem przymuszała ich do łączenia się w większe gromady i szukania pozycyj obronnych. Prawie wszystkie wioski znajdują się tutaj w miejscach nieprzystępnych, pod zasłoną skał niekiedy tak zakryte, że trudno domyśléć się ich istnienia. Są one w ogóle znacznie większe, liczba chat dochodzi niekiedy do 200. Wewnętrzne urządzenie wioski jest zupełnie takie samo jak u Zulu, ale od wewnątrz są one zazwyczaj otoczone wałem kamiennym, uzbrojonym jeszcze pękami kolczatych gałęzi, a wejście do wioski bywa starannie zamykaném poprzecznemi drągami, podpieranemi kamieniami.

Ludy mieszkające w głębi kraju i należące do rodu Beczuana otaczają wioski swoje palisadami, a wejście do nich zamykają bramą z drągów, po nad którą wisi zazwyczaj talizman w postaci wielkiego pająka, albo jakiego innego owadu. Naprzeciwko wejścia znajduje się zazwyczaj mieszkanie naczelnika a obok zasieku dla bydła miejsce wolne, nakryte niekiedy dachem, przeznaczone na zebrania, narady i uroczystości; Kafrowie Makololo nazywają to miejsce Kotla.

Kafrowie są w zasadzie ludami rolniczemi; pożywienie ich składa się głównie z utworów świata roślinnego, a w mniejszéj części z mleka lub mięsa. Twierdzenie niektórych podróżników jakoby byli ludami koczowniczemi jest bezzasadném. Znajdują się co prawda w południowéj Afryce, na granicach pustyni Kalihari ludy kaferskie, nie uprawiające ziemi i przenoszące się z trzodami z miejsca na miejsce, lecz zjawisko to jest wyjątkowém i zdarza się tylko tam, gdzie ziemia pod uprawę zupełnie się nie nadaje. Główną rośliną uprawianą przez Kafrów jest durra, nazywana także kaferskiém zbożem (Sorghum vulgare), zbliżona najwięcéj do naszego prosa i nadzwyczaj plenna, bo wydaje 200 do 400 ziarn za jedno; od Europejczyków przyswoili sobie kukurydzę, któréj uprawa stała się ogólną. Oprócz tego sadzą fasolę, tykwy i melony, a z korzeni jadalnych słodkie kartofle (Convolvulus Batatas), tarro (Arum esculentum) i orzeszki ziemne (Arachis hypogea). Drzew nie sadzą wcale. Na uprawie znają się doskonale i wiedzą dobrze, czego ktora roślina wymaga. Uprawą roli zajmują się wyłącznie kobiéty; kopią one ziemię za pomocą kopaczek własnego wyrobu, które postacią zbliżają się do naszych, ale, zamiast otworu do zatknięcia drążka, są wydłużone w ostry kolec, który wbija się w grubszy koniec pałkowatego drążka. Zebrane plony przechowują w dwojaki sposób: w Natalu plotą z trawy tambuki, wielkie kosze postaci kulistéj z małym otworem, sypią w nie ziarno, zapychają otwór wiechciem i przechowują w chatach. W głębi kraju robią w tym celu w ilastéj ziemi głębokie, od góry zwężone otwory, wypalają je bardzo starannie wewnątrz, napełniają ziarnem, przykrywają płaskim kamieniem i przysypują ziemią, zacierając starannie ślad roboty. Jeżeli dół został dobrze wypalonym i zboże jest zabezpieczoném od przypływu wilgoci, to przechowuje się przez kilka lat, i gdy nieprzyjaciel zniszczy plony, zapasy takie ratują byt całéj wioski.

U Kafrów nie ma własności ziemi; jest ona wspólną własnością całéj wioski: każden jéj mieszkaniec może siać tam, gdzie zechce i przenosić się z miejsca na miejsce według upodobania, byle nie naruszył kawałka zajmowanego przez swego sąsiada. Jedyną ich własnością jest bydło rogate. Znajdują się oni od niepamiętnych czasów w posiadaniu wołów, kóz i owiec, a rasy tych zwierząt odpowiadają najwięcéj rasom hodowanym w północnéj Afryce, zkąd hodowla bydła prawdopodobnie po całéj Afryce się rozeszła.

Są okolice gdzie hodowla bydła natrafiła na szczególną przeszkodę; po niskich i wilgotnych miejscowościach wzdłuż rzek Limpopo i Zambezi żyje mucha, nazywana „cece,“ któréj ukąszenie jest dla bydła rogatego zabójczém. Postacią i rozmiarami odpowiada

ona w zupełności naszéj musze domowéj a różni się od niéj jedynie długim kolcem u pyszczka, za pomocą którego zapuszcza jad. Jest ona przedewszystkiém niebezpieczną dla wołów i koni. Ukąszone bydlę, żyje jeszcze przez cztéry do sześciu tygodni, ale słabnie powoli, chudnie i niknie widocznie, a po śmierci znajdują się pod skórą ciemne plamy, prawdopodobnie w miejscach gdzie jad został zapuszczonym.

Opieka nad bydłem jest wyłącznym udziałem mężczyzn; oni je pędzą na paszę, strzegą i doją, a kobiétom nie wolno nawet zbliżać się do zasieku, gdzie się bydło znajduje. Fleming twierdzi, że u Kafrów południowych, gdzie kobiéta potrzebuje wejść do zasieku, musi przyprowadzić ze sobą małżonka, albo starszego brata, który przy wejściu do zasieku kładzie na ziemi assagaję ostrzem zwróconą do wewnątrz i po téj kobiéta przechodzi. Krowy tutejsze dają w ogóle mało mleka; przeznaczają je prawie wyłącznie dla dzieci i tylko gdy pasza jest bujniejszą używają go wszyscy. Wydojone mleko wlewają w skórzane worki i zawieszają w cieniu, ażeby skisło, gdyż słodkiego nie używają wcale; wyrabiają i masło, ale nie jedzą go; służy ono do smarowania włosów i ciała. Każden wół dostaje nazwę, jednakowoż zdaje się, że zwyczaj ten został przejęty od boerów; koloniści nadają wołom zaprzęgowym imiona, bo to ułatwia utrzymanie porządku przy zakładaniu zwierząt w jarzmo. Zwyczajne imiona u nich są: Niemiec, Francuz, Holender, Kafer, Buszman, a najupartsze i najleniwsze bydlę otrzymuje zawsze nazwę Anglika i przy każdéj sposobności podwójną chłostę; nazwisko zwierzęcia uwalnia boera w zupełności od wyrzutów sumienia. U Beczuanów używają pastérze małéj piszczałki, do któréj głosu zwierzęta tak się przyzwyczajają, że dają się nią najzupełniéj powodować, a uprowadzone przez nieprzyjaciół wyrywają się na jéj odgłos i powracają do swych prawych właścicieli. W krajach Pondo i Basuto używają także wołów do jazdy pod wierzch, w ten sam sposób jak Hottentoci, i trudno orzec, któremu ludowi należy się zasługa pierwszeństwa w zaprowadzeniu tego zwyczaju.

Płody ziemi i mleko są w zasadzie wyłączném pożywieniem Kafrów; mięsa używają bardzo rzadko, a woły biją tylko przy wielkich uroczystościach, albo na ofiary. Zboże rozcierają na mąkę za pomocą dwóch kamieni, z których jeden płaski spoczywa na ziemi, a drugi kulisty bywa poruszany za pomocą rąk; przez ciągle tarcie powstaje w płaskim kamieniu zagłębienie, czasem dość znaczne. Praca ta nie jest bardzo nużącą, ale zabiéra wiele czasu; jeżeli rodzina jest liczną, zazwyczaj całe przedpołudnie schodzi jéj na tarciu mąki. Mąkę sypią na wrzącą wodę i robią z niéj gęstą papkę, podobną do na-

szych prażuchów; jest ona bardzo pożywną; spożywają ją trzy razy na dzień, ile możności z dodatkiem kwaśnego mleka.

Niedorzecznėm jest twierdzenie jakoby jadali surowe mięso; jedzą je prawie wyłącznie opieczone na węglach. Nierogaciznę, ryby, ptaki, jaja i mięso zwierząt drapieżnych uważają za nieczyste i nie tykają ich, nawet przyciśnięci głodem. Ale dzieciom wolno jeść wszystko; łapią nawet myszy, pieką na ogniu i ze smakiem spożywają. Pod względem porządku stoją bodaj czy nie wyżéj od naszego polskiego wieśniaka; jedzą co prawda rękami, ale przed i po jedzeniu myją sobie ręce, a po skończonéj biesiadzie płóczą usta.

Szarańcza, chrabąszcze i ich poczwarki bywają uważane za łakocie i dostają się zazwyczaj dzieciom. Uczty bywają niekiedy urozmaicone dziczyzną. W Natalu używają do polowania tylko assagai i polują zazwyczaj w ten sposób, że gromada ludzi napędza zwierzynę a inni czekają na stanowisku. Rzucają assagaję, ująwszy ją wzniesioną ręką pod punktem ciężkości, a uderzenie zazwyczaj bywa silne i niebezpieczne. W czasie pobytu mojego w Natalu zdarzył się przypadek, że assagaja chybiwszy kozła trafiła w pierś stojącego obok młodego Kafra, który w godzinę potém żyć przestał. Kafrowie z rodu Makalaka napędzają zwierzynę w sieci własnego wyrobu, długie niekiedy na kilka kilometrów, i dobijają uwikłanego kozła assagają. W głębi Afryki używają także łuków i strzał, są one znacznie większe od buszmańskich, ale niezatrute.

Ze zboża wyrabiają pewien rodzaj kwaśnego piwa, które posiada smak przyjemny i zlekka odurza. W cukrowniach natalskich zakupują także najgorszy rodzaj melasu, z którego przez fermentacyą otrzymują pewien rodzaj wódki o niemiłym smaku i zapachu. Pomimo tego pijaństwo prawie całkiem pomiędzy nimi nie istnieje: nie kupują nigdy wódki od handlarzy europejskich, a w ciągu całego mego pobytu w Natalu nie spotkałem ani jednego Kafra pijanego.

Zwyczaj palenia liści konopnych jest rozpowszechnionym na całym obszarze środkowéj i południowéj Afryki. Hodują w tym celu ziele w ogródkach swoich i nazywają je dacha. Fajka, służąca do palenia dachy, składa się z rogu krowiego wypełnionego wodą, w któréj zanurzają trzcinkę, opatrzoną na końcu kamienną fajeczką. Zapaliwszy ziele przykrywają ręką róg, pozostawiając pomiędzy palcami maleńki otworek, do którego przykładają wargi dla wciągania dymu. Dym wciągają zazwyczaj głęboko w płuca, potém biorą w usta trochę wody i wodę z dymem wypuszczają powoli przez długą trzcinkę. Po każdém prawie zaciągnięciu krztuszą się okropnie, przyczém oczy łzami im zachodzą. Odurzeni dymem wpadają w pewien rodzaj ekstazy; zwróciwszy oczy w step, deklamują donośnym i śpiewającym

głosem przez kilkanaście minut. Palą zazwyczaj w towarzystwie; fajka przechodzi z rąk do rąk, a widok gromady czarnych zatopionych w przyjemności krztuszenia się i deklamowania jest bardzo oryginalnym. Kafer posiadający nieco ziela radzi sobie w braku fajki bardzo dowcipnie. Wykopuje w ziemi podłużny dołek, nalewa weń nieco wody i zarabia ziemię na twarde ciasto; potém wtyka w ten dołek wskazujący palec a do końca jego przykłada w kierunku ukośnie horyzontalnym długi patyczek; uklepawszy ziemię na twardo, wyjmuje palec i wyciąga patyczek, a powstałe w ten sposób otwory przedstawiają postać fajki. Większy otwór napełnia liśćmi i zapala takowe, a do końca cieńszego przykłada usta i ciągnie dym.

Zwyczaj palenia tytuniu przejęli od Europejczyków i bardzo polubili. Palą zazwyczaj z fajeczek kamiennych własnego wyrobu. Zażywanie tabaki jest również u nich rozpowszechnioném; przyjemność tę przenoszą nawet nad samo palenie. Tabakierka z trzciny, rogu, blachy, krwi zwierzęcéj, albo maleńkiéj tykwy, bywa uważaną za najpiękniejszą ozdobę Kafra i towarzyszy mu nieustannie, chociażby przez rok cały szczypta tabaki w niéj nie postała. Jeżeli w gronie znajdzie się szczęśliwy posiadacz drogocennego proszku, całe towarzystwo usiada na ziemi, tabakierka przechodzi z rąk do rąk, każden uczestnik wysypuje na dłoń odrobinę tabaki, umieszcza ją starannie za pomocą końców swych palców w nozdrzach, poczém całe grono oddaje się rozkoszy kichania. Śmieją się przytém do rozpuku i zalewają łzami. Do tabakierki jest przymocowana zazwyczaj łyżeczka blaszana i pędzelek; gdy narkotyk przestanie działać, oba te przyrządy przechodzą z rąk do rąk i służą do usunięcia pozostałości tamujących swobodę oddechu.

Gdy Kafer nie jest głodnym, posiada w woreczku odrobinę dachy albo tytuniu i ma towarzystwo, to jest najszczęśliwszą istotą na ziemi. Ich życie w kraalach przedstawia obraz szczęścia i swobody, jakiego napróżno szukalibyśmy pomiędzy ludami ucywilizowanemi, a zwiedzanie kraalów należy do najmilszych rozrywek podróżnika. W Natalu kraale są zazwyczaj położone bardzo malowniczo w dolinach, albo pod zasłoną pagórków, prawie zawsze w bliskości potoku, gdzie zagłębienia pomiędzy górami są wypełnione żywo zielonym zarostem akacyi, po nad który wznoszą się wysmukłe wierzchołki dzikiéj palmy, albo olbrzymie liście Strelicyi. Po stokach gór okrytych najbujniejszą trawą pasie się bydło należące do kraala; woły zazwyczaj samopas, krowy pod opieką starszych mężczyzn, a kozy i owce pod opieką niedorostków. Jeżeli jest godzina południowa, to nad potokiem spotyka podróżnik zazwyczaj gromadę dziewcząt czerpiących wodę, zajętych ożywioną i wesołą rozmową; ujrzawszy cudzo-

ziemca stawiają naczynia na ziemi, przyglądają mu się w milczeniu i odpowiadają nieśmiało na pozdrowienie. Z niedalekiego kraala słychać głosy ludzi krztuszących się dymem dachy; odgłos ten jest zbyt miłym dla ucha przewodników i dla tego, nie pytając o pozwolenie, pędzą co tchu starczy do kraala, pozostawiając podróżnika nad potokiem. Zanim zdąży za nimi, już czeka przed kraalem na przyjęcie jego kilku mężczyzn, witają go uprzejmém „saku-bona, saku-bona", wyciągają rękę do uścisku, wprowadzają do kraala i zatrzymują przy wspólném ognisku, gdzie leżą porzucane fajki i liście. Około starszych kupi się zaraz gromadka dzieci; wesołe, uśmiechnięte, zdrowe i grzeczne stworzeńka przyglądają się przybyszowi z ciekawością, ale bez obawy. Ciekawość jest wrodzonym Kafrów przymiotem; wypytują się natychmiast przewodników o przybysza, co za jeden, zkąd idzie, dokąd dąży i w jakim celu; przyglądają mu się z zajęciem, proszą o pozwolenie obejrzenia broni lub parasola, mówią mu grzeczności i przyjmują takowe z zadowoleniem, proszą, ażeby usiadł i odpoczął, podają ogień do fajki i zabiérają się na nowo do palenia dachy.

Dziewczęta z nad potoku wracają z pośpiechem, stawiają naczynia na ziemi, otaczają przybysza półkołem, przyglądają mu się z uśmiechem i milczenie przerywają od czasu do czasu krótkiemi uwagami. Uwagi muszą być dowcipne lub złośliwe, bo wywołują głośny śmiech w towarzystwie; nie zważa na nie podróżnik, bo nie przypuszcza, ażeby o nim źle mówiono i nadrabia miną ile może. Nadchodzi druga daleko gwarniejsza partya, są to starsze kobiéty powracające od roli; prawie każda z nich niesie na plecach niemowlę a na ramionach kopaczkę, rozmawiają głośno i śmieją się; spostrzegłszy cudzoziemca, przyglądają mu się przez chwilę z ciekawością, wypytują o powód jego przybycia i oddalają się spiesznie, każda do swojéj chaty, do zajęć gospodarskich.

Ukazuje się nakoniec trzecia i ostatnia partya w postaci bydła z pasterzami. Mężczyzni zapędzają krowy i kozy do kraala, przywiązują każdą do drąga i doją. Na ukończenie téj czynności oczekuje z największą niecierpliwością gromada drobnych bębnów obojga płci; zaledwie mężczyzni dojący powstaną z miejsc swoich, drobiazg ten rzuca się na wymiona krów, chwyta je w usta, odpędzając kułakami cielęta, które z równą niecierpliwością na tę chwilę oczekiwały, silném uderzeniem głowy upominają się o prawa swoje i zazwyczaj zwycięzko z walki wychodzą.

Nadeszła chwila obiadu; rozchodzą się wszyscy do chat swoich, a naczelnik wioski zaprasza przybysza do swego stołu. Cała rodzina siada na ziemi, gospodarz obdziela wszystkich, podając najpiérw

gościowi w miseczce z tykwy sporą porcyą papki z mąki kukurużanéj a w drugiém naczyniu kwaśne mleko, jedzą wszyscy palcami, ale gościowi podają kopystkę drewnianą. Na dokończeniu biesiady ukazuje się naczynie pełne piwa, a zapach jego zwabia najbliższych sąsiadów. Wesołość po obiedzie jeszcze większa, jak była przed godziną, ale niezadługo kobiéty oddalają się do ogrodów, pastérze z trzodami na pola, a podróżnemu także czas w drogę. Obdarza gościnnego naczelnika małym podarkiem, np. nożem kieszonkowym, albo krzesiwem, jego żonę albo córkę uszczęśliwia tombakowym pierścionkiem, albo inném jakiém świecidełkiem i zabiéra się do odejścia. Wyprowadzają go wszyscy przed kraal, proszą ażeby w powrocie odwiedził ich i żegnają uprzejmie: „Saleni-kale“ i „Hamba-kale“ brzmią wzajemne słowa pożegnania. Podróżnik opuszcza kraal z błogiém zadowolnieniem i cieszy się szczęściem tego ludu. A jednakowoż szczęście to jest tylko pozorném, a częstokroć nietrwałém, bo ci ludzie na pozór tak swobodni upadają pod ciężarem najniedorzeczniejszych przesądów i zabobonów. a w głębi kraju ciągłe ze sobą toczą walki i w najszczęśliwszéj chwili nie są pewni, czy za najbliższym pagórkiem nie czycha na nich wróg ukryty. Uderza on zazwyczaj znienacka w nocy, morduje mężczyzn, uprowadza w niewolę kobiéty i dzieci, zapala chaty i nie raz wschodzące słońce oświeca jaskrawém swém światłem dymiące zgliszcza i wybladłe zwłoki ludzkie tam, gdzie przed kilku godzinami cieszyło się wszystko szczęściem i swobodą!

Przemysł jest w ogóle dość słabo pomiędzy Kaframi rozwinięty, ale stoi zawsze wyżéj niż u Buszmanów i Hottentotów. Znają oni od niepamiętnych czasów wyrób żelaza; piece, służące do topienia rudy, są na cztery stopy wysokie i mają trzy pionowe otwory, wypełniane rudą i węglem drewnianym; zapalony ogień podtrzymuje się miechem. Żelazo gromadzi się na spodzie pieca, w małém zagłębieniu. Miechy są zrobione ze skóry wołowéj, a otwór każdego obsadzony rogiem wołowym. Do kucia żelaza używają młotków kamiennych, albo żelaznych; wyrabiają kopaczki, siekiery, noże i assagaje, lecz ciągną także żelazo w drut, którego używają do wyrabiania ozdób. W ten sam sposób obrabiają i miedź. O wyrobie naczyń glinianych i koszyków wspomnieliśmy już powyżéj; umieją także wyprawiać doskonale skóry zwierzęce, a ich karosy są tak starannie i ozdobnie wyrabiane, że mogłyby służyć za wzór kuśnierzom europejskim.

Kafrowie żyją w polygamii, a kobiéty kupują. Cena ich jest dość wysoka od trzech do trzydziestu wołów. Zazwyczaj rodzice oznaczają cenę, niekiedy tylko naczelnik wioski w porozumieniu z przyboczną swoją radą, a od wyroku takiego nie ma apelacyi.

Biorą zazwyczaj żony ze sąsiednich kraalów; związki w pokrewieństwie są zabronione, a kazirodztwo śmiercią bywa karane. Zapłata za kobiétę staje się własnością jéj ojca, a matka wydająca córkę zamąż jest zazwyczaj, przynajmniéj pozornie, zrozpaczona jéj utratą i zalewa się łzami. Małżeństwo bywa obchodzone biesiadą połączoną z tańcami, trwającą przez kilka dni u rodziców narzeczonéj, a nieco krócéj w mieszkaniu małżonka. Liczba żon nie jest oznaczoną; ponieważ stanowią one bogactwo Kafrów, przeto każden z nich stara się posiadać ich jak najwięcéj; znałem jednego czarnego naczelnika na Inandzie w Natalu, który miał ich dwadzieścia pięć. Żony są uważane za niewolnice, a w skutek tego narażone w ogóle na dość surowe obchodzenie się ze strony mężów. Każda z nich posiada osobną chatę, dla swego i swéj rodziny użytku. Zajmowanie się gospodarstwem domowém jest wyłącznym ich udziałem; one uprawiają ogrody, mielą ziarno, gotują pożywienie, wychowują dzieci i pilnują porządku około chaty. Mężczyzni zajmują się wyłącznie swém bydłem. Złamanie wiary małżeńskiéj ze strony kobiét bywa uważane za wielką zbrodnię i podlega niekiedy karze śmierci. Żona powinna unikać braci swojego męża, nie wolno jéj z nimi rozmawiać, a nawet nie wolno jéj wymawiać ich imion. Ponieważ żona jest prywatną własnością mężczyzny, przeto ten może odsunąć ją od siebie kiedy zechce, w skutek czego wzajemne zamienianie, albo odstępowanie żon, tytułem darowizny lub kupna, często się zdarza.

Gdy jedno z małżonków umrze pozostałe odbywa żałobę, która trwa u mężczyzny krócéj, a u kobiét dłużéj i polega na unikaniu towarzystwa i powstrzymaniu się od pokarmów mięsnych. Najstarszy syn jest spadkobiercą całego mienia ojca swojego i wszystkich żon jego; z wyjątkiem swéj własnéj matki, która ma prawo wyjść powtórnie za mąż. Jeżeli zmarły nie zostawi potomstwa, wówczas spadkobiercą jego staje się najstarszy brat i przyjmuje zarazem jego żony za swoje.

Jeżeli stanowisko kobiét u Kafrów jest pod wieloma względami upośledzoném, to za to stosunek rodziców do dzieci mógłby posłużyć za wzór najwyżéj ucywilizowanym narodom. Rodzice kochają dzieci i odbierają od nich dowody najżywszego przywiązania, a stosunek ten istnieje pomiędzy wszystkimi czarnymi w Afryce południowéj i środkowéj aż po granicę Sahary. W kraju Damaza Kafrowie Herero przysięgają (według Andersona) na łzy swych matek; Mungo Park słyszał z ust murzyna słowa „bij mnie, jeżeli chcesz, ale nie znieważaj mojéj matki“, a za najwyższą pochwałę oddaną dziecku jest uważaném, gdy matka może powiedzieć „Syn mój nigdy nie skłamał“. Jest jednakowoż jedna okoliczność, która zaciemnia te świetne obja-

wy rodzinnych stosunków u Kafrów, a tą jest dzieciobójstwo. Zabijają dziecię, gdy się urodzi ułomne, albo gdy wcześnie ulegnie kalectwu, a nawet gdy sobie zęby wybije. Gdy się urodzą bliźnięta, jedno z nich zawsze pada ofiarą zabobonu. Upewniano mnie jednakowoż, że zabójstwo odbywa się nigdy jawnie, lecz zawsze cichaczem, częstokroć bez wiedzy matki.

Kafrowie nie mają imion rodzinnych, lecz tylko osobiste. W Natalu otrzymuje dziecko imię natychmiast po urodzeniu, ale chłopcy, doszedłszy do wieku dojrzałego, zmieniają je zazwyczaj na inne, wyrażające jakąś szczególną ich zaletę, albo przypominające szczególny przypadek w ich życiu. Trzymają się tego zwyczaju i względem obcych: nie nazywają ich nigdy rzeczywistem imieniem, lecz nadają im jakieś inne, często bardzo charakterystyczne. Autora téj pracy nazywali w Natalu „Mechlomane“ tj. czterooki z powodu ciemnych okularów, jakich używał w podróży. U Makalaka nadanie imienia dziecku jest połączoném z osobnym obchodem; chwytają w sąsiedniéj chacie, stosownie do płci dziecka, mężczyznę, albo kobiétę, sprowadzają do siebie, sadzają przed chatą, nakrywają skórami dzikich zwierząt i wyobrażają sobie, że zakryta osoba jest upiorem (tak zwanym „mocimo“) jednego z krewnych dziecka, noszącym imię, które chcą mu nadać. Następnie przynoszą naczynie z wodą w którym mocimo myje sobie ręce, a potém spożywa troszkę papki i piwa, podczas gdy obecne kobiéty i dziewczęta tańczą wkoło mniemanego upiora, a wszyscy obecni rzucają do wody drobiazgi, przeznaczone na podarki dla dziecięcia. Mocimo zostaje uwolniony, a dziecię otrzymuje jego imię. U Zulów i Beczuanów matka nosi zazwyczaj imię najstarszego syna, gdy ten dorośnie. Mówiąc o niéj wyrażają się zazwyczaj „matka takiego, albo takiego.“

Chłopcy zostają przeważnie pod wpływem ojca, a dziewczęta pod wpływem matki. Pierwsi towarzyszą starszym przy paszeniu bydła, przepędzają wiekszą część dnia pod gołém niebem i ćwiczą się w rozwoju siły fizycznéj i zręczności. Dziewczęta pomagają matce przy gospodarstwie, przynoszą wodę, trą zboże na mąkę a niekiedy pracują w polu. Gdy młodzi dojdą do dojrzałości, ulegają pewnemu obrządkowi, którego przebieg i znaczenie bywa trzymane przez Kafrów w wielkiéj tajemnicy, a który u chłopców kończy się obrzezaniem. Zwyczaj ten przechowuje się u wszystkich ludów murzyńskich, ale u Kafrów Zulu wychodzi z użytku, a nawet bywa źle widziany. Fleming podaje następujące szczegóły o tym przedmiocie. Podlegają obrządkowi temu chłopcy w czternastym, a dziewczęta w dwunastym roku życia. Sprowadzają ich najprzód do kraala, gdzie namazują im całe ciało mieszaniną z gliny, krwi i wody, poczém

dzieci tańczą, dopóki farba nie zaschnie, co gdy nastąpi smarują ich powtórnie i tak po kilka razy. Potém ubierają ich w suknie plecione z sitowia, pomalowane na biało. Suknia taka składa się z kilku kawałków: jeden sięgający od pasa do kolan, jeden od szyi po łokcie i inne na rękach i nogach od łokci i kolan. Na głowy kładą im takie same czepki, wysokie na dwie stopy. W tym stroju opatrzeni długiemi laskami chodzą przez dwa tygodnie, bo uroczystość trwa od pełni do pełni. Gdy druga pełnia nadejdzie sprowadzają znowu dzieci do kraala, rozbiérają je i przedstawiają naczelnikowi, który ciała ich smaruje tłuszczem a wręczywszy każdemu chłopcu karos i kilka assagai ogłasza go za dojrzałego. Następuje ogólna biesiada, w czasie któréj chłopcy i dziewczęta dowiadują się o obowiązkach i przywilejach swoich. Przesadném jest twierdzenie Fleminga, jakoby uroczystość ta zaszczepiała w młodzieży zepsucie, bo cnota u dzieci bywa ściśle przestrzeganą. U Kafrów Zulu, gdy dziewczyna utraci niewinność swoję nie idzie nigdy więcéj za mąż, a uwodziciel podlega karze. Nie wolno mu pojąć również uwiedzionéj dziewczyny w małżeństwo. Ale u Basutów obyczaje są wolniejsze a korrupcya rozpoczyna się już w młodym wieku.

O pogrzebach u Kafrów mało mamy wiadomości. Mauch, który żył przez dziewięć miesięcy pomiędzy Makalakami, opowiada, że zwłoki myją, nacierają tłuszczem, ręce i nogi naciągają zupełnie tak jak u Hottentotów, oczy zamykają i, nakrywszy ciało kawałkiem płótna, albo materyi bawełnianéj, chowają w jaskini, kładąc na prawym boku, poczém otwór zamykają murem z kamieni i cementu. Zwyczaj niszczenia jednego z bliźniąt istnieje i u nich; wybierają ofiarę, losując za pomocą proroczych kołeczków i wynoszą w naczyniu glinianém w pole, gdzie wkrótce staje się pastwą hyeny.

Forma rządu, jaka się z czasem wyrobiła i ustaliła pomiędzy Kaframi, jest czystą patryarchalną. Każda wioska ma swego naczelnika, nazwanego u Zulu Inkozi; godność tę piastuje zazwyczaj najstarszy członek najzamożniejszéj rodziny: przechodzi ona z ojca na syna. Naczelnik taki załatwia wszystkie sprawy w wiosce, rozstrzyga spory, wyznacza kary za zbrodnie, które są w ogóle bardzo surowe, ale nie może skazać nikogo na karę śmierci. Nie odbiera on żadnéj stałéj nagrody za pełnienie swych obowiązków, ale dobrowolne datki, składane przez wszystkich z wioski, przynoszą mu znaczny dochód.

Na czele narodu stoi król dziedziczny, którego nazywają Ukumkani. Ma on przyboczną radę, złożoną zazwyczaj z dwunastu naczelników, których sam powołuje. Rada ta nazywa się Amapakati. Oprócz niéj ma król przybocznego doradcę, nazwanego Lekona,

który go ani na krok nie odstępuje. Gdzie ludność jest liczniejsza, tam Ukumkani wyznacza kilku większych naczelników, niby gubernatorów, nazywanych Inkozi—inkulu. Kafrowie są do osoby panującego nadzwyczaj przywiązani. Mieszkańcy odleglejszych kraalów, przybywający do niego na sprawę, obsypują go całym szeregiem wyszukanych tytułów i nazywają go np. słoniem, lwem, tygrysem, wielkim pawianem, cielęciem krowy, która bodzie wszystkie inne itd. i powtarzają ciągle wyraz „bajetti", oznaczający, że są najwierniejszymi jego poddanymi. Ukumkani sądzi z pomocą swojéj rady wszystkie ważniejsze zajścia pomiędzy poddanymi, i tylko on jeden może wydać wyrok śmierci. W sprawach obchodzących cały kraj odwołuje on się do całego narodu i zwołuje wielki meeting, zwany pico, na którym każdy poddany może zabrać głos i mówić według upodobania.

Szczególnym rysem w charakterze Kafrów jest wysokie poczucie sprawiedliwości. Wszystkie ważniejsze sprawy bywają rozbiérane z nadzwyczajną starannością, a osądzony poddaje się zazwyczaj wyrokowi bez szemrania. Jeżeli sprawa jest wątpliwą, naczelnik wioski odwołuje się do zdania swoich kolegów, naczelników innych wiosek, wzywa nieraz na radę osoby prywatne, znane z doświadczenia i rozumu. Obwiniony zabiéra głos w swojéj obronie ile razy zechce, nie ma on adwokata, ale każden z obecnych może mówić za, albo przeciw niemu. Na rozprawach takich przedmiot bywa zazwyczaj wszechstronnie wyczerpanym, a sędziowie składają dowody wielkiéj bystrości umysłu. Fleming opowiada następujący przypadek, który wydarzył się w rodzie Kreli. Sześciu Kafrów zostało oskarżonych przed sądem o zabicie i cząstkowe spożycie wołu, należącego do kogo innego. Oskarżeni twierdzili, że są niewinni, utrzymując, że ten wół został zabity przez innego wołu, a oni tylko część nieżywego bydlęcia spożyli. Rada zwołana przez naczelnika udała się na miejsce, gdzie znajdowały się resztki zwierzęcia, tutaj najstarszy z obwinionych zabrał głos i starał się udowodnić, iż nawet z długości rany widać, że ona nie została zadaną przez człowieka. Wysłuchano go cierpliwie, ale gdy skończył, jeden z sędziów, najstarszy i najdoświadczeńszy, obejrzał uważnie ranę i badał obwinionego w następujący sposób:

Sędzia. Zkąd wyrósł ogon wołu, który pobódł.

Obwiniony. Z jego tułowu.

S. W którym kierunku wyrósł: w górę, na dół, czy na bok?

Ob. Na dół.

S. Zkąd wyrosły jego rogi?

Ob. Z głowy.

S. W jakim kierunku wyrosły: na dół, w górę, czy na boki?

Ob. W górę.

S. Ażeby tedy pobóść drugiego, czy nie musiałby spuścić głowy na dół, a potém podnieść ją w górę.

Ob. Tak jest.

S. Czy nie mógł uderzyć rogami z góry na dół?

Ob. Nie.

S. Teraz przypatrz się ranie i powiedz, czy pierwsze uderzenie zostało zadane od góry, czy od dołu?

Ob. Wyznaję, że nie jestem w stanie rozpoznać.

Obecni sędziowie sprawdzają, że rana jest szerszą od dołu. Rana została zadaną uderzeniem z góry na dół, a zatém przez ludzi, a nie z dołu w górę, jak to woły robią. Sąd skazuje każdego z obwinionych na zapłacenie kary dwóch krów. Wyrok zostaje przyjęty z oklaskiem, a obwinieni mu się poddają.

(dok. nast.)

Dr. A. Rehman.

KRZYŻ NAD OTCHŁANIĄ,

STUDYUM KOBIÉCE

przez

Deotymę.

(Dokończenie.)

LIST LIV.

Teresa do Anieli.

Z chaty góralskiéj — 30 Lipca.

Droga Anielo! Nie mam jeszcze odpowiedzi na mój ostatni ogromny list, a raczéj na moje notaty. Prawda, że nie zaraz potrafiłam je wysłać. Powtórnie jednak biorę pióro, gdyż mam sobie za święty obowiązek uwiadomić moję Anielę, że za tydzień stanę przed ołtarzem.

Już dwie zapowiedzi wyszły. Ślub odbędzie się w maleńkim kościółku wioski zwanéj Maniowa; leży ona niedaleko ztąd, w dolinie Nowotarskiéj, wśród cudownych widoków. Kościół panuje nad nią na górze. Jeździłam tam przeszłéj niedzieli; kiedy po nabożeństwie lud wysypał się na ścieżki, stromo zbiegające do głębi doliny, nie mogłam się napatrzéć malowniczości obrazu.

Ale za tydzień, tłumu tam nie będzie. Obrzęd ma się odbyć jak najciszéj, raniutko, prawie bez świadków.

Tobie jednéj pod słońcem donoszę o nim. Kogóż innego na świecie mój los obchodzi? A choćby i obchodził, nie mogłabym się dzielić tą wieścią; mój narzeczony prosił mię, abym nikogo nie uwiadamiała o naszym związku, mówiąc, że oboje wolni, pełnoletni i pozbawieni rodziny nie potrzebujemy nikomu się opowiadać. Zapomniał o prawach przyjaźni.

Prośba jego, a raczéj rozkaz (bo wszystkie jego prośby robią na mnie wrażenie rozkazu), w piérwszéj chwili, zbiła mię z toru; dotąd nie śmiałam wyznać mu, że oprócz niego jest na świecie jeszcze jedna dusza, któréj wszystko powierzam.

Zdaje mi się jednak, że zatajenie takie nie może zwać się fałszem? Przy pierwszéj sposobności będę szczerszą, ale zaczynam już widziéć jaką miałaś słuszność, twierdząc, że kobieta zamężna przestaje być nieograniczoną panią swojéj myśli.

Na tę zupełną z nim szczerość, którą zawsze sobie obiecuję, nie wiem czy tak prędko się odważę. Nie uwierzysz jaka w jego obecności jestem zalękniona. Zdawało mi się, że go już znam doskonale, że trzymam nici wszystkich jego myśli, tymczasem on codzień inny. Bywają godziny, gdzie doprawdy się pytam, czy mi go nie zamieniono?

Ale zawsze zachwycający, pociągający, a nadewszystko tajemniczy. W jego charakterze jest wiele rysów, których dotąd sobie nie mogłam wytłómaczyć, w jego boleści jest jeszcze jakaś boleść, któréj dotąd nie zrozumiałam.

Wielkie dzieło mam przed sobą. Czasem pytam się czy mu podołam? Aby uciszyć tę duszę rozszlochaną, przekonać umysł tak potężny, trzeba ogromnego zasobu wiedzy, jeszcze więcéj spokoju, a tego mi zupełnie brakuje. Kiedy słucham jego wątpliwości, mieszam się,—widok-jego cierpień odejmuje mi przytomność,—drżę jak chirurg co się zabiera do pierwszych operacyj.

Nieraz myślę, że twoja dusza, cicha i świetlana, potrafiłaby daleko łatwiéj go ukoić. Ja jestem, jeżeli godzi się tak mówić, zanadto do niego podobna. To podobieństwo, które poczytuję sobie za największą chlubę, przeszkadza mi w oddziaływaniu; jakże mam wstrzymywać jego zapędy, kiedy sama zapędzam się jeszcze daléj? Jakże mogę mu przeczyć, kiedy zawsze jestem jego zdania?

To wszystko powinno mię zachęcić do pracy nad własném rozwinięciem, do zdobycia nowych władz duchowych, któreby mi powoli i nad nim jakąś władzę dały.

Tymczasem, on zupełnie nademną panuje. I błogo mi z tém dziecięcém zdaniem się na jego wolę. Znów dwa tygodnie upłynęło mi w rodzaju nieustannéj extazy; dwa tygodnie jeszcze bogatsze, jeszcze bardziéj palające niżeli przeszłoroczne. Od ich zaczęcia wydaje mi się jakbym już całe drugie życie przeżyła. I wystawić sobie, że mię czekają takie miesiące, takie lata, może dziesiątki lat! Mój Boże! Czémże ja zasłużyłam na podobną łaskę?

Dziś pierwszy raz cały dzień spędzam sama. Pojechał do Maniowy, aby zamówić wszystko, co potrzebne do obrzędu, i urządzić

chatkę, jaką mamy zamieszkać w okolicy tamtejszéj, przynajmniéj póki nas mrozy nie wypędzą. Co z sobą zrobimy potém, nie wiemy ani chcemy wiedziéć. Jabym pragnęła, abyśmy na zawsze zostali w tych górach, przenosząc się wedle pory roku z wyższych na niższe strefy. Tu nam ludzie nie przeszkadzają, a zresztą.... tu mi się tak szczęści!

Tymczasem, dość daleko od siebie mieszkamy. Ja wyniosłam się z Zakopanego, a przynajmniéj z główném gromady jego domostw, gdzie za wiele gości, gwaru i śledzących oczu. Osiadłam w najoddaleńszym domku, schowanym w najgęstszą zieleń. Włościanie u których stoję bardzo się zdają poczciwi; służą mi na wyskoki, a co najważniejsza, nie nudzą mię dopytunkami. Cała ich ciekawość odbija się zapewnie na pannie Reginie i Szczepanie, a ci, czy uwierzysz? są w najwyższém uwielbieniu dla pana Adama, w zachwyceniu nad moją przyszłością. Prości ludzie poddają się łatwo działaniu poezyi, dają się podbijać przez wszystko co tajemnicze, a moje dzieje takie podobne do baśni! Szczepan jest, ręczę, przekonany, że lada dzień zaklęty góral zrzuci gunię i ukaże się na białym rumaku, w szkarłatnym płaszczu i brylantowym dyademie. Regina mądrzejsza nie ma tak wybujałych marzeń, ale się uśmiecha i pewnie myśli, że po kilku tygodniach wiejskiéj samotności pan młody zawiezie mię do jakiego pałacu. Nie wiem co powiedzą jak zobaczą, że skończy się na chacie? Przykro mi będzie jeśli zechcą mię opuścić, bo to ostatnie węzły co mię łączą z wujowskim domem, ale nie myślę ich przytrzymywać. Jeszcze przez tydzień otoczenie jest mi potrzebne, późniéj obejdę się bez wszystkich. Biéda nauczyła mnie świętéj niezależności, a bylem się mogła oprzéć na *jego* ramieniu, pójdę w świat wesoło, choćby do antypodów.

On tymczasowo mieszka w innéj wiosce, o jakie dwie godziny drogi, bo już porzucił pustelnią. Od chwili jak mię odszukał pod szałasem, nie chciał więcéj do niéj powrócić, i nie tylko nie wrócił, ale kazał ją zburzyć. Książki mu odniesiono a domek rozebrano. Prócz krzyża na urwisku nic nie pozostało.

Już nawet przechadzki nigdy nie chce kierować w tamte strony. Mówiłam sobie: może czyni to tylko dla mnie? I kiedyś, myśląc, że dogodzę jego skrytym życzeniom, żądałam abyśmy poszli pomodlić się pod krzyżem.

Wzdrygnął się. „Nie,“ odpowiedział, „ja tam już nie mogę wytrzymać. Te same wrażenia co dawniéj były dla mnie zdrowe, teraz mię zabijają. Może to dowód, że już moja pokuta skończona?“ „Tak samo,“ dodał, „dzieje się z lekarstwami, chory je dobrze znosi dopóki mu pomagają, niech do nich nabędzie wstrętu nieprzezwyciężonego, to znak, że już nie są potrzebne.“

Jak łatwo się domyślisz, nie nalegałam; i jabym wolała zapomnieć o jego przeszłości. Nie brakuje nam zresztą pola do wycieczek. Codzień o zachodzie słońca rozchodząc się do naszych wiosek, naznaczamy sobie na dzień następny schadzkę w jakiejś nowéj dolinie, na jakiéjś górze jeszcze mi nieznanéj. Rano udaję się tam z moją nieodstępną Reginą. Z początku towarzystwo téj kobiety drażniło go niewymownie. Spytał mi się kiedyś gorzko: po co ta wieczna straż? Ta nieufność ubliżająca? Zadrżałam, bo wiem, że jego woli nie umiem się opierać, więc daléj w pokorę, w prośby, aby nie nadużywał swego wpływu, nie sprzeciwiał się moim resztkom rozsądku. Ustąpił niezwłocznie, przyznał, że mam słuszność, zupełną słuszność, ale mówił to z goryczą i płonił się jak człowiek co wielki gniew przemaga.

Regina téż nie naprzykrza nam się zbytnią ciekawością, ani zpoufaleniem. Nieraz doprawdy podziwiam jéj cierpliwość: siedzi całutki dzień z robótką, albo z różańcem, podczas kiedy my toczymy nieskończone rozmowy, lub téż chodzimy po skałach, zbierając kwiaty i zioła. Przedziwne tutejsze mleczywo i jagody stanowią główną treść naszego pożywienia.| A widzisz Anielko? Życie *jest* poematem, tylko trzeba umieć je poetyzować. W ogólności, przy silnéj woli, życie zawsze będzie takiém, jakiém je mieć zechcemy. \

Nie sądź jednak, aby nam czas upływał na samych zachwytach i czułościach. Rozmowy nasze są bardzo poważne, częściéj smutne niżeli uśmiechnięte. I tak przed kilku dniami, oboje mieliśmy prawdziwe zmartwienie, prawdziwe, choć wielu osobom...... wyda się nieprawdopodobne.

Uwiadomiłam go o zapisie wuja. Zmartwił się szczerze. Byłby wolał, jak mówi, przyjąć pod swój dach sierotę wszystkiego pozbawioną, coby jemu i tylko jemu była wszystko winną, a kiedy mu nieśmiało przekładałam, że jednak ten mająteczek przyda się na uwolnienie nas od troski o chleb powszedni, odpowiedział mi, że to naddatek niepotrzebny, bo i on posiada więcéj niżeli sądził. Ksiądz Walenty umierając zostawił mu papiér zapieczętowany, z wyraźnym nadpisem, aby go nie otwiérał chyba w razie gdyby chciał wrócić do życia światowego. Pan Adam, w przekonaniu, że ten powrót jest już nie możebny, schował list i więcéj nie myślał o nim, ale teraz go otworzył, i cóż odkrył? Że ksiądz Walenty nie rozdał wszystkiego ubogim; trzecią część oddanéj sobie fortuny powierzył jakiéjś instytucyi finansowéj znanéj z uczciwości, z zastrzeżeniem, aby na pierwsze zażądanie pana Adama, ów kapitał został mu zwróconym; gdyby się zaś nie upomniano, miał być po latach pięćdziesięciu użyty na cele dobroczynne.

Wtedy na mnie przyszła koléj się martwić. Myślałam, że przynajmniéj w materyalnym względzie będę mogła mu się przysłużyć, a tu widzę, że na nic się nie przydam, bo jego dzisiejszy majątek choć jest tylko trzecią częścią dawnego, jeszcze o wiele mój przechodzi.

Ale dajmy pokój téj trosce. Już widzę jak moja praktyczna Anielka będzie się z niéj śmiała. Poczekaj, mam ja inne jeszcze zmartwienia, które lepiéj zrozumiesz.

Oj prawdę, świętą prawdę mówiłaś: najniebezpieczniejszą rywalką jest nieboszczka. Prawie nigdy nie rozmawiamy o *tamtéj*, przecież na każdym kroku czuję wpływ jéj dziwny, jakby rękę ostudzającą, a tém groźniejszą, że niewidzialną i nigdy niepochwytną. Ona to sprawia, że między mną a nim, stoi zawsze przegroda wspomnień i szereg myśli, które nam nie są wspólne.

A jednak, jeśli go prawdziwie kochała, powinnaby błogosławić moim chęciom? Być mi niejako wdzięczną za jego pocieszenie?

Ale on nie zdaje się podzialać tych wyobrażeń. Ciągle niespokojny, jakby nie śmiał być pocieszonym.

Uważam w nim te same przemiany, które już przeszłego roku mię zasmucały. Ile razy da się porwać szczęściu, lub wybuchnie uczuciem i wylaniem, tyle razy potém niezawodnie stanie się ponury i zdrażniony. W tym roku nawet przemiany są gwałtowniejsze niż dawniéj. Wybuchy szczęścia dochodzą do uniesień o jakich nie miałam pojęcia: czułe wylania topnieją do miękkości, jakiéj niktby się po nim nie spodziewał. Ale też i powroty smutku doszły do przerażającego stopnia; czasem się zdają graniczyć z obłędem.

Po długich wahaniach, odważyłam go się zapytać, dla czego każdą złotą chwilę każe mi okupywać tak czarnemi? Dla czego, ledwie odda mi cząstkę duszy, już zdaje się jéj żałować? Czyżby jeszcze lękał się cieniów Izy?

Podniósł na mnie oczy, jakby zdziwiony moją przenikliwością, odpowiedział: „Może!“ I zmienił rozmowę (Co, mówiąc nawiasem, jest sztuką niełatwą; pan Adam w niej celuje, dzięki téj sztuce posiada wielką wyższość nademną, bo często mię zbija z tropu w chwilach najpracowiciéj przezemnie przygotowanych).

Mocno pożałowałam owych pytań. Usposobienie jego stało się odtąd równiejsze; napady żalu bywają mniéj silne, ale i uniesienia radości osłabły. Ach, cóżbym nie dała, aby się do nich wrócić, choćby je przyszło opłacać latami udręczeń! Czego się tknie ten człowiek, wszystko posuwa do stopnia nadludzkiego.

Po tych kilku nowych rysach jego wizerunku, po obrazie szczęścia na które trafiłam, szczęścia tak potężnego, że aż mię przestra-

sza, mamże ci się jeszcze kochana Anielo usprawiedliwiać z mojego wyboru? Prawda, odradzałaś mi go na wszelkie sposoby, nie przypuszczałaś jego możebności, ale przypomnij sobie..... przed laty dwoma, zaraz prawie po wyjściu z pensyi, kiedy mi doniosłaś, że rodzice cię wydają za pana Augusta, ja także byłam przeciwna twojemu zamężciu, a jednak mię nie usłuchałaś. Czułam wyraźnie z twoich listów, że idziesz do ołtarza bez świętego ognia, idziesz namówiona, dla rozsądku, czyli prościéj mówiąc, dla względów światowych. Powiedziano ci, że to wyborna *partya*, że może drugi raz podobna się nie trafi, przedstawiono, że twój przyszły ma urodę, majątek, dowcip, mir u ludzi, pomyślano za ciebie o wszystkiém, oprócz o uczuciu. Czy pamiętasz jak cię zaklinałam, abyś nie dała sobie przyszłości zawiązywać od razu, jak cię błagałam, abyś choć troszkę poczekała na tajemnicze bóstwo, co podobno każdemu raz w życiu się objawia? Biada, jeśli nam się objawi w godzinie, kiedy już mamy serce spętane obowiązkiem!

Odpisałaś mi wówczas, że rada rodziców jest dla ciebie głosem nieba. Umilkłam bez szemrania, ale teraz, moja najdroższa, i ja słucham głosu nieba, który także do mnie przemówił, i to nie od dziś, ani od roku, ale od lat całych. Niepróżno ja chciałam zostać szarytką; to był głos powołania, tylko jeszcze ciemny; dziś dopiéro zrozumiałam jaki jego odcień jest dla mnie stosowny; Bóg mi każe pielęgnować chorych, ale chorych na duszy, opatrywać rany, ale rany serdeczne. Nie jestże to najszczytniejsze przeznaczenie? Być towarzyszką najnieszczęśliwszego z ludzi, nie jestże to zostać siostrą miłosierdzia dla jednego?

Niegdyś zazdrościłam księdzu Walentemu, że mi zabrał pierwszą zasługę pocieszenia tej duszy; jak dziś widzę niewiele mi odkradł. Tyle jeszcze zostaje do zrobienia, prawie wszystko!

Istotnie, aż się dziwię jak pan Adam jest jeszcze mało uspokojony. Niby przyznaje że skończył pokutę, niby się cieszy, że otrzymał przebaczenie, a za chwilę wraca do pasowania się z przeszłością. Jakiś duch nigdy nie śpiący wyprawia w nim harce, wiecznie go wyzywa na dysputy z sumieniem.

Wczoraj znalazłam dość odwagi, aby mu to wszystko wypowiedzieć; zakończyłam słowami wuja, który jeszcze w przeszłym roku próbował go przekonać prostą uwagą, że przecież swojéj ofiary nie strącił w przepaść *umyślnie?*

Jakby tknięty gorącém żelazem porwał się i zawołał:

— „A! nie umyślnie..... To słowo dotyka właśnie najdotkliwszéj rany. Któż potrafi powiedzieć na pewno co człowiek robi umyślnie a co nieumyślnie? Najzuchwalsza ręka nie naznaczy téj ni-

kłéj, ruchoméj granicy, gdzie wolna wola się kończy a przeznaczenie się zaczyna. Bóg jeden ją widzi jasno, ale nam tkankę duszy tak misternie powiązał, że sami nie możemy trafić do ładu z jéj nitkami. Zapewne, wedle grubych praw ludzkich, nie jestem rozmyślnym zabójcą. Nie pomyślałem wtedy wyraźnie: oto wezmę i rzucę ją w przepaść. Ale wiedziałem, że przepaść jest za nią, i..... mamże wyznać? W gniewie, błysnęła mi myśl, inaczéj określona, ale równa tamtéj, myśl co się da ująć w te dwa proste słowa: bodajeś przepadła. Ta myśl tylko przeszła przez głowę, ale dobrze pamiętam, że przeszła. W téj myśli leży cała moja wina. Ach, bo ogarnęła mię wówczas taka nieprzytomność, że, gdybym nóż miał pod ręką, byłbym ją może pchnął nożem. I ludzie by mię wtedy przed sądy powołali. A teraz uchodzę za niewinnego; ale we własnych oczach jestem nie mniéj winien, jak żebym ją mieczem zamordował. Ale z drugiéj strony niejedna okoliczność mię broni. A najprzód staje pytanie: czy nasze myśli zależą od nas, i w jakim stopniu zależą? Wszak najlepszym ludziom przychodzą czasem złe myśli, a jednak nie czyni im to ujmy? Potém pytanie: dla czego przychodzą w téj a nie w innéj chwili? Gdybym się był z Izą skłócił na równéj drodze, nicby z tych wszystkich nieszczęść nie zaszło. Co najwyżéj, bylibyśmy się do jutra gniewali. Dla czego jakiś duch złośliwy zaprowadził nas na urwisko, właśnie tam rozdmuchał niezgodę i z piekielną usłużnością podsunął ziejącą otchłań? A! tu już się kończy sfera woli, a zaczyna państwo fatalności! Dla czego od urodzenia przyniosłem sobie niepohamowany temperament? Czy już w księdze wieczności było zapowiedziane, że mam walczyć, grzeszyć, żałować i całe życie mieć zwichnięte? Czy mogłem, czy nie mogłem uniknąć takiego przeznaczenia? Temi to pytaniami dręczę się od lat całych i wątpię, ażebym je przed śmiercią rozwiązał.“

Nie wiem czy mówił w tych wyrazach, ale myśli były te same. O! wpisały się ogniście w moję pamięć, bo nigdy jeszcze podobnych nie słyszałam. Przerażona, nie wiedząc czém go zbijać, czém koić, prosiłam, aby odpędzał te myśli jako pokusy złego ducha, dziwiłam się jak mogą do głowy przychodzić takie bezbożne pytania?

Uśmiechnął się i zaczął mówić długo, długo. Czy uwierzysz Anielko? Odkrył mi rzeczy dziwne, o których ani ty, ani ja nie miałyśmy pojęcia. Te okropne wątpliwości wcale nie są nowe, nie on piérwszy je znalazł; ludzie od wieków męczą się nad niemi, pisano o tém całe tomy, całe biblioteki. Ja myślałam, że uczeni, właśnie jako uczeni, wiedzą przynajmniej najważniejsze rzeczy, tymczasem oni jeszcze sobie łamią głowę nad najpierwszemi pytaniami, naprzykład co człowiek może a czego nie może? W jakim stopniu od-

powiada za swoje czyny? Czy jego zbawienie, albo potępienie zależy zupełnie od niego samego? Opowiadał mi pan Adam, że zaraz w pierwszych wiekach po Chrystusie rozprawiano bardzo wiele o tych niebezpiecznych przedmiotach; wielcy luminarze, tak świeccy jak duchowni, pisali o nich i, co najdziwniejsza, różnili się w zdaniach. Koniec końcem, nigdy nie zostały one doprowadzone do ostatecznéj pewności i stały się powodem niejednéj herezyi.

A ci Janseniści i Moliniści, o których tyle nasłuchałyśmy się w klasztorze, czy pamiętasz? Nieraz jedna drugiéj się pytała o co właściwie im chodziło, bo nam tego nigdy jasno nie tłómaczono, Otóż teraz wiem: oni także spierali się o granicę między wolą człowieka a łaską Boga. Janseniści dowodzili, że samą wolą zbawić się nie można, że koniecznie potrzebna jest pomoc łaski, a ponieważ według nich łaska zstępuje tylko na wybranych, i to nie w nagrodę zasług, ale w skutek jakichś niepojętych wyroków nieba, więc rodziliby się ludzie skazani już w kolébce na potępienie? ludzie, których Bóg mógł a nie chciał zbawić? Wszystko to są rzeczy potworne, i tylko zrozumieć nie mogę jak tyle osób zresztą uczciwych i prawdziwie pobożnych mogło bronić podobnych pojęć?

Mówił mi pan Adam, że i Luter dużo pisał o woli i łasce. Mocno mię to zdziwiło; nie sądziłam, aby taki bezbożnik wierzył w jakąkolwiek łaskę?

Co dziwniejsza, czego się moja Anielko ani domyślamy, to że i dzisiaj uczeni gorąco trudnią się temi pytaniami. Pan Adam wymieniał mi mnóstwo autorów; nie zapamiętałam ich nazwisk, ale mają być sławni a zapatrują się na przedmiot z innego stanowiska, jako lekarze, jeografowie, historycy i tym podobni badacze. Według nich, człowiek nie ma prawie żadnéj odpowiedzialności, bo jego myśli i czyny zależą od klimatu w jakim się wychował, od przyzwyczajeń odziedziczonych w dziesiątém lub setném pokoleniu, nawet od pokarmów jakie spożywa! Podług niektórych, każdy z nas ma na czaszce niejako wypisaną całą swoję przyszłość: ten musi być geniuszem, tamten musi być uczciwym, inny musi zostać zbrodniarzem. Gdzież więc zasługa, gdzież wina? Doprawdy, przy słuchaniu takich rzeczy, przewraca się w głowie. A jednak jakże przypuścić, aby w nich nie było źdźbła prawdy, kiedy najmędrsi ludzie je stwierdzają tysiącem doświadczeń i przykładów?

Jeszcze nie koniec. Pan Adam tłómaczył mi co jest nauka, nazwana statystyką. Straszliwa nauka! Z jéj pomocą można obliczyć doskonale, nieledwie co do jednostki, ile naprzykład w jakiémś mieście, przez ciąg jednego roku, popełni się morderstw, kradzieży, samobójstw. Można obliczyć nawet ile będzie śmierci przez utopienie,

ile przez powieszenie, ile od ostrych narzędzi. Więc to wszystko jest przez kogoś z góry przewidziane, ułożone, podsumowane! A jeżeli przed końcem roku liczby są nie zupełne, musi gwałtem znaléźć się ktoś jeszcze, co popełni taką a taką zbrodnię, dla zaokrąglenia rachunku.

Oburzona, wołałam, że to się sprzeciwia moralności, Opatrzności, że to być nie może. Pan Adam znów się uśmiechnął i odpowiedział: „Cóż poradzić, kiedy *tak jest?*"

Nazajutrz, dla usprawiedliwienia swoich niektórych mniemań, przyniósł mi powiastki jakiegoś pisarza amerykańskiego, Edgara Poe. Z talentem pisane, nie przeczę, ale wrażenie z nich uniosłam szkaradne. Autor daje do zrozumienia w wielu miejscach, że najcnotliwszy człowiek miewa tak niegodziwe myśli jak złoczyńca, i że gdyby odsłonić ich dusze do głębi, jedna i druga okazałyby się równie czarne. A jeżeli cnotliwy nie został zbrodniarzem, to jedynie z powodu, że mu się nie natrafiła sposobność do złego, lub że dobre przedstawiało mu więcéj korzyści. Tym sposobem nicby nie pozostawało tylko cały ród ludzki z armaty wystrzelić.

Piszę ci to wszystko, moja Anielo, abyś mi poradziła: co mam dalej robić? Zdaje mi się, że będę musiała rozpocząć drugi kurs nauk, czytać tych wszystkich filozofów i nowatorów, bo teraz dopiéro widzę, że pomimo kilkoletniego ślęczenia nad lekcyami, nic a nic prawie nie umiem. Przy pierwszym lepszym wykształconym człowieku wydałabym się maluczką, cóż dopiéro przy takim olbrzymie jak pan Adam!

A jednak, jeżeli mam go przekonywać, nawracać na zupełną wiarę, muszę z nim walczyć równą bronią, muszę sobie przyswoić ten arsenał wiedzy, którego widok mię teraz przestrasza. Kiedy słucham takich dowodzeń, dusza we mnie wzdryga się i oburza, ale usta nie umieją znaléźć zwycięzkich odpowiedzi. Widzę sama, że rozumują dziecinnie.

Wprawdzie pan Adam twierdzi, że nieraz jedno moje słowo więcéj ma wpływu na niego niżeli całe księgi, zdanie to bardzo mi pochlebia, ale niestety nie mogę w nie uwierzyć, nie widzę bynajmniéj tego wpływu. Owszem, przeciwnie się dzieje; zamiast, abym ja miała go odciągać, on mię za sobą pociąga coraz daléj. Patrzę tylko jego oczami, myślę jego myślą, i to do tego stopnia, że nawet już mię zaczynają ogarniać jakieś wątpliwości sumienia, których dawniéj nie znałam. Nieraz naprzykład, ze drżeniem zadaję sobie pytanie: czy cień wuja nie gniewa się na mnie za ten związek, na który może nie byłby pozwolił? Czy moja własnowolność nie jest jakoby korzystaniem z jego śmierci? Czy kiedyś mię niebo za nią nie uka-

rze? Przy panu Adamie nauczyłam się troskać o to co też o nas myślą umarli? A ta troska jest okropna, bo nigdy nie może otrzymać odpowiedzi.

O tym przedmiocie, napisz także Anielko co sądzisz, a przynajmniéj co ci się zdaje? Ty umiesz z dziwną odwagą przecinać niepewności. Ach, czemuż cię tu nie ma? Twoja zdrowa rada nierazby mi się przydała, a przytém, patrząc na nas, musiałabyś nakoniec przyznać, że miłość i szczęście nie są chimerami.

Rozpisałam się dziś ogromnie, ale też pisałam od rana do nocy, aby sobie jakoś zapełnić ten dzień straszliwéj samotności. Rano mi się zdawało, że nigdy nie minie, a jednak oto i minął. Nic też nie szkodzi, że list taki długi; za to może starczy na długo, bo jutro już *on* powraca, i nie wiem czy tak prędko potrafię znów zabrać się do pióra? Ale myślą zawsze będzie przy tobie twoja wierna—Teresa.

LIST LV.

Aniela do Teresy.

Poznań—6 Sierpnia.

Dzisiaj wielki dzień Przemienienia Pańskiego. Zawsze miałam szczególniejsze nabożeństwo do olśniewającéj tajemnicy Taboru, dzisiaj ten dzień jeszcze mię głębiéj przejmuje. Według daty przez ciebie wskazanéj, twój ślub musiał się dziś odbyć. Pozwól najdroższa moja, abym cię uściskała serdeczniéj niż kiedykolwiek i powinszowała ci spełnienia twoich szlachetnych życzeń.

Nie potrzebuję być przy was, aby uwierzyć, że miłość i szczęście nie są chimerami. Z samych listów twoich wieje atmosfera ognista, upajająca, która więcéj przekonywa niż tysiąc rozumowań. Rzeczywiście, nie miałam pojęcia o podobnéj miłości. Przed uczuciem tak wielkiém, nie pozostaje nic jak skłonić głowę i życzyć, aby przyszłość dorównała teraźniejszości.

Nie potrzebowałaś nawet przedemną się tłómaczyć. Słusznie przypominasz chwilę kiedy ja także nie mogłam zastosować się do twoich przestróg. Ja słuchałam rady rodziców, ty słuchasz rozkazu serca. Każda z nas postąpiła dobrze, bo zgodnie ze swoim charakterem.

Gdyby można było przewidzieć, że wasze dzieje tak się skończą, byłabym pewno nie pisała wielu, wielu rzeczy...... ale twoje złote serce zarzuci teraz na nie zasłonę niepamięci, bo o cóż właściwie mi chodziło? O twoje szczęście, o nic więcéj. Od chwili jak osądziłaś,

że tylko w tym związku je możesz znaléźć, ustępuję i z największą przyjemnością uznaję się pobitą.

Nie znaczy to wcale, abym cofała moję ogólną teoryą o szczęściu. Zawsze trwam w przekonaniu, że na téj ziemi żyjemy pod nieuchronném prawem próby, a więc cierpienia. Ale podobno nie ma prawa bez wyjątku. Oby łaskawy Bóg policzył cię do wyjątków!

Przytém, czy wiesz co jeszcze mię uspokaja? Szczęście wasze jest smutne, bardzo smutne, może więc będzie trwałe.

Ja się tymczasem ogromnie natroskałam. Przez prawdziwą feralność, twój *dziennik* czy *godzinnik* spóźnił się niesłychanie. Czy go sama długo zatrzymałaś, czy ja się z nim zminęłam, nie wiem, dość że doszedł mię razem dopiéro z ostatnim twoim listem, i to nie wcześniéj aż wczoraj wieczór. A nigdy wiadomość od ciebie nie była mi pożądańszą. Franzesbad, sam z siebie niemiły, wydał mi się jeszcze nieznośniejszym; tygodnie tam przeżyłam w niepokoju, ciągle wyczekując godzin poczty, zaczepiając roznosicieli. Wyprosiłam sobie nawet u mamy, abyśmy dwa dni dłużéj zostały; ale i dwa dni przeszły, i listu ani na oczy. A pewna jestem, że nazajutrz po naszym wyjeździe przyszedł!

Wczoraj nakoniec odbieram wszystko razem. Najprzód pochłonęłam list ostatni, jako zawiérający najświeższe wiadomości, potém długo w noc studyowałam ten szanowny tomik, cierpiąc i radując się razem z tobą.

Dziś w kościele modliłam się za was oboje, bo teraz i on mocno mię obchodzi, w jego rękach cala twoja przyszłość! Oby ten dzień, co nieobrachowaną zmianę wprowadza w twoje życie, i dla niego stał się dniem *przemienienia!*

Wielkie na siebie wzięłaś obowiązki! Większe może, niż wszystkie inne kobiéty przystępujące do ołtarza. Już jabym się nie podjęła takiego zadania, chociaż mi wmawiasz pochlebnie, żebym je potrafiła wykonać. Dobrze wiem jak trudno jest, nawet w zwyczajnych warunkach, uszczęśliwić kogo; cóż dopiéro przy tak wyjątkowych przeszkodach? Ty, jak widać, czujesz się na siłach. Podziwiam cię i uwielbiam, przyznaję, że twoje posłannictwo jest wspaniałe; tylko czego nie mogę przyznać, to abyś miała zostać *siostrą miłosierdzia* dla jednego.

Tym sposobem rozumując, my wszystkie mężatki i matki byłybyśmy szarytkami w naszém kółku. Tymczasem zapominasz o maleńkiéj różnicy: my poświęcamy się dla istot ukochanych, one poświęcają się dla obojętnych. Ta jedna różnica to jak niebo od ziemi. My cierpimy i więcéj i mniéj niżeli one; więcéj: bo mocniéj obchodzi los męża niż los tysiąca nieznajomych, dłuższą jest noc je-

dna, przepłakana przy własném dziecku chorém, niż tysiącinocy przy obcych dzieciach; ale za to przywiązanie ułatwia nam ofiary, znajdujemy nagrody i osłody, których tamte nigdy na ziemi nie zaznają. Nie łudź się więc próżno, wstąpiłaś do zakonu, ale do *naszego*, zostałaś Tereniu siostrą miłości a nie miłosierdzia, i nawet nie siostrą; wszystkie części twego określenia mijają się z prawdą.

Szczerze ci jestem wdzięczna za ufność z jaką w niektórych względach żądasz mojéj rady. Wprawdzie trudna to rzecz radzić, teraz może trudniejsza niż kiedykolwiek; nie znam pana Adama tylko z twoich listów, a jeżeli ty go jeszcze dobrze nie rozumiész, jakże ja mam rozumiéć co jemu i tobie trzeba?

Zdaje mi się jednak, że czytanie filozofów i uczonych nie wyszłoby ci na dobre. Wcale nie dla tego, abym kobiéty odsądzała od prawa do poważnych nauk, ale może nie każdéj wolno się tam bezkarnie zapuszczać. Ach, i z pomiędzy mężczyzn, rzadko który nie pozostawi tam najlepszéj cząstki swojéj duszy.

Przy twojém usposobieniu namiętném boję się, aby podobne studya nie zaciągnęły cię daléj niż sobie zamierzasz.

Masz nadzieję, że znajdziesz w nich odpowiedzi na zarzuty pana Adama? Wątpię. Wszak on czytał te wszystkie książki: czyż go uspokoiły? Przeciwnie, wyniósł z nich samo rozdrażnienie i wieczny znak zapytania.

Po co ci więc rozpoczynać drogę, którą on już przebył? Możesz i jemu nie pomódz i sobie zaszkodzić.

Wierz mi, zostań przy téj wdzięcznéj prostocie, co chroni od najgorszéj z plag, od *pół-nauki*. Wszak on sam przyznaje, że jedno twoje słowo nieraz go więcéj pociesza niżeli najgłębsze traktaty? Chcesz walczyć z nim równą bronią? A czyż nie masz broni religii, która z czasem wszystko zwycięża? Tylko trzeba jéj używać serdecznie i mądrze. Pana Adama łatwiéj może przekonać niżeli wielu innych, bo on jeszcze *chce* być przekonanym.

Nie są mi tak obcemi prace najnowszych badaczy, jakbyś mogła sądzić. Nieraz wieczorami, schodzą się do moich rodziców różni profesorowie: ojciec mój lubi bardzo podżegać między niemi rozprawy; to téż rozprawiają, że aż się ściany trzęsą. Wszystkie najbardziéj palące zadania nauki przychodzą na stół kolejno. Ja siedzę cicho, słucham z uwagą, nieraz ich wielce uwielbiam, ale czasem także mówię sobie w duszy: po co tyle kłótni o rzeczy, które wiara tak łatwo rozwiązuje?

A! to właśnie najgorzéj, że *łatwo*. Ludzie nie cenią prawd co im przychodzą pod kształtem tak zwanych *komunałów*, a te jednak

są najpewniejsze; samo ich spowszednienie dowodzi, że po długiém użyciu okazały się dobre.

Trzebaż aby dopiéro jakiś amerykański pisarek ostrzegł pana Adama, że wszyscy rodzimy się z przeważającą skłonnością do złego, i że czarne myśli kuszą równie sprawiedliwych jak niezbożnych? Ma się rozumiéć, prawdy to niezbite, ale jak świat stare. Czémże jest innném świadomość o *grzechu pierworodnym*?

Ba! Co dla mędrków znaczy Geneza? Dopóki ksiądz z ambony im wykłada, że wszyscy cierpimy za grzech pierwszych ludzi, ruszają ramionami i oburzają się na niesprawiedliwość takiego wyroku. Ale niech uczony wyłoży im te same, zupełnie te same rzeczy, pod nowemi kształtami jakiéjś fatalnéj dziedziczności; niech im wytłómaczy, że wszelką namiętność, wszystkie popędy i wstręty, nawet cnoty i występki bierzemy w poplątanym spadku po tysiącach pokoleń; wierzą, przyklaskują wielkiemu odkryciu i, co najdziwniejsza, wcale się nie oburzają, chociaż nowa teorya stokroć jest okropniejsza od staréj, bo zamilcza ideę odkupienia, co równoważyła upadek, i odsuwa myśl o drugiém życiu, bez którego *to* życie po prostu nie ma sensu.

A do czego prowadzą owe szermierki o *łasce*? Już nie powiem, że do herezyi, taka groźba niewielu dziś odstraszy; ale powiem, że to jest jeden z przedmiotów (zresztą bardzo licznych), gdzie łut doświadczenia więcéj waży niż funt rozumu; nalepiéj znają się na łasce, nie ci co o niéj ze słyszenia piszą, ale ci co ją sobie wysłużyli.

A co już nad wszystko niecierpliwi, to owa podejrzliwość względem samego siebie, owo branie każdéj myśli na tortury dla dopatrzenia w niéj koniecznie czegoś nagannego. A toż także od wieków znana, przez wszystkich teologów potępiana kazuistyka amatorska, czyli mówiąc prostą polszczyzną: *gdéranie sumienia*, które jest jedną z najniebezpieczniejszych pokus, bo się ubiera w sukienkę pokory, a tylko na to czyha, aby nam wszelką energią odebrać.

Niech cię Bóg broni, moja Tereniu, od takiego paraliżu duszy. A najprzód, zaraz cię muszę uspokoić co do wujaszka. Trzeba ci wiedzieć, że przy samym końcu życia pisał on do mnie, a raczéj odpisywał w sprawie tego pogardzonego pana Stanisława, co dostał odkosza z wiadomych dziś powodów..... Otóż w liście, wuj napomykał także o panu Adamie, i nawet mnie bardzo tą wzmianką zadziwił; myślał on o związku między wami, życzył go sobie..... ale bał się, jak pisze, *rezykować* panienkę na los tak niezwyczajny. Dziś, kiedy sama się zrezykowałaś, pewno ci błogosławi z góry.

Widzisz więc jak niepotrzebne były twoje frasunki. Ale na co się przyda ostrzegać? Nie wybrniesz ze skrupułów, jeśli utracisz wolę, a tracisz ją widocznie; co się z tobą stało? Ty, z nas wszystkich najhardziejsza, teraz berło niewieście z rąk wypuszczasz. To już nie miłość, nawet nie posłuszeństwo, ale czysta niewola.

Jak wiesz nie jestem zwolenniczką tak zwanéj *emancypacyi*. Nie mniéj przecież, a może tém więcéj obstaję za utrzymaniem praw, jakie religia od dwóch tysięcy lat nam dała; tak, równouprawnienie duchowe już mamy: w obec sakramentu obie dusze równe, w obec Boga wszystkie dusze równe; to najważniejsza; reszta, fraszki o które nie warto się zabijać. To téż codzień Panu Bogu dziękuję, że mię nie umieścił w gineceum greckiém ani w haremie wschodnim.

A tybyś nas chciała wrócić do epoki pogańskiéj? Nie! Kobiéta nie powinna już nigdy być niewolnicą, nawet dobrowolną.

A wiész dla czego? Bo kto sobie nadaje tyrana, ten sobie na przyszłość stwarza pokusy do buntu.

Moja matka powtarza nieraz, że te, co z początku zanadto słuchają, potém zwykle nadto przewodzą.

Ujmuję się więc naprzód za tym biednym panem Adamem, który zbyt wszechwładnie dzisiaj rozkazuje, ażeby nie miał kiedyś jęczéć pod pantofelkiem sułtanki.

Rozpaplałam się bardzo śmiało, może nadto.... Wybacz mi te złośliwości, połóż je na karb żalu, bo mam żal do ciebie: tak rzeczy ułożyłaś, że nie mogłaś mię nawet zaprosić na wesele! Prawda, że i ty na mojém nie byłaś. W co się to obróciły wszystkie nasze zamiary, układane w chwili rozstania przy furcie klasztornéj? Tyle razy wystawiałam sobie jak to ja będę ci wianek przypinała, jak będę cię odprowadzała od ołtarza! Tymczasem, w dzień twego ślubu, siedzę przy stoliku, w codziennéj sukni, o kilkadziesiąt mil od was, i tylko listem się pocieszam.

Ale *dla siebie* rzeczy prześlicznie ułożyłaś, nie ma co powiedzićć. Uniknęłaś tylu niepotrzebnych wzruszeń i udręczeń! Jestże co nieznośniejszego jak obrzęd ślubny w obec tłumnéj, ciekawéj publiczności? Wasz ślub, ze swoją ciszą i odosobnieniem, wśród skał, kwiatów i potoków, jest naprawdę idealny.

To téż nie dziwię się, że całą duszą przylgnęłaś do twojego raju. Podzielam jednak troszkę zdanie panny Reginy; zdaje mi się, że niedługo zostaniecie w chatce skończycie jeśli nie na pałacu, to przynajmniéj na jakim wygodnym dworze.

Wątpię, abyś z uwagą czytała te moje ramoty. Właśnie téż masz głowę do czytania! Zwalniam cię nawet na czas niejaki z obowiązku częstych odpowiedzi; daję ci serdeczne wakacye. Ale póź-

niéj, kiedyś..... może przypomnisz sobie, że masz na bożym świecie starą przyjaciółkę Anielę.

LIST LVI.

Teresa do Anieli.

Z pod Karpat—10 Września.

Nie potrzebuję *przypominać* sobie, że mam ukochaną przyjaciółkę. Obraz twój Anielo nie wyszedł z mojéj pamięci, nawet w obecnéj epoce, kiedy cała reszta świata z niéj wionęła. Moje szczęście jest bez granic, chociaż jest *inne* niż sądziłam.

Jednak, niestety, byłaś prawdziwym prorokiem, głosząc, że nie ma szczęśliwości *zupełnéj*. I po mojém niebie już parę chmur się przesunęło.

Pierwsza zawisła nademną zaraz prawie po dniu Przemienienia. Pierwszy raz w życiu zaczęłam się dręczyć myślą, że kiedyś będzie trzeba umrzéć! Z tém wszystkiém się pożegnać! O Anielo, jeżeli nigdy nie zaznałaś podobnéj obawy, nie byłaś nigdy szczęśliwa.

Druga chmura nadciągnęła przed kilku dniami.

— W długiéj rozmowie, wywnętrzałam się z moich błogich wrażeń. On patrzył na mnie z niewymowną słodyczą, westchnął i szepnął.

— „Chwała Bogu, żeś ty przynajmniéj szczęśliwa!“

Okropne słowa, nieprawdaż? Wierzyć im nie mogłam w pierwszéj chwili.... Jakto? Więc przez ten miesiąc ja tylko opływałam w zachwyty? On ich nie dzielił, a przynajmniéj nie dzielił w równym stopniu? To jedno odkrycie niweczyło wszystkie moje radości.

Na pytania ze drżeniem zadane, odpowiedział tysiącem najtkliwszych dziękczynień, ręczył, że mu przyniosłam więcéj szczęścia niżeli go się mógł spodziewać, „ale“, dodał, „nie potrafię go w pełni użyć, dopóki zamieszkuję te miejsca..... Zanadto tu wycierpiałem..... Zdawało mi się, że dość będzie porzucić pustelnię, aby zerwać z groźnemi wspomnieniami; tymczasem ścigają mię i tu jeszcze. Przez kilka lat góralskiego życia, zanadto poznałem Tatry. Nie ma ścieżki, któréjbym łzami nie naznaczył. Każda skała, każdy wodospad przypomina mi straszne chwile. Muszę ztąd się wynieść.... muszę poszukać krajów i klimatów tak odmiennych, aby mi się wydało, że przechodzę na inną planetę. Wtedy może potrafię rozpocząć nowe życie, *la Vita nuova*!“

Jak łatwo się domyślasz, odpowiedziałam z uniesieniem, że jeśli tylko o to chodzi, zaraz, dziś jeszcze, wyniesiemy się gdzie zechce.

Po niejakiém wahaniu, ujął moje ręce i mówił:

— „Mogęż jeszcze co przed tobą ukrywać? Nieraz może moje rozpacze zdawały ci się przesadzone..... Słuchaj i przestań mi się dziwić.“

Wtedy roztworzył mi duszę do najskrytszych tajników. Po raz pierwszy zrozumiałam dla czego życie tak mu się czarno przedstawia? Ach, bo tło jego duszy jest zażałobione boleścią ogólną, ogarniającą miliony. Trzebaż ci ją bliżéj określać? Każdy i każda z nas ją odczuwa, ale są niektóre dusze, obdarzone jakby wyjątkowym nerwem bólu. Dla takich, osobiste nieszczęścia potęgują się nieszczęściem wszystkich, dla takich nawet szczęście osobiste istniéć nie może bez wyrzutów sumienia.

Smutno mi się zrobiło..... Pojęłam, że takiéj boleści nie potrafię pocieszyć, a nawet pocieszać się nie godzi.

Kiedyś przyrównywałam się do pustelnicy z wieży. Teraz on wydał mi się podobny do męża pustelnicy.

— Tyś taki nieszczęśliwy jak tamten! Mówiłam. •

A on zawołał: „Stokroć nieszczęśliwszy! Tamten przynajmniéj miał pomysł dla którego żył i umierał. Pomysł szatański, ale wielki. Serce swoje.rozkrwawiał, duszę swoję zatracał, ale wierzył, że wielu uszczęśliwi. Ja urodziłem się w epoce w któréj pomysłów zabrakło. Już wszystkiego próbowano, nic się nie udało. Mamże zaczynać przedsięwzięcia w których skuteczność nie wierzę? Lepiéj czekać na chwilę bożego natchnienia. Tak, czekać! Łatwo to powiedziéć, ale tymczasem dusza ginie od własnéj siły, jak apopletyk od krwi co nie ma ujścia. Choremu się zdaje, że to ta, albo tamta rana mu dolega, a to ani ta ani tamta, tylko po prostu życie z niego ucieka... Napróżno mózg sobie wysuszam, napróżno serce rozpieram, nie mogę znaléźć formuły na uzdrowienie tych co cierpią wkoło mnie. Ha! póki broiłem, póki chciałem tylko używać i marnować, wszystko mi służyło, wszystko mi pomagało. A teraz kiedy chcę osobiste błędy okupić jakąś zasługą społeczną, kiedy chcę coś wielkiego, coś dobrego po sobie zostawić, o! teraz nic mi się nie składa.“

To powiedziawszy, dziwnie na mnie spojrzał i, po chwili wahania, dodał:

— „Byłoby jeszcze może jedno dzieło godne przedsiębrania.... Ale, aby je wykonać, musiałbym wynieść się daleko..... za morza,— między innych ludzi, na inną część globu. Miałażbyś odwagę pójść za mną?“

Rzuciłam się w jego objęcia, wołając, że pójdę z nim na koniec świata.

Za parę tygodni puszczamy się w tę wielką podróż.

— Nie śmiałam go się pytać którędy pójdzie drogą, ani jakiém jest owe dzieło tajemnicze? Wierzę w niego, to dosyć.

I nie wstydzę się mojéj ślepéj uległości, chociaż mię za nią strofujecie, wy biedne coście nigdy nie zaznały podobnéj *niewoli*. Nie strofujcie mię, ale mi zazdroście. Czyż jest większe szczęście jak zatracić się w drugiéj istocie?

Ta podróż urzeczywistnia moje najśmielsze marzenia; poznam świat, pójdę mierzyć się z niebezpieczeństwami, gonić za tém *nieznaném* co mię zawsze ciągnęło. Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie trzeba oddalać się od ciebie! Powié mi kto, że i tak żyjemy oddalone? Prawda, jednak to co innego czuć się o mil kilkadziesiąt, a co innego postawić między sobą całe lądy i morza.

A przytém, żal mi i tego zakątka, gdzie przeżyłam dni krótkie, ale złote. Ach, tak mi dobrze tutaj, że boję się każdéj zmiany.... Żebyś ty widziała jak on cudnie urządził tę tak zwaną *chatkę*! Na pozór ona rzeczywiście nie różni się od zwykłych mieszkań góralskich, ale wszedłszy do wnętrza, istne zaczarowanie; wszystko w staroświeckich kobiercach i w kwiatach; kwiatów aż do zbytku. Tę chatkę zamieszkujemy sami. Mój mąż chciałby usunąć mnie z pod wszelkiego żyjącego oka, chciałby, mówi, aby nawet słońce nie patrzyło na mnie.

Służba mieszka w innym domku, o jakie sto kroków.

— Dni wprawdzie już coraz chłodniejsze, góry coraz szerszemi pręgami iskrzą się od śniegów, przewiduję, że niedługo ten kraj wiele straci; powtarzam sobie, że podróż może rozpogodzi męża, ale czy gdzie znajdziemy jeszcze taki Eden? Czy Adam nie zaciągnie z sobą wszędzie téj kuli, któréj nawet miłość nie zdołała rozkuć?

Takie to troski zachmurzały mi wyjazd (a trzymałam się z całéj siły, aby je ukryć przed mężem), kiedy Bóg, może w nagrodę mojéj maluczkiéj odwagi, zesłał mi niespodzianą, najniespodziewańszą radość.

Tak! radość o któréj ani ci się marzy. Mam nowinę niepłaconą! Schowałam ją na koniec listu jak cukierek na deser. Czy uwierzysz Anielko? Za kilkanaście dni się zobaczymy!

Wystaw sobie, wczoraj do mnie mówi:

— „Chciałbym zaraz na wstępie zboczyć do Poznania, aby westchnąć u grobu ojca, może po raz ostatni... Zdaje mi się, że tam ła-

twiéj niż gdziekolwiek otrzymam błogosławieństwo na długą pielgrzymkę.“

Wybuchnęłam okrzykiem: a mój drogi! Ty chyba czytasz w mojém sercu? Ja w Poznaniu mam najmilszą koleżankę, z którą nie widziałam się od wyjścia z klasztoru. Nie znasz mnie jeszcze w zupełności, dopóki jéj nie poznałeś.

Adam słuchał o tobie z niewykłém zajęciem. Wprawdzie dawniéj kilka razy oświadczał, że w kraju nie chce żadnych już nowych zawiązywać stosunków, ale dla ciebie przecież uczyni wyjątek? Taką przynajmniéj mam nadzieję.

A kto wié? Może miejsca w których się wychował przemówią do jego serca? Może dłużéj zostaniemy przy was?

Ja ztąd ostatni raz już piszę. Odpowiedź, jeśli łaska, zastałaby mnie tu jeszcze, bo przynajmniéj z dziesięć dni upłynie, zanim pokończymy interesa i wybierzemy się ze wszystkiém.

Twój ostatni list zgłębiłam z uwagą niemniejszą jak dawne, a najlepszym na to dowodem będzie dla ciebie wiadomość, że już przystosowałam niektóre jego rady.

Ani myślę czytać starych nudziarzy. Dobrze mówisz, sercem większych się cudów dokona.

Twoję myśl o grzechu pierworodnym wykradłam i za swoją w rozmowie podsunęłam. Tak się memu filozofowi podobała, że aż mi wstyd było w cudze piórka się stroić.

Jednak i ja téż czasem znajdę myśl co trafi mu do przekonania. Kiedyś oświadczyłam, że długo wydawał mi się doskonałym, ale teraz już wiem czego mu niedostaje, wielkiéj, o! wielkiéj cnoty! I to nie z liczby cnót powszednich, nawet nie z kardynalnych, ale jednéj z teologalnych, bez których człowiek nie może być zbawiony. Wiarę ma, chociaż chwiejną, miłość ma, chociaż smutną,—brakuje mu nadziei.

Moje spostrzeżenie mocno go zastanowiło. „Święta prawda,“ odrzekł, „grzeszę brakiem nadziei tak względem siebie jak i względem drugich, i za ten to może brak tyle cierpię, bo to jest grzech co już sam w sobie nosi karę.“

Takiemi to uwagami przeplatamy nasze rozmowy zwykle niezbyt wesołe; muszę jednak przyznać, że choć Adam coraz częściéj mówi o swojéj boleści, coraz częściéj także się uśmiecha. Może i to dobry znak, że tyle już o niéj mówi?

A teraz powiédz, kochana Anielo, czy to jednak nie jest wypadek nadzwyczajny, że moje tyloletnie marzenia, tak nagle, tak cudownie się urzeczywistniły? Czyż nie byliśmy sobie wyraźnie przeznaczeni? Czyż nie trzeba prawdziwie opatrznego zrządzenia, aby

z pomiędzy tylu kobiét co mogły zajść drogę Adamowi, los padł właśnie na mnie, tęskniącą za podobnym ideałem? Jak widzisz, nie były to igraszki dziecinnéj wyobraźni, ale istne przeczucia, nieledwie proroctwa. Im głębiéj się zastanawiam, tém więcéj widzę w mojém przeznaczeniu jakieś działanie sił nadprzyrodzonych.

Kończę, bo ideał mój wraca. Ściskam cię, po raz ostatni na papiérze.

LIST LVII I OSTATNI.

Aniela do Teresy.

Poznań—18 Września.

Przyjeżdżacie! O Tereniu, czy to być może? Nakoniec cię uściskam! Poznam twego męża, ty poznasz mojego, zobaczysz moję Ludwinię, nagadamy się za wszystkie czasy. A jest o czém! Co to za zmiany od chwili jak rozchodziłyśmy się z warkoczami na plecach, a trzech lat jeszcze nie ma!

Wprawdzie to spotkanie mocno jest zatrute myślą, że może znowu będzie pożegnaniem, i to Bóg wié na jak długo? Wasz zamiar wędrowania po całéj kuli ziemskiéj zasmucił mię i zatrwożył. Miałażby nasza przyjaźń skończyć się jak większa część przyjaźni *pensyonarskich*, co to z początku pędzą piorunującym huraganem, potém wylewają się w sążnistych listach, a po kilku latach gasną i nikną powolutku, tak że kiedyś imię owéj przyjaciółki staje się już tylko jedném ze wspomnień pensyi, świecącém jak różowy obrazek pomiędzy wspomnieniem ostatniego egzaminu, a wrażeniem pierwszéj długiéj sukni?

O nie! Pociąg, co nasze dusze zbliżył, wydaje mi się trwalszy i poważniejszy.

Własnego przywiązania jestem pewna. Jakikolwiek obrót weźmie przyszłość, los twój zawsze będzie mnie równo obchodził, nie przestaniesz nigdy mi być drogą.

O twojém poczciwém sercu także nie wątpię.

— Jednak, gdybyś miała wynieść się aż na inne lądy, gdyby miały nas rozdzielić oceany i gorsze od nich dziesiątki lat, nie wiem czyby powoli, mimo naszéj wiedzy, nie rozluźniły się węzły przeszłości?

Wszak już dzisiaj, po niecałych trzech latach rozdziału, trudniéj nam idzie zamiana myśli niż dawniéj, kiedy przy widywaniu się codzienném, dość było kilku słów, kilku spojrzeń, aby się odrazu po-

rozumiéć? Dziś trzeba nam całych arkuszy, kiedy chcemy tłómaczyć wrażenia, albo uczucia dawniéj nam nieznane, już nawet jedna drugiéj nie może sobie jasno wyobrazić, pozmieniałyśmy się ogromnie, choć nieznacznie, i pewno przy spotkaniu będziemy się wzajemnie sobie dziwowały.

Podróżować, czemu nie? Kiedy oboje tak przepadacie za nowością i niebezpieczeństwem, przejedźcie się ile chcecie, chociażby na koniec świata, ale wróćcie.

Przesiedlanie się między odmienne szczepy ludzkie, zrywanie z wszelką tradycyą rzadko wychodzi na dobre, i nie dziw, kiedy idzie na przekór wszelkim wskazówkom Opatrzności, która wié naprzód gdzie i po co nas postawiła.

To téż zabieram się do długiéj, zawziętéj i serdecznéj walki z mężem twoim. Otoczymy go tyloma dowodami współczucia i przyjaźni, życie mu tak prześlicznie usypiemy kwiatami, że miałby chyba serce z głazu, gdyby chciał jeszcze uciekać od nas i ciebie nam na zawsze porywać.

Może téż, według twojéj uwagi, wspomnienia pierwszéj młodości przywiążą go do tych miejsc na nowo? Jeżeli chce dobrze czynić, przecież wszędzie może być użytecznym? Mam nadzieję, że przy rozsądku i sercu łatwiéj będzie trafić z nim do ładu niż mi się dawniéj wydawało. Twój ostatni list zmienił zupełnie moje pojęcia o panu Adamie.

I ja pierwszy raz go zrozumiałam. To nie prosty excentryk, to, jak sama widzę, szermierz co się miota, bo czuje w sobie siły a ręce ma związane, dusza, co się czepia wszelkich powodów ubolewania, aby tylko dać ujście niewyznanéj boleści, jak te branki Achillesa, (pamiętasz? o których profesor literatury nam wiecznie mówił), co to korzystały ze śmierci Patrokla, aby płakać niby nad nim, a w rzeczy saméj nad Troją.

W takich rozdartych duszach wszystko staje się szanownem, nawet ich dziwactwa. Nasze społeczeństwo widziało je nieraz dochodzące aż do obłąkania. Przypisywano ten obłęd nieszczęściom osobistym, zawiedzionéj miłości, a w gruncie zawsze chodziło o inne nieszczęście, o inną miłość.

I on byłby może doszedł do takiego stanu, gdyby nie twoje przywiązanie, wyraz głęboki w naszym języku; tyś potrafiła jeszcze *przywiązać*, spoić tę duszę, któréj władze już się rozprzęgały.

Rzeczywiście, wielkie twoje posłannictwo. Jak je spełniać, gdzie szukać pomocy, o tém wszystkiém będziemy rozprawiały, ale ustnie; rozpisywać się już nie mam odwagi. Lubię twoje listy, je-

dnak wolę obecność. To ciągłe wyczekiwanie na wiadomość, ta nieustanna troska co tam u ciebie zaszło, albo zajść mogło, potężnie mi się już uprzykrzyły.

Jużeśmy się też dosyć napracowały piórem. Czy uwierzysz? Kiedy wczoraj chowałam twój list ostatni do szkatułki umyślnie na to przeznaczonéj, pokazało się, że pełna; ledwom go wcisnęła. Prawda, że tam są także bruliony moich listów.

Zawsze się wyśmiewałaś z porządnickiéj Anieli, że nie umié pisać listu bez brulionu. Teraz te bruliony bardzo mi się przydały. Na co? zapytasz. Oto przynajmniéj na spędzenie jednego przyjemnego wieczoru.

Wczoraj, August wyszedł do znajomych, moja Ludka wcześnie dała się ululać. Kiedy otworzyłam szkatułkę z listami, wzięła mię chętka zajrzéć do dawniejszych, przekonać się czém też mogłyśmy zapełnić takie foliały? Brakuje mi kilkunastu pierwszych listów, bo jeszcze wtedy nie przewidywałam, że zabierze się na długą pisaninę; ale od dwóch lat mam wszystkie rozgatunkowane i według dat ułożone. Przeczytałam je koleją od deski do deski, i wiesz co odkryłam? |Oto żeśmy niechcący stworzyły rodzaj literackiego dziełka, doprawdy coś nakształt powieści. Wprawdzie intryga w niéj słaba, nie ma prawie żadnéj, ale romans jest (i jaki jeszcze wulkaniczny!), charaktery są.|

Twój charakter wije się przez całą korespondencyą jak wstęga szkarłatna, przetykana złotemi gwiazdami, przesnuta gdzie niegdzie czarną niteczką melancholii.

Charakter pana Adama spada jak piorun spleciony z promieniem księżyca.

Oboje wyglądacie na duchy zabłąkane z jakich innych wieków. A jednakże, kto się bliżéj wpatrzy, pozna, żeście najprawdziwszemi dziećmi naszego wieku.

Mój charakter także nieźle wygląda. Jakby tło popielate, potrzebny jest do całości, ażeby na niém lepiéj się wydawały purpury i gromy.

A ten kochany wujaszek, jak prześlicznie ukazuje się w głębi, niby siwy gołąb' lecący ku niebu!

A i biedny mój profesor stoi w kącie obrazu, cały biały od szlachetności, jak ten hrabia de Nevers z Hugenotów, co nigdy nie pokazuje się inaczéj na scenie tylko w białych atłasach.

I rysu komicznego nie brakuje. Zapomniałaś już pewnie, i ja zapomniałam o panu Kalasantym. Odnalazłam go w twoich pierwszych listach, naśmiałam się z bukietu i jego ofiarodawcy, który śmiał oczy podnieść na moją Karpacką wróżkę.

I kościsty profil Reginki, i pełno innych dalekich figur, wybornie zaokrągla rysunek. A co myśmy tam nasypały spostrzeżeń, uczuć, morałów, powiadam ci, zupełnie jakby prawdziwe autorki.

To wszystko rosło nieznacznie. Teraz, jednym tchem przeczytane, wygląda prawie na książkę, a czyta się tém przyjemniéj, że nie jest wytworem sztucznym, ale tak sobie samo się zrobiło.

Gdyby się jaki literat dorwał do tych szpargałów, gotówby się na nie ułakomić i jeszcze za swoje wydać? I czytaliby ludzie, zwłaszcza panny.

Oj! na tę myśl dreszcze mię przechodzą..... U nas bywa tylu literatów! Szkatułkę nie tylko zamknęłam na dwa spusty, ale schowałam do biórka, aby mi jéj nie wykradziono.

W nocy napadła mię myśl jeszcze przykrzejsza: póki żyję, pilnuję kluczyków, dobrze. Ale kiedyś umrę, a wtedy cóż się stanie z naszym rękopismem? Dzieci pewnie go uszanują, ale w trzeciém, czwartém pokoleniu, kto wié czy się nie znajdzie chciwy spadkobierca, który go sprzeda jakiemu wydawcy? Wszak podobno nieraz tak się dzieje? W naszych czasach ludzie drukują wszystko, nawet listy z przed lat stu i dwustu.

A! dziękuję, aby kto miał kiedy czytać te nasze zwierzenia. Tyleśmy tam włożyły naszych i nie naszych tajemnic!

Te przewidywania tak mię nastraszyły, że w nocy postanowiłam auto-da-fé zrobić z tych biédnych listów. Ale rano wrócił mi animusz. Powiedziałam sobie: cóż znowu? Obieśmy jeszcze młode. Przytém żal mi się zrobiło, bo jeżeli dziś już bawi mnie ich odczytywanie, cóż to dopiéro będzie za jakie lat dwadzieścia, albo czterdzieści, kiedy zasiądziemy obie z białemi loczkami i zaczniemy przeglądać zżółkłe kartki i dziwić się naszym zielonym pojęciom?

Prawda, że najciekawsza część historyi będzie pewno druga, ta, co dopiéro ma nastąpić. Ale daj Boże, abyśmy już nie potrzebowały zamykać jéj w listach!

Przyjedzcie tylko, a będziemy się starali wybić z głowy twemu władcy i panu jego globowe pielgrzymki. Tymczasem, zakończam najweselszém ze wszystkich zakończeń, słowem: Do widzenia!

P. S. Jeszcze jedna uwaga. Każesz mi uwielbiać cudowność twego przeznaczenia, każesz mi w niém widzieć wypadek *nadprzyrodzony*? Ja w nim widzę po prostu logikę twego własnego charakteru.

Nie dla tego marzyłaś o człowieku podobnym do pana Adama, że miałaś go kiedyś wybrać, ale go dla tego wybrałaś, że on marzeniu twemu najlepiéj odpowiadał.

Tysiąc kobiét mogło go spotkać, tysiąc pewnie spotkało. Większa część przeszła mimo niego, nie zwróciwszy nawet uwagi. Może która z nich się obejrzała, może westchnęła nad jego smutkiem, wszystkie jednak poszły w swoję drogę, bo wszystkie nosiły inny ideał w duszy.

Ty jedna stanęłaś i podałaś mu rękę, na życie.

— To dowód, że nasze przeznaczenie wypisane jest nie po za nami, ale w głębi naszéj własnéj duszy. Spełni się mniéj, albo więcéj, czasem nie spełni się wcale, to nic napisu nie zmienia, to tylko jeszcze jedna wskazówka, że nie wszystko się w tém życiu kończy.

To téż chcąc sądzić kogokolwiek, trzeba pytać zawsze i wszędzie, nie co znalazł, ale czego szukał?

KONIEC.

ZASTOSOWANIA PSYCHOLOGII.

Każdy człowiek wykształcony słyszał coś o zastosowaniach matematyki do nauk przyrodniczych, o zastosowaniach nauk przyrodniczych do przemysłu lub rolnictwa, ale czy może i do czego może być zastosowaną psychologia?

Powątpiewanie takie ma swoję podstawę i to podstawę historyczną.

Od czasów powstania pojęć filozoficznych indyjskich i judejskich aż do upadku filozofii Heglowskiéj w naszych czasach, rozprawiano o duszy, pisano całe traktaty, a przecież nikt nie pytał o jakieś praktyczne zastosowania psychologii, co więcéj, myśl taką uważanoby za niegodną przedmiotu.

Zajmować się psychologią, znaczyło rozmyślać nad tém, czy dusza jest materyalną, z elementów ognia lub z powietrza powstałą, czy niemateryalną, a więc nieprzestrzenną, czy prostą, czy złożoną, podzielną czy niepodzielną; znaczyło rozmyślać nad tém, gdzie jest jéj siedlisko; czy w piersi, czy w głowie, czy w całém ciele; czy istniała ona przed utworzeniem się organizmu, czy też wraz z nim powstała, czy wreszcie z nim razem zginie, albo też żyć będzie wiecznie? Dodawszy do tych pytań jeszcze kilka innych, tych mianowicie, które dotyczą stosunku duszy do Boga; a więc o ile duchowość nasza odbija pierwowzór duchowości boskiéj, o ile obciąża ją klątwa pierworodna, o ile w działaniach swych może być niezależną od woli Istoty Najwyższéj i t. p. będziemy mieli mniéj więcéj przybliżone pojęcie o tém, czém była psychologia dawna, przez cały ciąg swego historycznego rozwoju.

Były to niewątpliwie usiłowania szlachetne, ćwiczenia myśli podnoszące ją nad poziom doczesnych potrzeb i wymagań, ale właśnie dla tego obracające się w mglistéj lub nawet niedostępnéj sferze

tajemnic, które z rzeczywistością codziennego życia nie wiele mogły mieć wspólnego.

Wziąwszy do ręki którykolwiek z metafizycznych podręczników psychologii, nawet z bieżącego jeszcze wieku, dowiesz się o tém czém jest substancya duszy, dowiesz się o „czystym rozumie“ o absolucie, o stosunku jaźni względnéj do bezwzględnéj, o monadach duchowych, o jakichś prawach apodyktycznych; ale nic z tego wszystkiego co twoje własne życie duchowe, co duchowe życie twoich bliźnich stanowi, nic, z owéj rzeczywistéj tkanki wrażeń, myśli, uczuć, pragnień i nadziei; a zamiast rozbioru praw rządzących naszemi myślami i czynami, naszą umysłową pracą, rozwojem nałogów, namiętności i charakterów, znajdujesz tam analizę jakiegoś człowieka idealnego, oderwanego od warunków życiowych, jakąś duszę wolną, żyjącą bez ciała w abstrakcyach, krótko mówiąc, jakiegoś filozofa wymarzonego, który ma być typem ludzkości a który jest tylko wytworem ogólnikowym rozwagi samego autora psychologii.

Jeżeli taki podręcznik nauki o zjawiskach duchowych porównamy z wykładem jakiéjkolwiek nauki o zjawiskach materyalnych, a więc fizyki, chemii lub fizyologii, znajdziemy różnicę olbrzymią. Tu prawie wszystkie prawdy są wspólne dla wszystkich badaczy; tam co głowa to rozum. Tu znajdziesz fakta, opisy, doświadczenia, popierające wywody rozumowe; tam same wywody bez faktów. Tu na każdym prawie kroku czujesz możność sprawdzenia wniosków; tam nie czuć nawet możności dostępu do nadnaturalnych tajemnic. Wszystko wisi w powietrzu, w eterze, gdzieś niesłychanie daleko od ziemi.

Czyż taka psychologia mogła wydać rezultaty praktyczne? Zapewne że nie. I nie dziwi nas wcale, że jeden z myślicieli, którego o stronność w tym względzie posądzać niepodobna, że ś. p. Józef Kremer wyznał pod koniec życia, rozglądając się w dziejowym rozwoju psychologii, iż żadna z teoryj metafizycznych nie zdołała rozwiązać najważniejszych zagadnień téj nauki, ani wytłómaczyć najzwyklejszych, najoczywistszych zjawisk duszy! A cóż dopiéro mówić o zastosowaniach prawd teoretycznych do innych nauk, do sztuk, do życia!

Jeżeli prawdziwém jest zdanie Fryd. Max. Müllera, że umiejętności o tyle tylko rozwijają się i rosną, o ile wydają pożytek praktyczny, chociażby pośrednio; to sądząc po zeszłowiekowych badaniach psychologicznych, należałoby prawie zwątpić o przyszłości téj nauki.

A przecież nauka o duszy powinnaby dostarczać wskazówek praktycznych dla nauki o kształceniu duszy, dla pedagogiki; dla

nauki o leczeniu duszy, dla psychiatryi; dla nauki o karaniu duszy, a więc dla prawa karnego i t. d. i t. d.

Wszystkiego tego nie znajdujemy, lub znajdujemy w niesłychanie drobnym tylko stopniu, studyując dawniejsze traktaty filozoficzne o duszy. A jeśli się zapytamy, dla czego tak było, to odpowiedź da się streścić w kilku punktach:

1) Dawna psychologia miała zbyt oderwane, zbyt idealne pojęcia o człowieku.

2) Zajmowała się przeważnie kwestyami, na zawsze, albo przynajmniéj w danéj epoce dla umysłu ludzkiego niedostępnemi.

3) Układała swe poglądy odrazu w system, nie pozostawiając pola dla dyskusyi.

4) Gardziła metodą indukcyjną, opiérając się głównie na dedukcyi, w skutek czego przeważał w niéj charakter indywidualny—i

5) Niespostrzegała ścisłego związku, jaki wiązał tę naukę z innemi naukami niefilozoficznemi, a mianowicie z fizyologią.

Krótko mówiąc, nie mogła wydać rezultatów praktycznych, ponieważ nie była nauką spostrzegawczą, lecz rozumową, ponieważ była, jak chciał jeszcze Kremer, „gałązką filozofii.“

W starożytności było to całkiem na swojém miejscu. Wówczas „filozof“ oznaczał mędrca do wszystkiego: był on i matematykiem i alchemikiem i lekarzem i astrologiem; wówczas wszystko było filozofią. Wkrótce jednak wydzieliła się z niéj matematyka, późniéj medycyna, znacznie późniéj fizyka. Jeszcze Newton wykład swój fizyki tytułował: *Principia Philosophiae*, i rzeczywiście prawie do końca XVIII wieku uważano tę naukę za część filozofii. Rozrost nauk doświadczalnych w wieku bieżącym odebrał filozofii fizykę, ale pozostawił jéj jeszcze psychologią. Wprawdzie już Wolf, uczeń Leibnitza, w zeszłym wieku, uczuwszy pewną odrębność treści psychologii od treści innych „gałęzi“ filozofii, rozdzielił ją na psychologią *empiryczną* i *racyonalną*, która to ostatnia nie dotyczyła już samych zjawisk, lecz ich wewnętrznéj istoty. Ale dla niego obie te nauki stanowiły jeszcze część filozofii, *na równi z fizyką i teologią!* Dla nas zaś psychologia (empiryczna, a więc właściwa psychologia) nie jest i nie może być nauką filozoficzną. Psychologia opiéra się na spostrzeżeniach szczegółowych; filozofia na pojęciach ogólnych, które z tamtych powstają. Filozof nie jest obserwatorem, lecz myślicielem. Obserwator, a więc badacz faktów, fizyk, fizyolog, psycholog, dostarcza mu tylko materyałów, które on obrabia rozumowo, nie potrzebując ich sam dochodzić doświadczalnie; w przeciwnym bowiem razie, t. j. bez takiego podziału pracy, uprawianie ogólnych teoryj,

dowodzenie ogólnych praw, a więc uprawianie filozofii, byłoby przy dzisiejszym rozroście wiedzy po prostu niemożebném.

Z drugiéj strony, gdyby fizyk lub psycholog zamiast obserwować i zbiérać fakta, chciał odrazu zgłębiać istotę rzeczy i wysnuwać ogólne na świat poglądy, to nigdyby nauki nie posunął naprzód, obciążając ją tylko wielką ilością dowolnych hipotez, którym brak gruntu pod nogami. Ponieważ zaś, jak mówi Jan Śniadecki, lepszą jest rozsądna niewiadomość niż fałszywa nauka, lepiéj więc kwestye istoty pozostawić na boku a zająć się obserwacyą tych faktów psychologicznych codziennych, które znamy, albo raczéj które możemy dobrze poznać, dobrze opisać i dobrze rozklasyfikować. Wtedy dopiéro kiedy nagromadzimy taką ilość faktów, spostrzeżeń i doświadczeń, jaką posiada dzisiejsza fizyka lub chemia, i gdy tak jak one nauczymy się oceniać wzajemny tych faktów związek i stosunek; wtedy dopiéro będzie mogła być mowa o owéj racyonalnéj psychologii Wolfa, która jednak nie będzie już właściwą psychologią, lecz *filozofią psychologii*, podobnie jak dzisiejsza ogólna teorya sił nie jest fizyką, lecz jéj filozofią.

Myśli powyższe, od dziesięciu lat przezemnie wyznawane, stały się w ostatnich czasach wyrazem opinii większości postępowych pracowników, i z przyjemnością stwierdzić mogę, że, dzięki przykładowi angielskich psychologów, jesteśmy już w pełnym rozwoju, że gmach psychologii doświadczalnéj rośnie wspaniale w naszych oczach, na gruzach metafizycznych pomników. Psychologia zaczyna już mieć swoich specyalistów. Literatura jéj bieżąca stanowi niemal połowę całéj literatury filozoficznéj; a co najważniejsza: oto ukazuje się coraz mniéj zamkniętych systemów, w których psychologia stanowi tylko jedno do całości dopasowane kółko, a natomiast mnożą się studya pojedyńcze, monografie, jako drobne, ale dobrze wypalone cegiełki do przyszłéj wielkiéj budowy. Mervoyer pisze dzieło o *kojarzeniu się wyobrażeń*, Joly o *instynkcie*, Ribot o *dziedziczności*, Sieczenow o *odruchach*, Murphy o *przyzwyczajeniu*, Dumont o *wrażliwości*, Bouillier o *uczuciach przyjemnych i przykrych*, Spencer o *śmiechu*, Maury o *śnie i marzeniach*, Strumpf o *pochodzeniu jednego tylko pojęcia przestrzeni* i t. d. i t. d. Jedném słowem, powstaje literatura studyów, podobna do téj jaką dawno już posiadają nauki przyrodnicze. Co więcéj, specyaliści innych działów wiedzy, widząc szybki rozrost psychologii doświadczalnéj, zaczynają odczuwać potrzebę uzupełnienia swych badań w tym kierunku i o to Zöllner, astronom, pisze o złudzeniach zmysłowych i o bezwiednem wnioskowaniu; Tyndall, fizyk, o sile myśli w stosunku do sił fizycznych; Darwin, zoolog i botanik, o wyrazie uczuć; Steinthal, filolog, o stosunku

psychologii do filologii i historyi; Fechner staje się z fizyka psychofizykiem, a Wundt z fizyologa psychologiem.

Takie odrodzenie badań duchowych nie mogło powstać bez rezultatu. Psychologia stała się nauką samoistną, o własnym zakresie i własnéj metodzie, a taka nauka musi mieć zastosowania.

Ponieważ wyłączyliśmy psychologią z dziedziny nauk filozoficznych, zastanówmy się najprzód nad jéj stosunkiem do tych ostatnich.

Jeżeli narzędziami wiedzy w ogóle są spostrzeganie i rozumowanie, to narzędziem filozofii jest przedewszystkiém rozumowanie. Rozumowanie jest czynnością duchową, wszelkie czynności duchowe są przedmiotem psychologii, a więc psychologia musi być podstawą filozofii. Innym naukom wolno nie badać bliżéj tego umysłowego narzędzia, opiérając się jedynie na naturalnéj, machinalnéj jego znajomości; lecz filozofii, która jest samowiedzą wiedzy, takie zaniedbanie nie tylko nie przystoi, ale byłoby nawet zaprzeczeniem jéj zadania. Ponieważ zaś z działów filozofii zadanie to specyalnie przypada Logice i Metodologii, te więc nauki z konieczności muszą się bezpośrednio oprzéć na psychologii—i oto piérwsze jéj zastosowanie.

Ażeby wiedziéć jak należy rozumować, trzeba najprzód wiedziéć jak w ogóle rozumujemy. Tylko krytyka różnorodnych sposobów rozumowania może doprowadzić do odróżnienia prawidłowych od nieprawidłowych, ścisłych od nieścisłych. Logika wprawdzie ma swoję sferę dedukcyjną, która ją zbliża do matematyki i pozwala na tworzenie formuł bez oglądania się na jakąkolwiekbądź inną naukę; ale sam punkt wyjścia, sama podstawa logiki, musi być psychologiczną. Zwykle też wykład jéj poprzedzamy wstępem jeżeli nie całéj psychologii myślenia, to przynajmniéj teoryą pochodzenia pojęć; długi czas jednakże mimo téj teoretycznéj staranności zapominano o niéj w praktyce, t. j. o samém zastosowaniu teoryi pochodzenia pojęć do całego wykładu logiki. I w skutek tego logika była albo zbyt formalną, była tylko suchym szkieletem myśli, w którym nie czułeś ruchów myśli żywéj; albo téż w formalną wmawiano, że jest treściową, zamieniając gwałtem tezy szematyczne o formach bytu na tezy substancyonalne o samym bycie; wmawiano w nas, że szkielet jest zupełnie wiernèm odbiciem całego ciała. Taką była logika heglowska, mająca niby stanowić postęp od logiki Kanta. Dla czegóż zaś nie był to postęp rzeczywisty? Oto dla téj prostéj przyczyny, że czując potrzebę a nawet konieczność zbliżenia form myśli do bytu, dokonano tego zbliżenia drogą nienaturalną, *niepsychologiczną*. I trzeba było dopiéro reformy Milla i Baina, ażeby suchy szkielet logi-

ki pokrył się żywém ciałem różnéj treści umiejętnéj, ażeby z mechanizmu martwego, stał się organizmem żywym. W jaki sposób? Przez proste, ale zupełne, śmiałe *zastosowanie psychologicznéj teoryi pochodzenia pojęć*, przez dodanie rusztowaniom logicznym fundamentu treściowego ze wszystkich innych działów wiedzy. Wtedy dopiéro logika zaczęła być praktyczną, i tylko taka mogła być treściową nie przestając być formalną; mogła mówić coś o bycie, nie mówiąc jednak za wiele; mogła mówić o formach myśli, nie mówiąc za mało. Zrozumiawszy, że umiejętna wartość pojęć powinna być mierzona nie tylko ich stosunkami szematycznemi, ale także ich pochodzeniem z wrażeń i wartością tych wrażeń; wiedząc, że obok sądów dojrzałych ze *szczegółów o ogóle* lub z *ogółu o szczegółach* istnieją nic warte logicznie a jednak najpospolitsze u większości ludzi, u dzieci, u dzikich i u zwierząt sądy ze *szczegółu o szczególe*, a nawet z *jednego szczegółu o ogóle* jako podścielisko, na którém tamte dojrzewają; zrozumiawszy wreszcie, że cała teorya syllogizmu jest tylko szczególnym przypadkiem teoryi skojarzeń, a mianowicie skojarzeń na zasadzie przyczynowości; będziemy mieli dopiéro właściwe pojęcie o tém jaką przysługę umiejętną wyrządza psychologia logice, jak dalece rozjaśnia jéj własną samowiedzę i jak dalece zastosowaniem swoich prawd pozwala jéj saméj znaléść zastosowanie do wszystkich innych nauk.

Teorya logiki jest w takim stosunku do myślenia praktycznego, jak teorya muzyki do gry na różnych instrumentach. Grać można i bez teoryi, ale właściwą umiejętność, umiejętność świadomą siebie, daje tylko teorya; teorya zaś muzyki musi się oprzéć na fizycznéj teoryi dźwięków, tak jak logika na psychologicznéj teoryi myślenia. Jakże wielu błędów uniknęłaby filozofia w swym rozwoju, gdyby, poświęcając tak wiele sił oderwanéj logice, pamiętała o jéj związku z psychologią! Uporczywa walka „realistów“ z „nominalistami“ przez ciąg kilku wieków byłaby niepotrzebną, gdyby uznano wcześniéj ten tak prosty axiomat psychologiczny stoików, że wyobrażenia z wrażeń tylko powstawać mogą. Pamiętając o tém nie podobnaby było sprzeczać się oto: czy „universalia“ istnieją *ante rem*, czy *in re*, czy tylko *post rem*. Podobnież reforma Kanta, dotycząca względności naszéj wiedzy i niemożności poznania *rzeczy saméj w sobie*, byłaby zbyteczną we dwadzieścia z górą wieków po Cyrenaikach, którzy toż samo głosili. Nie przyjęto zaś teoryi dla tego tylko, że jéj podstawa psychologiczna niebyła ustaloną.

Ale i dzisiaj, czyż my już dostatecznie zrozumieliśmy konieczność pamiętania o tém, jakiemi się posługujemy narzędziami i co za pomocą nich zdziałać możemy? Wszakże i dziś czytamy różne próbki rozwiązywania zagadnień, takich, dla których rozwiązania potrze-

bowalibyśmy mieć całkiem inną organizacyą umysłową, o wiele wyższą od dzisiejszéj! Nie jestże to prosta strata czasu, gdy nawet taki Wundt szeroko zastanawia się nad tém, czy czas jest skończony, czy nieskończony? Albo nie jestże to zapomnieniem o najprostszych zasadach psychologii, gdy np. Kremer powiada nam, że panteizm jako system upada w obec szlachetnych *uczuć* natury ludzkiéj?... Jakim sposobem uczucia, choćby najszlachetniejsze, mogą rozsądzać o prawdziwości systemu? Cóżby powiedział Kremer-estetyk, gdybyśmy chcieli oceniać piękność legendy poetycznéj według tego czy wszystko w niéj zgadza się z rozumem? A przecież nie byłoby to wcale więcéj niestosownem jak ocenianie teoryi filozoficznéj miarą upodobań uczuciowych. Tylko zaś jedna psychologia, pouczająca o zakrésie każdéj władzy, może nas uchronić od używania niewłaściwych narzędzi, lub przeceniania wartości wszystkich tych, jakiemi nas dotychczasowy rozwój ludzkości obdarzył.

Równie płodnym w praktyczne wskazówki okaże się stosunek psychologii do estetyki. Jest on bardzo wielostronnym. Najprzód bowiem, nie inna nauka, tylko psychologia może nam wskazać właściwe *zadanie sztuki*; to bowiem do czego sztuka zmierza jest ostatecznie wrażeniem ducha, a więc wchodzi w zakrés psychologii. Wykazując o ile sztuka może rozbudzać czynności duchowe i przez nie oddziaływać na charakter czynów, psychologia wskazuje obszerne, ale zarazem stanowcze granice, w obrębie których sztuka poruszać się może i po za które przechodzić nie powinna, jeżeli dba o spełnienie swych celów. Pochodzenie uczuć i wyobrażeń z wrażeń objaśnia nam dla czego sztuka, przewyższając naturę, korzysta zarazem ze wszystkich atrybutów téj ostatniéj, w stopniu mniéj lub więcéj rozległym. Pod względem tła mniéj żywa od natury, ale potężniejsza od niéjześrodkowaniem tkanki wrażeń i celowym jéj układem, działa ona silnie, ale działa wtedy tylko, gdy toześrodkowanie i ta celowość nie odbiegają zbytecznie od tych układów, jakie umysł nasz przywykł obserwować w naturze. Wskazawszy zaś granice działania, psychologia wskazuje zarazem i możliwość wpływu. Opiéra się on na związku rozbudzonych uczuć z czynami. Chociażby uczucia podniosłe, przez sztukę wytworzone, nie mogły wprost przejść w czyny, to jednak przez to samo, że istnieją, popiérają i podnoszą siłę innych uczuć szlachetnych, drogą naturalną powstałych, a tém samém uszlachetniają organizacye. Powiadają wprawdzie niektórzy pseudopozytywni estetycy, że całém zadaniem sztuki jest przyjemność; ale nie należy zapominać, że takie określenie, jakkolwiek psychologiczne, nie jest estetycznem; a psychologia chociaż musi być podstawą estetyki nie jest nią samą. Psycholog sprowadza

wrażenia estetyczne do kategoryj przyjemnych, ale z téj kategoryi estetyk odcina tylko to, co mu się godzi nazwać estetyczném. I to właśnie jest jednym z powodów dla których psychologią musimy uważać za naukę całkiem odrębną od filozofii: od logiki, estetyki i etyki. Tamta uczy tylko o tém co jest i jak jest to: jak być powinno. Psychologia zatém nie może wskazywać szczegółowego celu estetyce, ale wskazuje jéj o ile ten cel osiągnąć się daje. Ona nie dba o to czy celem sztuki jest prosta przyjemność, czy téż tylko pewne jéj poddziały; ale uczy, że w każdym razie ta przyjemność jest podwójną, zmysłową i umysłową, i ostrzega, że jeśli sztuka pamiętając o celu zapomni o środkach, jeśli np. zechce moralizować i gwałtem wpływać wprost na czyny nie przez pośrednictwo uczuć i fantazyi, to zrobi fiasco, bo straci siłę właściwą naturze, właściwą wrażeniom bezpośrednim, doświadczeniom życiowym, a nie zyska siły właściwéj sztuce, właściwéj wrażeniom symbolicznym i obrazom fantazyi. Niechże ktoś zechce np. napisać powieść, w której pojęcia będą miały przewagę nad wyobrażeniami, poglądy nad obrazami, a przekona się, że wpływu żadnego nie wywrze i tylko znuży czytelnika. Estetyka oparta na psychologii objaśni go, że powieść, jako będąca odbiciem życia, musi mieć barwę tego ostatniego, a ta wcale nie jest abstrakcyjną. Przeciwnie, napisany w ten sposób utwór filozoficzny, obrazowo, z całym przyborém porównań i przenośni, może być wprawdzie popularnym, ale nie będzie ścisłym i jasnym w ścisłości; bo pojęcia ogólne rzadko dają się uplastycznić bez narażenia na szwank ich zakresu: szata barw i kształtów jest dla nich najczęściéj za szczupłą lub za obszerną. Tak więc wszystko musi mieć swą sferę i swą miarę, a tę swerę i miarę wskazuje właśnie psychologia.

Podobnież, jeśli weźmiemy już nie samę formę sztuki, ale szczegółowe kreacye artysty w dramacie na przykład, to i tu krytyka sztuki musi być co najmniéj podwójną: estetyczną i psychologiczną. Estetyk zajmie się wartością typów, piękném sytuacyi i tendencyą; psycholog zaś—prawdą charakterów, mechaniką uczuć i przyczynowością zdarzeń.

Jedno bez drugiego będzie tylko połową krytyki. Cóżby to był za dramat, w którym determinizm uczuć i woli nie byłby święcie szanowanym; w którymby list przez nikogo nieprzewidziany i niczém nieusprawiedliwiony decydował o losie bohatérów; w którymby charaktery osób co akt się zmieniały; w którymby kochającym kazano się naraz nienawidzieć, bez żadnéj psychologicznéj pobudki? Ale z drugiéj strony wszystko to, co mógłby pochwalić psycholog, niekoniecznie jeszcze stanowiłoby o *estetycznéj* wartości dramatu; charak-

tery mogą być prawdziwe, uczucia logicznie skombinowane, czyny deterministycznie przeprowadzone, a jednak nie będzie to jeszcze *sztuka*, jeśli w typach nie ma przeciwstawienia wartości moralnej, jeśli w sytuacyach nie ma iskry artyzmu a w czynach wzniesienia się nad tło pospolite, czy to w kierunku dodatnim czy ujemnym. Nie przeceniamy więc wcale doniosłości zastosowań psychologii w tym względzie, ale chcemy uwydatnić ich wartość.

A rozpatrzyliśmy dotychczas dopiéro jednę ich stronę. Druga niemniéj jest ważną. Psychologia tłómaczy nam nie tylko tajemnicę wpływu sztuki, ale i jéj genezę. Jeżeli artysta, jak Taine wykazał, staje się dopiéro zrozumiałym na tle epoki i bliższych szczegółów otoczenia, jeżeli teoryą sztuki objaśnia nam historya sztuki; to wszystko to staje się wewnętrznie jasném dopiéro wtedy, gdy się znajdzie na tle ogólno ludzkich praw duchowych, praw powstawania i rozwoju uczuć estetycznych, praw budzenia się i koncentrowania twórczości. Tylko psychologia może nam objaśnić dla czego poezya poprzedzała zawsze prozę, poezya liryczna—dramatyczną, muzyka melodyjna—harmoniczną i t. p., podkładając pod fakta dziejowéj genezy i rozwoju sztuki ogólne prawa genezy uczuć i fantazyi. Zatém i historyk sztuki i krytyk jéj i sam twórca muszą być po części psychologami. Jeżeli zaś nawet najznakomitsi z nich nie zawsze są psychologami świadomie, to są nimi bezwiednie, intuicyjnie, tak jak Szekspir lub Balzac, którzy nie znając formuły praw psychologicznych znają jednak, a raczéj czują ich mechanizm i odtwarzają go z prawdą zdumiewającą.

W estetyce psychologia, mimo licznych swych zastosowań, nie może jednak a przynajmniéj nie mogła dotychczas grać roli mentora. Tworzyć nie uczy ona nikogo, chociaż objaśnia proces tworzenia; i nawet wątpić należy czy i przy dalszym rozwoju téj nauki potrafi ona w zupełności zastąpić proces tak zwanego natchnienia (1) psychologiczną rozwagą w rzeczach treści i formy. Istotą bowiem produkcyi artystycznéj jest jéj samorodność, jest swobodny polot fantazyi. Estetyka nawet na najlepszéj psychologii oparta nie stworzy prawideł dla twórczości, nie ośmieli się powiedzieć artyście: twórz tak a nie inaczéj; ona tylko dawać może wskazówki ogólne i objaśnianiem procesów dokonanych przyczynić się do usamowiednienia dokonać się mających. Tymczasem w *etyce* mogą już a nawet muszą wystąpić prawidła, kategoryczne imperatywy, które wprost rozkazują. To téż i zastosowania psychologii będą tu widoczniejsze, bar-

(1) Porów. w tym względzie moje odczyty „O twórczości poetyckiéj" Lwów 1877.

dziéj stanowcze. Estetyka oparta na psychologii staje się zdrową radą, etyka oparta na psychologii—rozkazem lub zakazem.

Wprawdzie niektórzy nowsi myśliciele chcieli odebrać etyce ten imperatywny charakter, przyznając jéj jedynie znaczenie historyi naturalnéj, która opisuje i klasyfikuje różne o moralności pojęcia, ale ich nie ma prawa narzucać. Co do mnie, jednak sądzę, że jeśli obok fizyologii potrzebną jest i higiena, to obok historyi pojęć moralnych ma prawo istnieć i etyka właściwa. Pierwsze mówią jak się dzieje, drugie jak się dziać powinno. Odebrać etyce jéj charakter imperatywny, jest to odebrać jéj racyą bytu; a jakkolwiek względnemi są i muszą być pojęcia moralności, to jednak w każdém z nich ukryty jest popęd do czynu i moralność taka, która nie wymaga urzeczywistnienia, przestaje być moralnością.

Alboż zresztą jedno zadanie przeszkadza drugiemu? Czyż fakt ciągłego wyrabiania i przerabiania się pojęć moralnych zaprzecza względnéj ich stałości i sile w epoce i w otoczeniu w którém żyjemy? Czyż nawet w ogólno dziejowym rozwoju moralności nie ma pierwiastków zasadniczych wspólnych, ogólno-wiekowych i ogólnoludzkich? A te pierwiastki właśnie, ten grunt uczuć moralnych, zbadany psychologicznie, daje nam prawo przejścia ze sfery teoryi do praktyki, z historyi moralności do jéj rozkazów i zakazów.

Zapewne, że uczucia moralne najuczciwszego Rzymianina, który bez wstrętu i grozy patrzył na szarpanie się podjudzonych zwierząt na walkę śmiertelną gladyatorów, ba! nawet na męczarnie bezbronnych niewolników, rzucanych lwom na pastwę dla igraszki tłumu, o wiele się różniły od uczuć przeciętnego organizmu dzisiejszych czasów; ale i tu i tam różnica uczuć miała tęż samę podstawę psychologiczną, w tradycyi, w nałogach, w wychowaniu, w przesądach i w oświacie. I tu i tam uczucia za moralne uważane miały swój rozkazujący charakter, bo i tu i tam, jak każde uczucia silniejsze, przechodziły w popędy.

Nauka więc o moralności musi mieć charakter podwójny. Z jednéj strony, na podstawie ogólnéj psychologii opisuje i objaśnia jak powstawały uczucia i pojęcia moralne, z drugiéj strony, na podstawie równie psychologicznéj znajomości natury ludzkiéj, stawia postulaty woli zbiorowéj i narzuca je wolom jednostkowym. Ten ostatni punkt, wyrażający konieczność oparcia etyki rozkazującéj na psychologii, najbardziéj był dotychczas zaniedbywany. Główne zasady moralności, kurs w krajach mające, wyrabiały się nie tyle w samém społeczeństwie ile po za niém, nie tyle przez rozwój i wykształcenie woli zbiorowéj, ile raczéj przez oderwaną spekulacyą myślicieli ascetów, którzy z życia przejmowali zaledwie echa doświadczeń. I stąd

też pomiędzy moralnością *praktykowaną* przez ludzi uczciwych a moralnością *wyznawaną* przez nich wyrazowo, zachodziła i zachodzi przepaść niemożliwa do zasypania. Pierwsza mówi: bądź rozsądnym i dbaj przedewszystkiém o swoje interesa, druga każe ogół bliźnich kochać tak jak siebie; tamta każe dbać o własny honor i nie poniżać się w obec silniejszych, ta radzi nadstawiać drugi policzek, gdy jeden znieważono i zaleca przedewszystkiém pokorę; tamta usprawiedliwia wojnę w słusznéj sprawie, ta mówi krótko: nie zabijaj.

Nie ulega wątpliwości, że ideał moralny musi się wznosić po nad rzeczywistość stosunków, że zasady, które symbolizują tylko to co jest, nie są i nie mogą być żasadami moralnemi; ale z drugiéj strony pomiędzy charakterem nakazu moralnego a przyrodzonemi prawami natury ludzkiéj nie powinien istniéć przedział tak wielki, jeżeli pierwszy nie ma pozostać tylko czczém słowem, blichtrem, maską, i jeżeli etyka ma się stać siłą żywą.

A pierwszym do tego warunkiem jest *psychologiczne* ugruntowanie praw moralnych, ugruntowanie takie, w któremby natura ludzka nie była wprost zapomnianą. Intuicya zakonodawców moralności odczuwała nie raz potrzebę téj podpory. Chrystusowa np. zasada przebaczenia jest nie tylko wzniosłą ale i psychologiczną zarazem; bo zrozumienie ogólnéj przyczynowości woli ludzkiéj musi kiedyś złagodzić naszę dzikość, i moralność Nowego Testamentu, która każe przebaczać nieprzyjaciołom, chlebem za kamień oddawać, postawi na miejscu moralności Starego Testamentu, która oko za oko, ząb za ząb bierze. Ale zarazem i to pozostaje pewném, że jeżeli zechcemy obok zasady *przebaczenia* postawić nakaz nadstawiania drugiego policzka, po otrzymanéj zniewadze, to żądanie takie pozostanie czczém i próżném, dopóki natura ludzka będzie taką jaką jest, jaką jest od lat tysięcy.

Moralność więc, która chce być wysłuchaną przez organizmy zdrowe i która ma zapewnić zdrowie moralne ogólnemu organizmowi społecznemu, musi się oprzéć na psychologii.

A cóż dopiéro mówić o téj nauce, która nie tylko chce wskazać i sformułować zasady moralne, ale je w życie wprowadzić; nie tylko uczyć jakiém człowiek być powinien, ale nadto uczynić go takim — *wychować go?* Tu już z saméj natury rzeczy związek takiéj nauki z psychologią musi być jeszcze ściślejszym. Pedagogika musi się oprzéć na psychologii, tak jak higiena i medycyna opiérają się na fizyologii, to znaczy najściśléj, bezpośrednio.

Ogólne uznanie téj prawdy nie ulegało nigdy zaprzeczeniu; ale inaczéj się rzecz ma z jéj urzeczywistnieniem. Od tego jesteśmy jeszcze bardzo dalecy. Każdy wprawdzie przyznaje, że chcąc pielę-

gnować roślinę trzeba znać jéj naturę, a tém więcéj naturę istoty żywéj, czynnéj, którą chcemy wychować; lecz mimo to traktujemy pedagogikę jako naukę samoistną i sądzimy, że wykładając jéj system w odosobnieniu potrafimy uzdolnić ludzi do wychowania drugich. Jest to błąd bardzo wielki. Ktokolwiek widział jak przyjmowaną bywa nauka pedagogiki przez umysły młode lub w jaki sposób nieuzdolnieni odpowiednio rodzice korzystają z podręczników pedagogii ogólnéj, ten musiał się bardzo rozczarować co do skuteczności takiéj nauki. A nie jest to nawet winą samych piszących lub wykładających. Nigdy bowiem podręcznik, jeżeli ma być istotnie podręcznikiem a nie biblioteką, nie może objąć tego ogromu pytań szczegółowych, jakie się nastręczają każdemu, nie już pedagogowi z zawodu, ale każdemu ojcu lub matce. A iluż to tysięcznym modyfikacyom ulega odpowiedź na takie pytanie, w zastosowaniu do natury dziecka i wszystkich warunków, w których ono żyje lub żyło! I niedziw téż, że pedagogowie książkowi są często najgorszymi pedagogami, a przecież tu już chyba niepodobna uznawać rozdziału takiego, jak np. między artystą a krytykiem. Można źle grać, a jednak znać się na muzyce; ale nie uwierzę nigdy, ażeby istotnie *znał się* na pedagogice człowiek, który własne dzieci źle wychował; choć mogę nieraz przyznać fakt dobrego wychowania tam, gdzie umiejętności *wykładu* pedagogiki nie było. A jedno i drugie dla téj przyczyny, że *pedagogika nie jest żadną nauką samoistną, lecz tylko psychologią praktyczną, stosowaną.*

Dawniéj kiedy psychologią uważano za gałąź filozofii, kiedy jéj podręczniki były kwintesencyą z historyi filozofii wyciągniętą, można się było nie tylko psychologii, ale i pedagogiki uczyć z *systemów* filozoficznych; dziś zaś kiedy naukę opiéramy nie na tradycyi teoryi, ale na sile spostrzeżeń życiowych, dziś dobry pedagog *musi być przedewszystkiém sam spostrzegaczem, musi być przywykłym do spostrzegania własnych i odczuwania obcych stanów duchowych*; a jeśli tę sztukę posiada, to w najlepszym podręczniku pedagogicznym niewiele już znajdzie nowego; zaś bez téj sztuki wrodzonéj lub pracą nabytéj żaden podręcznik nie tylko że pedagoga zeń nie uczyni, ale nawet pracy wychowania mu nie ułatwi. Chcąc być dobrym pedagogiem, trzeba nim zacząć być od dzieciństwa i śmiem twierdzić, że tylko ci dosięgli tego stopnia, którzy już wtedy kiedy sami byli wychowywani zastanawiali się nad skutkami postępowania z nimi, którzy już wtedy *doświadczali psychologicznie.* Psychologia więc musi poprzedzać pedagogikę, ale nie w liczbie rozdziałów, tylko w życiu. Uczmy dzieci obserwować a będziemy mieli dobrych pedagogów. Obserwujmy

dzieci uczące się a staniemi się sami pedagogami-- jeśli... jeśli nas uczono obserwować, gdyśmy byli dziećmi.

Jest to zapewne *circulus vitiosus*, ale który natura sama rozwiązuje często, dając samorodne zdolności spostrzegawcze. Gdzie jest ta zdolność wrodzona i wyrobiona tam już czytanie dzieł pedagogicznych, zebrania i dysputy dopełnią resztę, ale gruntem i podstawą umiejętności musi być ta psychologia żywa, która się rozwija wraz z jednostką.

Jak najwięcéj swobody dla tego rozwoju; o to pierwsza gwarancya dobroci przyszłéj pedagogiki.

A teraz zobaczmy drugą.

Jest nią już psychologia książkowa, rozumié się ta, która się opiéra na doświadczeniach obcych, na fizyologii, na statystyce, na historyi i etnografii, a która pozwala *rozszerzyć* widnokrąg własnych spostrzeżeń i ustosunkować ich praktyczność dla danego organizmu w danych warunkach społecznych i towarzyskich. Pojedyńczy obserwator nie może przeczuć czy w wychowanku jego nie odezwą się jakieś dziedziczne skłonności, które długo mogą być utajone, ale czytanie dzieła o dziedziczności może zwrócić jego uwagę na stosunki rodzinne i pozwolić mu przygotować się odpowiednio. W ogóle, tylko gruntowne psychologiczne przygotowanie może uzdolnić do korzystnego studyowania pedagogiki, sprawiając, że rozkazy jéj i zakazy będą się rozumiały same przez się; w przeciwnym zaś razie pedagogika będzie tylko zbiorem recept, nie więcéj dla ogółu zrozumiałych jak recepty lekarskie, wypełnianych ślepo, najczęściéj jeszcze fałszywie, albo przynajmniéj niedokładnie. Zachodzi tu zupełnie ten sam wypadek co ze stosunkiem fizyologii do wychowania fizycznego. Ktoś, co zna przepisy higieniczne, ale nie zna fizyologii, będzie zawsze zalecał zimną wodę, albo flanelowe kaftaniki, albo gimnastykę, albo wegetaryanizm bez względu na różnice indywidualne, przeszłość i obecne warunki wychowańca. dla tego tylko, że taki lub inny system zaleca ten lub ów specyalista; ale nie potrafi rozumnie *zastosować* każdego środka w czasie i miejscu właściwém, których to szczegółowych wypadków żaden podręcznik przewidziéć i wyliczyć nie jest zdolnym. Niechże mi np. którykolwiek pedagog wskaże z góry wszelkie odmiany w stosowaniu zasadniczego środka pedagogicznego: *kary* i *nagrody*, w obec różnorodnych charakterów, temperamentów i ich zewnętrznych warunków życiowych! A tymczasem taż sama kara może się stać w jednym i tym samym wypadku tylko u różnych organizmów, już pożyteczną, już szkodliwą. Jedno dziecko wbije w ambicyą, drugiemu ją odbierze; jedno zachęci, drugie zniechęci; dla jednego będzie za silną dla drugiego za słabą. Te zaś wszystkie

następstwa przewidzi tylko ten, kto wychowując obserwuje, kto obserwował pierwéj zanim wychowywał i bezustannie odczuwa psychologicznie, fizyczne i moralne usposobienie dziecka, na tle przyrodzonéj jego organizacyi. Nie powiem za wiele, utrzymując, że ile jest odmian i kombinacyj charakterów, temperamentów i warunków otoczenia, tyle musi być szczegółowych systemów pedagogicznych, systemów, których odnośną zamianę trzeźwa obserwacya wskaże.

Równie widoczne zastosowanie znajduje psychologia w dziedzinie właściwego kształcenia władz rozumowych. Jeżeli istniały dobre metody nauczania przed ustaleniem się psychologicznego pewnika, że „*wszystkie wyobrażenia tworzą się z wrażeń, a wszystkie pojęcia z wyobrażeń*“ to mogły to być tylko te, które ten pewnik praktycznie uznały. A jeśli dziś istnieją fałszywe metody nauczania, to tylko te, które się do téj prawdy w całéj jéj rozściągłości nie stosują. Oto co się nazywa zależność zasadnicza! Na czémże polega wyższość metody Froebla i wszystkich innych metod *okazowych* nad dawnemi *wyrazowemi*, jeżeli nie na uznaniu tego tak prostego pewnika? Ale czyż już dzisiaj pojęto go w zupełności i wprowadzono w życie wszystkie zbawienne przestrogi, jakie daje? Niestety, nie. Ileż to dzieci dziś jeszcze uczą oderwanych pojęć dogmatycznych zanim mogły wytworzyć w sobie wyobrażenia z których tamte powstały; iluż dzieciom każą wyrazowo nabywać wyobrażenia dla których wrażeniowego materyału jeszcze poznać nie mogły! Czytając dzisiejsze pisma i pisemka dla dzieci zdumiewać się trzeba nieraz jak może autor, w najprostszém i nieraz treścią nawet odpowiedniém opowiadaniu, używać wyrazów, którychby sam dokładnie zdefiniować nie potrafił, a które przecież w umysł dziecka wsiąkają jak plamy, zaciemniające jasne tło żywych jego myśli. I stopniowo w ten sposób przyucza się dziecko do używania wyrazów, których nie rozumie, do zastępowania treści formą, do czczéj frazeologii. Z początku śmiały i zdrowy z natury jego umysł drażnią te luki wyobrażeniowe, ale późniéj oswaja się z niemi, przyzwyczaja się do nich i, dorosłszy, powiększa szeregi salonowych rozprawiaczy o wszystkich rzeczach i niektórych innych, ludzi nieraz za wykształconych uważanych, a którzy np. objaśnienie: że fosfor świeci ponieważ ma własność świecenia, albo dowodzenie, że człowiek ma duszę nieśmiertelną *ponieważ* tém się różni od zwierząt, przyjmują za dobrą monetę. Kto chce przekonać się jak dalece zgubnym jest wpływ takiego wyrazowego kształcenia, które podstawia dźwięki zamiast treści, nomenklaturę zamiast okazów, ten niech posłucha popularnych rozpraw o medycynie. Wyraz techniczny jest w takich razach wszystkiém; ten kto go użyje rozstrzyga rzecz ostatecznie; mniejsza z tém, że użyto go ni w pięć

ni w dziewięć, dość że znaleziono punkt oparcia dla myśli, dźwięk dla wyobraźni. Żyły, nerwy, mięśnie, opłucna, pęcherz i gruczoły, wszystko to zlewa się w tych dysputach w jeden chaos, nienapotykany nigdy nawet w przed-Galenowych anatomiach. „Mam dużo mięsa", mówił mi pewien uczony filolog, „ale muskułów nie mam wcale i w tém jest moja choroba." Inny skarżył się, że mu nerwy popuchły a żołądek tak ma wydłużony, że cokolwiek wypije zaraz mu się w pięty przelewa.... A całe nieszczęście w tém, że ludzie ci nauczyli się używać wyrazów: nerw, muskuły, żołądek i t. p., nie troszcząc się o wrażenia, z których wyobrażenia te powstały. W zwykłém życiu i odnośnie do nauk doświadczalnych nazywamy to po prostu nieuctwem; ale inaczéj rzecz się ma, gdy chodzi o wyższe sfery abstrakcyi, gdy chodzi np. o filozofią niemiecką. Wówczas tenże sam rozbrat pomiędzy wrażeniami zmysłowemi a wyobrażeniami, i temi ostatniemi a pojęciami stopni ogólniejszych, zowie się umiejętnością specyalną, zowie się metafizyką. Zadaniem nawet filozofii jest, jak mówił Kremer, „oswobodzić (!) myślenie od wszelkich *obcych* pierwiastków, przymieszanych zwykle do niego, odgarnąć od myśli wpływy uczuć, *wyobrażeń*, *doświadczenia i t. p.*, słowem, usamowolnić myśl od czarodziejskich potęg, które ciżbą zewsząd uderzają na ducha naszego." I cóż dziwnego, że w téj samotni czystego ducha rodzą się różne czyste, ba! próżne nawet absoluty, że się kręcą bicze z piasku, skoro, jak powiada Trentowski, „w umiejętności nie dość wziąć się do roboty, ale pierwéj *calc i materyał trzeba stworzyć samemu*."

Czyż ci ludzie nie znali psychologii? Czy nie wiedzieli, że wyobrażenia tylko z wrażeń powstają? Owszem oni tę prawdę znali, tylko nie wiedzieli co ona znaczy; oni znali psychologią, *ale nie znali jéj zastosowań.*

Nie tylko jednak przy wysnuwaniu i wiązaniu pojęć czysto filozoficznych, psychologia winna być tą mistrzynią, która właściwą drogę wskazuje i miarę właściwą rozumowaniom naszym nadaje. Takież samo światło rzuca ona nawet na szczegółowe wywody przyrodnicze. Tak np. używanie pojęć *atomu*, *siły*, *próżni* i t. p. zyskałoby wiele na ścisłości, gdyby się w niém rachowano z psychologiczną tych pojęć genezą. Znając pochodzenie pojęcia siły z wrażeń mięśniowych, nie przypisywanoby mu rzeczywistości odrębnéj od ruchu i nie tworzono tych czczych teoryj dynamistycznych, w których świat realny rozpływa się w nieujętą mgłę jakichś centrów siłowych, w których ruch istnieje bez przedmiotu poruszającego się, lub słońce działa na ziemię przez próżnią z odległości!... Cóżbyśmy powiedzieli o człowieku, któryby nożyczkami chciał

też same nożyczki przekroić, oczów używać do słuchania, albo chodzić bez kurczenia mięśni? A przecież nie czém innéin jest używanie pojęć materyi, siły, próżni i t. p. bez względu na ich naturę i pochodzenie, bez uwagi na ich względność genetyczną, bez rachowania się z prawami myśli. Każą nam np. wyobrażać sobie atom jako niepodzielny a jednocześnie mówią o domniemanym jego kształcie i ciężarze. Nie jestże to najgrawaniem się z praw myślenia?

Tak więc psychologia może się przydać nawet fizyce. Tém więcéj zaś może ona rozjaśnić naturalny, genetyczny związek teoryj filozoficznych. Psychologia historyi filozofii, gdyby ją kto napisał, wykazująca na podstawie praw psychologicznych budzenie się nowych poglądów na świat w przeciwstawieniu do dawniejszych, byłaby niewątpliwie książką bardzo ciekawą. Myślenie narodów nie ma praw innych jak myślenie pojedyńczego człowieka, który dochodzi prawdy, rozważa, przerzuca się z krańca w kraniec, ażeby następnie ustalić w sobie jakiś eklektyzm najbardziéj jego temperamentowi odpowiadający. Nie należy tylko zbyt jednostkowéj miary przykładać do rozwoju dziejowego i spieszyć się z oznaczeniem epok dzieciństwa, męzkości i starości, tam, gdzie nie wiemy azali rozwój dalszych epok nie przyniesie nam zwrotów niespodziewanych. Nie powinniśmy téż, rozumiejąc tę psychologiczną prawidłowość powstawania systemów filozoficznych, uważać historyi filozofii, jak to się często czyni, w odosobnieniu od całego rozwoju historycznego a filozofów w odosobnieniu od wpływów pospolitych, życiowych, towarzyskich, jakim ulegać musieli i które jedynie mogą nam mniéj jasne strony systemów wyświetlić! Kto nie zdoła odtworzyć w sobie tego stanu moralnéj atmosfery, który poprzedzał i towarzyszył rozwojowi filozofii kantowskiéj lub heglowskiéj, ten zawsze będzie w nich widział za wiele, albo za mało i nieraz napróżno będzie sobie łamał głowę dla zrozumienia pobudki, która mogła skłonić autora do wypowiadania z niezwykłym naciskiem jakiegoś dziwacznego zdania. Trzeba zawsze pamiętać o téj prawdzie psychologicznéj, że czysty ideał logicznéj, objektywnéj duszy dotychczas nie urzeczywistnił się na świecie, i że motorem abstrakcyi nawet, pozostają zawsze nie syllogizmy czystego rozumu, lecz uczucia. Gdzie tylko same prawa asocyacyi nie wystarczają do objaśnienia stosunków między systemami, tam—szukajcie uczuć! Gdzie logiczna tylko na pozór opozycya wyradza sceptycyzm z dogmatyzmu, z optymizmu pessymizm, z realizmu idealizm — szukajcie uczuć! Gdzie nowy system bez żadnéj oczywistéj racyi zbacza od poprzedniego i nową gwałtem wciąga szatę— szukajcie uczuć! One tkwią pod tą tkanką syllogizmów i kategoryj, jak paląca się słoma pod balonem Mongolfiera, jak sprężyna

pod kółkami zégara, jak nerwy pod włóknami mięśni. Metafizyk nie przestaje być człowiekiem, chociażby gwałtem twierdził, że jest czystą jaźnią, która tylko z absolutem miewa stosunek. Ale chcąc żeby toga filozofa nie zakryła nam oblicza człowieka, musimy pod barwisty transparent filozoficznych systemów podłożyć jednolite światło psychologicznych praw umysłu.

Mamże dodawać, że toż samo i w stopniu wyższym jeszcze stosuje się do właściwych dziejów powszechnych? Nie jestże historya przedewszystkiém objawem ducha? A jakkolwiek w nowszych czasach usiłowano nadać jéj cechę fizyki, sprowadzając motywa czynów do warunków materyalnych, to jednak nie mniéj pozostało prawdą, że te warunki materyalne nie pojawiają się w czynach inaczéj, jak przez pośrednictwo sił psychicznych, że więc nie co innego tylko te ostatnie uważać musimy za bezpośrednie motory dziejów. I stąd, jak słusznie powiedział Steinthal, „Psychologia jest dla Historyi specyalną nauką zasad.“ Dzieje rozumiéć, znaczy to stosować do nich psychologią.

Ale ten drobny na pozór warunek wkłada na dziejopisów bardzo ciężkie obowiązki. Od chwili uznania go, jakże wielu tak zwanym historykom będziemy zmuszeni odmówić tego tytułu! Potrzeba bowiem znajomości, a raczej umiejętności psychologii, pociąga za sobą inne. Ponieważ źródłem pojęć, uczuć i popędów są przeważnie wpływy a więc warunki zewnętrzne, historyk musi je znać; musi znać nie tylko te, które wynikają z klimatu i ukształtowania granic i brzegów, z natury gleby, z flory i fauny, boć przecie flora i fauna Grecyi i Egiptu nie były bez wpływu na ich dobrobyt, zarówno jak i na ich mitologie a tém samém i dzieje; ale nadto znać musi czasowe warunki socyalne, stosunki przemysłowe i ekonomiczne, literackie i naukowe, sanitarne i pedagogiczne, ażeby historya jego zyskała grunt odpowiedni dla psychologicznego determinizmu, który czyny ludzkie łączy w ogniwa przyczyn i skutków dla każdéj rozwiniętéj duszy zrozumiałych. Zarówno Edgar Quinet, pisząc swój rozdział o psychologii człowieka przedhistorycznego, jak i Henryk Taine, pisząc swe studyum o początkach Francyi współczesnéj, postępowali w ten sposób, wlewając w martwe formy archeologicznych zabytków, albo kronikarskich zapisek, żywą treść ludzkich uczuć i wyobrażeń. I wtedy dopiéro widmo przeszłości stawało przed nimi ze znamieniem macierzystego pokrewieństwa, wtedy dopiéro zaczynaliśmy rozumiéć, że tak mogło być istotnie jak było, i że tak jest jak być mogło. Cóżbyśmy powiedzieli o historyku, któryby nie brał w rachubę naturalnéj mechaniki uczuć i potrzeb, ożywiających zarówno tłumy jak i jednostki na ich czele stojące? Takiego historyka, ściśle rze-

czy biorąc, nie ma; ale jakże wielu jest jeszcze takich, którzy, uznając tę psychologiczną mechanikę w części, wprowadzają nadto do niéj pierwiastki obce jéj, już to z dziedziny fizycznéj, już nadzmysłowéj, które mogą naginać dzieje do powziętéj z góry teoryi celowości lub bezcelowości, ale które wyszczerbiają jednociągłość psychologicznego determinizmu, w jego objektywnym przejawie. Nie idzie tu bynajmniéj o to, ażeby historyk nie miał swojéj teoryi historyozoficznéj, co więcéj, sądzę nawet, że taki, który w niczém nie jest tendencyjny, jest niedołęgą z namysłu lub z natury; ale chodzi o to, ażeby téj swojéj tendencyjności nie szukał po za determinizmem psychologicznym, lecz owszem z niego ją wyprowadzał.

Herbert Spencer, który tak odmienną i tak nową postać nadał socyologii, zrobił więcéj niż Quetelet w swojéj fizyce socyalnéj, bo jakkolwiek równie daleko *sięgał* po fakta, za podkład dziejów służące, jak Buckle w swojéj historyi cywilizacyi, ale *brał* tylko te, które istotnie jako kółka zębate w jéj mechanizm psychiczny wchodziły, a przynajmniéj temu mechanizmowi służyły za barwę i podkład. Socyologia w ten sposób pojęta jest o tyle żywą i namacalną, o ile taka, jak ją pojmuje Stein, jest mdłą i abstrakcyjną. Ale i tutaj musi istnieć miara, polegająca na uznaniu granic między analogią a rzeczywistością. Organizm społeczny (wyrażenie tak często nadużywane) staje się pojęciem równie sztucznèm, gdy je weźmiemy metafizycznie, jak i wtedy, gdy w nie wprowadzimy realizm drobiazgowy, gdy je ujmiemy, że tak powiém histologicznie. Nie dziwi nas takie naciąganie analogii, gdy je widzimy u Platona w jego idealnéj republice według władz duszy ludzkiéj ukonstytuowanéj; wybaczamy ogólnikowe porównania Hobbesowi, członki i nerwy jego Lewiathana; ale trudno nam usprawiedliwić te szczegółowe rozwałkowywania podobieństw pomiędzy organizmem a społeczeństwem, a to tém trudniéj, że dzisiejszy stan psychologii daje nam już nie tylko podmiotowe teoryjki, ale istotny, bogaty materyał faktów i praw moralnych. Nie możemy już pochwalić Herbertowi Spencerowi, że luźne to podobieństwo tak poważnie traktuje, jak gdyby istotnie pomiędzy embryologią i akuszeryą z jednéj a socyologią z drugiéj strony, bardzo ścisły istniał związek; ale tém mniéj możemy wstrzymać się od uśmiechu, gdy nam trzeźwy Schaeffle i rozbujały Lilienfeld zaczną prawić o komórkach społecznych, o błonkach komórkowych społecznych, o jądrach społecznych lub społecznéj tkance międzykomórkowéj. Jeżeli to ma być pozytywizm, w takim razie nie winujmy Hegla za jego fantazye kosmogoniczne; on był także pozytywistą! Jego logiczna teorya dziejów była takiém samém gwałtem zadanym historyi, jak mikroskopowa teorya społeczeństwa jest gwałtem zadanym socyologii. Za-

pewne! jest trochę logiki w dziejach, jest trochę morfologii w społeczeństwach, i jeśli tezy i antytezy dają się nałożyć na prawa przeciwstawności i ciągłości rządzące rozwojem ludów; to kształty komórek i tkanek dają się naciągnąć na ustrój społecznych warstw i państwowych hierarchij; ale jedno i drugie dowodzić będzie tylko tyle, że jedne umysły potrzebują szematyzmu logicznego, drugie konkretności morfologicznéj, ażeby się zabawić rolą wielkich magów ludzkości. Zabawką to być nie przestanie.

Prawdziwa teorya społeczeństwa nie powinna być ani metafizyczną, ani fizyczną, lecz psychologiczną. Nie żądajmy zawiele od postępu; jeszcze nam bardzo daleko do włączenia chemii w fizykę, do wcielenia fizyologii w fizykę i chemią; pozwólmyż tém bardziéj socyologii trzymać się zdaleka od fizyki i chemii, a natomiast nie zapominajmy o téj niezaprzeczonéj zależności, która ją spaja z teoryą władz i czynności duchowych. Oprzyjmy konstrukcye społecznych teoryj na psychologicznéj znajomości natury ludzkiéj, a wtedy nie będziemy mieli tylu „utopij,“ tylu proponowanych reform, sprzecznych z zasadniczém prawem egoizmu, posuwających równość i wspólność daléj, niż na to pozwala psychologia. Właśnie dla tego, że społeczeństwo jest organizmem duchowym, zależnym od wszystkich warunków przyrodzonych, nie możemy żądać, ażeby się mieniło jak Proteusz, i musimy się zgodzić na to, że jego rozwój, jego ewolucya, zależą zarówno od nowych wrażeń jak i od dawnych nałogów, zarówno od postępu jak i od tradycyi; że i ono ma swoje chwile snu i czuwania, chwile gorączki i apatyi że jak jednę tak i drugą można się starać leczyć, ale nie gwałcić.

Z odpowiedzialnością społeczeństw rzecz się ma podobnie jak z odpowiedzialnością jednostek. Musimy ją uważać jako kwestyą psychologiczną, zanim ją uznamy za kwestyą prawnokarną; a to ostatnie uznanie może być tylko wynikiem pierwszego. Nie jednéj téż sprzeczności i niedorzeczności uniknęliby prawodawcy, pamiętając o téj prostéj prawdzie. Weźmy np. pod uwagę granice wieku, jakie prawo naznacza poczytalności. Wiadomo, że dzieci południa dojrzewają wcześniéj; jest to fakt psychologiczny, zależny od wielu warunków fizycznych. Tymczasem, podczas gdy prawo angielskie *siódmy* rok uważa już jako epokę przyjścia do rozumu; nowe prawo włoskie podaje *dziewiąty*, a szwedzkie *czternasty*, w wyjątkowych razach nawet *piętnasty*; francuskie wreszcie najrozsądniéj postępując pozostawia rzecz uznaniu sędziów. Wszystkie zaś bez wyjątku, wbrew wszelkiéj umiejętnéj psychologii zwracają uwagę tylko na *rozwinięcie umysłowe*; podczas gdy ze wszystkich władz duchowych, ta właśnie najmniéj ma związku z poczuciem lub brakiem poczucia winy. Rozwinięcie umysłowe samo przez się nie tylko nie utrudnia

przestępstw, ale owszem nieraz im sprzyja, nadając tylko formy inne, często dla państwa niebezpieczniejsze (1). Właściwym zaś stróżem czynów są uczucia wszczepione przez wychowanie; a przedewszystkiém *poczucie moralne*. Zatém nie o rozwinięcie umysłowe, lecz o *rozwinięcie moralne* pytać się powinien prawodawca; a rządy liberalne, które tak gorliwie uczą dzieci abecadła, mogłyby coś przedsięwziąć i w tym kierunku, zamiast poprzestawać na usunięciu wpływu duchowieństwa, który z wszelkiemi wadami swemi łączył przeciw i tę olbrzymią zaletę, że czuwał nie tylko nad umysłem, ale i nad sercem. Jakże nam jeszcze *daleko* do téj epoki, w któréj uznamy, że kształcenie uczuć powinno poprzedzać kształceniu rozumu!

Poczucie moralne, to właściwy probierz poczytalności. Rozbierałem tę kwestyą gdzieindziéj na licznych przykładach, podnosząc zasługi Despine'a, który pierwszy w swojéj Psychologii Naturalnéj wykazał niezbicie fakt istnienia *obłąkania moralnego*, tak jak istnieje obłąkanie umysłowe. Jest to niewątpliwie smutna prawda, że obok „rozumu, wolnéj woli i pamięci“—nie wszystkie dusze natura obdarza „sumieniem,“ i że o jego kształceniu tak dobrze pamiętać musimy, jak o kształceniu myśli; ale ta smutna prawda stała się jeszcze bardziéj gorzką przez to, żeśmy o niéj zapomnieli.

A zapomnieliśmy jeszcze o wielu innych, które psychologia na benefis prawa karnego rozbiorowi podaje. Dość wspomniéć zasadniczą sprawę samego pojęcia *kary*. Wprawdzie wpływ nowych idei wyrugował już z filozofii prawa pojęcie kary jako *zemsty* społecznéj; ale niemniéj pozostało jeszcze bardzo wiele punktów téj sprawy, które prawo karne tylko w porozumieniu z psychologią rozstrzygnąć może. Wypływa to przedewszystkiém z podwójnego, mojém zdaniem, *celu* kary: 1) zabezpieczenia ogółu, 2) poprawy jednostki. Kara, która żadnego z tych celów nie spełnia, sama staje się przestępstwem; a właśnie jeżeli nie pierwszy z nich wprost, to drugi, a przez ten drugi pośrednio i pierwszy może być osiągnięty tylko według wskazówek psychologii. Przez poprawienie jednostki zabezpieczamy ogół lepiéj, niż przez samo pozbawienie jéj swobody; ale ta poprawa jest zadaniem nielada; trzeba głęboko sięgać w duszę, ażeby jéj możność i naturę ocenić! *Praca* przymusowa i dobrowolna, użyta w nowszych czasach jako narzędzie poprawy, jest niewątpliwie środkiem pierwszorzędnym; ale cóż z tego kiedy równocześnie zapominamy o drugim warunku, nie mniéj ważnym, strzeżenia i rozbudzania uczuć moralnych. Przestępca, zmuszony do pracy w biały dzień na ulicach miasta, jak to ma miejsce np. w Austryi, stopniowo zatraca

---

(1) Patrz Queteleta: *Physique sociale*. T. II str. 261 i następne.

wszelkie poczucie wstydu, które jeszcze w pierwszéj chwili publicznego przeprowadzenia przez miasto mogło się w nim gorąco rozbudzić i wpływ swój wywrzéć, gdyby nie późniejsza nauka bezwstydu jaką mu kara narzuca. Tym sposobem jedną ręką kształcimy władze pomocnicze w poprawie, a drugą wykorzeniamy główne. Mamże dodawać, że podobne wsteczne skutki wynikają z samego obcowania przestępców początkujących z wytrawnymi? Kwestya ta już więcéj została uwzględnioną, choć trzeba przyznać, że radykalne jéj usunięcie niemało napotyka trudności.

A teraz, przypuśćmy, że mamy do czynienia z organizmem, w którym cel drugi: poprawy, osiągnąć się nie da, i może być tylko mowa o pierwszym: zabezpieczenie ogółu. Jak je osiągnąć? Czy społeczeństwo ma prawo zgładzić zbrodniarza, po którym się niczego prócz kosztów i trudów dla siebie spodziewać nie może? Kwestyą tak postawioną możnaby rozmaicie rozstrzygać. Ale postawmy ją inaczéj: czy korzyści moralne kary śmierci, takie jak odstraszająca siła przykładu, mogą przewyższyć materyalne straty, jakieby państwo utrzymując zbrodniarza poniosło? Na to pytanie psychologia odpowiada przecząco. Obserwacya uczy, że właśnie na najbardziéj zatwardziałych zbrodniarzy, obawa kary śmierci najmniéj wywiéra wpływu, a przecież do nich tylko stosować się może; powtóre, że widok kaźni dla dzisiejszych tłumów rzadko jest nauką, częściéj nierównie powodem współczucia, a najczęściéj—tylko nieludzkiém widowiskiem.

Z tych to powodów w rozprawie: „Miłość, zbrodnia, wiara i moralność“ potępiłem karę śmierci w ogólności. P. Aleksander Jelski, który tę pracę na język rosyjski przełożył, oświadcza się w przypiskach przeciw temu zdaniu, sądząc że wypływa ono z niewłaściwego w takich razach sentymentalizmu. Nie śmiém téj sprawy rozstrzygać, ale to wiém na pewno, że głos psychologów i moralistów, którzy w niéj protest podnieśli, nie wyszedł ludzkości na złe, choćby dla tego, że tu i owdzie zniesiono karę śmierci dla przestępców politycznych, powszechnie do „niepoprawnych“ zaliczanych; wreszcie, że zniesiono istniejące jeszcze gdzie niegdzie zabytki kar, tortury przypominających, które już w żadnym razie nie przyczyniają się do podniesienia godności człowieka, a z pewnością najzaciętszych utwierdzają w przestępstwie mocą uczucia zemsty.

Wszystkie te punkta prawno-karnych zagadnień, które powyżéj dotknąłem lub któreby do nich dołączyć można, to jeszcze nienajważniejsze z zastosowań psychologii do spraw tego rodzaju. Najważniejsze leżą tam, gdzie te sprawy nie podchodzą jeszcze pod rozpatrywanie kodeksu, a podchodzić, zdaniem mojém, powinny. Mówię tu o dziedzinie *warunków przygotowujących przestępstwa.* Już groźne

słowa Queteleta, obwieszczające stały haracz przestępstw, przez społeczeństwa rok rocznie opłacany, powinny były zwrócić uwagę ciał prawodawczych na tę okoliczność, że przedewszystkiém należałoby usunąć prawnie *warunki*, które ten stały procent wywołują, i pamiętając o terapii i chirurgii dla przestępców, pamiętać także o higienie dla ludzi jeszcze zdrowych moralnie.

Prawda! wymyślono oddawna kary dla wydawców niemoralnych książek; co więcéj władze takie jak dzisiejszych Niemiec zjednoczonych, posiadające oddzielny fundusz na przekupywanie dziennikarstwa, wystąpiły jednocześnie z represyjnemi prawami przeciw dziennikom państwu nieprzychylnym, mnożącym ludzi, dla spokojności publicznéj niebezpiecznych; ale... (w tém „ale" muszę powiedziéć mniéj niż trzeba) popełniono niezręczność. Książka, broszura, dziennik, to są bardzo podrzędne przyczyny przestępstw. Główne tkwią *w warunkach socyalnych*; a tych zakaz wydawnictw nie usuwa, owszem, dodaje im siły psychicznéj, bo działa mocą tajemniczości, mocą poczucia ucisku, mocą chęci odwetu. Wszystkie sekty całego świata zyskiwały na sile moralnéj najwięcéj wtedy, gdy je najwięcéj prześladowano. Tego uczy psychologia i taż sama psychologia prędzéj lub późniéj wykaże niezręczność księcia kanclerza. Zresztą zakaz publikacyi niszczy teoryą, ale nie niszczy żądzy przewrotu; a tymczasem socyalizm nie jest niebezpieczny dla państw dzisiejszych jako teorya, lecz jako żądza przewrotu. Ta żądza nie zaginie, dopóki istniéć będą warunki, które ją wytwarzają; usuńcie warunki a będziecie mieli spokój. Oto tu powinno sięgnąć prawo, jeżeli się chce oprzéć na znajomości natury ludzkiéj. Polepszyć stosunek pracy do kapitału, zrównoważyć stosunek podatków do dochodów, oświecać przez rozszerzenie swobody, oświaty, kształcić przez ułatwienie przykładu kształcenia, umoralniać przez danie środków tym, którzy lud umoralniać mogą, oto zadanie, któremu wyganianie sumiennych księży a protegowanie giętkich karków w poprzek staje. Robotnik nie jest niebezpiecznym przez to, że został socyalistą; ale przez to, że doznaje ucisku. Powiększając ucisk, utrudniamy warunki dla rozwoju teoryj socyalistycznych, ale powiększamy warunki do przejawu czynów z nierozwiniętych teoryj wynikających.

Zatém, nie o usunięcie zewnętrznych objawów, ale zasadniczych warunków, prawo starać się powinno, tak np. jak to uczynił sejm galicyjski w ustawie przeciw lichwie i przeciw pijaństwu. Wiadomo, jak dalece obie te plagi ludzkości sprzyjają rozwojowi przestępstwa każdy z nas zna ludzi, którzy, tylko z powodu lichwy, z uczciwych, stali się oszustami i przeniewiercami. Tu więc przedewszystkiém prawo interweniować powinno. Najsurowsze kary na tych, którzy

już popadli w przestępstwo w skutek pijaństwa albo lichwy, nie zdołają zmniejszyć tego kontyngensu występków, jaki społeczeństwo dostarcza państwu; ale proste prawo prewencyjne do źródła samego sięgające, prawo przeciw lichwiarzom i szynkarzom wymierzone może zrobić wszystko co tylko jest do zrobienia. Znajomość natury ludzkiéj każe przedewszystkiém utrudnić wypicie pierwszego kieliszka i zaciągnięcia pierwszéj pożyczki lichwiarskiéj (ułatwiając jednocześnie zaciągnięcie uczciwéj), nie zaś tłumić dopiéro następstwa ostatnich. Nie unośmy się zaś zbyt rozległém pojęciem wolności, gdyż ono musi mieć swe granice, dopóki człowiek nie przestanie być tém czém jest, to znaczy dopóki dla przeciętnego organizmu, wrażenia i odruchy nie będą silniejsze od rozwagi, okoliczności od charakteru i namiętności samolubne od szlachetnych. Chodzi tylko o to, ażeby protekcya jaką państwo otacza ogół nie była mu narzucona przez mniejszość żywiącą cele własne, lecz przez prawdziwych przedstawicieli interesów całości.

Obok tych punktów *teoryi* prawa, w których psychologia zapytywaną być musi, istnieją inne *w praktyce* prawa, w których już bywa zapytywaną. Przedstawicielem jéj jest wówczas lekarz psychiatra, decydujący jako biegły o umysłowym stanie podsądnego. Wiadomo, jak wiele zaważyć może na szali prawa jego zdanie, czy to gdy chodzi o rozpoznanie stopnia poczytalności w obec choroby stałéj lub uniesienia i szału chwilowego, czy téż gdy istnieje wątpliwość o rzeczywistości obłąkania. Nowsze badania psychiatryczne wykazały jak dalece trudném jest to zadanie. Istnienie popędów chorobliwych do kradzieży, podpalania i t. p. obok zupełnéj przytomności umysłu, albo obłędu moralnego przy zdrowym zresztą rozumie, w wysokim stopniu komplikuje opinią i sprawia, że od lekarza psychiatry wymagać musimy nie tylko dokładnéj znajomości chorób, ale i wszystkich praw rządzących normalném życiem umysłowém. A tymczasem, na nieszczęście warunek ten rzadko się spotyka. Nawet w podręcznikach psychiatrycznych, gdy chodzi o mniéj wybitne formy chorób, o te, które z życiem normalném najbliżéj graniczą, a tém samém najłatwiéj i najskuteczniéj dałyby się usunąć, znajdujemy najwięcéj luk i pomieszania pojęć, wynikające głównie z niedokładnéj znajomości psychologii. Przykłady znajdzie czytelnik między innemi w rozprawie mojéj „o zjawiskach zdwojenia w życiu duchowém człowieka,“ a znaléśćby ich można nie równie więcéj jeszcze. Łatwo zaś zrozumiéć przyczyny takiego niedostatku. Lekarz psychiatra w klinice znajduje tylko formy daléj posunięte; przejściowe, początkowe, mógłby obserwować tylko po za kliniką, gdyby chciał i gdyby umiał. Student medycyny, który obowiązkowo studyował

psychologią, jak to przepisane było w naszéj Szkole Głównéj, mógł, rozbudziwszy w sobie upodobanie do téj nauki, uzupełniać doświadczeniem braki, których sam wykład psychiatryi, jak słusznie zauważył Dr Pląskowski, nie usuwa. Ale do tego potrzeba przedewszystkiém, ażeby to przygotowanie psychologiczne było istotném, nie formułkowém tylko, ażeby dawało nie tylko szereg spostrzeżeń, ale uczyło obserwować; tak iżby lekarz późniéj jako praktyk mógł działać nie tylko w charakterze terapeuty, ale i w charakterze higienisty. Ogół téż, tylko przez przyswojenie sobie prawd psychologicznych na równi z fizyologicznemi, może dojść do przekonania, że lekarz powinien być stałym opiekunem i doradzcą domu, który nie tylko walczy ze złém gdy ono się już rozwinęło, ale rozumnie uprzedzać je i zapobiegać mu potrafi.

Już to w ogóle i sami lekarze nie straciliby nic na tém, gdyby pochłaniając taki ogrom wiedzy przygotowawczéj jakiego szkoła od nich wymaga, nie na ostatniém miejscu stawiali znajomość praw psychologicznych, związanych z całą organizacyą człowieka. W mojém przekonaniu przynajmniéj, raczéjby można wybaczyć lekarzowi nieznajomość fizyki niż psychologii, nie ma bowiem takiéj choroby w któréjby się ta znajomość nie przydała. Wiara, jaką wielcy lekarze-praktycy obudzają w publiczności i za pomocą któréj samą obecnością swoją działają na pacyenta, polega właśnie na téj praktycznéj psychologicznéj umiejętności obejścia, działającéj przez umysł na ciało. Powiém więcéj, że lekarz, który tego ostatniego działania nie bierze pod uwagę, nie może być dobrym praktykiem. Jeżeli to czyni przez skrupuł sumienności, źle czyni; bo każde lekarstwo, chociażby je kto blagą nazwał, jest dobre, skoro leczy. A nie zaprzeczy mi żaden wytrawny praktyk, gdy powiem, że leczenie umysłowe należy do najskuteczniejszych, nie tylko w grupie chorób nerwowych najniegrzeczniejszych względem farmacyi, ale wszelkich tych w których rozwój lub przełom choroby od nerwowego usposobienia pacyenta zależy. Nie chcę tu przytaczać zeznań lekarzy, którzy mi skutki działania na imaginacyą w najcięższych chorobach opowiadali; są one bowiem tak cudowne, tak z uzdrowieniem Łazarza graniczące, że mógłbym raczéj całą sprawę narazić na niewiarę ze strony czytelnika; ale sądzę, że rozejrzawszy się wokoło, sam on znajdzie dość faktów na poparcie olbrzymiego wpływu fantazyi. Jak dalece jest on szkodliwym w chorobach epidemicznych, dobroczynnym w nerwowych a korzystnym lub niekorzystnym we wszystkich innych stosownie do rodzajów wrażeń, świadczy codzienna praktyka. Dziwić się więc należy, że nawet tam, gdzie samo źródło choroby bywa natury czysto moralnéj, mianowicie w początkowych sympto-

mach chorób umysłowych, tak mało stosunkowo lekarze korzystają z leczniczéj siły wrażeń. Zadawanie takich lekarstw jest niewątpliwie rzeczą uciążliwszą niż proste zapisanie recepty; ale lekarz, którego wiedza całość istoty ludzkiéj obejmuje, z pewnością znajdzie zadowolenie głębokie w téj podwójnéj medycynie, która każe działać przez ciało na umysł i przez umysł na ciało.

W dziedzinie zboczeń i kalectw umysłowych medycyna łączy się z pedagogią. Lekarz musi niektóre skłonności wytępiać, inne rozwijać. Wytępia przesądy chorobliwe, rozbudza resztki zdrowych sądów, i im silniéj, im zręczniéj potrafi się oprzéć na siłach jeszcze zdrowych organizmu, tém łatwiéj przyjdzie mu usunąć chore. Odnośnie do chorych umysłowych, to oparcie się na zdrowéj części duchowego życia stanie się tém skuteczniejszém, jeśli do pomocy przeciw choréj teraźniejszości wprowadzimy zdrową *przeszłość*. Powrót do téj przeszłości, przez możliwie najdokładniejsze odtworzenie jéj warunków, uważałbym nawet za główną zasadniczą metodę leczenia niższych stopni obłąkania, metodę wprost przeciwną dziś panującéj, téj, która chorego wprowadza w warunki całkiem nowe, tém silniéj odgradzające zdrową przeszłość od choréj teraźniejszości. Jest to niewątpliwie zadanie trudne i kosztowne, ale ileż to kosztów i trudów nieraz łożą rodziny dla przywrócenia zdrowia choremu, wożąc go po całéj Europie od lekarza do lekarza, zamiast na miejscu opłacić jednego lekarza-psychologa, który, nie potrzebując być geniuszem, mógłby więcéj czasu poświęcić pacyentowi i być dlań nie tylko lekarzem, ale i pedagogiem zarazem. Wszystkie upodobania rozsądne, które miał chory w przeszłości, należałoby wznowić; jeśli grał zachęcić go do grania i to do grania tych samych utworów, które lubił; jeśli tańczył, urządzać dlań wieczorki, jeśli czytywał, dać mu to co lubił, ile możności odtworzyć *warunki w których był zdrowym*; a będziemy mieli nierównie więcéj szans do wyleczenia go istotnie, niż wprowadzając go w nowy i nadto ciężki stosunek odosobnienia lub ślepego nadzoru i jeszcze bardziéj zrywając z przeszłością. Lecz, samo się przez się rozumié, środki te niewiele wydadzą pożytku, jaśli będą administrowane przez osoby obce zasadzie, które im powinna przewodniczyć, a któréj szczegółowych zastosowań żaden podręcznik wskazać nie może. Trzeba, żeby zasadą tą był przejęty biegły obserwator, posiadający w wysokim stopniu „współczucie psychologiczne“ (1), obznajmiony dokładnie z przeszłością i naturą pacyenta, a nadto umiejący się poświęcać dla nauki i dobra drugich.

---

(1) Patrz w tym względzie rozprawę *O metodzie* i *O twórczości*.

Inna rada metodyczna, którą psychiatrya przejmuje od psychologii, jest ta, że podobnie jak w nauczaniu, tak i w leczeniu umysłu nie należy się uciekać do gwałtu, lecz postępować drogą *naturalnego stopniowania*. Obłąkany, któregobyśmy gwałtem chcieli przekonać o nieprawdziwości widziadeł w które wierzy, lub syllogizmów fałszywych, które za dokładne uznaje, utwierdziłby się tylko więcéj w obłędzie, mocą uczuć przeciwieństwa i miłości własnéj. Należy więc raczéj podzielać z nim zdanie i tylko tam, gdzie sam widzi wątpliwości, przychodzić w pomoc zwrotami na korzyść zdrowego rozsądku. Przestroga ta wypływa z tego samego źródła co pierwsza, z idei oparcia się na elementach zdrowych i stosunkach normalnych. Jeżeli bowiem pacyent za czasów zdrowia zwykł był uważać za rzeczywistość wszystko to co widzi, to wmawianie w niego teraz, że to co widzi nie jest rzeczywistością, *byłoby odnośnie do jego stanu, obudzaniem pojęć i zasad fałszywych.* Lekarz obłąkanych musi się nastrajać do stanu chorego, tak jak nauczyciel musi się zniżać do stopnia pojęć ucznia.

Dla téj saméj przyczyny wszelki gwałt fizyczny musi być wykluczonym z teoryi psychiatrycznéj, o ile to tylko jest możebném ze względu na bezpieczeństwo otaczających. Gdy Pinel i Esquirol zdejmowali okowy z obłąkanych, nie kierowało nimi samo uczucie ludzkości, lecz przedewszystkiém głębsza niż u poprzedników znajomość natury ludzkiéj, która gwałt i plagi uznała za środki nie tylko zbyteczne, ale wprost szkodliwe. Rozumieli oni, iż tylko *naturalny*, o ile możności łagodnie i stopniowo rozbudzany proces psychiczny, przy sprzyjającym udziale materyalnych warunków, może choréj duszy przywrócić normalną władz równowagę.

Tak samo upaść musiały na gwałcie i nieznajomości psychologii oparte metody leczenia kalectw umysłowych, w których chodziło już nie o uzdrowienie chorych, lecz o rozwinięcie, niemal stworzenie nowych władz. Mam tu na myśli *głuchoniemych*.

Człowiek rozwijający się, dla rozwoju myśli, potrzebuje koniecznie znaków, symbolów pewnych. Takim znakiem ułatwiającym rozwój jest dla nas *mowa*. Mowa artykułowana jako ruch jest związana naturalnym związkiem przyczynowym ze słuchem, jako źródłem ruchu. Głuchoniemy, nie posiadając słuchu, nie może wytworzyć sobie mowy artykułowanéj; ale ponieważ myślenie koniecznie wymaga znaków, znajduje dla siebie inne —*w mowie mimicznéj.* Mowa mimiczna jest tedy dla głuchoniemego równie niezbędnym, równie *naturalnym* symbolem myśli, jak dla nas mowa artykułowana. Zmuszać głuchoniemego do wyrzeczenia się téj naturalnéj pomocy, potrzeby nawet, na korzyść naszéj mowy, jest to to samo, co zmuszać obłąkanego gwał-

tem do zarzucenia błędnych wyobrażeń na korzyść naszych prawdziwych.

A przecież téj właśnie metody chwycił się dyrektor instytutu głuchoniemych w Paryżu Ordinaire, wiążąc ręce biédnych tych kalek, ażeby im nie pozwolić wyrażać się w naturalnéj dla nich mowie gestów. Chciano *gwałtem* nauczyć ich mówić naszą mową a wytępić ich własną, jak to czynił także Heinecke w Niemczech. Mogła w tém być intencya uczciwa, ale na wskróś niedorzeczna psychologicznie. Polegała zaś ona na tém fałszywém przypuszczeniu, że kaleka będzie mógł zastąpić znaki mimiczne, znakami *mowy pisanéj*, ażeby módz myśléć i myśl rozwijać. Otóż najprostsze obserwacye psychologiczne uczą nas, że żaden człowiek nie może myśléć stale obrazami wyrazów pisanych. Myślenie nasze jest *wyrazowo-słuchowém*, a gdy przychodzi w części w *obrazowe* jak to ma miejsce podczas podbudzenia wyobraźni, w twórczości poetyckiéj, we wspomnieniach i marzeniach sennych, wówczas przechodzi w *obrazowo-rzeczowe*, a nie wyrazowo-piśmienne. Zaledwie oderwane wyobrażenia imion własnych i liczb uprzytomniamy sobie niekiedy jako wyrazy pisane lub drukowane; ale najgorliwszy dziennikarz, który niemal każdą myśl swoję drukowi oddaje, nie myśli nigdy wyrazami wzrokowo, lecz słuchowo. Natomiast każdy z nas myśli w części mimicznie, ruchowo. Dla głuchoniemego zaś, któremu mowa mimiczna zastępuje całkiem naszę mowę fonetyczną, jest po prostu niepodobieństwém myśléć wyrazowo, właśnie dla tego, że tych wyrazów ani *słyszy*, że mógłby je tylko *widziéć*. Zatém i wtedy kiedy go nauczymy mówić i pisać, będzie to tylko korzyścią dla jego stosunków z ludźmi i ułatwieniem dla tych ludzi obcych, mimicznéj jego mowy nieznających, nie zaś dla jego własnéj myśli. Ta myśl może się znacznie wzbogacić, gdy jéj damy możność wyrażania się piśmiennie i czytania książek, ale mimo to kaleka nie przestanie myśléć obrazowo i mięśniowo, w skutek czego wytępianie znaków mimicznych, zamiast doskonalenia ich raczéj byłoby środkiem nie tylko bezcelowym, ale nawet wprost przeciwnym rozwojowi. To téż dzisiaj już prawie powszechnie uwzględniono tę zasadniczą prawdę psychologii głuchoniemych, a piękne rezultaty otrzymane przez nasz Instytut świadczą jak dalece zawsze i wszędzie korzystném jest oparcie się rozumne na znajomości natury ludzkiéj.

Nie tu miejsce rozbiérać szczegółowo kwestye praktyczne, w których psychologia skojarzona z pedagogiką i medycyną wiele jeszcze mają do zrobienia; ale sądzę, że w umyśle moich czytelników, przekonanie o wewnętrznym związku tych nauk nie znajdzie

wielkiéj opozycyi. Powiedzmy więc raczéj kilka słów o saméj teoryi mowy, w jéj związku z teoryą duszy.

Gdyby chodziło o przykład przedmiotu, który jednocześnie do kilku działów wiedzy należy, to przedewszystkiém moglibyśmy wskazać *mowę ludzką*.

Jako dźwięk należy ona do fizyki, jako głos do fizyologii, jako wyraz do filologii, jako symbol do psychologii. Że zaś celem mowy jest symbolizowanie stanów *duchowych*, nic więc dziwnego, że psychologia ma przedewszystkiém prawo głosu tam, gdzie chodzi o rozbiór form wyrazowych w ich związku z formami myśli, a więc w całéj dziedzinie językoznawstwa. Ale czy wszyscy to rozumieją?....

Weźmy np. pierwszą kwestyą *początku mowy*. Ileż to rozpraw o niéj napisano! W ostatnich czasach zwłaszcza, gdy historyczno-porównawcza metoda odrodziła językoznawstwo, książki i broszury sypią się jak z rogu Amaltei. Teorye walczą z hipotezami, erudycya i dowcip idą o lepsze z fantazyą; lecz jakże często jeszcze dają się czytać zdania, które w mowie nie chcą uznać naturalnego dzieła sił psychicznych, lecz każą jéj z zewnątrz w cudowny jakiś sposób spadać na organizm człowieka. A przecież od czasu pierwszéj rozprawy Herdera (Abhandlung ueber den Ursprung der Sprache 1772), któréj zasadom, mówiąc nawiasem, sam autor się sprzeniewierzył, kwestya już postawioną była na właściwym gruncie: *psychologii porównawczéj*. Już Wilhelm Humboldt uznał nierozdzielność mowy od myśli, po uznaniu zależności myśli od mowy przez Locka i jego następców; a przecież ten naturalny przyczynowy związek, wymagał całego szeregu lat, ażeby się stać wyraźném, zasadniczém przekonaniem filologów. Ba. i dziś jeszcze krytycy podają jako oryginalną właściwość Steinthala, że on tę kwestyą (Der Ursprung der Sprache etc 1877. Rev. Phil. 1878. str. 77) „ze stanowiska psychologicznego“ rozbiéra! A przecież innego w téj sprawie mieć nie można; cała rzecz w tém tylko leży, ażeby teoryj apriorycznych nie brać za jedno z tém światłem faktów duchowych, jakie daje psychologia empiryczna, oparta na obserwacyi ułomnych, dzieci, zwierząt i ludów dzikich. Sądzę, że w tym względzie podstawa psychologiczna dla kwestyi o początku mowy może być tylko jedna. Sprobójmy wyłożyć ją w najkrótszych słowach.

Wszystkie wyobrażenia powstają z wrażeń. Wszystkie wrażenia są odmianami ruchu. Zatém, w każdém wyobrażeniu istnieje pierwiastek ruchu, istnieje dążność do wywołania ruchu.

Ruch powstały pod wpływem wyobrażeń (pośrednio wrażeń) może się uzewnętrznić tylko jako ruch mięśni.

Jednę z grup mięśni stanowią muskuły piersi, krtani i ust. Jest to więc także jedna z dróg, przez które wyobrażenia mogły się uzewnętrzniać. Kiedy? Wtedy mianowicie, gdy posiadały większą siłę ekstenzywną, to znaczy gdy miały charakter *uczuciowy*. Uczucia są siłą, która sama przez się modyfikuje ruchy piersi, która więc tém samém mogła i musiała być pierwszym motorem do wprawienia w ruch krtani i ust.

Pierwsze zatém dźwięki mowy fonetycznéj, towarzyszące naturalnym odruchom mowy mimicznéj, były wynikiem *uczuć*. W ten sposób przy zmiennych warunkach życia organizm mógł machinalnie wynaléźć głosy, odpowiadające różnym kontrastom i odcieniom uczuć: miłości, głodu, trwogi, nienawiści i t. d.

To był pierwszy stopień rozwoju. Przekonanie o łatwości użycia tych rodzajów ruchu, w miejscu, lub obok innych, musiało rozbudzić w człowieku pierwotnym chęć częstszego ich użycia, zwłaszcza gdy między głosami własnemi, które mu się machinalnie wyrywały z piersi a głosami innych ludzi, zwierząt i przyrody martwéj, zaczął upatrywać pewne podobieństwo. To podobieństwo mocą odruchu, który już miał drogę w nerwach wyrobioną, wywoływało modyfikacye dźwięków dawnych lub wytwarzanie nowych przez *naśladownictwo*.

I to był drugi stopień rozwoju. Wzrost uspołecznienia, łączenia się rodzin w gromady, musiało ten rozwój utrwalić i rozszerzać; przedewszystkiém wzmocniło *potrzebę* bardziéj stanowczego *odróżniania* rzeczy i ludzi, potrzebę znaków głosowych na przeczenie i twierdzenie, które dopełniały znaki mimiczne, lub zastępowały je w ciemności. Nazwy zwierząt i ludzi, pochodzące zrazu od okrzyków obudzonych wrażeniami uczuciowemi i naśladownictwém ich własnych głosów, łączyły się ze zwrotami pół mimicznemi, pół fonetycznemi, które oznaczały położenia, kierunek i w ogóle przestrzenne stosunki osób i rzeczy. W ten sposób powstały tak zwane *źródłosłowy wskazujące*.

Był to stopień trzeci. Stąd krok jeden tylko do wytworzenia się źródłosłowów zaimków osobistych, których domagała się potrzeba nazwania osób i rzeczy odległych lub nieobecnych, w czém już mimika była niedostateczną, ale *pamięć znaków* dawnych pozwalała je przerabiać na nowe. Znaki jednostkowe przez ich nagromadzenie zamieniały się na ogólne. Raz rozwinięta zdolność określania fonetycznego stała się własnością gromad i plemion. Z kombinacyi wrażeń indywidualnych, naśladowanych, zapamiętanych, powstawały nowe znaki wypadkowe, modyfikowane i przerabiane, a mające oznaczać przymioty, własności i stosunki liczbowe. Powstawały *źródłosłowy określające*.

Przechodząc te stopnie rozwoju, mowa stawała się już *nieustającą twórczością zbiorową*, która sprawiła, że z pierwotnych źródłosłowów, jak z pierwotnych komórek Darwina, wytworzyły się te wspaniałe, niby odrębne a pokrewne organizmy *języków*. *Uczucia*, *naśladownictwo i potrzeby towarzyskie* wytworzyły *źródłosłowy*, które wyrazistością swoją dały polot *myśli*; myśl wytworzyła *fleksye*; fleksye dały skrzydła *abstrakcyi*; abstrakcya stworzyła i tworzy *mowę*, jako zbiorowy, najsubtelniejszy obraz całego ruchu wyobrażeń.

A jeśli się kto zapyta: czémże się to działo, że owa fonetyczna twórczość uczuć, naśladownictw i potrzeb towarzyskich, przyjęła tak odrębne u różnych ludów formy lingwistyczne, mimo że podstawy, jakie psychologia dla powstania mowy wskazuje, mają być jedne i też same; to na to odpowiemy, że obok psychologii ogólnéj istnieje psychologia ludów, i że zmienne własności gruntu, na który pada wrażenie, muszą wywoływać i skutek inny. Ta uwaga sięga nawet daléj, bo wprowadza *indywidualizm* do kwestyi twórczości mowy; lecz ten indywidualizm dawał *wypadkowe* tam gdzie życie było; wspólne; mowy jednostek, kombinując się, dawały mowę rodzin. mowy rodzin, kombinując się i utrwalając, tworzyły mowę plemienia. Tam zaś gdzie związku nie było, lub gdzie był niedostateczny, twórczość fonetyczna była i musiała być odrębną; lecz to co nauka językoznawstwa rozdziela, to filologia porównawcza łączy, tak jak psychologia ogólna jednoczy to co psychologia ludów rozdziela.

Na tém stanowisku stojąc, musimy pytanie o tém: *jaką* była mowa pierwotna, uważać wprost za niedorzeczne. Jednéj mowy pierwotnéj nie było i być nie mogło. Pytanie takie miałoby zupełnie tę samę wartość co kwestya: jakiéj szkole muzycznéj hołdował człowiek pierwotny? Mowa bowiem jest tak samo ewolucyą ruchów mięśniowych jak muzyka; tak samo szła ręka w rękę z rozwojem duchowym, tak samo wreszcie jest dziełem zbiorowém, wypadkowém; przez krtań mówcy mówi cała przeszłość, w palcach artysty gra cała przeszłość. Pytaj człowieka zkąd wziął swoje atomy, pytaj oceanu gdzie jego pierwsze krople, pytaj ziemi jak wyglądała w chaosie mgławicy! Policz wszystkie westchnienia pierwotnych ludzi, wszystkie odruchy pierwszych niemowląt, wszystkie okrzyki pierwszych matek, wszystkie pieszczoty pierwszych kochanków, wszystkie nawoływania pierwszych wojowników, obejmij siecią telefonów wszystkie gardła pierwszych wieków, a wtedy posłuchamy, jaką była mowa pierwotna.

Mylę się, i wtedy jeszcze niczego się nie dowiemy bez pomocy hipotez psychologicznych. Najdokładniejsza statystyka jest martwą bez psychologii. Statystyk, który o tém nie wié, nie wié co czy-

ni, rozmyślając nad tablicami wykazów ilościowych; nie spostrzega, że do ilości dodaje jakość, że z chaosu faktów układa łańcuchy przyczyn i skutków, i to wszystko czyni nie na innéj podstawie, tylko na téj, że mniéj lub więcéj zna, lub mniema znać naturę ludzką.

A jeśli statystyk jest, często bezwiednie, psychologiem, to jest nim z nas każdy, jeśli tylko probuje się oryentować w chaosie spraw ludzkich, które się rozgrywają wokoło niego. Dyplomata jest nim z urzędu, aktor z powołania, dziennikarz z natchnienia lub interesu. Psychologia wciska się wszędzie, nawet między natchnienie i interes; służy wszystkim, złym i dobrym, a przedewszystkiém rozumnym. Genialnym psychologiem, gdy pisze, jest Hugo; Gambetta, gdy mówi; Bismark był nim dawniéj, w czynie. Nie idzie jednak zatém, ażeby psychologia nie mogła równie dobrze służyć najwstrętniejszym, jak i najszlachetniejszym ideom ludzkości. Niestety! jest ona narzędziem obosieczném, a jedyna pociecha, jaką nam dzieje dają w sprawie niezależności psychologii od etyki, jest ta, że używana źle, zużywa się prędzéj niż używana dobrze. Zresztą musimy sobie wyperswadować ten sentymentalizm, który teorye naukowe dzieli na moralne lub niemoralne, pożyteczne lub niebezpieczne, patryotyczne lub niepatryotyczne. Teorye naukowe dzielą się tylko na prawdziwe, fałszywe lub prawdopodobne. Prawda może być niekiedy szkodliwą, ale nie przestaje być prawdą. Kogóż winić gdy się staje podszewką złych czynów? Naukę czy sumienie? Czyż lekarz, który wyzyskuje chorego lub wprost zabija go dla interesu, dowodzi tém samém szkodliwości medycyny jako nauki? Dowodzi tylko szkodliwości braku sumienia. Czyjaż wina, że sprytny łotr częściéj umiał wyzyskiwać ludzi, niż szlachetny, ale niezręczny apostoł obudzić wiarę i miłość? Czyjaż wina, że tłum łatwowierny daje się tumanić blagą i błyskotkami, że zręcznie ułożony anons ściąga złoto do kieszeni oszusta, podczas gdy sumienny, ale cichy pracownik nie znajduje nigdzie poparcia, że ludy własną krwią płacą za pozłocenie firmy, która ich nałogi i instynkta wyzyskuje.... Czyja wina? Ha, zapewne nie oświaty, nie téj przedewszystkiém, która ze świadomością przyrody i dziejów daje nam świadomość samych siebie i drugich, która do światła słońca dorzuca światło duszy.

Maszyna, ogrzewana zawsze przez interes, czasem przez szlachetną namiętność, objawiająca ruch mocą wrodzonego mechanizmu i siły paliwa, które jéj świat dorzuca, mniéj lub więcéj hojnie, mniéj lub więcéj skąpo, maszyna pokonywająca opór dopóki się sama niezużyje, *człowiek przeciętny*, jedném słowém, może się stać organizmem świadomym siebie i własnowolnym, rozumiejącym przeszłość

i przewidującym przyszłość, jeśli obok pracy dla siebie zechce pracować nad sobą i, poznawszy naturę, poznać samego siebie.

To ideał, to nie rada praktyczna. Ale przypuśćmy, że są ludzie, których ideały zapalają, a czemużby ich być nie miało; wszakże ideał to wynalazek ludzki, przypuśćmy więc, że są i że im potrzeba tylko iskry, żeby się wziąć do pracy; sypmyż te iskry a będzie więcéj światła.

Przypuśćmy daléj, że błogosławione skutki, których się spodziewamy po psychologii, są dopiéro uczciwą obietnicą, że nauka ta, ze względu na młodość swą, w dalekiéj przyszłości dopiéro może wywrzéć wpływ skuteczny na inne nauki, zreformować pedagogikę, psychiatryą, prawo karne i t. d.; ale z tém wszystkiém jednéj rzeczy nie zaprzeczy ten, ktokolwiek popracował w téj dziedzinie, oto mianowicie, że sam fakt zajęcia się obserwacyą psychologiczną i wdrożenia się do zdawania sobie sprawy ze zjawisk życia duchowego wydaje skutki niezmiernie dla jednostki pożądane. Choćbyś czytelniku nie dbał o psychologią historyi, o psychologią etyki lub mitologii porównawczéj, to jednak o to dbać musisz, ażeby ci było dobrze na świecie. A wierz mi, że z psychologią będzie ci lepiéj niż bez niéj. Nie wierzysz? Posłuchaj!

Doznałeś wielu zawodów nie tylko od losu.... Dla czego? Boś nie znał ludzi; boś ich brał jak się przedstawiają, nie probując nawet sięgać głębiéj, historycznie, porównawczo.

Wybrałeś zawód nieodpowiedni.... Dla czego? Boś nie znał siebie; boś sobie ufał zanadto, albo nie ufał wcale.

Nie masz szczęścia w pożyciu małżeńskiém, mimo wszelkich warunków zewnętrznych.... Dla czego? Boście się pobrali nie znając się; bo nie umiesz odczuwać obcych stanów duchowych i brać je w rachubę, a otaczający tém mniéj jeszcze.

Robisz sobie bez potrzeby nieprzyjaciół.... Dla czego? Bo nie wiesz tego, że temperament wrodzony, charakter nabyty, okoliczności, wrażenia osobiste tworzą ludzi rozmaitych, którym tę rozmaitość wybaczyć trzeba; bo nie wiesz, a przynajmniéj nie czujesz, że wszystko rozumiéć, byłoby to „wszystko przebaczyć."

Jesteś człowiekiem rozumnym i uczciwym, ale wychowałeś dzieci na nicponiów.... Dla czego? Boś nie obserwował ich skłonności i wpływów jakie na nich działały; boś nie wiedział jak się rozbudza upodobanie do pracy i namiętności szlachetne. Powiadasz, że jeden z nich jest dobry, ale zupełnie nie ma zdolności do matematyki.... Dla czego? Boś nie wiedział jak powstają pojęcia liczby; boś go nie nauczył dobrze początków. Cóż cię to mogło obchodzić, że p. Cugnin napisał „Szkice psychologii w zastosowaniu do nauk matema-

rycznych,“ że Kussmaul, Darwin, Taine, pani Necker de Saussure i inni obserwowali skrupulatnie objawy budzącego się życia umysłowego u dzieci. A jednak kto te drobiazgi przestudyował, ten już z konieczności inaczéj, jaśniéj musi patrzéć na własne dzieci. Nie stworzą te książki pedagoga, ale téż nikt się nie rodzi gotowym pedagogiem.

Ostatecznie zwalasz wszystko na losy, na nieszczęśliwą gwiazdę, wierzysz w uroki, w przyrodzoną przewrotność ludzką, w loteryą, w sny, jesteś przesądnym.... Dla czego? Boś był w życiu wszystkiém, tylko nie badaczem życia.

A ty, panie psychologu, byłeś i jesteś marzycielem i entuzyastą odpowiész czytelniku.... — *Zgoda.* Ale jeżeli to marzycielstwo pozwala mi przewidywać lepszą przyszłość, jeżeli ten entuzyazm pozwala mi znosić złą teraźniejszość, jeżeli jedno i drugie razem wzięte zmusza mnie do ciągłego uczenia się, jeśli widzę własny z tego pożytek i czuję, że każda chwila życia w świetle téj nauki, sama się staje nauką.... nie mamże wołać: uczmy się!?

No, kochany czytelniku, pozwól, że już za ciebie odpowiem:

— Ha, w takim razie: uczmy się!

Dr. Juljan Ochorowicz.

docent univ. Lwowskiego.

12/I 1879

DROBNA SZLACHTA

W KRÓLESTWIE.

STUDYUM SPOŁECZNE.

NAPISAŁ

WŁADYSŁAW SMOLEŃSKI.

(Dokończenie.)

III.

Porządek w mieszkaniu, pokarm, strój mężczyzn i niewiast.—Wychowanie, oświata, zdolności i przesądy, pobożność i charakter szlachty.—Zaloty, gale, wesele, pożycie małżeńskie.

Pod względem potrzeb niezmiernie mało różni się szlachcic od chłopa. Mieszkanie jego, o czém mówiliśmy już wyżéj, jest smrodliwém, brudném i ciasném. Karmnik w niém otrzymuje swą porcyą w niém indyki i gęsi w kojcach, a kaczki i kury w koszach wysiadują potomstwo; różnego gatunku pisklęta pożérają tu jaja i twaróg, czyniąc zarazem nieczystość; śród ostréj zimy, cielę i jagnię w mieszkaniu znajduje przytułek. Warsztat do fabrykacyi płótna, kółka, wijaki i żarna zajmują znakomitą część izby; zabity karmnik, pocięty na sztuki i posolony, przez parę tygodni spoczywa w korycie; kiełbasy długą girlandą wiszą na ścianach, a śród tego wszystkiego rodzina szlachecka ze swoją mieści się służbą.

Szczelnie zakitowane okna nie otwiérają się nigdy; w lecie drzwi, wciąż rozwarte naoścież, wpuszczają nieco świéżego powietrza; podczas zimy nieustannie smrodliwy panuje zaduch. Jedynie przed świętami wielkanocnemi, ku przyzwoitemu zaprezentowaniu się przed przybyłym na święcenie proboszczem, ze wszystkich kątów gospodyni usuwa śmiecie; drewnianą podłogę myje, w glinianéj doły zaciéra, przysypuje ją piaskiem i tatarakiem; ściany bieli i izbę wykadza jałowcem.

Oprócz parobków, którzy się mieszczą po oborach, stodołach i stajniach, w jednéj komnacie sypiają wszyscy; łóżka szlacheckie są w głąb' ku szczytowemu oknu wsunięte, służących płci żeńskiéj przy drzwiach się mieszczą. W jednéin łożu spoczywają, bez względu na płeć, trzy a nawet cztéry osoby, obie pary nogami ku sobie. Dla dziatek niezmierna stąd płynie pociecha, albowiem, wierzgając kończynami, młócą się lub, uniosłszy pierzynę, na przeciwległą parę wpuszczają zimno, co obu stronom wielką sprawia emocyą. Jeżeli ku przenocowaniu trafią się goście, dzieci śpią ze służącemi; w lecie z parobkami idą na siano, w zimie do obory lub stajni. Łóżka poduszkami i pierzynami, obleczonemi w kraciaste powłoczki, bywają wyściełane wysoko; na wielką uroczystość pokrywają je wełnianemi prześcieradłami, które się zowią kapami.

Pokarm, o czém wspomniano wyżéj, niezmiernie jest prosty. Składa się z potraw roślinnych i mącznych, w dni postne olejem, a w zwyczajne przyprawianych słoniną. Mięso używane jest rzadko, dostarcza go chyba od czasu do czasu dobite bydlę. Raz na rok, podczas świąt wielkanocnych, szlachcic ze służbą je chléb pytlowy i wieprzowiny w postaci kiełbas, kiszek i szynek spożywa do syta; zresztą kontentuje się razowcem i znalezioną w zupie szperką lub skwarką, która wielki stanowi przysmak. Chętnie konsumuje kaszę jaglaną, banię z mlekiem, jarmuż, wszelkiego gatunku grzyby, lecz największym specyałem jest twaróg ze szczypiorkiem i jajecznica z kiełbasą.

Rodzina szlachecka je śniadanie, obiad i kolacyą razem ze służbą. Na długim stołku stawiają misę; konsumenci z drewnianemi, lub blaszanemi łyżkami na ławach lub niskich siadają stołeczkach. Nie używając talerzy, czerpią ze wspólnéj misy i niosą zupę do ust powolnie; od czasu do czasu przegryzają razowym chlebem. Zjadłszy, nie dziękują gospodarstwu, ani sobie nawzajem; żegnają się tylko i do roboty lub spoczynku odchodzą. Po wspólnym dopiéro obiedzie szlachcianka mężowi i dzieciom specyały pewne dodaje oddzielnie. U zamożniejszych, oświeceńszych, lub kiedy obcy zjawią się goście, zdarza się odseparowanie służby od stołu. Rodzina siada oddzielnie, służba—przy stołku; obie grupy z różnych mis czerpią, chociaż potrawy z jednego zazwyczaj pochodzą garnka, tylko, że szlachcianka mężowi i dzieciom obficiéj doleje mléka, lub bogaciéj kartofle ozdobi słoniną. Przed laty, rzetelnego zażywano napoju piwa ze śmietaną grzanego; teraz wchodzi w użycie herbata i kawa, chociaż jednéj i drugiéj szlachcianka przyprawić nie umié. Dla zrobienia herbaty imbryk tylko posiada; wodę w zwyczajnym gotuje garnku i płyn nie smaczny a mętny, jako największy specyał, złożonemu chorobą,

lub szanownemu podaje gościowi. Szlachta cztéry razy pożywia się na dzień, bo oprócz śniadania, obiadu i kolacyi, które niczém się od siebie nie różnią, je podwieczorek z jajecznicy, chleba z twarogiem lub masłem, co pomazanką się zowie. Dla dzieci rzetelnym przysmakiem jest obwarzanek miejski lub „kupna“ bułka. Podczas powrotu rodziców z miasta, na ich spotkanie, dla odebrania gościńca wychodzą daleko; pszenicznego specyału nie jedzą zaraz, owszem noszą przy sobie, ku zabawie go używając, aż stwardnieje na kamień.

Strój mężczyzn i niewiast od chłopskiego różni się bardzo pod względem materyału i kroju; wyróżnia się téż szlachcic od chłopa i swojém obliczem. Włosy zapuszcza dość długie, lecz zawsze je strzyże; brodę co święto wygala, zostawiwszy wąs zawiesisty, który starsi przycinają równo z wargami; lubuje się w wąskich faworytach od ucha idących do wąsa, zamiast pomady używa do włosów okrasy; eleganci rozczynem z sadzy czernią sobie białe lub rude bokobrody lub wąsy.

Poważny szlachcic z szaraczkowego zazwyczaj sukna nosi kapotę, sięgającą do kolan, na obie strony zapinaną pod szyję. Na zimę z tegoż materyału, na lato zaś materyalna w kwiaty kamizelka osłania mu piersi; spodnie w dzień powszedni nosi w cholewach, w święto je opuszcza na buty, zaopatrzone w podkówki. Głowę nakrywa sukiennym kaszkietem; zamiast pospolitych u włościan wysokich czapek baranich, używa nakrycia ze skóry lisiéj. Z tylnéj kieszeni surduta wygląda róg czerwonego płatka; na szyi chustkę ciemną zawiązują w kokardę. Jest to ubranie odświętne. W dzień powszedni, w lecie, szlachcic chodzi bez krawata, boso, w saméj bieliźnie; na koszulę narzuca niekiedy beżową, perkalikową lub prunelową kurtkę; w zimie nadziewa zwyczajny kożuch, ściągnąwszy go wełnianym pasem, lub zwyczajnym postronkiem. Bieliznę, jak to rzeczono wyżéj, ma z płótna swojskiego; koszula u rękawów i szyi, zamiast guzików, opatrzoną jest w sznurki. Na wielkie święto szlachcic używa półkoszulka t. j. (z zakładkami i kołnierzykiem) cienkiego gorsu, który sznurkami przywiązuje około szyi i w pasie. Kalesonów i skarpetek nie używa; nogi owija szmatami, onucami, w buty wkłada garść prostéj słomy, wiecheć. Właściwie trudno dopatrzéć u szlachty takiéj jednolitości w ubiorze, jaką widzimy u chłopów. Krój i fantazya, jedna, ale, stosownie do zamożności osobników, różnice wielkie. Szczególniéj ukazują się one w szatach młodzieży, dla któréj obojętną nie jest i moda.

Różnemi ona korytami do szlacheckiéj spływa młodzieży; najczęściéj pisarz gminny, brat lub kuzynek przebywający w szkołach,

panek w sąsiednim mieszkający folwarku ton modzie nadają. Młodzież w kościele, na jarmarku i targu pilnie się osobom wystrojonym przygląda i z nich wzór bierze dla siebie. Nosi więc kortowe i sukienne żakiety, tużurki i kamizelki do gorsu, stojące kołnierzyki; zamiast butów z cholewami używa kamaszy; zamiast chustki—kolorowego krawata; przystraja się w cienkie koszule z guzikami i spinkami różnemi; rękawiczki nawet naciąga. Ma się rozumiéć, że wszystko to jest skarykaturowane i szlacheckiemu młodzieńcowi małomiasteczkowego rzemieślnika nadaje pozór. Zauważyć jednak należy, że od chwili, kiedy się szlachcic ożeni, z narowami młodości zrywa i ubiéra się w kostium, odpowiedni swojemu stanowi.

Szlacheckie niewiasty lubią suknie z ciemnego perkaliku i takież fartuchy; szyję ozdabiają paciórkami i haftowanemi fryzkami; w uszy wpinają kolczyki; nogi ubiérają w skórkowe, czasem w prunelowe trzewiki, obute na białą, własnéj roboty pończochę. Szlachcianka musi posiadać parasolkę i kapelusz, ozdobiony we wstęgi i kwiaty; bez nich w kościele, a nawet w mieście nie pokaże się nigdy. Na ciemną, prostego kroju, lubo dłuższą od chłopskiéj suknię, narzuca chustkę wełnianą; w zimie—podwatowaną, z futrzanym kołnierzem salopę, a ręce ukrywa w mufce. Mężatka włosy swoje w długie splata warkocze, które, na wierzchołku głowy okręciwszy, przy pomocy mnóstwa podwójnych szpilek w duży czub spina; głowy nigdy na sposób chłopski nie owija kolorowemi chustami, lecz ją w płócienny lub tiulowy ubiéra czépek, a na czubie zatyka grzebień. Panna warkocze opuszcza nieco na barki i, ująwszy je w siatkę, przystraja w chaber, astry, mak lub nagietki. Podobnie jak kawalerowie, niezamężne niewiasty idą za modą. Za przykładem mieszczanek i panien dworskich, wszelkie jéj fazy przechodzą, fatałaszków używając rozlicznych. Przed laty były zwolenniczkami krynolin, które, żeby fiszbinowych prętów nie łamać, przy siadaniu podnosiły wraz ze spódnicą i suknią; dzisiaj noszą koki, a i szaty wedle panującego zwyczaju drapują, w garści je dzierżąc. Wszystko to, naturalnie, jest mocno skarykaturowane i gwałtownie pod ołówek humorysty się prosi. W ogóle szlachcianki z powierzchowności są bardzo do mieszczanek podobne i pod tym względem nic wspólnego nie mają z chłopkami. Za to przy robocie nie wyróżniają się niczém. Boso, w spódnicy tylko, z chusteczką kolorową, narzuconą na głowę, robią grabiami i sierpami; po rysach byś tylko i po pewnéj zwinności w ruchach krew szlachecką w robotnicy rozpoznał.

Dzieci z odkrytemi główkami, boso, w koszulach samych wałęsają się przy domu, w piasku grzebią lub pasą gęsi; na wielką uro-

czystość przystrajają się w sukienki, majtki, kapelusiki lub kaszkiety, stosownie do płci i wieku.

Pod względem higienicznym, wychowania i oświaty, szlachcic stoi z chłopem na równi lub niżéj. Jest brudny, bo raz na tydzień zmienia bieliznę; w dzień powszedni nie umywa się wcale; powstawszy z łoża ziewnie, przeciągnie się i do roboty podąża. W niedzielę tylko brodę swą goli; w zimie ciepłą, latem zimną wodą twarz i ręce obmywa, inne części ciała zostawiając w spokoju; nie znając ręcznika, ociéra się brudném prześcieradłem, na którém sypia lub koszulą, którą ma przywdziać.

Raz na rok, tylko na wielkanoc, szlachcic gruntownie zaznajamia się z mydłem. Gospodyni w naczynie, do prania bielizny służące, w tak zwaną balję, ciepłéj wody nalewa i z kolei obnażonych do pasa myje, uwzględniając szyję i głowę.

Wychowanie dziecka na niewielkie naraża mozoły. Trudy matki nad pielęgnowaniem niemowlęcia w kołysce kończą się, rzec można, z chwilą, gdy ono pocznie o własnych chodzić siłach, a wynagradzają się szybko, gdyż kilkoletni wyrostek piérwotną nieprodukcyjność umié już spłacić gospodarstwu, jako pastérz ważne niosąc usługi.

W wychowaniu dzieci pierwszorzędną rolę odgrywa matka natura. Szlachcianka do roboty idąc, podobnie jak chłopka, zostawia samo niemowlę w mieszkaniu, lub je opiece starszego nieco drobiazgu powierza; na polu sadowi je w rozpiętéj pomiędzy dwoma kijami chustce; złożone chorobą Opatrzności boskiéj poleca. Wychowawczy mozół zasadza się pod względem duchowym na wyuczeniu dziecka paciérza, ze strony fizycznéj na zaopatrzeniu wyrostka w bieliznę, szaty i pokarm. Oprócz tych elementarnéj natury potrzeb duszy i ciała, innych dziecko szlacheckie nie zna; samopas puszczone jak dzika latorośl wegetuje śród gęsi, nierogacizny i bydła. Pięcioletnie pacholę lubo drży jeszcze przed sykającym gąsiorem i ucieka na widok napuszonego indora, uzbrojone w gałąź lub biczyk musi przecież nad całém stadem panować i czuwać, by zwierzę żarłoczne nie uczyniło w niém szwanku. Na większy naraża je mozół nierogacizna, a tém bardziéj błąkanie się za bydłem po lasach.

Kilkunastoletni wyrostek robi już sierpem, chwyta za płużycę i cepy; doszedłszy do lat dwudziestu staje do kosy. Cała młodość spływa przy pracy fizycznéj, urabia się człowiek barczysty i krzepki, lecz jak noc ciemny.

Pomiędzy wychowaniem dziewcząt i chłopców różnicy żadnéj, do pewnego wieku nie ma jéj i pod względem zajęć. Dziewczę również pasie indyki i gęsi, jak nierogaciznę i bydło; doskonale jeździ na

koniu; dojrzawszy, chodzi za pługiem, robi sierpem, bije nawet cepami, nie staje jedynie do kosy. I jéj strona umysłowa zaniedbaną bywa zupełnie; całą dobę młodości zapełnia praca fizyczna.

Na stu szlachciców 10% może umié przeczytać, a 1% potrafi położyć podpis. Poziom umysłowy szaraczków nie przewyższa skali inteligencyi chłopskiéj; owszem, jest nawet od téj ostatniéj niższy, a przyczynę tego zjawiska objaśnia socyalne położenie jednéj klasy i drugiéj przed rokiem 1864.

Przed uwłaszczeniem chłop, będąc pod opieką władzy patrymonialnéj, zależnie od dobréj woli dziedzica oświecał się lub zostawał w ciemnocie. Był pewien procent obywateli, którzy, zakładając uczelnie i łożąc na uposażenie mistrzów, zmuszali swych włościan, by przynajmniéj podczas zimy posyłali dzieci na naukę. Jakoż obok wiosek, w których niedbały panek zostawił ciemności w spokoju, trafiają się i takie, w których, dzięki opiece dziedzica, większość ludności potrafi czytać i pisać.

Gdy przeto z powyższych przyczyn, dość znaczny procent oświeconych przypada na włościan; śród szlachty jest on daleko mniejszy, bo téż i jéj pozycya mniéj pod tym względem była korzystną. Bez patrymonialnéj opieki, niezależna i własnym, choć uboga, pozostawiona siłom, jakżeż do oświaty miała się garnąć, gdy o jéj potrzebie należytego pojęcia wyrobić sama nie mogła, a z zewnątrz od nikogo nie znajdowała impulsu? Zrozumiawszy nawet konieczność nauki, trudno było szlachcie jéj szaty słonecznéj się dotknąć, gdy, jako niezależna, szkołę i nauczyciela o własnym utrzymać musiała koszcie, co dla braku sąsiedzkiéj solidarności, a przedewszystkiém dla ubóstwa i skąpstwa było niezmiernie trudném. Dla takich przyczyn szlachta pod względem umysłowym niżéj stoi od chłopów; maleńki zaledwie procent potrafi czytać, a mniejszy jeszcze podpisze swoje nazwisko.

Nie idzie przecież za tém, aby do głów szlacheckich promienie wiedzy absolutnie nie miały przystępu. Owszem, są w niektórych osadach ludzie z wykształceniem progimnazyalném; są nawet wioski, w których, z małemi wyjątkami, wszyscy umieją czytać; jest to jednak wynik jakiéjś nadzwyczajnéj okoliczności, lecz bynajmniéj nie ogólnego poczucia potrzeby światła.

Skoro się w osadzie znajdzie jednostka, pragnąca swym dzieciom jakie takie wykształcenie zapewnić, gdy się przytém bez wielkich zachodów nastręczy za skromną zapłatę nauczyciel wędrowny, za przykładem jednostki ogół podąży chętnie. Jakoż zdarzało się i zdarza, że przy takich warunkach dzieci szlacheckie, w zimie przynajmniéj, gdy mniéj są przy gospodarstwie potrzebne, do szkoły cho-

dzą i w nich korzyści odnoszą o tyle, że się pomodlić umieją na książce.

Częstokroć jednostka nie poprzestaje na szkółce wiejskiéj, lecz daléj do wyższego, a następnie do specyalnego zakładu posyła dzieci. Zdarzało się to częściéj przed laty, przed kasatą klasztorów i ostatnią organizacyą szkolną w królestwie.

Istniały śród drobnéj szlachty uczelnie pijarskie: w Łukowie, gdzie nawet był konwikt dla ubogiéj młodzieży; w Szczuczynie około Wisny, w Drohiczynie, Łomży, Radziejowie; uczyli reformaci w Żurominie, bernardyni w Ostrołęce, franciszkanie w Stawiskach, benedyktyni w Pułtusku; do szkół tych, że było blisko, a opłata wynosiła niewiele, szlachecka młodzież zbiegała się tłumnie. Oprócz klasztornych, nawiedzało gęsto i szkoły rządowe: w Pułtusku, Łomży, Siedlcach i Mławie; w ostatniéj dwustu przeszło wyrostków zasiadało na ławach. Koszta wynosiły niewiele, bo młódź szlachecka była w mieście, jak mówiono, na torbach. Działo się to, a nawet i dzisiaj jeszcze się dzieje, w ten, niekażdemu wiadomy sposób.

Umieszczał ojciec syna u jakiéj wdowy na wspólnéj stancyi, za którą płacił kwartalnie trzy ruble. Za te piéniądze i pewne dodatki w drzewie lub krupach, obowiązaną była gospodyni gotować także śniadanie, obiad i kolacyą. Wiktuały wszelkie: chléb razowy, kaszę, mąkę, kartofle, masło, mleko, sér, jaja, słoninę, kiełbasy itp. co tydzień w dzień targowy przywożono i oddawano chłopcu, by to wszystko w skrzyni swojéj umieścił i kucharce codziennie odpowiednią miarę wydzielił, ku czemu posiadał kwartę. Na jednéj stojący stancyi, żeby gospodyni nie przysparzać roboty, zgadzać się powinni na wspólną zupę; otrzymywali więc wszyscy w glinianych miseczkach: na śniadanie kaszę z mlekiem, na obiad zaciérki ze słoniną, na kolacyą kartofle z kaszą. Obiad był krótki; po zjedzeniu zupy każdy, jeżeli jeszcze w żołądku czuł próżnię, biegł do swéj skrzynki i spożywał chléb z masłem, kawał kiełbasy, lub inny specyał, dostarczony mu z domu. W niedzielę i święto młodzieńcy sprawiali ucztę: polecali kucharce, aby na wieczerzę zrobiła jajecznicę, a na obiad ugotowała rosół i kawał mięsa.

Życie więc kosztowało niewiele, a raczéj nic nie kosztowało, boć i w domu młodzieniec zjadłby to samo.

Były stancye z mieszkaniem i stołem; za te również wynagradzało się tanio. Za mojéj pamięci (r. 1864), w Mławie płacono sześć rubli miesięcznie za mieszkanie i stół iście królewski. Na śniadanie dawano kawę z bułkami, na obiad zupę i, prócz dni postnych, mięso; na podwieczorek chléb z masłem, sérem lub powidłami; na

kolacyą herbatę z bułką, a w ostatnie dni karnawału obficie pasiono pączkami.

Dla oszczędności i zapobieżenia oszustwa, krawiec, sprowadzony do domu, szył całą dla ucznia wyprawę. Z przenoszonego przez ojca surduta wykroił mundurek, który, ozdobiony herbowemi guzami i czerwonym kołnierzem, wyglądał wspaniale; szewc miejscowy fabrykował buty z dostarczonéj mu skóry; matka z własnego wyrobu płótna szyła bieliznę, którą zawsze wyprano w domu i na termin odstawiono do miasta.

Wpisowe do szkoły wynosiło ośm rubli rocznie; kilka złotych kosztowały książki szkolne od starszych nabywane kolegów. Szlachcic na utrzymanie syna nie wydawał gotówką rocznie więcéj nad rs. trzydzieści, licząc w to kilkadziesiąt kopiejek kwartalnie na papiér i pióra.

Zaznaczyć przytém należy, że młodzieniec część wyłożonych na siebie kosztów podczas wakacyi pokrywał pracą około roli, żniwa i zwózki: wiązał zboże, ustawiał mędle, nakładał na furę i zwoził; z widłami w ręku podawał snopy lub je w sąsieku układał. Ilekroć razy ze szkół powrócił, niczém się od parobka nie różnił: z końmi wyjeżdżał na noc, wywoził mierzwę, drwa rąbał i orał, młodszy pasł bydło i gęsi. Nawet alumn podczas feryi rewerendę wieszał na kołku i, jako człek pospolity, musiał ojcu w gospodarstwie pomagać. Nie podobało się to młodzieńcowi, że zamiast wywczasu, z twarzą ogorzałą od słońca i zgrubiałemi rękami jak zwyczajny robił najemnik; lecz go ojciec do tego zmuszał, boć sam ciężko pracował, a nie uważał, żeby po nauce, którą za lekką poczytywał zabawkę, był potrzebny spoczynek.

Marzeniem było szlachcica wykierować syna na mnicha, a lepiéj na księdza świeckiego. Na urobienie tego ideału wpływała najprzód pobożność, daléj ta myśl ponętna, że syn, powszechnym otoczony szacunkiem, piérwsze miejsce zajmie w parafii; karyera ta zresztą okupywała się łatwo i tanio, a przy dawném uposażeniu duchowieństwa pod względem materyalnym pozycyą zapewniała rzetelną.

Po ukończeniu rządowych klas czterech, lub po wyjściu ze szkół klasztornych, umieszczano chłopca w seminaryum w Pułtusku, Warszawie, Płocku; po upływie lat cztérech lub pięciu zostawał księdzem i odbywał prymicye. Od tego czasu rodzeństwo całe patrzy na niego z podziwem; rodzice, stryjowie, wujowie, ciotki, bracia i siostry nie śmią po imieniu nań wołać, lecz księdzem go zowiąc, mówią „niech ksiądz“ to a to zrobi, o tém lub owém opowie; przy powitaniu starsi całują go w ramię, młodsze rodzeństwo w rękę. Skutkiem

tego młody człowiek wbijał się w dumę; jako rozumniejszy a wtajemniczony w religijne świętości, rodzeństwo traktował z góry i nie rad był z niém często przestawać. Chłód pomiędzy nim a rodziną przewiewał; zawisała tam atmosfera dusząca; obustronnie stosunek stawał się oziębłym i sztywnym. Niekiedy z jednéj rodziny dwóch, a nawet trzech synów przyjmowało suknię duchowną; na Mazowszu z połowa księży z drobnéj pochodzi szlachty.

Objąwszy probostwo, ksiądz niezdatnych do pracy rodziców zabiérał do siebie, lub im życie spokojne w inny zapewniał sposób; łożył na wykształcenie młodszego rodzeństwa, a zbogaciwszy się, siostrom dawał posagi, niemającym zaś pozycyi braciom kupował majątki.

Zdarza się jednak, gdy syn uczyć się nie chce, marzenie rodziców o twardy rozbija się zawód. Jeżeli w szkole powiatowéj na książkę patrzy ze wstrętem, nie na wielkie jeszcze naraża straty, bo go rodzice zabiorą do domu i każą paść bydło; gdy jednak po ukończeniu progimnazyum, w seminaryum idzie mu ciężko, rodziców, którzy ostatni grosz na jego karyerę wyłożyli daremnie, przyprawia o ruinę. Znałem młodego człowieka, który zwiedził trzy seminarya; ośm lat jako alumn wyzyskiwał ubogich rodziców, aż z wielką ich rozpaczą, wypędzany zewsząd, suknię zmuszony był zrzucić. Dla nieuków takich pozostaje powrót do twardéj pracy pod strzechę rodzinną, pisarstwo gminne, pozycya oficyalisty we dworze lub zawód wiejskiego belfera.

Synowie drobnéj szlachty, pomijając karyerę duchowną, pną się i wyżéj. Szkołę powiatową przy pomocy rodziców skończywszy, daléj o własnych już zmierzają siłach; zarabiając korepetycyami i przypisywaniem, kończą uniwersytet, zaszczytne stanowisko zajmują i chlubę przynoszą krajowi. „Ta dziarska a pełna samoistności ludność zaszczytnie dla siebie zasila wiele różnych położeń społecznych i liczy w gronie swych synów niemało osób wyższego znaczenia i zasług, otoczonych czcią i poszanowaniem powszechném“, obznajmiony ze stosunkami powiedział pisarz. Najdzielniejsi urzędnicy nasi pochodzą z téj klasy; znam osobiście zdolnych prawników, nauczycieli i samych lekarzy, którzy tą drogą na społeczny wypłynęli wierzchołek.

Mający kwalifikacyą czteroklasową zajmują posady nauczycieli wiejskich, ekonomów, oficyalistów w dobrach, pisarzów gminnych; zostają dependentami i kancelistami w biurach; powracają téż na zagon ojczysty, by go własnoręcznie w pocie czoła uprawiać. Ci ostatni, gospodarstwem zajęci ciągle, zapominają zazwyczaj wiadomości nabytych w szkole; pozostają jedynie przy nauce czytania i pisania,

chociaż pod względem ogłady zawsze się wyróżniają i rej zwykle wiodą śród braci.

Od kasaty klasztorów i zniesienia niektórych szkół powiatowych, np. mławskiéj, procent pobiérających nauki wyższe znakomicie się zmniejszył. Zawarty został wstęp do klasztorów, seminaryów nie zapełnia już w tak znacznéj liczbie młódź drobno-szlachecka, mało jéj znajdziesz w gimnazyach i uniwersytecie. Przedewszystkiém zamknięcie szkół przy klasztorach dla drobnéj szlachty wielkim jest szwankiem: odebrało jéj sposobność taniego kształcenia się i zatamowało popęd do szukania karyery za pośrednictwem nauki. Nie może ich zastąpić szczupła liczba dzisiejszych progimnazyów, ani nierozwinięte szkoły prywatne; do gimnazyów zaś, że są odległe, a utrzymanie w mieście gubernialném kosztowne, dla drobnéj szlachty dostępu nie ma. Lubo jéj służy prawo posyłania dzieci do szkół elementarnych, korzysta przecież z nich mało; podrastająca generacya mniejszy od poprzednich okaże procent umiejących czytać i pisać.

Wywołane przez wskazane powyżéj okoliczności utrudnienie w kształceniu się szlachty, wielką dla niéj i kraju stanowią szkodę; jest ona bowiem wybornym dla pracy naukowéj materyałem przez swą ciekawość i zdolność. W nieokrzesanym szlachcicu uderza owa bystrość pojęcia i umysłowa ruchliwość, czego nie dopatrzysz u chłopa, flegmatycznego i ciężkiego z natury, zawsze tępego, choćby nawet nabył nieco wiadomości książkowych. Szlachcic interesuje się wszystkiém i na wszystko własny umié wyrobić pogląd. Żywo się zajmuje polityką i lubo wiadomości czerpie od Żydów, to jednak oryginalne wyprowadza z nich wnioski, zawsze wrogie dla Niemców, korzystne dla Francyi. Poznawszy alfabet, chętnie umiejętność swoję manifestuje publicznie: na jarmarku odczytuje żydowskie szyldy, w kościele sylabizuje książkę nabożną, półgłosem wymawiając z mozołem pochwycone wyrazy. Znajdziesz książkowych erudytów, którzy w niedzielę i święto po setny raz, dla braku świeżego, w starym się zagłębiają szpargale, komentując go i podziwiając. Pomimo braku elementarnego nawet wykształcenia, daje często szlachcic dowody bystréj spostrzegawczości i zdrowego sądu o rzeczy; jest gadatliwy, wymowny, aż do czelności śmiały; krotochwili i sarkazmu zażywa chętnie. Obok tego wszystkiego jakże jest nieokrzesany i ilu hołduje przesądom!

Ci tylko, którzy się otarli o szkołę, mówią językiem książkowym; reszta, podobnie jak chłopi, uprawia dyalekt mazurski. W ciechanowskiém zamiast *ż—z; szcz—sc*; *sz—s; cz—c* wymawiają; zeby, Scepan, sabas, casem. Mieszają spółgłoski: *m* i *n*; nie nitka, lecz

mitka; zamiast miska—niska. Mówią: pócta (pójdźcie), pućwa (pójdźmy), muma (mamy). W trzeciéj osobie czasu przeszłego *ł* po spółgłosce opuszczają: wymiót, zdech, szed. Po samogłoskach z *d* robią *t* (szet, wrzót); z o pochylonego—*u*; samogłoskę *a* przeobrażają w *u* np. mum (mam), pun (pan). Dźwięki nosowe nie są wykształcone, więc mówią: wziun (wziął), mundry (mądry), gensi (gęsi), a przytém zawsze chodzą *bez* most *przez* czapki. Pospolicie dają się słyszéć wyrazy: zamanuwszy (od czasu do czasu), ajwu lub ajwuj (tu), juści (tak). Szlachcic, który do szkół posyła synów, o uczonych się ociéra, bywa we dworze lub konkuruje o pannę, usiłuje mówić książkowo, chociaż wszystko mu idzie na opak. Gdzie powinien powiedziéć *sz*—wymawia *s*; zamiast *s*—*sz*, więc powié: cęsto, żabawa, mięszo. Wpadnie mu w ucho uczony wyraz, przeto go ciągle bez potrzeby powtarza, np. bynajmniéj, zapewne, zaiste. Klnie na czém świat stoi; przez usta jego na słów wartkim potoku płyną miliony szatanów, choroby, cholery, paralusze (paraliż), wciurności itp.

Nie ma dla niego żadnych w naturze tajemnic; wié o wszystkiém, każde zjawisko w teologiczny objaśni sposób. Grzmi—pan Bóg w niebie jeździ po bruku; łyska się—stwórca, drzwiczki od nieba rozwarłszy, okazuje niebiańską światłość; tęcza jest pijawką, która ściąga z padołów wilgoć i oddaje ją chmurom. Przeświadczony o błahości sił ludzkich, wszystko opiéra na dopuszczeniu bożém. Podczas choroby lekarza nie wezwie; zażegnaniem, wodą święconą i ziółkami znachorów uśmierza boleść i od łoża odpędza śmierć bladą.

Skalą przesądów przewyższa chłopa, albowiem, oprócz wspólnych, posiada przesądy rodowe, które czynią go dumnym i z wysoka traktującym ludzi krwi innéj. Wié, że jest szlachcicem i to poczytuje za motyw, do zajęcia wyjątkowéj pozycyi wystarczający zupełnie. Szaraczkowie starli z pamięci świadomość o dawném stanowisku kasty, do któréj sami mieli szczęście należéć, pozostały im jedynie mgłą nieprzejrzaną owiane pojęcia o szlachectwie i herbie i przeświadczenie, że są cenniejsi od chama. Co jest szlachectwo, co herb? który rzadko potrafią nazwać, nie wiedzą; pojmują tylko, że jedno i drugie stawia ich nieskończenie wyżéj od gminu, a zbliża do szlachty folwarcznéj, panów. Traktuje téż szlachcic chłopa protekcyonalnie: nie brata się, chociaż zasiada z nim w karczmie; córki jego nie pojmie za żonę nigdy; chętniéj służy we dworze lub u sąsiada, u chłopa ostateczną chyba znaglony potrzebą i wymaga od niego oznak szacunku.

Chłop tytułować musi szlachcica panem lub waćpanem, żyd—wasanem, szaraczek zaś do pierwszego przemawia: „wy,“ a do drugiego „ty“ mówi. Sami szlachcice nazywają się wzajemnie panami,

waćpanami, jegomościami, szlachcianki—paniami, waćpaniami, jéjmościami i obrażą się srodze, gdy kto zawoła z nazwiska bez dodania tytułu, lub gdy jak do chama „wy“ powié.

Szlachcice grubi łaskawiéj postępują z szarakiém, niż z chłopem. Mówiąc mu „waćpan“, pytają o zdrowie żony i dzieci, w domu swoim proszą go siedzićć, do stołu i do poufałéj dopuszczają rozmowy. Zagonowiec za wielki to sobie uważa zaszczyt; uniżenie się kłania i przed sąsiadami stosunkami takiemi się szczyci. Włościanin, lubo w obec zagonowca okazuje pokorę, w duszy jednak drwi z niego. Dziwną mu się wydaje duma, na kilkunastu osiadła zagonach i w marne przybrana szaty. Dzieci chłopskie pełną ironii nucą o szlachcie piosenkę. „Jestem ja Mazur, Mazur bogaty! Świécą się na mnie prześlicne saty: kosulkę mam dreliskową, właśnie jakby muślinową, dratwami sytą. Jedna w robocie u miłéj swacki, drugą słuzbista oddał do pracki; trzecia, stara w ługu moknie; cwarta, nowa wisi w oknie, piąta w schowaniu. Mam ja i zupan zółty od święta, co w nim mój pradziad pasał cielęta; jest z materyi samolitéj, jezowém futrem podsyty,—cała podsewka. Kontus lisiasty, pstro nabielany, a przy nim snurek jest konopniany: sklane guzy z pętlicami, a z długiemi klapeckami rękawy wisą. Pas łycakowy kunstu pięknego, z jęcmiennéj słomy frendzel u niego: juz to temu dawne casy, jak bywały takie pasy w naséj krainie. Sukno na spodnie w Krakowie brano, po ctéry grose za łokieć dano, kazałem je mocno robić, zeby było dobze chodzić za własne grose. Krawcowi dałem półtora grosa, by dobze ręką kiwał od nosa; musiałem mu dobze płacić, bo się lubi w karcmie upić na gorzalinie. Hej! mamze bo ja i siekierеckę, pęchez tytuniu, cybuch, fajeckę, często sobie na niéj kurzę, a casem téz i zabzdurzę za ojca, za mać (?). Mam téz sabelkę, ostro toconą, w kilku potrzebach już wyscerbioną; nierazem ja nią wywijał, jakem się z chłopami bijał w karcmie na piwku. Raz téz swojego wziąwsy dachmata, jadę próbować scęścia do świata: skoroni się z domu wytocył, az mój dereś zarzał, skocył, zadarłsy ogon. Przybyłem do wsi, gdzie płynie Wisła, na me spotkanie panienka wysła; przecudownych obycajów, musiała być z obcych krajów, ładna dziewcyna! Jam się jéj spytał, cyby mnie chciała; ona mi zara rąckę podała; ojciec matka wybiezeli, jak się jeno dowiedzieli, juz ci wesele.“

Na charakterze szlachcica, obok nieokrzesanych popędów człowieka gminu, mienią się cnoty i wady, odziedziczone z przeszłości. Szaraczka można na pierwiastki rozłożyć i znaleść w tym chłopie, z pozoru, arystokratyczną dumę, junakieryą rycerską, sejmikową krzykliwość, wiejską otwartość, południowy podstęp i afekt serdecz-

ny; całą grę świateł i cieni epoki saskiéj, starannie konserwowaną przez tę nieokrzesaną garstkę, dla któréj zachowawczość stanowi jedyną prawie siłę moralną.

Patrzy mu z twarzy zuchwalstwo i buta; postawiony obok wieśniaka z innéj zdaje się pochodzić rasy; w ruchach jego przy najcięższéj pracy fizycznéj kozaczą masz zwinność i zacięcie rycerskie; w obejściu z niższymi—pewność siebie, z wyższymi—pokorę i giętkość obręczy. Krzykliwy jest przytém, do kłótni i bójki pochopny, a rzetelny dla swéj krewkości upust znajduje w szkodnictwie, pijaństwie, sejmikowaniu i nieustannych procesach.

Wspomniałem już wyżéj, że wzajemne szkodnictwo rozwiniętém jest silnie, a za żadną nie poczytuje się zdrożność. Bagatelą jest zajechanie w zboże lub łąkę, wcięcie się o parę pokosów, zrąbanie cudzego drzewa; schwytany na uczynku nie tylko nie okaże z tego powodu wstydu, ale owszem, gotów się z pokrzywdzonym zuchwale borykać, nawymyślać mu i szkodę niebawem ponowić. W ogóle drobna szlachta, lubo bardzo rzadko pośród niéj znajdziesz kodeksowego złodzieja, lubi korzystać z darnych usług sąsiada, uszczknąć z cudzéj własności, co, jak niektórzy złośliwie twierdzą, ma być słabością całego szlacheckiego rodzaju. Lecz gdy komunistyczny ten zwyczaj u ludzi z polorem pewną delikatną przybiéra formę i pozór wypadku; u drobnéj szlachty bez ogródki każdy z przed drugiego chwyta, co może, nie bacząc, że czyni krzywdę. Ta zaś chętka korzystania z cudzéj własności nieustannie rozognia spory i ciągłe pomiędzy sąsiadami rozsiéwa kłótnie.

Pominąwszy już omawiane wyżéj szkodnictwo i pochopność do eksploatacyi wzajemnéj, sama natura warunków sąsiedztwa nieustający pomiędzy szlachtą antagonizm musi podsycać. Wytwarza najprzód plotkarstwo, a to tém łatwiéj, że szaraczkowie są niepospolicie ciekawi i czelni. Szlachcianka musi wiedziéć kiedy i jaki sąsiadka chléb piekła, co na posiłek podała gościowi, ile posiada sukien, trzewików; ilekroć razy na drodze obca ukaże się bryczka, ze wszystkich domów oknami lub drzwiami ciekawe wychylają się twarze. Zaledwie przybysz przed wrota gościnne zajechał, gosposie pod najbłahszym pretekstem u sąsiadki się schodzą, by się nieznanéj osobie przypatrzéć i po co przyjechała wybadać. Do plotek przy bujnéj fantazyi i złośliwości niemałéj posiada zdolność i materyału znajduje zasób obfity: komara łatwo utuczy na słonia, z liczmana ukuje dukat. O jakimś skandaliku zasięgnąwszy języka, niewiasta czy mąż szlachecki chodzą od domu do domu, do świadomości wszystkich dobrze własnemi farbami okraszoną podając opowieść.

Z plotek powszechny wywiązuje się tumult. Strona skrzywdzona, biegając także od domu do domu, tłómaczy się, lub piękném za nadobne oddaje; na środku drogi stanąwszy, niewiasta sąsiadki zwołuje na sejmik i grozi; na dach lub płot się wdarszy, głosem wielkim *urbi et orbi* wyrządzoną sobie niesprawidliwość ogłosi, bezecnemi sypie klątwami, nieprzyzwoitość nawet okaże.

Jątrzy zacne sąsiadki szkoda, zrządzona w drobiu. Gęś się dostała do mędla, szkodnicę uderzeniem kamienia, czy kija zabito; kura, przez płot przelazłszy, gospodaruje w cudzym ogrodzie, sforę psów na nią wysłano. O gęś, indyka lub kurę wieś cała w jeden zamienia się okrzyk i w jedno przekleństwo.

Zaprawdę, w żadnéj klasie społecznéj stosunki sąsiedzkie nie są naprężone tak srodze, nigdzie nie znajdziesz tych swarów, obmów i różnych skandalów, jak u naszych szaraków.

Z zajścia drobnego wielka sroży się burza, zwana procesem. Towarzyszy mu zawsze niepospolita w szlachcie zaciętość, a dekoracyą zawsze posiada komiczną. O kurę, śród żniwa, kiedy każda chwila jest drogą, strony poszkodowane z licznymi świadkami ciągną do sądu. Dla oszczędności na jednym mieszczą się wozie. Jakób i Szymon wprzęgli po koniu, Bartłomiéj dał wasąg, Józef zaprzęgę, Piotr deski, bicz dał Jacenty. Lubo strony poglądają na siebie koso, ze wspólnego przecież garnka jedzą w podróży kaszę jaglaną, wzajemnie się częstują w karczmie. Przy kieliszku kleci się zgoda, i z drogi śród wesołych pokrzyków wracają do domu; często przecież z zaciętością a kosztem, dziesięć razy przewyższającym wartość pretensyi, procesują się długo.

Zaznaczyć muszę, że śród najgrubszéj natury nieporozumień, kiedy jeszcze głos obelgi nie ucichł i nie zakrzepła krew w ranie; strony, na stopie wojennéj będące przed chwilą, z pogodném czołem, z uśmiechem na ustach, udają się do siebie wzajemnie z prośbą o pożyczenie czegoś, o uczynienie téj lub owéj sąsiedzkiéj wygódki. Prośba rzadko pozostaje bez skutku, nienawiści przecież ona nie zaorze. Obelgi i szkody, prośby i sąsiedzka usługa, znów obelgi i szkody, szereg ogniw, z których się składa łańcuch codziennego życia szlaciców.

Szarak ma pierś szeroką, a głos donośny. Do gawędy pochopnym jest wielce, lecz po cichu prawić nie umié. Mówi krzykliwie, przyczém pod bok się bierze, chowa ręce do kieszeni od spodni, giestykuluje, drapie się w głowę lub wąs pokręca. Lubi wtrącić „panie święty,“ „mospanie“, a przytém i krotochwili różnych zażywa, sam z takowych ochoczo się śmiejąc. Edukowani w szkołach zachowanym w pamięci wyrazem łacińskim popisują się chętnie. Dla

dania upustu gadatliwości swojéj, w południe lub téż o zmierzchu na ulicy się schodzą, lub w karczmie, i głośno o sprawach wszelakich prawią. Zajmuje ich najmocniéj wielka polityka, mniéj własna, domowa; szlachta żadnego nie ma pojęcia o interesach swojéj parafii lub gminy.

Rozprawiają szlachcice krzykliwie, a palą fajki. Skoro zaczepią o kwestyą wioski, zazwyczaj zgodzić się nie mogą na nic i rozdąsani, rękami machając, wolnym krokiem wracają do domu. Jeżeli się panowie bracia spotkali w karczmie, gęstą kolejką, przy akuratnie powtarzaném: „daj Boże zdrowie“ piją siwuchę. Ten, w ręce którego pito, z powagą powstaje. Nos wytarłszy a kielich ująwszy, na wódkę najprzód poważnie spojrzy, do ust podniesie, głowę w tył mocno przechyli i, po wypiciu siwuchy, proces jéj niby w jelitach śledzi, tak całą uwagę zatapia w siebie.

Masz wioski, w których ludzie są trzeźwi, a karczmy, pomimo tego, że do szlachty propinacya należy, nie znajdziesz; masz inne, w których się dzieje naodwrót. W ogóle szlachta pić lubi, oszczędne a dobre żony powstrzymują mężów od brzydkiego nałogu. Zresztą podobnie jak chłopi wyrzekają się wódki w kościele, co nie wyklucza przecież okowity, albo araku. Szlachta ma rozum subtelny, zna się na prawie i pojmuje gdzie można użyć excepcyi.

Pomimo braku oświaty, poziom moralny szlachcica jest dość wysoki. Znajdziesz na charakterze jego skaz mnóstwo; w stosunkach umié być chytrym, podstępnym, dumnym, to podle płaskim; zazwyczaj otwarty i szczery, w gniewie staje się skrytym, zaciętym i mściwym; pomimo téj dziwnéj mieszaniny świateł i cieni, szlachcica ze stanowiska kodeksu musimy nazwać człowiekiem moralnym. Nie kradnie i szóstego przykazania nie gwałci; krwią by się oblała duma szlachecka na zwrócony przeciwko sobie epitet: złodziéj! opinia surowo chłoszcze nierząd szlachcianek. Młody człowiek na zabawie, czy przy robocie, po chłopsku żartować nie śmié, nie klepie białogłowy po ramieniu lub piersiach. Na straży stosunków płci jednéj i drugiéj stoi szlachecka godność, któréj w innych razach nie znajdziesz znów wcale.

Na całym charakterze szlachty najwyraźniéj ciąży ręka przeszłości. Są to nieodrodni synowie tego drobiazgu, który, boso przybywając pod wolę, za lichą strawę na rozkaz pański gardłował, nie wiedząc o co; potomkowie tych mężów, którzy, na wozach pańskich ściągnąwszy na sejmik, traktamentem ujęci, wolnemi głosami popiérali magnata i w potrzebie na karkach partyi przeciwnéj próbowali swych szabel. Dzisiejsza szlachta, lubo po upadku rzeczypospolitéj olbrzymiéj uległy zmianie warunki życia, zachowała temperament,

krzykliwość, junakieryą, uniżoność i butę przodków; odziedziczyła po nich cały ten szlachecko-republikański aparat, który jest żywą starych czasów pamiątką, w krew wcieloną tradycyą. Prócz odziedziczonego z krwią przodków, innego węzła, któryby łączył z przeszłością, szlachta dziś nie ma. Wygasły z jéj pamięci podania, zatrzymała tylko mgłą nieprzejrzaną osnute pojęcia o szlachectwie i herbie. W ciechanowskiém głucha wieść krąży o Bonie, bez chronologicznéj ścisłości słychać podanie o pierwszych i drugich Francuzach, o Krukowieckim i maśle.

Lecz i bez owego łącznika z przeszłością, szlachcic gorąco kocha swe społeczeństwo; przywiązuje się do okolicy, w któréj pogaśli przodkowie, a nawet do swéj osady i niegodziwych stosunków przywiązuje się mocno. Zdaje się, że zatarł w sobie tę kolonizacyjną ruchliwość, jaką się jeszcze w przeszłym odznaczał wieku; obecnie przejście do innéj parafii znaczy dla niego to samo, co dla kupca przesiedlenie się do antypodów. Sąsiedniego nie poznawszy powiatu, starzeje się w rodzinnéj wiosce; prowadzi go do grobu odgłos tego samego dzwonu, który mu od dzieciństwa na nabożeństwo brzmiał co niedziela i święto. Domatorstwo to jest następstwem, że synowie, choćby ich było kilku, nie pójdą szukać chleba gdzieindziéj, lecz, na rodzicielskim osiadłszy zagonie, dzielą go, gospodarstwa oddzielne tworzą i w miejscu ojczystém siwieją. Córki, do innéj parafii wychodząc za mąż, boleją wielce; jakby płynęły za morze, tak się żegnają czule i molestują.

Tradycyjną jest u szlachty pobożność, a raczéj skrupulatne przestrzeganie religijnych zwyczajów i przepisów kościelnych. Na wielkanoc przygotowują szlachcianki sute święcone z szynek, kiełbas i malowanek; przybycie księdza za najuroczystszą uważają godzinę; w wielką niedzielę roboty nikt nie tknie; w każdém mieszkaniu znajdziesz za lustro zatknięte kropidło, święcone wianki, rózgi i palmy. Szlachcic przed posiłkiem i po nim żegna się; klęcząc, rano i wieczorem odmawia paciérz; w zawieszoném przy drzwiach naczyńku z wodą święconą moczy swe palce. Dla niego być religijnym znaczy to samo, co się w niedzielę wystroić, nic nie robić, a być w kościele.

W świąteczne przybrani szaty ciągną na nabożeństwo brykami lub pieszo; wozem do kościoła w ciechanowskiém nie jeżdżą nigdy. Z domu wychodzą boso i dopiéro przed furtą kościelną naciągają obuwie. Porządna rodzina w kościele ma własną ławkę; im więcéj jest zbliżona ku ołtarzowi, a raczéj ku tak zwanéj *formie*, w któréj siedzą panowie folwarczni i panie, tém więcéj „właścicielowi przynosi zaszczytu; zbliska młoda szlachcianka tém lepiéj zlustrować może

strój pański. Niemający własnéj, wypraszają sobie miejsce w ławce sąsiada. Zawsze siąść muszą, by uniknąć mieszania się z gminem.

Wszedłszy do kościoła, znajomi kiwnięciem głowy kłaniają się sobie; mądrzy na książkach się modlą, nieczytelni szepczą paciérze, szlachcianki głosem cieniutkim nucą nabożne pieśni. Nie bardzo śród modłów skupiają ducha, bo oko na wszystko, co się dzieje w świątyni, zwracają bacznie. Kto jest w kościele i w jakie przybrany szaty?—te kwestye zajęcie w pobożnéj płci pięknéj budzą najbardziéj.

Podczas kazania drzémią; gdy ksiądz głos swój podniesie wyżéj, ocknąwszy się, wzdychają głęboko. Po nabożeństwie, na cmentarzu znajomi witają się uściskiem; głosem znacznym opowiadają o ważniejszych w okolicy wypadkach, lub obserwacyą czynią nad widzianemi w kościele strojami. Skromniéj ubrane szlachcianki o szatach wspaniałych prawią szyderczo, złośliwości nie szczędząc. Na cmentarzu kościelnym najłatwiéj jest w kurs puścić zaimprowizowaną na prędce ploteczkę, a przytém nagromadzić tyle materyału, że go wystarczy do dyskusyi domowéj na cały tydzień.

Największą dla szlachty uroczystość, obok świąt bożego narodzenia i wielkiéj nocy, stanowi odpust w miejscach wsławionych cudami. Dużo posiada dla niéj uroku, albowiem jest pewna, że tam się z krewnymi swoimi i znajomymi z innéj parafii, a nawet powiatu spotka, nagada się z nimi i wielu ciekawym przypatrzy się rzeczom. W ciechanowskiém i sierpskiém są miejsca cudowne, do których szlachta z odległych nawet okolic zbiega się tłumnie. Zdolny humorysta na takich odpustach bogate by album krajowych karykatur zgromadził; biegłém pociągnięciem ołówka kunsztowniéjby rzeszę szlachecką przedstawił, niż długie a misterne opisy.

Na granicy dzisiejszego powiatu mławskiego z ciechanowskim, w parafii niedzborskiéj, słynie w borze ukryty kościołek, przy którym w d. trzecim Maja i ósmym Września do kilku tysięcy okolicznéj szlachty się zbiéra. Miejscowość od sąsiedniéj wioski zowią Drogiszką, częściéj jednak kościołkiem i pod tém mianem słynie szeroko. Skromniutka, z drzewa zbudowana świątynia, samotna stoi śród *gliglij* (świerków) i sosen; przed laty znaleziono przy niéj krzyż jakiś i doświadczono skuteczności wody, mającéj uzdrawiać ślepotę. Za kościołkiem, ocienioną lipami masz mękę pańską, jak śpiżowy posąg Piotra w rzymskiéj bazylice, wytartą od całowania i od łez ludzkich nadgniłą. Tu się właśnie przed laty cud zdarzył. W niewielkiéj odległości masz kanał, w którym ustawiono drewniane figury świętych, ciekawie z wody onimbusowane wychylających czoła. Pobożni moczą w nim szmatki i przykładają do oczu; wodę czerpią w gar-

nuszki i flaszki, by na ślepotę nieomylne mieć w domu lekarstwo. Wieczorem, kiedy masy odpływają do domów, na miejscu kanału błotnistą ujrzysz kałużę, a w niéj moc wielką bielących szmatek.

Że kościołek nie może tysiącznego ogarnąć zebrania, pobożni w cieniu okolicznych modlą się sosen. Księża, na olbrzymich stojąc kamieniach, głosem potężnym pobudzają do skruchy, inni za wypominki zbiérają trojaki.

Z odpustem łączy się jarmark. Z Ciechanowa, Radzanowa, Raciąża i Mławy przybywają szewcy, rzeźnicy, piwowarzy, owocarze i zduny, a rozłożywszy towary w lasku, wielkim głosem zachęcają do kupna. Po nabożeństwie, tłumy na grupy według znajomości lub pokrewieństwa się dzielą i spożywają przywiezioną, lub na miejscu nabytą żywność. Niekiedy trunek do dobrego usposabia humoru, i rzezimieszkowie także przybywają na odpust.

Drugiém, cudami wsławionëm miejscem, są Koziebrody, w powiecie sierpskim; trzecim dla szlachty ciechanowsko-zawskrzyńskiéj blisko Radzanowa leżące Ratowo, gdzie bernardyni mieli swój klasztor. Z powodu zamknięcia klasztoru odpusty straciły znaczenie i mniéj już podobno ściągają pobożnych. W każdym razie urok posiadają jeszcze potężny. Szlachta na kilka tygodni wstecz o odpuście tylko wspomina, przygotowania czyni w ubiorze i w mieszkaniu, robi porządek, jeżeli spodziewa się gości. Na odpustach zaznajamiają się młodzi i przypatrują się sobie: kawaler dowiaduje się o posagu szlachcianki, rodzice panny o zamożności młodzieńca, znajomość często na ślubny prowadzi kobierzec.

Kawalerzy klasyfikują panny według parafii; znają ich stan majątkowy, wiek rodziców, ich zdrowie, przypuszczalną długość życia; wiedzą o w skrzyni ukrytéj gotówce i długu, zaciągniętym u żyda. Lata panny, jéj uroda i wykształcenie obchodzi ich mało lub wcale; niejednokrotnie młodzieniec z edukacyą progimnazyalną dopiéro przy podpisywaniu aktu ślubnego dowiaduje się, że bogini nie umié czytać. Zebranie potrzebnych wiadomości ułatwia żydek, a oświadczenie zamiaru, zawiązanie bliższego stosunku i ostateczne porozumienie się bierze na siebie w podeszłym wieku będący szlachcic, który w téj roli zowie się rajcą. On związek małżeński kojarzy, bo obie strony o ich stanie majątkowym objaśni rzetelnie i przeszkody wszelkie usuwa.

Dla zbliżenia młodzieży z pannami, podczas karnawału urządzają się gale, tańcujące wieczorki. Szlachcic, na wydaniu mający córkę, sprowadza grajków, zakupuje moc piwa, wódki, ugotować każe mięsiwa, upiec placków z kartofli i na fetę zaprasza znajomych. O projektowanym balu cała okolica wié na kilka tygodni przedtém,

więc młodzież z innéj parafii, a nawet powiatu podąża. Niekiedy gala jest wyprawiana kosztem wsi całéj, i taka, jako bardziéj wystawna a liczna, na długo zostaje w pamięci.

Liczne zazwyczaj towarzystwo noc całą przepędza w pląsach, a nie przestrzega form, przyjętych w podobnych okolicznościach u obywateli lub mieszczan. Na gali prezentować się gospodarstwu lub gościom nie trzeba; młodzieniec nieznajomą pannę, nie wymieniwszy nawet swego nazwiska, zaprasza do tańca i krzesze walca, oberka lub polkę.

Taniec szlachecki od chłopskiego nie różni się niczém. W niezbyt obszernéj izbie staje par kilkanaście i kołem, jedna za drugą się kręcą, młodzieńcy biją hołubce. Figur nie robią, stąd taniec mało posiada życia, bezbarwny jest. Skoro pary przetańczą kilka razy, ciągle na prawo, za danym znakiem lub wykrzyknikiem „na lewo!“, zwracają się i krążą w kierunku odwrotnym. Przy zmianie kierunku nastaje zamęt; mniéj zręcznym, albo ognistszym w zapędzie wstrzymać się trudno. O długości tańca decydują grajkowie; skoro muzyka ucichnie, kawalerzy puszczają panny na środku; połą surduta lub chustką otarłszy potem oblane czoło, stają przy ścianie; w obecności dam palą tytuń, wychodzą do sieni lub, siadłszy w kącie, grają w podchoda.

Młodzież jest nieśmiałą, mało zalotną i uprzejmością dla płci pięknéj nie grzeszy. Panny siedzą przy ścianie oddzielnie, ona również oddzielnie stoi; one po jednéj, młodzież po drugiéj stronie balowéj izby. Żonaci tylko i starzy głośną się zabawiają gawędą i krotochwilności lubią dać folgę; młodzieńcy milczą. Pięknéj pannie przyglądają się gapiowato i natrętnie, co w lepszych towarzystwach poczytywaném jest za impertynencyą lub niedokwitłość. Prócz tańca, zabawia się młodzież w ślepą babkę, pana pastora, przepiórkę, pocztę itp. Najulubieńszą jest babka, raz, że na nią nie potrzeba wysileń umysłu, powtóre, że pozwala na pewne, przypadkowe niby dotknięcia, niemożliwe przy oczach swobodnych. Za fanty szlachcianki nucą piosenki, w których celują. Z gminnemi popisują się rzadko, śpiéwają „szumią jodły“, o stojącym na pikiecie hułanie itp. lub téż drwią z chłopów, czego dowodzi rozpowszechniona pomiędzy szlachtą piosenka Anczyca o pani Kogucinéj. Młodzież umié tylko olikać, wykrzykiwać, dawać hasła w polu i lesie; za fanty buduje most, zbiéra bukiet, spowiada się z grzechów i sieje rutkę.

Wywiedziawszy się o pannie posażnéj, wybiéra się kawaler w zaloty, jak mówi, w kunkury. Urządza bryczkę; jeżeli własna nie jest wspaniałą, u sąsiada pożycza lepszéj; konie czyści i pasie; jeżeli

liche posiada chudziny, od sąsiada pożycza rumaków dzielniejszych. Zamożniejsi sanki ozdabiają dywanem, sami się stroją w pożyczane częstokroć futro. W taki sposób kawaler wyzyskuje znaną mu dobrze próżność szlachecką i zamiłowanie komfortu. Panna nie chce patrzéć na młodzieńca w wyszarzanéj kapocie, niedającego gwarancyi, że żonę ustroi w kapelusz z kwiatami i futro, a przynajmniéj w salopę z futrzanym kołnierzem; że jeździć będzie z nią bryczką; jéj rodzicom miło jest widziéć osobistość z powierzchowności zakrawającą na panka.

Zdarza się, że konkurent kupi kalosze, do kieszeni włoży zegarek, a pierś przystroi błyszczącym łańcuszkiem. Przyjechawszy z wizytą, mokrostępów nie zdejmie, owszem nogi trzyma na piérwszym planie, by wszyscy podziwiali połysk elastycznego obuwia; sam, w kieszeniach trzymając ręce, co chwila na kończyny swe zerknie. Pytają go o cenę zégarka i tajemnice maszyneryi, a on z dumą rozpowiada o wszystkiém; co chwila czasomierz wyjmie, a dewizką będzie potrząsać.

Skoro, wystrojony, z rajcą lub sam jeden do obcego przyjedzie domu, przedstawiony rodzicom, nie objaśniając celu przybycia, zawiązuje rozmowę o urodzajach lub milczy, patrząc na sufit siąść nie chce, bo to do dobrego liczy się tonu, podobnie jak umiarkowanie w jedzeniu; na zaproszenia odpowiada: „dziękuję“ lub „Bóg zapłać“ i chociaż radby wypocząć, zapewnia solennie, że siedział przez całą drogę na bryczce. Za trzecim lub czwartym pobytem zwierza się z zamiaru rodzicom, dobrze już zresztą uprzedzonym przez rajcę i następują targi o posag. Nie przeszkadza to jednak, żeby kawaler i gdzieindziéj w charakterze konkurenta nie bywał; częstokroć naraz kilka odwiédza panien, a bierze więcéj posażną, lub, z jednakowo majętnych, bardziéj nadobną.

O posag targ jest uparty; zdarza się, że o paręset złotych, po zapowiedziach i oznaczonym dniu ślubu, rozbija się wszystko. Rodzice panny, jeżeli im kawaler wpadł w oko, za pośrednictwem rajcy, żydów i innych osób posyłają do niego orędzie; podnoszą wysokość posagu lub inne zapewniają korzyści. Skoro kawaler zerwie, strona przeciwna wytacza proces; od niedoszłego zięcia żąda wynagrodzenia kosztów, poniesionych z powodu przygotowań do wesela i ślubu. Liczy zaś wszystko: szklanki, chustki do nosa, chléb, sól, cukier i masło, nawet pachnące mydełko, na ślubną uroczystość kupione dla młodéj. Jeżeli zerwanie nastąpiło przez pannę lub jéj rodziców, o zwrot kosztów występuje konkurent; liczy zaś, oprócz ekspensu poniesionego w podróży, kołnierzyki, papiérosy itp.

Skoro małżeństwo dojdzie, po ślubie rodzice młodéj huczne sprawiają wesele. Podobném jest ono do gali, tylko, że na weselu réj wodzi osobistość wesoło rubaszna, rajca. Zwykł konceptami podniecać w młodzieży ochoczość do tańca; podczas obiadu roznosi miski, dzieli mięsiwo, rozdaje kąski, nalewa napoje, a od czasu do czasu krotochwilną zanuci piosenkę, lub się z tłustym odezwie dowcipem.

Młodzież noc całą hasa, przeplatając taniec grą jaką; starzy, zasiadłszy w alkierzu, ćmią tytuń i gwarzą o rzeczach pociesznych. Z ust podochoconych mężczyzn płynie wesoło słowo, zawadyacka rozbrzmiewa piosenka, lub „hu, ha!“ dla zachęcenia młodzieży do żywszych pląsów.

Naturalnie, wesele nie byłoby kompletném bez zajścia. Niezręczny kawaler, nastąpiwszy pannie na suknię, oberwie falbankę; dama niezadowolnienia ukryć nie umié i gwałtownym wybucha gniewem; niech szpetnie jeden drugiemu przymówi, a zaraz zawrze walka języków, prowadząca, pomiędzy mężczyznami szczególniéj, do pięści. Na pewne wesele zaproszony był szlachcic, właściciel browaru. Żeby więcéj dla siebie wykrzesać zysku, odetkał korek od beczki z piwem i płyn złocisty grubym strumieniem spłynął na ziemię. Podpatrzono go: szlachta się na filuta rzuciła z gniewem; uśmierciłaby go najpewniéj, gdyby nie przyrzekł bezinteresownie sporéj miary piwa dostarczyć.

Przytomny rajca nad harmonią śród gości czuwa i w razie awantury zwaśnionych godzi.

Rano zebranie rozpierzcha się do domów. Odprowadza gości do progu, a nawet do bryczki, gospodarz lub rajca; wyściska jeszcze i do wypicia strzemiennego namówi.

Podczas zabawy drzwi izby stoją otworem; każdemu, lubo nieproszonemu, wolno przez nie zaglądać z sieni i choć biernie ochoczą podzielać zabawę; zbiega się służba i gmin wszelaki; pozostałe z obiadu resztki spożywa i trochą piwa zaspakaja pragnienie.

Na drugi lub trzeci dzień po weselu masz przenosiny, które młoda para wyprawia na nowéj siedzibie. Rad gości uraczyć i rajca, wujna lub ciotka, słowem, ciągnie się szereg uroczystości, po których następuje zwyczajny tryb plotek i kłótni.

Stanąwszy w siedzibie męża, młoda gosposia nie zażywa miodowego wywczasu, zaraz bowiem obejmuje w swój zarząd cały kobiécy wydział i do mozolnéj zaprzęga się pracy. Często na drugi dzień po ślubie, boso, w płóciennéj spódnicy z sierpem ciągnie do żniwa, a w najlepszym razie w warzywnym gospodarzy ogrodzie.

Zdarza się, że piérwsze miesiące pożycia zatruwają domowe niesnaski, a powodem tego bywa najczęściéj przez jednę lub drugą stronę zrobiony zawód. Gdy się po ślubie okaże, że mąż, konkurując, cudzemi się okrywał piórami; że bryki, koni, ubrania nawet pożyczał; stroskana niewiasta, że sromotnie została zwiedzioną, wzdycha i szlocha. Skoro męża zawiedzie posag, niezadowolnienia swego ukryć nie umié; w obecności żony przed znajomymi będzie się skarżyć i żałować, że tę, a nie inną pojął za żonę. Niekiedy podobny zawód podnosi na niewiastę rękę mężowską... Jeżeli sprawa posagu przedstawiła się inaczéj, niż się to zanosiło przed ślubem, o przykładném pożyciu nie ma i mowy; z latami dzieci dopiéro silniéj niezadowolnioną spajają parę.

* *

*

Do wioski szlacheckiéj niewygodną przybywszy drogą, najpierwszą od wjazdu zwiedziłem chatę. Obejrzałem jéj powierzchowność i wnętrze; zajrzałem do ogrodów, zabudowań i na podwórze; obszedłem następnie całą osadę; wszędzie obok pewnéj okazałości w rozmiarach znalazłem koszlawą pretensyonalność i sparodyowaną szykowność, całą tę pańskość w śmieciach i brudzie.

W gospodarstwie idealny ujrzałem nieład. Rozszachowanie gruntów i warunki siąsiedztwa nie tylko uniemożliwiają zaprowadzenie gospodarczych ulepszeń, ale nawet niszczą rezultaty usilnéj pracy szlachcica; z fortuny swojéj zaledwie potrafi wyżyć, a zupełnie by zmarniał, gdyby nie przemysł domowy, duszą którego jest zabiegliwa niewiasta.

Cywilizacyjnie stoi szlachcic niezmiernie nisko. W mieszkaniu i pokarmie okazuje wielką ograniczoność potrzeb; pod względem wychowawczego procesu niczém się nie różni od chłopa. Lecz posiada rodowe przesądy, właściwy sobie, historycznie urobiony charakter; celuje ruchliwością umysłu i junacką fantazyą; w społeczeństwie naszém szlachcic zagonowy typ stanowi odrębny. Ujawnia się to, pomiędzy innemi, w stroju niewiast i mężczyzn, w towarzyskich stosunkach, w zalotach, weselach i galach.

Niezłagodzone oświatą konsekwencye dumy rodowéj, tak powierzchowności, jak i stronie moralnéj szlachcica trywialny nadają wyraz: karykaturą i patologicznym go robią okazem. Chorobliwość moralna do znacznego dochodzi w nim stopnia, gdy obok ary-

stokratycznych narowów wszystkie posiada instynkty, nieokrzesanemu właściwe gminowi.

A jednak, cokolwiekby przeciwko szlachcie powiedzieć można, przyznać jéj trzeba i cnoty. Wielkie posiada zdolności i dużo energii, szlacheckie oko daléj sięga, niż chłopskie; w patalogicznym okazie znajdziesz pokłady zdrowe, które warto na korzyść kraju wyzyskać.

Reforma ekonomiczna i szerzenie oświaty jedynym dla osiągnięcia tego są kluczem.

O GWIAZDACH STAŁYCH,

PRZEZ

ANGELO SECCHIEGO (1).

I.

O gwiazdozbiorach. — Wyznaczanie położenia gwiazd. — Katalogi gwiazd i karty nieba.—Barwy gwiazd.—Widma gwiazd i podział ich na typy. — Budowa słońca i gwiazd.—Gwiazdy nowe i zmienne.

Od saméj kolébki rodu ludzkiego światłe i potężne umysły nieustannie wytężały się, aby zrozumiéć księgę niebios. Noc po nocy, rok po roku niezmordowany badacz nieba czuwał, patrzał, rozważał i rozmyślał, starając się wyjaśnić zagadkowe ruchy światów i zbadać tajemnicę budowy wszechświata i praw nim rządzących; a jednak, astronomia jako nauka co do swéj części matematycznéj liczy tylko jeden wiek istnienia, a co do swéj części fizycznéj jest jeszcze młodszą. Dzięki jednak pracom nowoczesnych badaczy, astronomia dosięgła takiego rozwoju, że na samo wyliczanie rezultatów badań zaledwieby kilka tomów starczyło. Śmiało możemy powiedziéć, że dziś żadna gwiazda nie zachodzi, gdyż jeśli znika z poziomu jednego astronoma, to wschodzi nad poziom drugiego.

Posiłkując się pracą Secchiego, postaramy się podać czytelnikowi jasny obraz o obecnym stanie astronomii.

Obserwując niebo, widzimy, że gwiazdy tworzą pewne grupy, które nazywają się *konstelacyami* czyli *gwiazdozbiorami*. Nazwy tych konstelacyj giną w pomroce wieków. Niektóre z nich wzięte są z mitologii greckiéj, i odnoszą się do mityczno-historycz-

(1) Urodz. d. 20 Czerwca r. 1818, zm. d. 26 Lutego 1878. Życiorys patrz: „Ateneum" 1878, tom II str. 180.

nego okresu pochodu Argonautów, inne znowu są jeszcze dawniejszego pochodzenia. Niektórzy uczeni, opiérając się na obrazach zodyaku odkrytych w świątyniach egipskich w Esneh i Denderah, sądzili, że nazwy te pochodzą z epok niezmiernie od nas odległych, lecz nowsze badania wykazały, że pomniki te pochodzą z czasów rzymskich. Grupowanie gwiazd u najdawniejszych ludów wschodu, Hindusów i Chińczyków, jest zupełnie odmienne od naszego, co dowodzi samodzielnego rozwoju astronomii u tych ludów. Konstelacye, przez które przechodzą drogi słońca, księżyca i główniejszych planet, na szczególną zasługują uwagę; noszą one nazwę zodyaku czyli zwierzyńca. Konstelacyj tych jest dwanaście, i noszą, jak wiadomo, nazwy: Baran, Byk, Bliźnięta, Rak, Lew, Panna, Waga, Niedźwiadek, Strzelec, Koziorożec, Wodnik, Ryby. Przestrzenie nieba zajęte temi konstelacyami są rozmaite, i kształty tych gwiazdozbiorów wcale nie odpowiadają przedmiotom, których nazwy noszą. Pochodzenie tych nazw nie jest nam znaném; lecz prawdopodobnie stały one w pewnym związku z robotami polnemi, które należało wykonywać, gdy słońce przebiegało pojedyńcze konstelacye. Dziś związek ten ustał, gdyż z powodu pewnego ruchu sklepienia nieba, nazwanego *cofaniem się punktów równonocnych*, fazy roku zwrotnikowego, którym odpowiadają pewne roboty w polu, nie rozpoczynają się ze wstąpieniem słońca w odpowiednią konstelacyą. Tak np. punkt równonocny wiosenny, który za czasów Hipparcha przypadał w konstelacyi Barana, leży teraz w gwiazdozbiorze Ryb i nim był w konstelacyi Barana znajdował się w konstelacyi Byka i t. d. Fakt, że w epoce, w któréj konstelacyom nadano nazwy, punkt równonocny wiosenny przypadał w gwiazdozbiorze Barana, a punkt równonocny jesienny w Wadze (symbole równości dnia i nocy), dowodzi, że nazwy (1) konstelacyj zwierzyńcowych są stosunkowo nowszego pochodzenia, gdyż rozmaite pomniki astronomiczne wskazują na znajdowanie się jeszcze w czasach historycznych punktu równonocnego wiosennego w bliskości Plejad w gwiazdozbiorze Byka. Tak np. w wielkiéj piramidzie zbudowanéj za czasów Cheopsa około 217 r. przed Chr. w Giseh znajdowały się dwie rury, prowadzące z komory wewnętrznéj i skierowane na zewnątrz ku stronie południowéj i północnéj. Piérwsza z nich jest skierowaną ku okolicy nieba, gdzie teraz nie ma ani jednéj większéj gwiazdy; lecz za czasów, w któréj piramida została zbudowaną, można było przez tę rurę obserwować przejście Plejad. Również i druga rura obecnie nie znajduje się w związku z żadną

(1) Według Kloedena nazwy te powstały w Egipcie na 1872 lat przed Chr.

gwiazdą; lecz za czasów Cheopsa można było przez nią obserwować ówczesną gwiazdę biegunową a mianowicie najświetniejszą gwiazdę konstelacyi Smoka. Kierunki tych rur najniezawodniéj oznaczały położenie ówczesnych punktów równonocnych i osi świata.

Chociaż za pomocą konstelacyj można z przybliżeniem oznaczyć położenie gwiazd, lecz dla celów astronomicznych potrzebną jest większa dokładność w oznaczaniu położenia gwiazd; dokładność tę otrzymujemy za pomocą pewnych kół poprowadzonych na kuli niebieskiéj. Konstelacye są dla astronoma tém, czém kraje i prowincye dla geografa; pojedyńcze zaś gwiazdy dadzą się porównać do pojedyńczych miast. Lecz zupełnie tak samo, jak w geografii podział na kraje nie wystarcza do dokładnego wyznaczenia położenia miast na kuli ziemskiéj, lecz do tego potrzebne są pewne współrzędne, nazwane szerokością i długością geograficzną; tak samo i położenie gwiazd oznacza się na sklepieniu nieba za pomocą pewnych kół o których niżéj mówić będziemy.

Gwiazda, któréj położenie dokładnie oznaczono, stanowi dla astronoma punkt stały, niezmiernie ważny. Przyrząd, którym to położenie wyznaczono, może zaginąć; astronom, które je wyznaczył, może już nie żyć; lecz gwiazda pozostanie jako kamień graniczny w przestrzeni wszechświata, trwalszy od wszelkich pomników spiżowych i piramid granitowych. Dla tego téż cały postęp nowożytnéj astronomii polega na dokładném oznaczaniu położenia gwiazd. Kołem zasadniczém, do którego odnosimy położenie gwiazd jest równik niebieski. Koło, poprowadzone przez oś świata i przez daną gwiazdę, nazywa się *kołem zboczenia gwiazdy*; łuk tego koła, zawarty pomiędzy gwiazdą i równikiem, nazywa się *zboczeniem gwiazdy*, które odpowiada szerokości geograficznéj miejsca na kuli ziemskiéj. Łuk znowu równika, zawarty pomiędzy punktem równonocnym wiosennym i punktem, w którym koło zboczenia przecina równik, nazywa się *wznoszeniem prostém gwiazdy*, odpowiadającém długości geograficznéj na kuli ziemskiéj. Znając wznoszenie proste i zboczenie gwiazd, możemy z zupełną dokładnością wyznaczyć ich położenie na sklepieniu nieba.

Te dwie współrzędne gwiazd skutkiem rozmaitych przyczyn, a szczególniéj skutkiem zjawiska nazwanego *cofaniem się punktów równonocnych* (polegającego na tém, że przecięcie się ekliptyki z równikiem cofa się ku zachodowi), ulegają rozmaitym wahnięciom. Ponieważ przyczyny ruchów gwiazd są nam znane, więc możemy naprzód obliczyć zmiany, jakie zachodzą w położeniu gwiazd i wyznaczyć ich położenie dla każdéj epoki.

Wyznaczywszy położenie gwiazd, astronomowie zapisują je, i tym sposobem powstają tak zwane *katalogi gwiazd*, dzieła niezmiernie ważne dla rozwoju astronomii, gdyż z nich przyszłe pokolenia będą mogły sądzić o zmianach zaszłych w budowie wszechświata. Na zasadzie katalogów układają się mapy nieba i sporządzają globusy niebieskie.

Podział gwiazd na rozmaite stopnie wielkości, odpowiednio do blasku światła, jest tak dawnym jak ich podział na gwiazdozbiory. Ten podział jest pod pewnym względem dowolnym; powszechnie liczą, że gwiazd pierwszéj wielkości jest 16—18, drugiéj wielkości—48, trzeciéj—152, czwartéj—312, piątéj—841, szóstéj— 1.841, wszystkich zaś gwiazd gołem okiem widzianych, według *Argelandera*, jest 5.421, według Heisa zaś około 6.800. Porównywając blask gwiazd z blaskiem słońca, astronomowie znaleźli, że pierwszy jest bardzo małym, tak np. stosunek światła Syriusza, najświetniejszéj gwiazdy nieba, stanowi tylko jednę dwudziestomilionową blasku słońca. Pomimo tego, światło całego nieba gwiazdzistego nie jest tak nieznacznem, jakby się to na pozór zdawać mogło. Na wysokich górach, przy spokojnym stanie powietrza, większy druk daje się z łatwością czytać, jeśli tylko poprzednio oko przyzwyczajoném zostało do słabego światła; marynarze kierunek igły kompasu odczytują przy blasku gwiazd.

Zupełnie tak samo jak pod względem blasku, gwiazdy się odróżniają pomiędzy sobą i barwami światła. Powszechnie mówią, że gwiazdy są białe, lecz i powierzchowny nawet obserwator łatwo przekonać się może, że kolory gwiazd są najrozmaitsze, gdyż niektóre świecą światłem żółtém, inne pomarańczowém, inne znowu czerwonem i t. d. W najnowszych czasach zajmowano się kwestyą barwności gwiazd, któréj zbadanie przedstawia wielkie trudności, albowiem najrozmaitsze przyczyny wpływają na sąd o barwach gwiazd; przedewszystkiém bowiem oczy różnych obserwatorów nie są jednakie, i wielu z nich choruje na daltonizm, powtóre natura szkieł w lunetach i stan powietrza niemało też wpływają na barwy gwiazd. Daleko łatwiéj dają się ocenić barwy gwiazd podwójnych, które świecą światłem kolorów dopełniających, to jest jeżeli jedna jest koloru czerwonego, to druga – zielonego, jeżeli jedna świeci światłem pomarańczowém, to druga--światlem niebieskiém i t. d. W niektórych konstelacyach przeważają gwiazdy jednéj barwy, tak np. w Plejadach przeważają gwiazdy niebieskie, w Oryonie — zielone, w Wielorybie — żółte. Barwy niektórych gwiazd w ciągu wieków ulegają zmianom, tak np. Seneca opisując Syriusza powiada, że on jest czerwieńszym od Marsa, tymczasem w naszych czasach Syriusz świeci światłem niebieskawém. Z tego to powodu starano się przed-

stawić opis obecnego stanu nieba pod względem barwności gwiazd i w tym celu układano katalogi gwiazd barwnych.

Przejdziemy teraz do niezmiernie ważnych badań stanowiących podstawę astrofizyki, a mianowicie do opisania widm gwiazd.

Wiadomo, że przepuszczając promień światła słonecznego przez wązki otwór zrobiony w okiennicy i umieszczając na drodze promienia pryzmat szklany, otrzymamy na ścianie przeciwległéj okiennicy pasek barwny, złożony z siedmiu głównych barw i nazwany *widmem słoneczném.* Fraunhoffer badając widmo słoneczne spostrzegł, że ono jest poprzecinane całym szeregiem ciemnych linij, nazwanych *liniami Fraunhoffera.* Podobne linie, lubo inaczéj rozmieszczone, znajdujemy w widmie gwiazd, gdy tymczasém widma planet są zupełnie podobne do widma słonecznego, co jest rzeczą naturalną, gdyż ciała te świecą światłem słoneczném. Promień świécy lub téż płomień rozżarzonego metalu nie dają ciemnych linij w swoich widmach. Badaniem rozmaitych widm zajmowali się Wollaston i Brewster, lecz dopiéro Kirchhoff i Bunsen wykazali istotny związek, zachodzący pomiędzy rozmaitemi widmami i tym sposobem utorowali drogę do badań spektralnych, które dziś tak ważną odgrywają rolę przy oznaczeniu natury fizycznéj i chemicznéj ciał niebieskich.

Jeżeli do płomienia lampki Bunsena, to jest lampki, w któréj pali się gaz oświetlający pomieszany z powietrzem, wprowadzimy jakiekolwiek ciało, które może się ulotnić w temperaturze tego płomienia, to płomień zabarwia się rozmaicie stosownie do natury użytego ciała. Fakt ten oddawna był znany fabrykantom ogni bengalskich i mineralogom. Lecz oko ludzkie za mało jest czułém, by z jego pomocą, z barwy płomienia sądzić było można o naturze palącego się ciała. Jeśli zaś utworzymy widmo tego ciała, przepuszczając barwne światło płomienia przez wązką szparę i następnie przez pryzmat, to nie otrzymamy ani ciągłego widma zwyczajnego, ani téż widma słonecznego poprzecinanego ciemnemi liniami, lecz otrzymamy *pojedyńcze linie jasne* lub téż szereg jasnych linij. Tak np. pary sodu dają jasną linię żółtą, pary litu — bardzo jasną linię czerwoną i linię pomarańczową, pary wapu—linię zieloną i pomarańczową i t. d. Linie te są tak charakterystyczne, że służą do oznaczenia natury ulatniającego się ciała. Dla lepszego wyznaczenia położenia tych jasnych linij rzuca się na widmo przez jednę ze ścian pryzmatu podziałkę, za pomocą któréj można z zupełną ścisłością wyznaczyć położenie jasnych linij widma. Jeżeli do płomienia lampki Bunsena wprowadzimy naraz kilka ciał, to w widmie ukażą się razem linie charakteryzujące każde ciało z osobna, i tym sposobem możemy téż badać naturę części składowych danego ciała. Jeśli temperatura

lampki Bunsena nie wystarcza dla ulotnienia danego ciała, to używamy do tego iskry elektrycznéj, jak to np. ma miejsce przy wyznaczaniu widm żelaza, miedzi, srébra i t. d. Kirchhoff pokazał, jaki związek zachodzi pomiędzy liniami Fraunhoffera i widmami gazów. Wprowadzając do ciemnego pokoju światło słoneczne i rozłożywszy je za pomocą pryzmatu, otrzymamy znane nam widmo; lecz umieszczając na drodze promieni płomień, w którym ulatnia się sod, zobaczymy, że w widmie słoneczném ukaże się linia ciemna; jeśli zaś wstrzymamy światło słoneczne, to na miejscu poprzedniéj ciemnéj linii ukaże się linia jasna koloru żółtego. Światło zatém słoneczne, przechodząc przez płomień sodu, traci te promienie światła, które sod płonący wysyła, czyli innemi słowy pary sodu *pochłaniają* pewne promienie słoneczne. Zasadzając się na tém zjawisku, Kirchhoff wyprowadził wniosek, że linie Fraunhoffera zawdzięczają swój początek parom, które znajdują się pomiędzy słońcem a naszém okiem, i postawił teoryą budowy słońca, o któréj późniéj mówić będziemy.

Rezultaty otrzymane przy badaniu widma słonecznego naprowadziły astronomów na myśl badania widm gwiazd stałych w celu przekonania się, jakie ciała na nich się znajdują i czy te ciała są jednakie dla wszystkich gwiazd.

Pierwsi uczeni, którzy się temi badaniami zajmowali byli: Huggins i Miller, późniéj d'Arrest i Vogel, lecz najświetniejsze rezultaty otrzymał Secchi, który opiérając się na wypadkach otrzymanych z 4.000 obserwacyj podzielił wszystkie gwiazdy na cztéry główne typy.

Do piérwszego typu zalicza gwiazdy białe lub niebieskie jak Syriusz, Wega i t. d. Widmo tych gwiazd odznacza się tém, że jest prawie *ciągłém*, poprzecinaném bardzo cienkiemi liniami ciemnemi i cztérema liniami charakterystycznemi, należącemi do wodoru. Atmosfera tych gwiazd składa się zatém przeważnie z wodoru; z niewyraźnych konturów linii wodoru sądzić można o wysokiéj temperaturze i gęstości tego gazu.

Do drugiego typu należą gwiazdy żółte, jak Kassyopeja, Arkturus, słońce i t. d. Widma gwiazd tego typu są zupełnie podobne do widma słonecznego; są one poprzecinane znaczną liczbą linij ciemnych w kolorze czerwonym i niebieskim, przez co gwiazdy te mają kolor żółtawy. Przeważają w nich linie sodu, wodoru, żelaza i magnezu.

Do trzeciego typu należą gwiazdy pomarańczowe i czerwone jak Betegeuze, Cudowna Wieloryba (mira Ceti) i t. d. Widma tych gwiazd składają się z ciemnych i jasnych linij tworzących pasy, które przedstawiają widok kolumn oświeconych z boku, ze strony czer-

wonéj. Gwiazdy tego typu mają prawdopodobnie temperaturę daleko niższą od temperatury gwiazd dwóch poprzednich typów; w atmosferze tych gwiazd pływają obłoki utworzone z par metalicznych.

Nakoniec do czwartego typu należą gwiazdy czerwone i zmienne, których wielkość nie przechodzi szóstéj. Widma tych gwiazd są zupełnie podobne do widm gwiazd trzeciéj grupy, z tą tylko różnicą, że pasy przedstawiają widok kolumn oświetlonych ze strony niebieskiéj widma. Pojęcie o kształcie widm dwóch ostatnich typów może nam dać widmo azotu w rurce Geisslera.

Wykazane wyżéj widma gwiazd obejmują prawie wszystkie gwiazdy; najliczniejsze są gwiazdy pierwszego typu, gdyż obejmują połowę wszystkich gwiazd, po nich idą gwiazdy drugiego typu ($^1/_3$). Musimy tu nadmienić, że są gwiazdy, chociaż w bardzo niewielkiéj liczbie, które nie należą do żadnego z powyższych typów, gdyż widma ich składają się z pojedyńczych jasnych linij. Z nich możnaby było utworzyć piąty typ; najciekawszą gwiazdą tego rodzaju jest γ Kassyopei, w widmie któréj możemy obserwować jasne linie wodoru.

Badania spektralne gwiazd wykazały różnice zachodzące pomiędzy naturą rozmaitych gwiazd i zarazem dały nam klucz do rozwiązania zagadki o tajemniczém zjawisku zmienności gwiazd; lecz dla lepszego zrozumienia tych zjawisk musimy czytelnikowi przypomnieć budowę naszego słońca. Dziś jest już rzeczą dowiedzioną, że słońce tworzy masę rozżarzoną, któréj zewnętrzna powierzchnia jest bardzo ruchliwą, przedstawiającą wszystkie zjawiska mas gazowych podobnych do obłoków naszéj atmosfery. O naturze wnętrza słońca nic nie wiemy; lecz jego stan zewnętrzny upoważnia nas do twierdzenia, że ten stan gazowy dość głęboko się rozciąga. Zewnętrzna świecąca warstwa słońca nazywa się *fotosferą*. Ma ona wygląd kłaczkowaty i przedstawia widok płynu, w którym zawieszone są ziarenka jaśniejsze. Czarne linie Fraunhoffera, które obserwujemy w widmie słoneczném, pochodzą ztąd, że światło idące od jądra słonecznego przechodzi przez pewne pary, tworzące powłokę około słońca niewidzialną w zwykłych warunkach, lecz ukazującą się przy szczególnych okolicznościach. Gdyby téj powłoki nie było, słońce dałoby widmo ciągłe, jakie dają gazy gorejące pod wysokiém ciśnieniem. Przy zaćmieniach słonecznych udało się obserwować tę powłokę pochłaniającą i przekonano się, że przy zwykłych warunkach ona nie jest bardzo wysoką i tylko podczas tak nazwanych *wybuchów* podnosi się znacznie. Każda linia ciemna widma słonecznego dowodzi obecności w atmosferze słonecznéj pewnéj substancyi, która w płonącym stanie daje w tém samém miejscu widma linię jasną.

Opiérając się na tém, wyznaczono jakie ciała znajdują się w atmosferze słonecznéj, albo raczéj w niższéj jéj części utworzonéj z par metalicznych i zajmującéj dwie lub trzy sekundy łuku, mającéj zatém około 1.430—2.860 kilometrów wysokości. W czasie zaćmień słonecznych, gdy brzeg księżyca zakrywa brzeg słońca, warstwa ta daje tyle linij jasnych ile w zwykłych warunkach daje linij ciemnych. Atmosfera ta zawiéra wodór, magnez, sod, żelazo i t. d. (1). Nad tą warstwą par metalicznych rozciąga się warstwa wodoru, wysoka na 5.720—7.150 kilometrów, w któréj znajduje się substancya chemikom nieznana i nazwana *Helium*; substancya ta daje w widmie linię żółtą w bliskości linii sodu. Warstwa ta nazywa się *chromosferą*. Nad tą warstwą unosi się warstwa gazowa lżejsza, pomieszana z wodorem i dająca charakterystyczną linię zieloną, którą znajdujemy też w widmach zorzy północnéj i światła zodyakalnego. Warstwa ta daje początek zjawisku nazwanemu *koroną*, polegającém na tém, że podczas zaćmień słonecznych, słońce otoczone jest koroną promienistą (2). Oprócz korony, słońce podczas zaćmień otoczone jest dziwnego kształtu różowemi płomieniami nazwanemi *protuberancyami* (wyskokami). Protuberancye zawierają wodor, helium, pary sodu, żelaza, magnezu i innych metali. Dzięki pracom Lockyera i Jansena wyskoki mogą być obserwowane w każdéj porze; liczne obserwacye przekonały, że protuberancye utworzone są z mas płonącego wodoru, wyrzuconego z głębi chromosfery na ogromne wysokości.

Wiadomo, że w niektórych miejscach tarczy słonecznéj znajdują się ciemne pola nazwane *plamami*. Z tych to plam przekonano się, że słońce obraca się około osi w ciągu 25½ dnia. Plamy słoneczne, ogólnie mówiąc, są okrągłe, lecz często mają też kształty nieforemne; widma ich wykazują, że ich natura chemiczna jest odmienną od natury fotosfery. Przedewszystkiém bowiem środkowe ciemniejsze części plam, czyli tak nazwane jądra, dają widma, w których linie sodu, wapu, żelaza i innych metali są szerokie, wyraźne i często z rozpływającemi się konturami; powtóre nie wszystkie linie wodoru są ciemne, jak to ma miejsce w widmie innych części fotosfery. Przyczyny tego zjawiska należy szukać w tém, że

(1) H. A. *Schuster* w N-rze 17 czasopisma „Nature," opiérając się na tak zwanym *compound spectrum*, dowodzi, że na słońcu znajduje się tlen; co zresztą przed nim *Draper* w New-Yorku inną drogą wykazał.

(2) Dotychczas jeszcze nie jest rzeczą rozstrzygniętą, czy korona świeci własném światłem, czy też światłem od słońca pochodzącém. Członkowie rozmaitych ekspedycyj, dla obserwowania ostatniego zaćmienia 29 Lipca r. 1878 nie są pod tym względem ze sobą zgodni.

w blizkości plam nagromadzone są znaczne ilości płonącego wodoru, które w części znoszą działanie pochłaniającéj warstwy i dają linie jasne; w końcu należy nadmienić, że widma plam podobne są do widm gwiazd trzeciego typu. Liczne obserwacye wykazały, że plamy słoneczne powstają skutkiem pochłaniania światła fotosfery przez masy gazowe, wybuchające z wnętrza słońca. Liczba plam na słońcu nie jest stałą, gdyż niekiedy prawie ich nie ma; niekiedy znowu w znacznéj znajdują się ilości, tak, że pokrywają wielkie przestrzenie tarczy słonecznéj. Peryod maksymów i minimów plam wynosi 11⅓ roku i zostaje w związku z większą lub mniejszą czynnością zachodzącą we wnętrzu słońca. Oprócz plam znajdujemy jeszcze na słońcu miejsca jaśniejsze, tak nazwane *pochodnie*.

Porównywając wypadki badań widmowych słońca z podobnemi badaniami widm gwiazd, przychodzimy do wniosku, że widma gwiazd drugiego typu są zupełnie podobne do widma słonecznego; ztąd z wielkiém prawdopodobieństwém możemy twierdzić, że nie tylko skład chemiczny tych gwiazd jest identyczny ze składem chemicznym słońca, lecz że atmosfera tych gwiazd posiada tę samę temperaturę i tę samę gęstość co i atmosfera słoneczna. Podobna tożsamość nie zachodzi jednak co do wszystkich gwiazd. Obserwacye wykazały, że na wielu gwiazdach atmosfera wodoru jest daleko gęstszą aniżeli na słońcu, na innych zaś jest mniéj gęstą, i że natura warstw pochłaniających różnych gwiazd nie jest jednaką. Ze wszystkich obserwacyj Secchi doszedł do następujących rezultatów.

Widma pierwszych dwóch typów podobnie jak i widmo słoneczne wykazują linie absorbcyjne, wywołane przez pary metaliczne znajdujące się w atmosferze gwiazd; widma zaś gwiazd dwóch ostatnich typów, oprócz takich linij, wykazują jeszcze obecność innych linij, wywołanych prawdopodobnie przez związki węgla. Temperatura gwiazd tych typów jest niższą od temperatury gwiazd dwóch pierwszych typów. Badania spektralne wykazały jeszcze niezmiernie ciekawy fakt, że w téj saméj okolicy nieba przeważają gwiazdy jednego typu.

Wiara w wieczność i niezmienność nieba gwiaździstego zachwiała się, gdy zaczęto baczniéj je obserwować. W tym niezmierzonym oceanie światów panuje wieczny ruch i zachodzą ciągłe zmiany. Jeśli już zjawisko gwiazd spadających zachwiało wiarę w niezmienność nieba, to ukazanie się zupełnie nowych i znikanie dawnych gwiazd najwyraźniéj wykazują, że w przestworach niebios panuje ogromna czynność, któréj oko ludzkie uzbrojone w najlepsze narzędzia nie jest w stanie dokładnie zbadać, gdyż liczba obserwo-

wanych wypadków w porównaniu z rzeczywistą ich liczbą jest bardzo nieznaczną.

Podamy czytelnikom niektóre wiadomości o podobnych zjawiskach; lecz dla zachowania pewnego porządku pomówimy najprzód o tak nazwanych *gwiazdach czasowych*, następnie *o gwiazdach peryodycznych*, a w końcu o wątpliwych zmianach, jakie miały zajść na niektórych ciałach niebieskich.

Najdawniejszą gwiazdą, o któréj nagłém ukazaniu się mamy pewne wiadomości, jest ta, która w r. 125 przed Chr. za czasów Hipparcha nagle zajaśniała na sklepieniu nieba. Gwiazda ta, według Pliniusza, naprowadziła Hipparcha na myśl ułożenia katalogu gwiazd, w celu umożebnienia przyszłym pokoleniom sądu o zmianach zaszłych na niebie. Niemniéj ciekawém zjawiskiem było ukazanie się nowéj gwiazdy w r. 1572, za czasów Tycho Brahe w konstelacyi Kassyopei. Była to gwiazda tak świetna jak Syriusz i Jowisz, którą w biały dzień nawet można było obserwować gołém okiem. Z początku była ona białą, następnie żółtą, następnie czerwoną, znów białą i w końcu po upływie 17 miesięcy zupełnie znikła. W miejscu, w którém znikła ta gwiazda, znajdujemy teraz maleńką czerwonawą gwiazdkę; lecz z powodu niedokładności w dawniejszych oznaczeniach położeń gwiazd nie możemy twierdzić, że pomiędzy nią i gwiazdą Tychona zachodzi jakiś związek. Ukazanie się nowych gwiazd w Kassyopei obserwowano też w latach 945 i 1264, co naprowadzało na myśl, że obie te gwiazdy są téż same co i gwiazda Tychona. Roczniki chińskie wspominają o ukazaniu się wielu gwiazd nowych, lecz ich oznaczenie jest tak niedokładne, że trudno z nich wyprowadzić wnioski. W r. 1604 za czasów Kepplera ukazała się gwiazda w konstelacyi Wężownika, która z początku była tak świetną jak Wenus, lecz po upływie pięciu miesięcy zupełnie znikła. W r. 1670, w bliskości głowy Łabędzia zajaśniała gwiazda trzeciéj wielkości, która po trzech miesiącach zupełnie znikła

Sto siedmdziesiąt kilka lat upłynęło od owego czasu i pomimo, że niebo najstaranniéj obserwowano nie spostrzeżono żadnéj nowéj gwiazdy; dopiéro d. 28 Kwietnia r. 1848 znany astronom Hind spostrzegł nową gwiazdę piątéj wielkości w konstelacyi Wężownika; gwiazda ta ciągle maleje i teraz jest jedynastéj wielkości. Przed wynalezieniem spektroskopu astronomowie mogli tylko badać zmiany barw i wielkości gwiazd nowych: dopiéro spektroskop dał możność rozszerzenia pola badań. W Maju r. 1866 Birmingham spostrzegł nową gwiazdę w gwiazdozbiorze Korony. Gwiazda ta ukazała się nagle i była drugiéj wielkości. Badana spektroskopem wykazała wyraźne ślady jasnych linij wodoru. Oprócz tych jasnych linij widmo

téj gwiazdy przedstawiało jasne pola poprzecinane ciemnemi liniami. W ciągu dwunastu dni gwiazda z drugiéj wielkości spadła do szóstéj, a późniéj nawet do ósméj. Obecność jasnych linij w widmie daje nam klucz do rozwiązania zagadki o ukazaniu się nowych gwiazd. Dziś bowiem nauka może z wielkiém prawdopodobieństwem wyrzec, że ukazanie się nowych gwiazd wywołane zostaje *pożarem gwiazdy*, podczas którego ona przechodzi przez wszystkie stopnie żarzenia się, ukazując się kolejno jako gwiazda rozmaitéj wielkości. W r. 1876 Schmidt odkrył nową gwiazdę w konstelacyi Łabędzia, któréj widmo było zupełnie podobném do widma gwiazdy z r. 1866.

Oprócz gwiazd nowych, które ukazują się w czasach nieoznaczonych jest jeszcze wiele innych, których blask zmienia się peryodycznie; gwiazdy te nazywają się *zmiennemi*. Najbardziéj znaną z nich jest gwiazda Omikron w Wielorybie, która z tego powodu otrzymała nazwę *cudownéj* (mira). Gwiazda ta, odkryta przez Fabryciusza w r. 1596, w 331$\frac{1}{3}$ dnia przechodzi od drugiéj do ósméj wielkości. Przez trzy miesiące światło jéj ubywa, przez następne pięć miesięcy jest albo zupełnie, albo prawie niewidzialną i w końcu przez ostatnie trzy miesiące peryodu światło jéj znowu wzrasta. Przy pełnym blasku gwiazda jest żółtą i należy do trzeciego typu, przy słabém zaś świetle jest koloru czerwonego. Gwiazd zmiennych jest bardzo wiele, niektóre z nich mają peryod krótki, inne znowu mają peryod bardzo długi, tak np. gwiazda Algol w głowie Meduzy w konstelacyi Perseusza przechodzi wszystkie fazy blasku w ciągu dni 2, 25 godz., 48 minut i 55 sekund, i widmo jéj nie ulega żadnéj zmianie; gwiazda znowu η w gwiazdozbiorze Okrętu Argo ma peryod 70-cio letni. Nie wdając się w bliższy opis wszystkich gwiazd zmiennych, podamy prawdopodobne przyczyny tego dziwnego zjawiska. Zmienność gwiazd bywa trojakiego rodzaju. Zmienność o krótkim peryodzie pochodzi prawdopodobnie z zaćmienia gwiazdy przez ciało ciemne obracające się około niéj; zmienność zaś o długim okresie może pochodzić już to ztąd, że gwiazda obraca się około osi, zwracając ku nam różne swe strony, już téż ztąd, że z wnętrza gwiazdy wydobywają się peryodycznie massy pochłaniające. W końcu zmienność gwiazd może pochodzić z pożarów gwiazd, przytrafiających się w peryodach mniéj lub więcéj nieregularnych. Zmienność pierwszego rodzaju oczywiście nie może wywiérać wpływu na ciała należące do układu gwiazdy zmiennéj. Inaczéj się rzecz ma ze zmiennością drugiego i trzeciego rodzaju; łatwo bowiem widziéć, że na układach rządzonych przez takie słońca życie organiczne nie jest możebném. Zjawisko gwiazd zmiennych jest jeszcze i pod innym względem niezmiernie dla nas pouczającém. Pokazuje ono nam, że w przestrzeni wszechświata rozsiana jest niezliczona ilość

ciał ciemnych, o których istnieniu dowiadujemy się tylko ze strasznych katastrof na nich się odbywających i to dopiéro po upływie setek lat. O istnieniu ciał ciemnych mamy jeszcze inne dowody, o których późniéj mówić będziemy.

Wiele gwiazd zapisanych w dawniejszych katalogach zupełnie znikło, albo lepiéj zgasło, stając się dla nas niewidzialnemi.

Fakty podane dla gwiazd zmiennych naprowadzają nas na pewne uwagi, odnoszące się do słońca. Nasze słońce jest gwiazdą zmienną. Okres jedynastoletni plam dowodzi, że działalność słońca nie jest stałą, i z tego względu natężenie światła słonecznego musi być zmiennóm; lubo bezpośrednie wyznaczenie granic i wielkości téj zmienności przy obecnym stanie nauki jest niemożebném. Natężenia światła słonecznego nie możemy zmierzyć i dla tego nie mamy prawa twierdzić, że natężenie to jest słabszém podczas maksymów plam aniżeli podczas minimów, gdyż strata w natężeniu światła miejsc ciemnych może być zrównoważoną większym blaskiem miejsc świecących. Ta sama niepewność zachodzi i co do natężenia ciepła słonecznego, gdyż wszystkie nasze obserwacye odbywamy w atmosferze ziemskiéj, któréj zmienność nie pozwala nam ocenić ogółu temperatury słońca. Wprawdzie niektórzy badacze upatrują związek pomiędzy peryodem plam słonecznych i zmianami w średniéj temperaturze rocznéj kuli ziemskiéj i w ilości spadłego deszczu; lecz dowody na to są tak słabe, że nie mają żadnéj naukowéj wartości. Jednakże to jest już nie wątpliwém, że ilość ciepła jaką ku nam słońce wysyła jest zmienną, czego dowodzi związek zachodzący pomiędzy plamami słonecznemi i stanem magnetycznym ziemi, który, jak wiadomo, zależy od zmiany temperatury na powierzchni ziemi. Co więcéj, kto może twierdzić czy zmiany, które teraz są tak nieznaczne, iż przy teraźniejszych środkach ocenić ich nie możemy, nie staną się po upływie wieków tak wielkiemi, że wywrą silny wpływ na życie organiczne ziemi? Kto wié czy peryody lodowe, które panowały na ziemi, nie zostały wywołane podobnemi zmianami? (1).

Badanie gwiazd zmiennych może rzucić niejakie światło na tę ważną i trudną kwestyą. Potwierdza się więc znana prawda, że badania czysto naukowe, nie mające na pozór żadnego związku z praktyką, mogą doprowadzić do niezmiernie ważnych odkryć, przynoszących bezpośredni użytek.

---

(1) *Norman Lockyer*, opiérając się na obserwacyach ostatniego zaćmienia słonecznego z d. 29 Lipca 1878 r., a mianowicie na fakcie, że w widmie korony nie spostrzeżono linii zielonéj, twierdzi, że temperatura słońca obniżyła się; zdania jednak tego inni astronomowie nie podzielają.

II.

Gromadki gwiazd.—Gwiazdy mgliste i obłoczki.—Ruchy własne gwiazd.—Ruch własny słońca, — Gwiazdy podwójne i prawdopodobna ich liczba.—Liczba gwiazd.—Wielkość układu planetarnego. — Odległość gwiazd stałych.—Budowa i wielkość wszechświata.

Dla uzupełnienia fizycznego opisu nieba musimy jeszcze podać niektóre wiadomości o tak nazwanych *gromadkach gwiazd, mgławicach i gwiazdach mglistych.*

Oprócz świetnych gwiazd, napotykamy w wielu miejscach nieba mnóstwo plam, które gołém okiem obserwowane przedstawiają się jako świecące obłoczki. Do takich plam należą: droga mleczna, Plejady w gwiazdozbiorze Byka, rękojeść miecza w konstelacyi Oryona, Włosy Bereniki i t. d. Te utwory obłoczkowe starożytni nazywali *plamami mglistemi.* Lecz już Galileusz za pomocą niedokładnych nawet narzędzi przekonał się, że większa część tych obłoczków składa się z pojedyńczych gwiazdeczek. W dzisiejszych olbrzymich teleskopach wiele obłoczków przedstawia sieć najrozmaitszych krzywych linij i łuków utworzonych z małych gwiazdeczek, o których najdokładniejszy nawet opis może dać słabe tylko pojęcie. Charakterystycznym jest obłoczek w bliskości gwiazdy (mi) w konstelacyi Strzelca. Ten obłoczek, którego wielkość nie przechodzi połowy tarczy słonecznéj, obserwowany w ekwatoryale Merza, przedstawia mnóstwo grup pojedyńczych gwiazdeczek dziewiątéj do jedynastéj wielkości. Niektóre z nich tworzą krzywe linie, które dla swego kształtu nazywają się kaustycznemi. Inne znowu ugrupowane są około bardzo pięknych gwiazdeczek w linie kołowe, z okręgu których wychodzą liczne promienie. Oprócz tego w tym obłoczku obserwujemy mnóstwo układów krzyżujących się łuków, środkowa zaś część obsiana jest licznemi punktami świecącemi, których położenia nie można wyznaczyć. Według tego samego planu zbudowane są droga mléczna i obłoczek Magelana, lecz o nich później pomówimy. Wszystkie te obłoczki odznaczają się nie tylko ogromem liczb gwiazd w skład ich wchodzących, lecz jeszcze nadzwyczajną rozmaitością barw. Obłoczki obserwowane przez teleskop przedstawiają widok garści brylantów, świecących wszystkiemi kolorami tęczy. Obserwacyą obłoczków zajmowali się rozmaici astronomowie, lecz największe zasługi na tém polu położył W. Herschel, któremu za pomocą potężnych teleskopów udało się rozłożyć wiele obłoczków na pojedyńcze gwiazdy. Wiele z tych grup gwiazdowych tworzy oddzielną kategoryą *obłoczków kulistych*, nazwanych przez

Herschela *Clusters* (gromadkami). Gromadki takie składają się z ogromnéj liczby małych gwiazdeczek tak skupionych, że we środku powstaje biała świecąca plama. W niektórych gromadkach ta plama jest nierozkładalną nawet w najpotężniejszych teleskopach, lecz wszystkie, z wyjątkiem jednéj, w gwiazdozbiorze Włosów Bereniki, dają widma ciągłe, czém się odróżniają od mgławic, dających pojedyńcze jasne linie. Półkula południowa nieba odznacza się większém bogactwem gromadek gwiazdowych, z których najpiękniejsze znajdują się w gwiazdozbiorach Tukana i Centaura.

Nie wdając się w bliższy opis gromadek gwiazd, podamy tylko wnioski wyprowadzone ze znacznéj liczby obserwacyj. 1) Ponieważ każdéj gromadce towarzyszą gwiazdy spiralnie ugrupowane, więc mamy prawo twierdzić, że gromadki i gwiazdy im towarzyszące zostały utworzone z jednéj masy kosmicznéj, która się stopniowo zgęszczała, zostawiając we środku gromadek nieskrzepłą jeszcze część. 2) Pozorna gęstość kupek zależy od większéj lub mniejszéj ich odległości, któréj dziś nie jesteśmy w stanie oznaczyć. 3) Środkowa część gromadek nie jest natury gazowéj, bo daje widmo ciągłe. 4) Wszystkie gromadki znajdują się w pasie wielkich gwiazd.

W. Herschel widząc, że w miarę wzrastania siły teleskopów coraz nowe obłoczki rozpadają się na pojedyńcze gwiazdeczki, skłonnym był z początku uważać wszystkie za gromadki, które przy użyciu stosownie silnych instrumentów staną się rozkładalnemi. Później jednak, poznawszy różnicę zachodzącą pomiędzy różnemi obłoczkami, zmienił swoje zdanie i przyjął, że niektóre obłoczki utworzone są z gazowéj masy kosmicznéj. Gdy jednak potężny teleskop lorda Rossa rozłożył obłoczki, uważane przez Herschela za nierozkładalne, niektórzy astronomowie zaczęli powątpiewać w istnienie mas kosmicznych. Powstały ztąd spór między astronomami, dopiéro w najnowszych czasach został rozstrzygniętym za pomocą analizy spektralnéj, która wykazała, że w przestworach niebios znajdują się rzeczywiście masy kosmiczne natury gazowéj. Jeszcze przed rozstrzygnięciem tego sporu, astronomowie podzielili wszystkie ówczesne nierozkładalne obłoczki na trzy rodzaje, a mianowicie na obłoczki: *planetarne*, *eliptyczne* i *nieforemne*. Pierwsze z nich przedstawiają się w kształcie mniéj lub więcéj wyraźnych tarcz, świecących, podobnie jak planety światłem jednostajném, koloru niebiesko-zielonego. Okrągły kształt tych ciał jest tylko pozornym, gdyż bliższe badania wykazały, że wewnętrzna ich budowa jest bardzo skomplikowaną. Niektóre z nich jak np. obłoczek w gwiazdozbiorze Lwa ma kształt pierścienia eliptycznego, w środku którego znajduje się mała gwiazdeczka; inne znowu składają się z jąder otoczonych powłoką

mglistą; tu zaliczyć też należy tak nazwane *gwiazdy mgliste*, składające się z pojedyńczéj gwiazdy otoczonéj powłoką. Obserwacye Hugginsa wykazały, że widma tych obłoczków składają się z trzech jasnych linij, z których jedna jest linią wodoru, druga—linią azotu, trzecia zaś wcale nam nie jest znaną. Odkrycie to upoważnia nas do wniosku, że te *obłoczki utworzone są z rozpalonéj masy gazowéj*.

Obłoczki eliptyczne są to ciała podłużne, świecące światłem bardzo słabém; liczba ich jest bardzo znaczna, a kształt dowodzi, że we wnętrzu ich masy czynną jest ogromna siła odśrodkowa, co potwierdza się jeszcze tém, że niektóre z nich przedstawiają wyraźną budowę spiralną. Pod wpływem téj siły masy kosmiczne przechodzą ze stanu gazowego w stan prawdziwych słońc i planet, mogących służyć za miejsce pobytu dla istot organicznych. Teorye więc kosmogeniczne Laplace'a, Kanta i Herschela znajdują potwierdzenie.

Niemniéj liczne od obłoczków planetarnych są obłoczki nieforemne; najciekawszym z nich jest obłoczek w rękojeści miecza Oryona, zawiérający gwiazdę wielokrotną (tetę). Kształt tego obłoczka jest bardzo nieforemny i widmo daje przerywane. Niektórzy astronomowie utrzymują, że obłoczek ten uległ zmianom kształtu, lecz twierdzenie to potrzebuje jeszcze potwierdzenia.

Przystępujemy teraz do mechaniki ogólnéj gwiazd i do zbadania ich ruchów. Są to badania, o których starożytni najmniejszego nie mieli pojęcia, gdyż wymagają nadzwyczaj delikatnych i ścisłych obserwacyj. Wiadomo, że od najdawniejszych czasów gwiazdy dzielono na dwie grupy: na gwiazdy *stałe* i na gwiazdy *ruchome*, czyli *planety* i *komety*.

Dopóki kulę niebieską uważano za stałe sklepienie, dopóty oczywiście uważano gwiazdy jako stale do tego sklepienia przytwierdzone; lecz nawet wtedy, gdy umysłowi ludzkiemu udało się zrobić olbrzymi krok naprzód i uważać ziemię za bryłę swobodnie zawieszoną w przestworach niebios, nie przestawano jeszcze uważać jéj za środek wszechświata. Dopiéro po dokonaniu kolosalnych postępów w astronomii można było oznaczyć prawdziwą rolę ziemi w stosunku do słońca uważanego za ciało stałe. W miarę jednak rozwoju nauk potężne umysły badaczy zaczęły powątpiewać w stałość słońca i innych gwiazd.

Pierwszy Halley w r. 1717 wypowiedział mniemanie, że gwiazdy nie są stałe, co starał się wykazać licznemi i ścisłemi obserwacyami. Porównywając swoje obserwacye z danemi katalogu Hipparcha, przekonał się, że niektóre gwiazdy zmieniły swoje położenie; lecz niedokładność ówczesnych obserwacyj w połączeniu z nadzwyczajnie małą wielkością ruchu gwiazd nie doprowadziły do żadnych nau-

kowych wniosków. Dopiéro w nowszych czasach, po znakomitém udoskonaleniu narzędzi, udało się obserwacye doprowadzić do takiéj ścisłości, że stosunkowo mały nawet czas wystarcza na zbadanie ruchu własnego gwiazd. Tak np. Argelander, porównywając swoje obserwacye z obserwacyami Bradleya, mógł przystąpić do rozwiązania téj trudnéj kwestyi. Nie wdając się w bliższy rozbiór metod użytych, podamy czytelnikom główne wypadki tych badań.

Większa część gwiazd nie zachowuje swego położenia na niebie, lecz zmienia je; wielkość téj zmiany jest różną dla różnych gwiazd: dla jednych zmiana w położeniu wynosi od 7 do 8 sekund rocznie, dla innych zaś wynosi zaledwie jednę dziesiątą sekundy. Gwiazdy większe, w ogólności, mają ruch własny, większy od gwiazd małych; są jednak małe gwiazdy jak np. 61-sza Łabędzia, które mają ruch własny znaczny. Gwiazda 61 Łabędzia porusza się z prędkością 71,6 kilometrów na sekundę, gdy prędkość Arkturusa wynosi 85 kil., Kozy—40 kil., Wegi—7 kilometrów i t. d.

Musimy tu dodać, że przy jednakowym stopniu wielkości, gwiazdy podwójne mają większy ruch niż gwiazdy pojedyńcze, co tłómaczy się tém, że w masie kosmicznéj, z któréj powstały gwiazdy podwójne działały większe siły odśrodkowe.

Ponieważ nasze słońce jest także gwiazdą, pod każdym względem podobną do innych gwiazd, więc astronomowie wyprowadzili wniosek, że i ono musi mieć ruch własny. Lecz jeżeli słońce, a z niém wraz i ziemia mają ruch postępowy, to pod wpływem tego ruchu wszystkie gwiazdy będą zmieniać swoje położenia względem obserwatora znajdującego się na ziemi. Zachodzi teraz pytanie: czy obserwowany ruch własny gwiazd nie jest czasem pozornym, wypływającym z ruchu obserwatora? Ścisłe obserwacye wykazały, że obserwowany ruch własny słońca w części tylko tłómaczy ruch własny gwiazd, gdyż niektóre gwiazdy mają ruch rzeczywisty. Cała trudność zadania polega na tém, ażeby odróżnić ruch pozorny od ruchu rzeczywistego. W tym celu przyjmiemy najprzód, że samo tylko słońce jest w biegu i zbadamy, jaki widok przedstawia świat gwiaździsty w téj hypotezie.

Według praw mechaniki, pozorny ruch gwiazd musi się odbywać na płaszczyznach przechodzących przez słońce i przez łuki, opisane pozornie przez gwiazdy na sklepieniu nieba. Wszystkie te płaszczyzny muszą się przecinać według linii prostéj, któréj jeden koniec wyznacza punkt na niebie, ku któremu słońce się porusza. Gwiazdy zatém leżące w okolicy tego punktu będą musiały oddalać się od siebie, gwiazdy zaś leżące na stronie przeciwległéj będą się do siebie zbliżać, zupełnie tak samo, jak to ma miejsce z drzewami alei, po

któréj spacerujemy. Herschel, kreśląc na kuli niebieskiéj łuki kół opisanych przez gwiazdy w ich biegu własnym, znalazł, że punkt nieba, ku któremu słońce zdaje się zbliżać, przypada w gwiazdozbiorze Herkulesa i ma następujące współrzędne:

wznoszenie proste 252° 42′,
zboczenie +49° 58′.

Metoda użyta przez Herschela nie jest ścisłą, dla tego téż inni astronomowie jak Argelander, Otto Struve i Galloway zajmowali się wyznaczeniem współrzędnych wyżéj wspomnionego punktu; wypadki przez nich otrzymane nie zupełnie się z sobą zgadzają; biorąc wypadki średnie możemy z wielkiém prawdopodobieństwem przyjąć, że rzeczywistemi współrzędnemi tego punktu są:

wznoszenie proste 261°30′,
zboczenie +27°.

Otto Sruve starał się téż wyznaczyć wielkość ruchu słońca; według jego obliczeń wypada, że słońce opisuje 240 milionów kilometrów rocznie. Rozumié się samo przez się, że ruch słońca nie jest prostolinijnym, ale krzywodrożnym, i dopiéro przyszłe pokolenia w bardzo dalekiéj przyszłości będą mogły przystąpić do wyznaczenia elementów drogi słońca. My, w obecnym stanie nauki, jesteśmy w zupełnéj nieświadomości tak co do położenia środka ruchu, jako téż co do przyczyn wywołujących ten ruch.

Wyznaczywszy ruch własny słońca, możemy téż zbadać ruchy własne gwiazd, które się przedstawiają jako różnice pomiędzy obserwowanemi ruchami gwiazd i ruchem słońca.

Postaramy się teraz pokazać czytelnikowi, w jaki sposób astronomowie i inną drogą wyznaczyli ruchy własne gwiazd.

Dla fizyka, gwiazda jest niczém inném jak tylko środkiem wibracyj, którego peryodyczne wahania udzielają się otaczającemu eterowi, i przezeń dochodzą do naszego oka; zupełnie tak samo jak wibracye ciała dźwięczącego dochodzą do naszego ucha za pośrednictwem powietrza. Ponieważ zjawiska akustyczne są bardziéj dostępne dla obserwacyj niż zjawiska optyczne, więc starano się przedewszystkiém zbadać wpływ ruchu ciała dźwięczącego na wysokość tonu, by otrzymane wypadki zastosować do zmian barw światła, wysyłanego przez ciało w biegu będące. Otóż bardzo proste rozumowanie pokazuje, że w miarę tego jak się ciało dźwięczące zbliża ku obserwatorowi, fale głosowe się skracają i ton staje się coraz wyższym; w miarę zaś jak się ciało dźwięczące oddala, fale głosowe stają się coraz dłuższemi i ton się zniża. Zmiana tonu została doświadczalnie stwierdzoną przez Fizeau, zmianę tę zresztą każdy z łatwością może sprawdzić, przysłuchując się tonowi, jaki wydaje piszczał-

ka lokomotywy w biegu będącéj. Ponieważ barwa światła zależy od długości fal świetlanych, więc barwa ciała w ruchu będącego musi się téż zmieniać, stosownie do tego, czy się ono zbliża do obserwatora, czy téż się od niego oddala. Ponieważ linie ciemne widma odpowiadają promieniom światła o pewnéj długości fal, więc i one muszą zmieniać swoje położenie w widmie ciała świecącego, jeśli ciało to znajduje się w ruchu. Opiérając się na tém, Huggins zastosowawszy metodę spektralną wyznaczył ruch własny niektórych gwiazd i znalazł, że Syriusz oddala się od ziemi z prędkością 27 kilometrów na sekundę, Betegeuze—z prędkością 20 kil., Rygel—z prędkością 15 kil.; przeciwnie Arkturus zbliża się do ziemi z prędkością 55 kil., Wega—z prędkością 46 kil. itd. Badaniami tego rodzaju zajmowali się Secchi i Vogel; lecz wypadki przez nich otrzymane nie są ze sobą zgodne i dla tego téż Secchi utrzymuje, że metoda spektralna wyznaczania ruchu i gwiazd nie przedstawia tego stopnia pewności, co bezpośrednia obserwacya ruchu za pomocą teleskopów.

Poprzednie badania wykazały w sposób pewny i niewątpliwy istnienie ruchu gwiazd, lubo elementów tego ruchu nie znamy dokładnie. Zachodzi teraz pytanie: czy świat astralny przedstawia zbiór układów, zupełnie od siebie niezależnych; czy téż on stanowi jeden ogromny układ, w którym wszystkie ciała krążą około wspólnego środka ciężkości, i czy ten środek ciężkości wszechświata przypada w próżni, czy téż znajduje się w bliskości środka jakiegoś ciała materyalnego; innemi słowy, zachodzi pytanie czy istnieje centralne słońce dla całego wszechświata? Odpowiedź na to pytanie przy dzisiejszym stanie nauki jest niepodobną, gdyż znamy ruchy bardzo małéj tylko liczby gwiazd. Lecz jeżeli na to pytanie nie możemy dać odpowiedzi, to jednak jesteśmy w stanie wykazać, że ruchy gwiazd ulegają tym samym prawom mechaniki jakie rządzą ruchami planet i ciał ziemskich. Obserwacye bowiem wykazały, że w przestrzeni niebios istnieją grupy, składające się z dwóch, trzech i więcéj gwiazd, które w takiéj względem siebie zostają zależności, w jakiéj planety zostają względem słońca, i że ciała tych układów obracają się około wspólnego środka ciężkości według tych samych praw co i planety. Czyż więc nie mamy prawa rozciągnąć tego wniosku na wszystkie ciała wszechświata?

Wiele gwiazd, które gołém okiem obserwowane zdają się być pojedyńczemi, widziane przez teleskop okazują się złożonemi z dwóch, trzech, a nawet i więcéj gwiazd już to jednakowéj, już to najrozmaitszéj wielkości. Gwiazdy takie nazywają się *gwiazdami podwójnemi*, *potrójnemi* lub *wielokrotnemi*. Sąsiedztwo dwóch lub więcéj gwiazd może niekiedy być wynikiem perspektywy, miano-

wicie gdy gwiazdy leżą na jednym promieniu widzenia; w większéj jednak liczbie przypadków gwiazdy jednéj grupy połączone są ze sobą takiemi węzłami, jakiemi słońce utrzymuje planety na ich orbitach. W pierwszym przypadku gwiazdy nazywają się *optycznie podwójnemi*, w drugim—*fizycznie podwójnemi.* Niezbity dowód związku fizycznego pomiędzy niektóremi gwiazdami dał W. Herschel, wykazawszy, że jedna z gwiazd układu opisuje około drugiéj linię zamkniętą według praw przyciągania powszechnego; Struve bowiem dowiódł, że prawdopodobieństwo, iż między dwiema gwiazdami krążącemi około siebie nie ma związku fizycznego jest mniejszém od prawdopodobieństwa, że jutro słońce nie wzejdzie. Wielką prawdę o ruchu gwiazd podwójnych W. Herschel ogłosił światu w r. 1802, wykazawszy, że niektóre gwiazdy mają świecące satelity, które dokonywają około nich obrotów w okresach stosunkowo krótkich np. *Zeta* w Herkulesie w 36 lat, *Eta* korony północnéj w 44 lat, *Ksy* Wielkiéj Niedźwiedzicy w 63 lat itd. Rozumié się samo przez się, że pierwsze obserwacye odnosiły się tylko do bardzo małego łuku orbity; lecz one były dostatecznemi do wyznaczenia natury drogi, i wypadki otrzymane za pomocą rachunku zostały późniéj licznemi obserwacyami stwierdzone, gdyż dziś wiele z tych gwiazd dokonało już całkowitego obrotu.

Rozmiary niniejszego artykułu nie pozwalają nam opisać szczegółów wyznaczania dróg pozornych i rzeczywistych gwiazd podwójnych, i dla tego też ograniczymy się tylko na samych rezultatach, które wykazały, że drogi tych gwiazd są elipsy bardzo wydłużone. Dla wyznaczenia rzeczywistych wymiarów tych elips potrzebną jest znajomość odległości gwiazd, która dla bardzo małéj tylko liczby jest wiadomą; w obecnym stanie nauki jedyną gwiazdą, o któréj co do wielkości drogi możemy cóś pewnego powiedzieć, jest Alfa Centaura, przebiegająca drogę dwadzieścia milionów razy większą od drogi ziemskiéj. Drogi innych gwiazd podwójnych obliczone przez różnych astronomów okazały się być niejednakowemi, co jednak nie powinno nas dziwić, jeśli zwrócimy uwagę na trudność zadania. Pomiędzy prawdopodobnemi przyczynami wpływającemi na rozmaitość dróg gwiazd podwójnych jest jedna, nieznana powszechnie, a mianowicie działanie jakiego doznaje widzialny satelita gwiazdy od niewidzialnych. O istnieniu ciał ciemnych krążących około gwiazd mówiliśmy już poprzednio przy wyliczaniu możliwych przyczyn zmienności gwiazd; otóż obliczenie dróg biegów własnych gwiazd wykazało istnienie ciemnych satelitów, krążących około niektórych gwiazd. Tak np. nieprawidłowości biegu Syriusza i Procyona naprowadziły

Bessela na myśl szukania ich przyczyn w działaniu ciemnych księżyców, co też późniéj zostało stwierdzoném, gdyż w r. 1862 Alvan Clark w Chicago odkrył małą gwiazdeczkę w bliskości Syriusza, która okazała się być jego satelitą, w r. zaś 1874 Struve odkrył téż księżyc Procyona.

Nie wdając się w bliższy opis gwiazd podwójnych, zwrócimy uwagę czytelnika na to, że nam mieszkańcom ziemi, na któréj życie organiczne rządzoném jest przez jedno słońce, trudno wyrobić sobie pojęcie o zjawiskach życiowych odbywających się na planetach, oświetlanych i ogrzewanych jednocześnie przez dwa lub więcéj słońc. Jeśli do tego dodamy, że gwiazdy podwójne świecą barwami dopełniającemi, to łatwo zrozumiemy, że najbujniejsza fantazya poety nie jest w stanie wyrobić sobie pojęcie o warunkach życia na planetach, którego mieszkańcy mają przed sobą widok nieba, na którém jednocześnie błyszczą czerwone i zielone słońce, lub których noc rozpoczyna się blaskiem żółtawym i znika pod promieniami niebieskiemi.

Oprócz gwiazd podwójnych i wielokrotnych istnieje jeszcze na niebie wiele układów, ściśle ze sobą połączonych. Nie mówiąc już o gromadkach gwiazd, które najniezawodniéj tworzą układy samodzielne, napotykamy jeszcze w przestworach niebios całe okolice usiane gwiazdami, ułożonemi w pewne kręgi około jednego punktu, z którego rozchodzą się promienie prawidłowo rozłożone, lubo w tym punkcie nie zawsze spostrzegamy ciało centralne.

Wszystkie te zjawiska dowodzą związku zachodzącego pomiędzy ciałami niebieskiemi, jako téż zależności tego związku od sił rządzonych temi samemi prawami, którym podlegają i ciała układu słonecznego. Ta jedność sił we wszechświecie odkryła nam istnienie nieskończenie wielu ciał zupełnie nam nieznanych i zarazem wykazała, że cały układ słoneczny wraz ze swemi planetami, kometami i asteroidami jest tylko punktem w przestrzeni. Spektroskop wykrył nam jedność materyi we wszechświecie, gwiazdy podwójne dały nam poznać jedność sił, geologia dała nam poznać nieskończoność czasu, astronomia—przestrzeni.

Bezpośrednie liczenie gwiazd jest rzeczą niepodobną, gołém okiem możemy tylko bardzo nieznaczną liczbę gwiazd wyznaczyć. Już starożytni uważali za cud, że Hiparchowi udało się ułożyć katalog z tysiąca gwiazd. Z tego to powodu starano się pośrednio wyznaczyć liczbę gwiazd. Rozumié się, że metoda pośrednia nie może dać ścisłych rezultatów; lecz w kwestyach tego rodzaju tak nazwane wypadki średnie są zupełnie wystarczające, gdyż prawa otrzymane tą metodą są prawdziwe w przypadkach ogólnych, lubo nie dają się

zastosować do przypadków szczególnych. Zachodzi tu wielkie podobieństwo do niektórych zadań statystyki, która wyznacza średnią liczbę występków pewnego rodzaju popełnianych rok rocznie przez dane społeczeństwo, lubo nie może wskazać osobnika, który dany występek popełni. W. Herschel był pierwszym, który metodę bezpośredniego liczenia zastąpił metodą sondowania (Star gauges). Sposób ten polegał na tém, że teleskop swój Herschel skierował ku rozmaitym punktom nieba, tak dobranym, ażeby one pokryły niebo na kształt sieci jednostajnie rozpostartéj. Pole widzenia teleskopu użytego przez Herschela miało średnicę 5′4″, przy 120-krotném powiększeniu. Skierowawszy teleskop ku pewnemu punktowi nieba, Herschel liczył, ile w polu widzenia ukazuje się gwiazd, a tam gdzie liczenie to było niemożebném wyznaczył tylko część téj liczby. Uskuteczniwszy tym sposobem pewną liczbę takich obserwacyj w danéj okolicy nieba, znakomity astronom angielski rozdzielił liczbę gwiazd przezeń obserwowanych przez liczbę dostrzeżeń, a ilorazy otrzymane przyjął za miarę średniéj gęstości gwiazd w obserwowanéj okolicy nieba. Metoda powyższa przedstawia wprawdzie wiele niedokładności, lecz jest ona zarazem jedyną, która prowadzi do celu, i pomimo że prace koło sondowania gwiazd nie zostały doprowadzone do końca należy je jednak uważać za jedne z najpiękniejszych na polu astronomii. Dla wyrobienia sobie pojęcia o ogromie téj pracy dość będzie powiedziéć, że Herschel pomimo dokonanych 340 pomiarów oznaczył zaledwie $^1/_{230}$ część nieba, a więc dla obserwacii całego nieba potrzeba najmniéj 83 lat.

Ze wszystkich obserwacyj Herschel otrzymał następujące wypadki. W niektórych okolicach nieba gwiazdy są tak liczne, że w polu widzenia teleskopu znajduje się na raz 588 gwiazd i gęstość ta nie zmniejsza się w ciągu kilku minut; w innych przeciwnie okolicach nieba gwiazd jest bardzo mało, tak że w polu widzenia teleskopu ukazuje się zaledwie jedna, lub dwie gwiazdy. Wszystkich gwiazd widzialnych w teleskopie Herschela jest 20.374.300. Podobne zjawiska przedstawia též półkula południowa nieba.

Chcąc z liczby gwiazd wyrobić sobie pojęcie o wielkości przestrzeni, musimy znać odległość jednego układu gwiazdowego od drugiego, do tego zaś przedewszystkiém potrzebną jest znajomość wymiarów układu słonecznego, którym teraz się zajmiemy.

Starożytni uważali ziemię za środek wszechświata i dla wytłómaczenia zjawisk, jakie przedstawia niebo gwiazdziste, musieli się uciekać do ruchów kul mimośrodowych, które lubo bardzo dowcipnie pomyślane nie były w stanie dać zadawalniających rezultatów; dopiéro nieśmiértelny nasz rodak Mikołaj Kopernik wskazał praw-

dziwą budowę układu słonecznego. Lecz pomimo, że ziemia z królowéj planet zeszła na zwyczajną służebnicę słońca, nie przestała jednak być nadzwyczaj dla nas ważną, bo ona stanowi podstawę pomiarów ogromu wszechświata.

Przyjmując, że ziemia jest doskonałą kulą, to dla wyznaczenia jéj wielkości musimy wymierzyć długość łuku południka łączącego dwa punkta na ziemi, których szerokości geograficzne różnią się pomiędzy sobą o jeden stopień; znając tę długość, możemy już obliczyć długość całego południka, a następnie i wielkość promienia ziemskiego. Pierwszy Erastotenes na 270 lat przed Ch. starał się rozwiązać to zadanie i obliczył, że długość południka wynosi 250.000 stadyów; następnie w IX wieku Arabowie za czasów kalifa Almamuna obliczyli, że długość jednego stopnia południka wynosi $56^2/_3$ mil. arab. W r. 1550 lekarz Fernel zmierzył łuk południka między Paryżem i Amiens, rachując liczbę obrotów swego wózka, i znalazł, że długość jednego stopnia wynosi 57.070 sążni francuskich (toises). Wszystkie jednak te pomiary były niedokładne; dopiéro gdy Holender Snellius w r. 1616 wynalazł metodę trójkątowania, można było otrzymać rezultaty dokładniejsze. Picard w r. 1669 zastosowawszy metodę Snelliusa znalazł, że długość stopnia wynosi 57.060 sążni. Newton pierwszy, wychodząc z zasady, że ziemia się obraca około swéj osi, dowiódł, że ona nie może być kulą, lecz musi mieć kształt elipsoidy obrotowéj; powstał ztąd spór pomiędzy Francuzami i Anglikami, który Akademia umiejętności w Paryżu postanowiła rozstrzygnąć. W tym celu, w r. 1736 wysłała dwie komisye, jednę do Laponii drugą do Peru dla zmierzenia długości stopnia pod biegunami i na równiku. Ścisłe pomiary wykazały, że rzeczywiście ziemia jest spłaszczoną pod biegunami, gdyż długość 1 stopnia pod biegunami wynosi 57.436 sążni fran., pod równikiem zaś—56.753. W następstwie uczeni innych narodowości wykonywali pomiary rozmaitych łuków południków i równoleżników ziemskich; Bessel w r. 1837 z dziesięciu najlepszych pomiarów obejmujących $50^0 34'$ obliczył, że promień biegunowy ziemi wynosi 8.565.687 mil geogr., promień zaś równikowy—8.594.362 m. g.; spłaszczenie zatém wynosi 1.299. Z tych to liczb wypada, że powierzchnia ziemi wynosi około 10 milionów mil kwadratowych, objętość zaś—2.650 milionów mil sześciennych.

Francuzi zmierzywszy długość południka, postanowili zaprowadzić jednostajny układ miar i wag, któryby był tak długotrwały, jak są trwałe przedwieczne dzieła przyrody, skład i budowa fizyczna ziemi; w tym celu podzielili ćwiartkę południka na 10 milionów równych części i jednę taką część przyjęli za jednostkę miary długości pod nazwą *metra*, którego długość, według pomiarów ko-

misyj francuskich, wynosi 443.296 linij paryskich. Późniejsze pomiary wykazały, że długość ćwiartki południka wynosi 10.000.856 metrów, która to różnica pochodzi z błędów popełnionych przez francuskich uczonych. Oprócz tego późniejsze badania wykazały, że nie wszystkie południki są jednakie, gdyż z prac kapitana Jamesa wypada, że ziemia jest elipsoidą trójosiową. Z tych to powodów lepiéj byłoby za jednostkę długości przyjąć dziesięcio-milionową część osi ziemskiéj, co, według najnowszych badań egiptologów, uczynili starożytni Egipcyanie przy budowie piramidy Cheopsa. Ponieważ jednak metr francuski powszechnie jest używanym, więc zamiana jego na inną jednostkę byłaby połączoną z wielkiemi trudnościami. Cokolwiekbądź, Francuzom należy się zasługa, że dali światu systematyczny układ miar i wag w zamian za setki nedołężnych i niezgodnych ze sobą systemów. Nic więc dziwnego, że układ metryczny przez wszystkie prawie ludy został przyjętym. Jan Śniadecki w swojéj geografii fizycznéj mówiąc o korzyściach, jakie wypływają z jedności miar i wag, tak rzecz swoję kończy: „Te wszystkie szkody i nieprzyzwoitości upadają i nikną przy wprowadzeniu tego samego pasma miar i wag do wszystkich narodów, pasma zafundowanego na rozległości ziemi, jako wspólnego wszystkich ludzi siedliska, na prawdzie i rozumie, które ich łączyć powinny, jako temi samemi potrzebami związanemi, i jako różne odnogi tego samego rodu i plemienia. Związać potrzeby ludzkie z fenomenami natury i wyciągnąć miarę pierwszych ze stosunku ostatnich jest to myśl wielka i godna rozumiejącego jestestwa. Dzieło oświecenia jest to ogrom przestraszający człowieka, skoro się zastanowi i zmierzy krótkość swego życia z masą niezmierną rzeczy, poznawaniu jego zostawionych. Nauki postępując w doskonałości ułatwiać i skracać powinny tę rozległą przestrzeń. Zrobić nam na przyszłość niepotrzebne wszystkie tablice zamiany jednych miar i wag na drugie, uwolnić pamięć od mnóstwa ułamków i stosunków, jest to ująć mechanicznéj pracy, a przyczynić czasu władzom umysłowym człowieka. Zrobić jeszcze ten przybysz czasu, a oszczędzenie pamięci dziedzictwem wieczném, do znalezienia i utrzymania łatwém dla przyszłych pokoleń, nie jest-że to ważném i rzetelném dobrodziejstwem dla rodu ludzkiego?“ Dodamy tu, że Secchi wychodząc z zasady, że metr nie czyni zadość warunkom, jakich wymagamy od jednostek miar, a mianowicie aby były stałe i niezmienne w każdym czasie i w każdém miejscu, powiada, że najdokładniejszą jednostką długości byłaby długość fali światła wysyłanego przez niektóre pierwiastki, jak np. przez wodór i sod.

Wyznaczywszy kształt ziemi, należało przedewszystkiém wymierzyć jéj odległość od słońca, gdyż znając tę odległość, możemy, na

zasadzie pewnych prawd astronomicznych, obliczyć odległość wszystkich innych planet i tym sposobem wyznaczyć wymiary całego układu słonecznego.

Otóż wyznaczenie odległości ziemi od słońca sprowadza się do wymierzenia tak nazwanéj *paralaksy pozioméj słońca*. Poziomą paralaksą gwiazdy nazywamy kąt, pod którym z gwiazdy widać promień ziemski téj miejscowości, dla któréj gwiazda ta wschodzi. Znając ten kąt i promień ziemski, możemy już z trójkąta prostokątnego obliczyć odległość gwiazdy od ziemi. Otóż Anglik Halley w r. 1738 wskazał sposób wyznaczenia paralaksy słońca z czasu przejścia planety Wenus przez tarczę słońca. W tém przejściu Wenus ukazuje się jako czarna plama na błyszczącéj tarczy słonecznéj; wejście zatém i wyjście planety mogą być obserwowane z wielką dokładnością. Lecz przejścia te zdarzają się bardzo rzadko, gdyż tylko dwa razy w ciągu całego wieku, z których drugie następuje ośm lat po pierwszém. Z obserwacyj przedostatniego przejścia w r. 1769 Bessel obliczył (1825), że paralaksa słońca wynosi 8,″57, zkąd wypada, że odległość ziemi wynosi 20²/₃ milionów mil geograficznych. Jednakże w ostatnich dziesiątkach rozmaite fakty wskazywały, że ta wartość paralaksy jest za małą. Ponieważ zaś od wartości paralaksy zależy wiele liczb odnoszących się do naszego układu słonecznego, więc wszystkie ludy ucywilizowane z wielką starannością przygotowywały się do obserwacyi przejścia Wenery przez tarczę słońca d. 8 Grudnia r. 1874; a lubo wypadki tych obserwacyj nie są jeszcze obliczone, to jednakże z tego co o nich wiemy możemy wyprowadzić wniosek, że pozioma paralaksa słońca wynosi 8,″88, z niéj zaś obliczona odległość ziemi od słońca—20 milionów mil.

Odległość ziemi od słońca można także obrachować z prędkości światła. Według prof. Younga obserwacye przejścia Wenery przez tarczę słońca nie dają lepszych rezultatów od metody wyznaczania odległości ziemi od słońca z prędkości światła, i dla tego też na ostatniém posiedzeniu amerykańskiéj akademii nauk wystąpił z projektem, zapronowania przez akademią Kongresowi, ażeby ten zamiast wysyłania ekspedycyi dla obserwowania Wenery w r. 1882 wyznaczył pewną sumę dla udoskonalenia doświadczeń Fizeau, Foucault i Cornu nad prędkością światła.

Podamy teraz opis ciał wchodzących do składu systemu słonecznego.

Układ ten jak wiadomo składa się:

1) Z planet głównych, których najważniejsze elementy są następujące:

Nazwa planety	Średnia odległość od słońca, przyjmując odległość ziemi = 1	Obrót gwiazdowy w latach Juliańskich	Stosunek ich mas do masy słońca
		lat dni	
1. Merkury	0,3870987	0. 87,9692580	1:4348000
2. Wenus .	0,7233322	0.221,7007866	1:412150
3. Ziemia .	1,0000000	1. 0,0063744	1:324479
4. Mars . .	1,523691	1.321,7296458	1:2968300
5. Jowisz .	5,202798	11.314,8348212	1:1050
6. Saturn .	9,538852	29.166,9698174	1:35296
7. Uran . .	19,182639	84. 5,8208296	1:220574
8. Neptun .	30,03997	164.225,72	1:17500

Musimy tu nadmienić, że niektórzy astronomowie twierdzą, że pomiędzy słońcem i Merkurym znajduje się jeszcze jedna planeta, któréj nadano nazwę Wulkanu; obserwacye, dokonane przez pp. Watson i Swift podczas ostatniego zaćmienia słonecznego d. 29 Lipca r. p., zdają się potwierdzać to mniemanie, gdyż ci obserwatorowie utrzymują, że widzieli Wulkana w blizkości słońca.

Pomiędzy Marsem i Jowiszem znajduje się grupa ciał, nazwanych planetoidami czyli małemi planetami. Liczba ich wynosi obecnie 187 (Kwiecień 1878).

2) *Z* satelitów czyli księżyców.

1 księżyc ziemi, 2 księżyce Marsa, Deimos i Fobos odkryte przez prof. Halla d. 17 Sierpnia 1877 r. Czas ich obrotu wynosi dla jednego 30 godz. 18 minut, dla drugiego—7 godz. 37 minut. 4 księżyce Jowisza, 8 księżyców i pierścień Saturna, 4 księżyce Urana i 1 księżyc Neptuna.

3) *Z* komet. Ciała te prawdopodobnie początkowo nie należały do układu słonecznego, lecz wiele z nich stało się teraz satelitami słońca, opisującemi około niego elipsy, niekiedy o bardzo wielkim mimośrodzie.

Do układu słonecznego musimy jeszcze zaliczyć tak nazwane światło zodyakalne, które pod zwrotnikami ukazuje się codziennie rano i wieczór, u nas zaś tylko w jesieni i na wiosnę w kształcie bardzo delikatnego stożkowatego blasku, dotykającego się swą podstawą poziomu w tém miejscu, gdzie słońce zaszło lub gdzie ma wschodzić. Według Secchiego, światło to pochodzi z korony słonecznéj, która się rozciąga po za ziemią, i jako dowód przytacza, że w r. 1843, gdy kometa przeszła bardzo blisko słońca, blask światła zodyakalnego stał się bardzo żywym, co się da tylko wytłómaczyć działaniem

komety na atmosferę słoneczną. Inni astronomowie, jak np. Heis, uważają światło zodyakalne za zjawisko ziemskie.

Zbadawszy wymiary układu jednéj gwiazdy, przystępujemy do wyznaczenia wzajemnéj odległości gwiazd.

Gdy badawczy umysł ludzki rozbił kryształowe sklepienie starożytnych; gdy pojedyńcze gwiazdy, uważane niegdyś jako przytwierdzone do owéj niezmiennéj kuli, stały się oddzielnemi słońcami; człowiek, nie mogąc objąć tego ogromu ciał zapełniających przestrzeń, nie chciał uwierzyć w prawdziwość odkryć naukowych, z tego li tylko powodu, że one nibyto są w sprzeczności z Biblią; zupełnie tak samo jak i dzisiaj spotykamy ludzi niewierzących w badania geologiczne nad wiekiem ziemi.

Odległość gwiazd, w ogólności mówiąc, wyznacza się za pomocą ich rocznéj paralaksy, to jest kąta, pod jakim z gwiazdy widać promień drogi ziemskiéj. Począwszy od Galileusza, astronomowie starali się wyznaczyć paralaksę gwiazd, lecz wszelkie ich usiłowania były bezskuteczne; dopiéro Bessel w r. 1830 za pomocą wynalezionego przez siebie heliometru wyznaczył paralaksę gwiazdy 61 Łabędzia = 0,"35, z któréj wypada, że odległość téj gwiazdy wynosi 589.043 promieni drogi ziemskiéj. Światło, które od słońca dochodzi do nas w 8 minut 13,3 sekund, potrzebuje dla przebieżenia téj drogi około 9 lat. Bardzo prosty rachunek pokazuje, że paralaksie = 1" odpowiada odległość 206.265 promieni drogi ziemskiéj, czyli około 5000 milionów promieni ziemskich. Otóż tę odległość w astronomii przyjmuje się za jednostkę dla mierzenia odległości gwiazd. Ponieważ dotychczas nie mamy żadnéj gwiazdy, któréjby paralaksa wynosiła całą sekundę, więc ztąd wnosimy, że gwiazdy stałe są bardziéj oddalone niż na tę ogromną odległość. Ośmieleni pomyślnym rezultatem Bessela, i inni astronomowie starali się wyznaczyć paralaksę gwiazd większych, lecz rezultaty nie odpowiadały oczekiwaniom, i w ogóle można powiedziéć, że paralaksy mniejszéj od jednéj czwartéj sekundy nie można ściśle wyznaczyć. Ponieważ większa część gwiazd wcale nie ma paralaksy, więc odległość ich wynosi przynajmniéj dziesięć jednostek odległości gwiazdowéj, gdyż paralaksę 0,"1 wyznaczono dla gwiazdy polarnéj. Do przebieżenia téj ogromnéj odległości światło potrzebuje 32 lat.

Wyznaczenie względnéj odległości gwiazd jest daleko łatwiejszém. Jeżeliby wszystkie gwiazdy miały jednakową wielkość, to względna ich odległość dałaby się wyznaczyć z wielkości ich blasku, gdyż blask ten maleje w stosunku kwadratów z odległości, to jest z dwóch gwiazd, ta, któréj odległość od nas jest dwa razy większą,

ma blask cztery razy mniejszy i t. d. Lubo takiéj jednostajnéj wielkości przyjąć nie możemy dla szczególnych przypadków, to jednak, gdy chodzi o wielką liczbę gwiazd, możemy z wielkiém prawdopodobieństwem powiedzieć, że najbliższe gwiazdy są największe, najdalsze—najmniejsze. Opiérając się na téj zasadzie, ułożono skalę względnych odległości gwiazd, poczynając od największéj i kończąc na najmniejszéj. Tak np. jeśli odległość gwiazd pierwszéj wielkości przyjmiemy za jedność, to odległość gwiazd drugiéj wielkości wyrazi się przez 1,55, trzeciéj—3,7, szóstéj—9,11 i t. d., aż w końcu 16-éj wielkości—wyraża się liczbą 735,20. Widzimy ztąd, że odległość gwiazd 6-éj wielkości, to jest tych, które jeszcze gołém okiem widzieć możemy, jest dziewięć razy większą od odległości gwiazd pierwszéj wielkości. Oprócz téj metody nazwanéj metodą *fotometryczną*, dla wyznaczenia wzajemnéj odległości gwiazd mamy jeszcze drugą, polegającą na ruchu własnym gwiazd. Jeśliby wszystkie gwiazdy miały ruch własny w kierunku prostopadłym do linii widzenia, to gwiazdy bardziéj oddalone miałyby ruch mniejszy, gwiazdy zaś bliższe—ruch większy. Opiérając się na téj zasadzie i na prawie wielkich liczb, Struve obliczył względną odległość gwiazd. Z jego obliczeń wypada, że przyjmując odległość gwiazd pierwszéj wielkości za jedność, to odległość gwiazd drugiéj wielkości wyraża się liczbą 1,3 dla gwiazd pojedyńczych, liczbą zaś 1,4 dla gwiazd podwójnych; odległość gwiazd trzeciéj wielkości—liczbą 2,1 dla pojedyńczych, liczbą 2 dla podwójnych; szóstéj wielkości—liczbą 8,5 dla pojedyńczych, liczbą 8,2 dla podwójnych. Ta zgodność wypadków, otrzymanych dwiema metodami zupełnie od siebie odmiennemi, najlepiéj dowodzi ich prawdziwości. Jeżeli zatém przyjmiemy, że paralaksa gwiazd pierwszéj wielkości przecięciowo równa się 0,"1, to światło od nich idące potrzebuje 32 lat, by dojść do ziemi, światło gwiazd szóstéj wielkości—280 lat, światło gwiazd 16-éj wielkości, to jest najmniejszych z widzialnych w teleskopie Hirschela—24.192 lat.

Ponieważ gwiazdy przedstawiają się jako punkty nie mające żadnéj średnicy, więc ich wielkości wyznaczyć nie możemy. Nasze słońce, odsunięte na odległość jednostki paralaktycznéj, przedstawiałoby się jako gwiazda szóstéj wielkości ze średnicą 0,"0093.

Niejednokrotnie podniesioną była kwestya, czy bliższe gwiazdy stałe nie wywiérają wpływu na planety i komety. Otóż, po zbadaniu odległości gwiazd, odpowiedź na to pytanie łatwo się znajdzie. Gwiazda z paralaksą jednéj sekundy jest 200.000 bardziéj oddaloną od ziemi niż Neptun od słońca, więc działanie jéj nie może być dostrzegalném.

Porównywając wymiary naszego układu słonecznego z odległościami gwiazd stałych, przychodzimy do wniosku, że nie tylko ziemia, lecz i cały układ planetarny jest tylko punktem w przestrzeniach wszechświata, którego budową teraz się zajmiemy.

Nie ma piękniejszego widoku nad cudowne ugrupowanie gwiazd na niebie, które lubo na pozór jest zupełnie nieregularném, to jednak musi ulegać pewnym stałym prawom. Zbadanie zupełne tych praw najprawdopodobniéj nigdy nie będzie dostępném dla umysłu ludzkiego, lecz poszukiwania naukowe wykazały już pewne prawdy, które pozwalają nam wyrobić sobie pojęcie o prawidłowém rozmieszczeniu gwiazd w przestworach niebios.

Powszechném jest mniemanie, jakoby gwiazdy pierwszych wielkości były zupełnie nieprawidłowo rozrzucone po niebie, tymczasem bliższe badania wykazały, że wszystkie te gwiazdy przypadają w pewnym wązkim pasie, idącym po kole wielkiém sfery niebieskiéj. Pas ten przechodzi przez Hyady, przez gwiazdę α Byka, przecina gwiazdozbiór Oryona, następnie przechodzi pomiędzy Syriuszem i gwiazdą Canopus, przecina Krzyż Południowy i obejmuje świetniejsze gwiazdy Centaura i Niedźwiadka. Następnie przechodzi na półkulę północną, przecina gwiazdozbiory Lisa, Kassyopei i Perseusza. Pas ten, jak łatwo się przekonać można, kreśląc jego przebieg na globusie niebieskim, nie zlewa się z drogą mleczną, lubo mało się od niéj oddala. Do tego pasa należą téż mgławice gwiazdozbiorów: Herkulesa, Smoka, Wężownika, Lisa, Byka i t. d. Ten ostatni fakt jest niezmiernie ważnym, bo położenie wyżéj wymienionych mgławic dowodzi, że w tych miejscach, zamiast pojedyńczych wielkich gwiazd, z masy kosmicznéj powstały gromadki małych gwiazd. Pozostałe wielkie gwiazdy nieba rozłożone są na drugim pasie, przecinającym pierwszy pod kątem prostym. Podobną prawidłowość spostrzegamy téż w ugrupowaniu się małych gwiazd. Oczywiście, że większość tych ostatnich przypada na owym cudownym pasie, który *drogą mleczną* zowiemy. Droga mleczna, właściwie mówiąc, nie tworzy pasa ciągłego, lecz składa się z całego szeregu jasnych plam, przedstawiających większe lub mniejsze skupienie pojedyńczych gwiazd. Linia, przeprowadzona myślą przez środek drogi mlecznéj, nie tworzy koła wielkiego sfery niebieskiéj. Szerokość drogi mlecznéj, nie wszędzie jest jednakową. Wychodząc z gwiazdozbioru Łabędzia, w którym szerokość jéj jest największą, rozdziela się ona w konstelacyi Orła na dwie odnogi; główna odnoga przechodzi przez Antinousa, Tarczę Sobieskiego, Strzelca, druga zaś gałęź zwraca się ku Niedźwiadkowi i tam ginie. Obie odnogi, złączywszy się znowu na półkuli południowéj, tworzą jednę całość, która dosięga

największego blasku w Trójkącie Południowym, od którego zwraca się ku gwiazdozbiorowi Krzyża Południowego. W tym gwiazdozbiorze droga mleczna przedstawia szczególne zjawisko, a mianowicie ciemną owalną przerwę, tak nazwany *worek węgla*. Za tém miejscem szerokość drogi mlecznéj znowu się zwęża, poczém znów się rozszerzywszy i rozdzieliwszy na trzy wyraźne gałęzie zrywa swoję ciągłość w gwiazdozbiorze Okrętu Argo. Połączywszy się znowu w jeden pień, gałęzie drogi mlecznéj tworzą pas, który dotyka się konstelacyj Psa Wielkiego i Wiewiórki, przecina równik i rozszerza się tracąc na blasku, następnie przechodzi pomiędzy Bykiem i Bliźniętami i zwraca się ku Woźnicy, ciągle się zwężając i tracąc na blasku. W gwiazdozbiorach Perseusza i Kassyopei staje się znów szerszą i dosięga nareszcie Łabędzia. Gęstość tego pasa również nie jest jednostajną, gdy bowiem w gwiazdozbiorach Orła i Strzelca przedstawia jeszcze tło nieprzenikliwe dla najsilniejszych nawet teleskopów, to w gwiazdozbiorze Byka jest zupełnie rozkładalnym na pojedyńcze gwiazdy. Z poprzedniego widać, że dokładny opis drogi mlecznéj jest niepodobnym, i dla tego téż nie wdając się w szczegółowy rozbiór jéj kształtu podamy rezultaty odnoszące się do ugrupowania się w niéj małych gwiazd. Z prac Herschela i Struvego wypadają następujące wyniki: 1) Gwiazdy są daleko liczniéj nagromadzone w bliskości drogi mlecznéj aniżeli w innych punktach nieba, przeciwnie okolice biegunów drogi mlecznéj są najuboższe w gwiazdy. 2) Mniejsze gwiazdy są liczniejsze stosunkowo w bliskości drogi mlecznéj aniżeli większe.

Oprócz tego wielkiego pasa gwiazd znajdujemy na niebie dwie ciekawe błyszczące masy, tak nazwane *obłoczki Magellana*; większość gwiazd je składających jest otoczoną powłoką mglistą.

Zbadawszy pozorne ugrupowanie gwiazd, sprobujemy wyrobić sobie pojęcie o prawdziwém ich położeniu w przestrzeni. Pierwsze pytanie, jakie się tu nasuwa jest następujące. Czy w tych miejscach nieba, gdzie gwiazdy przedstawiają się nam bardziéj skupione, znajdują się one rzeczywiście w znacznéj liczbie, czy téż to zjawisko jest wynikiem perspektywy? Pytanie to daje się jeszcze inaczéj wyrazić. Czy promień widzenia dla tego spotyka na swéj drodze więcéj gwiazd, że głębiéj przenika w przestrzeń, czy téż dla tego, że na nim gwiazdy są gęściéj skupione. W. Herschel przez pewien czas podzielał zdanie Huyghensa, według którego, gwiazdy są jednostajnie rozrzucone w przestworach niebios, i to go doprowadziło do uważania drogi mlecznéj za krążek spłaszczony; późniéj jednak sam się przyznał do mylności tego poglądu. Struve chcąc rozwiązać powyższą kwestyą obliczył, jakie powinny być promienie kul zawierają-

cych gwiazdy każdéj wielkości przy hipotezie: 1) jednostajnéj gęstości, 2) zmiennéj gęstości. Otóż wypadki, otrzymane w drugiém założeniu, daleko lepiéj się zgadzają z podobnemi wypadkami otrzymanemi za pomocą metody fotometrycznego wyznaczania odległości gwiazd; więc z wielkiém prawdopodobieństwem możemy twierdzić, że w bliskosci drogi mlecznéj gwiazdy nie tylko pozornie, lecz rzeczywiście są gęściéj skupione. Jest to jedyna prawda, odnosząca się do budowy drogi mlecznéj, wszystkie zaś inne twierdzenia dotyczące tego punktu są bardzo wątpliwéj natury. Jedni uważali drogę mleczną za pierścień, inni za tarczę przepołowioną, lecz wszystkie te porównania dają tylko słabe pojęcie o jéj kształcie. Wszystko, co na pewno o drodze mlecznéj powiedziéć możemy, jest następujące: Jest to ograniczony zbiór ogromnéj liczby gwiazd, o czém przekonywają nas otwory ciemne w Krzyżu i Łabędziu, przez nie bowiem wzrok nasz przenika po za granicę drogi mlecznéj w przestrzeń wszechświata. Ta gromada gwiazd ma dla nas największą gęstość i rozciągłość w okolicy Strzelca, znaczną téż gęstość ma ona na końcu przeciwległym, w gwiazdozbiorach Perseusza i Kassyopei, na końcach zaś średnicy prostopadłéj do pierwszéj głębokości drogi mlecznéj jest mniejszą. Z tego wypada, że słońce wraz z sąsiedniemi gwiazdami nie znajduje się w środku drogi mlecznéj, wyżéj zaś już wspomnieliśmy, że ono leży téż zewnątrz płaszczyzny téj drogi. Masy gwiazd składające drogę mleczną bardziéj wyglądają na liczne, niczém ze sobą niezłączone grupy, niż na jeden jednolity układ, i pomimo wszelkich usiłowań nie jesteśmy w stanie wyrobić sobie jasnego pojęcia o jéj skomplikowanéj budowie. Może być, że gdybyśmy znajdowali się w jéj środku, to zbadanie jéj budowy byłoby daleko łatwiejszém. Wprawdzie odróżnia się ona od mgławic swoją rozkładalnością na pojedyńcze gwiazdy; jednakże w wielu miejscach téj drogi napotykamy ślady jasnych linij. W tych zatém miejscach znajduje się jeszcze pierwotna masa kosmiczna.

Nie wszystkie jednak widzialne dla nas ciała niebieskie należą do układu drogi mlecznéj. Obłoki Magellana i wiele gromad gwiazd w połączeniu z niektóremi mgławicami zdają się tworzyć oddzielny układ.

Według badań Herschela mgławice są najliczniéj skupione około biegunów drogi mlecznéj; odnosi się to głównie do mgławic planetarnych, mgławice zaś nieforemne znajdują się w bliskości skrajów téj drogi. Z powodu trudności badań nic nie wiemy ani o zmianach zachodzących w tych ciałach, ani téż o ich odległościach, które są ogromne, bo od wielu z nich światło dochodzi do nas dopiéro

po upływie 10.000 lat. Rozwiązanie tych pytań należy zostawić dla przyszłości.

Prawdy wyłożone w naszym artykule dają nam pewny obraz ugrupowania ciał niebieskich i jasno pokazują, że cały wszechświat utworzony został z mas kosmicznych, które w części już się zgęściły i utworzyły gwiazdy stałe wraz z ich satelitami, w części zaś znajdują się w procesie tworzenia się światów. Pozostaje nam powiedzieć kilka słów o dwóch kwestyach, a mianowicie o nieskończoności wszechświata i o zamieszkalności ciał niebieskich. Powszechném jest mniemanie: jakoby wszechświat był nieskończonym; lecz gdyby tak było, to jest gdyby w przestrzeni znajdowała się nieskończona liczba gwiazd, toby sklepienie nieba musiałoby jaśnieć blaskiem słonecznym; a ponieważ tak nie jest, więc świat fizyczny, lubo bardzo wielki, jest jednak skończonym. Co się zaś tyczy kwestyi zamieszkalności światów musimy przyjąć, że życie organiczne nie jest udziałem jednéj tylko ziemi. Do tego wniosku upoważnia nas fakt, że w téj ogromnéj rozmaitości światów panuje jedność materyi i jedność sił.

Karol Hertz.

TOWARZYSTWO NAUK ŚCISŁYCH W PARYŻU

w roku 1878.

Powołując się na poprzednie nasze sprawozdania z działalności Towarzystwa Nauk Ścisłych, zamieszczone w „Ateneum“ (r. 1877 Styczeń i 1878 Marzec), nie mamy obecnie nic do powiedzenia ani o zarządzie, ani o składzie téj instytucyi. Żadnych w niéj bowiem zmian w ciągu ubiegłego roku w tym względzie nie zaszło. Wprawdzie redaktor „Pamiętnika“, prof. Prażmowski, w przedmowie do świeżo wydanego tomu tego rocznika, mówi o zgonie w roku 1877 członka Towarzystwa, Adolfa Sągajły; lecz o tém wspomnieliśmy już w ostatniém ze sprawozdań, gdzie téż wypowiedzieliśmy zdanie o działalności zmarłego, która często jego dobrym prawdopodobnie zamiarom dorównać nie zdołała.

W ubiegłym roku Towarzystwo wydało tom X swego „Pamiętnika,“ oraz zapowiedziało wydanie dwu dzieł: „Teoryi Wyznaczników (Determinantów)“ M. A. Baranieckiego i „Geometryi Wykreślnéj z zastosowaniami“ Ernesta Sągajły (syna), które już są w druku i wyjść mają w ciągu roku bieżącego.

Wprzód, nim przystąpimy do przeglądu prac, pomieszczonych w ogłoszonym tomie „Pamiętnika,“ niech nam wolno będzie wypowiedzieć żal, że szanowny vice-prezes Towarzystwa, p. Adam Prażmowski, zapewne przez zbytnią skrupulatność redaktorską, nie podaje w rocznikach sprawozdań z ulepszeń, ciągle przez siebie wprowadzanych do różnych przyrządów optycznych, które jego zakładowi taką wziętość wyrobiły, a na ostatniéj powszechnéj wystawie paryzkiéj ogólne uznanie znalazły. Ślady zaś pracy p. Prażmowskiego, częściowo tylko w rozmaitych pismach francuzkich zaznaczone, roz-

praszają się, a częściowo ulegają zatraceniu. Jeśli w „Pamiętniku“ zamieszczane bywają prace inżynierskie, to tém właściwsze znalazłyby tam miejsce referaty o pomysłach p. Prażmowskiego, jako niepozbawione interesu naukowego i będące w związku z poprzednią jego na polu astronomii chlubną działalnością.

Pamiętnik Towarzystwa Nauk Ścisłych w Paryżu, tom X (Paryż, 1878, 4-to, str. 288 i 19, drzeworytów w tekście 75, tablic litografowanych IX), prócz przedmowy, spisu członków Towarzystwa i wiadomości o wydawnictwach hr. Jana Działyńskiego, zawiéra następujące prace:

a) „*Wyznaczenie stałych mnożników we wzorach dla linijnéj transformacyi funkcyi Theta, summy Gaussa i prawo wzajemności symbolów Legendre'a*“ przez Juliana *Sochockiego* (str. 37). Autor (profesor matematyki teoretycznéj na uniwersytecie Petersburskim) już w poprzednich swych pracach: „Teorya reszt całkowych z zastosowaniami“ (Petersburg, 1868), i „O całkach określonych i funkcyach używanych przy rozkładach na szeregi“ (tamże, 1873) dał się poznać jako badacz sumienny i spostrzegawczy, a gruntownie obznajmiony z wielu działami nauki. We wspomnianych bowiem dziełach często bardzo prostym rachunkiem zastępuje złożone wywody poprzedników, a równie je jak i własne spostrzeżenia umiejętnie zastosowywa do różnych innych kwestyj, rzucając tém samém na nie nieco nowego światła. Takiemi także cechami zaleca się nowa praca p. S., poświęcona funkcyom eliptycznym i ich zastosowaniom do teoryi liczb. W niéj wyrażenie mnożnika stałego wiążącego dwie funkcye Theta, z których jedna powstała z drugiéj w skutek liniowego przekształcenia parametrów, wyprowadzone przez p. Hermite'a („Sur quelques formules relatives à la transformation des fonctions elliptiques,“ dziennik Liouville'a, 1858), przy pomocy pewnych wzorów Gaussa i Cauchy'ego, p. S. otrzymuje z elementarnych własności funkcyi Theta, które też przedstawia w sposób zręczny i ścisły. Wyznaczenie własności owego mnożnika prowadzi autora do znalezienia wartości sum Gaussa, oraz różnych charakterystycznych własności symbolu Legendre'a. Ostatnia część rozprawy poświęcona jest systematycznemu wykładowi spostrzeżeń autora co do własności wspomnianego symbolu, na które go doprowadziła odmienna droga badania. Szczegółowém jednak ich przedstawieniem, bez użycia matematycznych formuł, zająć się tu nie możemy. Ściśle naukowy nastrój tego studyum, robiący je mało poczytném dla szerszéj (jeżeli tak powiedzieć można) matematycznéj publiczności, nie może być za złe autorowi uważany. Przedmiot tak specyalny nie nadawał się do innego opracowania.

b) „*O zasadzie zachowania powierzchni*“ przez Edwarda *Habicha* (str. 28). Ta praca p. H. (dyrektora szkoły górnictwa i budowli cywilnych w Lima) jest podzielona na dwie części. W pierwszéj autor, zrobiwszy uwagę, że zwykle w mechanice, przy wyprowadzaniu zasady zachowania powierzchni, nie dowodzi się wcale, że przyśpieszenie nie może opisywać powierzchni, między trajektoryą i obwiednią jéj położeń kolejnych, proporcyonalnych do czasu, uzupełnia ją, dowodząc, że jeśli promień wodzący, uważany między trajektoryą i jakąkolwiek obwiednią, będzie przebiegał przestrzenie proporcyonalne do czasu, to kierunek przyśpieszenia może schodzić się z temi promieniami wodzącemi tylko w takim razie, gdy one wychodzą z punktu położonego czy to w skończonéj, czy téż w nieskończonéj odległości, a tém samém, że uważany zazwyczaj przypadek jest jedynie możliwy. Następnie zaś zajmuje się roztrząsaniem różnych związków między elementem cynematycznym (jak prędkość, przyśpieszenie, i t. d.) a elementem geometrycznym trajektoryi (jak promień krzywości, kąt styczności i t. d.), oraz wyznaczeniem drogi punktu przy danym takim związku i danéın równaniu ruchu. W części zaś drugiéj zajmuje się zadaniem odwrotném, t. j. znając taki związek i drogę punktu, oznaczyć prawo ruchu. Jasny wykład podnosi jeszcze wartość téj cennéj swą treścią pracy.

c) „*O tworzeniu systematu sprężonego podstawień liniowych*,“ przez M. A. *Baranieckiego* (str. 8). W pracy téj wyprowadzone są prawidła na metodyczne tworzenie systematu sprężonego wszystkich podstawień liniowych, tak w tym przypadku, kiedy liczba elementów jest liczbą pierwszą, jak i w tym, kiedy ona jest liczbą złożoną.

d) „*O zasadach teoryi bezwzględnéj zjawisk materyalnych w ogóle*“ przez Władysława *Gosiewskiego* (str. 6). Nieco trudném jest zadanie przedstawienia założeń téj pracy. Podzielił ją autor na dwie części. W pierwszéj daje określenie pojęć: byt, samowiedza, zjawisko materyalne, które następnie zastępuje pojęciami geometrycznemi. Tak w jedném jak i w drugiém p. G., o ile nam się zdaje, nieco dowolnie postępuje. Np. co do pierwszego: „zjawisko materyalne, pojmowane w znaczeniu najogólniejszém, jest po prostu materyą, zmieniającą się, rozumiejąc przez materyą to, co wynika z poczucia zmysłowego rozciągłości;“ co do drugiego zaś, np. „Jeżeli więc byt, jak to przyjęliśmy, rozpoznaje w sobie rozciągłość zmienną, to musi ją odnosić do rozmaitości płaskiéj, w skutek czego rozciągłość ta staje się zmysłową i zmienną, tj. staje się zjawiskiem materyalném.“ Część druga nosi tytuł: „zastosowanie rozmaitości Riemanna,“ a w niéj najwięcéj zastanawia taka teza: zjawisko materyalne w przypadku ogólnym przedstawiać się ma jako układ pewnéj liczby ciał

daleko zawilszéj (niż ciała pojedyńcze, posiadające gęstość zmienną, a masę stałą) natury, przenikających się wzajemnie w niektórych punktach, a w innych występujących pojedyńczo.

e) „*O wyznaczeniu pierwiastków spólnych dwu równań danych przy pomocy ich rugownika*“ przez M. A. *Baranieckiego* (str. 7). Artykuł ten poświęcony jest sprostowaniu nieścisłości, jaka się znajduje co do odpowiedniéj kwestyi we wszystkich trzech wydaniach klasycznego podręcznika Salmona Lessons introductory to the modern higher algebry, jako téż w opracowaniach niemieckich Fiedlera, francuzkiém Bazina i polskiém Sągajły. Późniéj już autor się przekonał, że owa pomyłka może być uważaną za niedokładne przedstawienie téj metody wyznaczenia spólnych pierwiastków, która jest pomysłu p. Brioschiego (o czém jednak we wspomnianych pracach żadnéj nie ma wzmianki) i była przezeń ogłoszoną w Nouvelles Annales (1855 r., Marzec).

f) „*Anatomia porównawcza zwojów mózgowych*“ przez Teofila *Chudzińskiego* (str. 95 i IX tablic rysunków, prócz drzeworytów w tekście). O téj pracy p. Ch. (D-ra medycyny i preparatora pracowni antropologicznéj szkoły praktycznéj wyższych studyów w Paryżu) pan Antoni Ślósarski komunikuje nam następujące zdanie:

Nierówności na powierzchni mózgu człowieka i zwierząt ssących, zwane inaczéj fałdami lub *zawojami* (gyri), obrał autor „Anatomii porównawczéj zwojów mózgowych“ za cel swoich specyalnych, ale zarazem bardzo zajmujących badań.

Po krótkim *wstępie*, w którym autor dowodzi ważności fałd na powierzchni mózgu, szczególniéj przy klasyfikacyi zoologicznéj, jako téż zwraca uwagę na ścisły związek, zachodzący pomiędzy formą wyniosłości (zawojów) mózgu i czynnościami fizyologicznemi, następują *wiadomości ogólne* o budowie przyrządu nerwowego i określenie rozmaitych wyniosłości i zagłębień, spotykanych na powierzchni mózgu (fałdy, zwoje, zrazy, szczeliny, bruzdy i t. p.)

W dalszym ciągu spotykamy rys historyczny traktowanego przedmiotu, jako téż bardzo sumienną bibliografią zwojów (zawojów) mózgowych. Z kolei autor przechodzi do części specyalnéj swéj pracy, która rozpada się na dwa działy: *Dział piérwszy* obejmuje zwierzęta ssące obdarzone mózgami, na których zwoje (zawoje) idą w jednym nieprzerwanym kierunku; są to zwierzęta o mózgach *bezzrazowych* (inaczéj czworonożne). *Drugi dział* obejmuje zwierzęta o mózgach opatrzonych zwojami (zawojami) poprzerywanemi za pomocą szczelin, czyli zwierzęta o mózgach *zrazowych* (Primates i Człowiek). W zatytułowanéj pracy podane są tylko rezultaty badań, dokonanych na mózgach zwierząt *bezzrazowych*. Kolejno opisuje au-

tor 15 grup zwierząt, które to grupy odpowiadają mniéj więcéj rzędom gromady ssących; opis grupy zaczyna się od mózgu najprostszéj budowy a kończy przedstawieniem budowy powierzchni mózgu, najwięcéj złożonego. Wszędzie autor stara się wykazać: 1) że w każdéj grupie znajduje się gatunek obdarzony mózgiem o powierzchni mniéj więcéj gładkiéj a obok niego gatunki, których powierzchnia mózgu przechodzi stopniowo w coraz więcéj falistą, wreszcie kończy grupę gatunek o mózgu znacznie rozwiniętym. 2) że stopniowy rozwój zwojów (zawojów) mózgowych jest w stosunku prostym do wielkości (wzrostu) zwierzęcia, czyli im większe jest zwierzę tém mózg tego zwierzęcia ma więcéj zakrętów.

Po szczegółowém przedstawieniu budowy mózgów oddzielnych zwierząt, znajduje się krótkie zestawienie budowy zwojów.

W końcu pracy podane jest objaśnienie 9 tablic i rysunków, na których mieści się 88 figur. Wstęp i wiadomości ogólne napisane są przystępnie, zrozumiale, może cokolwiek w niektórych miejscach za popularnie, jak np. ogólne wiadomości o budowie przyrządu nerwowego. Specyalne opisy mózgów są szczegółowe i sumienne, niekiedy jednak grzeszą brakiem systematyczności i jasności, oraz zbyt niedokładném objaśnieniem rysunków, przedstawiających mózgi opisywane.

W całéj pracy znać samodzielne badania, starannie zgromadzony materyał, który jednak nie jest należycie opracowany. Język w niektórych mianowicie miejscach pozostawia wiele do życzenia; spotykają się tutaj niewłaściwie użyte wyrazy i całe wyrażenia, dziwaczne nazwy zwierząt i t. p. *Np.* pisze autor *rdzeń nerwowa*, *rdzeń przedłużona*, gdy rdzeń jest rodzaju męzkiego; wszyscy mówią i piszą rdzeń kręgowy, rdzeń bzowy i t. p. Wyniosłości na powierzchni mózgu nazywają anatomowie polscy *zawojami* (gyri), a nie *zwojami*; *zwój* bowiem (*ganglion*) ma zupełnie inne znaczenie, jak wiadomo. Połączenie, zlewanie się, autor nazywa *zlewem*, a wyrażenie „mózg widziany „z góry,“ albo „z boku,“ zastąpione jest przez „pozór górny mózgowia, pozór boczny“ i t. p. Nieszczególne także autor wybrał nazwy dla pojedyńczych zwierząt grup zoologicznych np. *torbacze* zamiast *workowate* (Marsupialia), *szczerbaki* zamiast *bezzębne* (Edentata), *przeżuwacze* zamiast *przeżuwające*, *mrówczarz* zamiast *mrówkojad* (Myrmerophaga) i wiele innych.

Nie wiadomo jakim sposobem *rudawka* (Pterepus), *niedoperz owocożerny* (Frugivora), został zaliczony do *owadożernych* (Entomophaga) i przezwany *wampirzem*. *Kot domowy* nosi zoologiczną nazwę *Felis domestica*, zaś *Felis catus* nazwany przez autora kotem domowym jest to *kot dziki* albo *żbik*, inny gatunek kota.

Rysunki, jakkolwiek bardzo starannie wydane i liczne, w części tylko są dokładnie odrobione i odpowiadają swemu celowi. Niektóre są zamazane, inne zbyt szematyczne, wiele jest nienaturalnych, sztywnych; w ogóle nie przedstawiają dobrze natury, wynika to zapewne z tego powodu, że były robione z odlewów gipsowych, zamiast z naturalnych preparatów. Ujemną stronę pracy, stanowią niedostateczne i niedokładne objaśnienia rysunków, a nadto często fałszywie w tekście podawane figury lub litery.

Jednak, pomimo przytoczonych niedokładności, praca p. Chudzińskiego stanowi bardzo ważny nabytek dla naszéj literatury ściśle naukowéj, i nie pozostaje jak życzyć serdecznie autorowi prędkiego ukończenia drugiéj części, téj sumiennéj i ze wszech miar interesującéj pracy.

g) „*Dodatek do sposobu praktycznego budowy murów oporowych,*“ przez Kaźmirza *Brandta* (str. 12). Artykuł ten, jak sam tytuł objaśnia, jest uzupełnieniem pracy, którą autor pomieścił w IX tomie „Pamiętnika.“ Zastanawia się tu p. B. (inżynier, sekretarz Towarzystwa) nad wpływem odporu ziemi na stałość murów, co osobliwie przyjąć należy na uwagę przy budowie murów otaczającyeh stawy morskie, lub przy budowie obmurowań fortyfikacyjnych o głębokich fundamentach.

h) „*O mnożeniu funkcyi kołowych i hiperbolicznych*“ przez Władysława *Trzaskę* (str. 7). Po kilkoletniém milczeniu, autor cennych prac, o których mówiliśmy (w 1877) w pierwszém sprawozdaniu, dał przecie znak życia. Przedstawia on w téj pracy przy pomocy wyznaczników odmienny od znanych dotąd sposób mnożenia funkcyj kołowych i hiperbolicznych. Dziwi nas tylko pewna słabość, jaką ma widocznie autor do książek włoskich, gdyż najprostsze formuły, w wielu rozpowszechnionych u nas podręcznikach się znajdujące, przytacza z książki włoskiéj, u nas niespotykanéj i nierozgłośnéj.

i) „*Dowód pewnego wzoru Lamégo*“ przez W. *Trzaskę* (str. 3). Autor przedstawia tu także wyznacznikowy wywód wzoru Lamégo na oznaczenie pochyłości warstwy kopalnéj z danych głębokości trzech otworów świdrowych, oraz ich wzajemnych odległości poziomych.

k) „*Rachunek wykreślny na płaszczyźnie, część pierwsza*“ przez Mieczysława *Szystowskiego* i Antoniego *Martynowskiego* (inżynierów) (str. 80). Rachunek wykreślny, t. j. nauka o sposobach wykonywania rozmaitych działań na liniach, przy pomocy liniału i cyrkla, i o związkach otrzymanych ztąd wypadków z danemi liniami, w ostatnich czasach powstały i coraz większe zyskujący rozpowszechnienie, był już u nas przedmiotem pracy p. Abakanowicza: „Zarys statysty-

ki wykreślnéj" (Lwów, 1876), opracowanéj na podstawie głośnego dzieła Culmanna. Obecna praca pp. Szystowskiego i Martynowskiego jest systematycznym, jasno i ściśle prowadzonym wykładem najelementarniejszych zasad rachunku wykreślnego i wielką może oddać przysługę wszystkim pragnącym się zapoznać z podstawami tego rachunku; jeśli następne części będą również starannie opracowane, to praca ta będzie dla literatury naszéj matematycznéj przybytkiem poważnym i całkiem na czasie.

Maryan A. Baraniecki.

ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.

Artur Grottger, szkic biograficzny przez Klemensa Kanteckiego. Lwów, 1879 str. 150 i 8 nlb.

Pierwszy to dopiéro artysta malarz doczekał się u nas tak sumiennéj i tak szczegółowéj biografii. Jeżeli ciągle jeszcze musimy ubolewać nad brakiem monografij, dotyczących osobistości literackich; to z tém większą słusznością można ubolewanie podobne zastosować do historyi sztuki naszéj w obecném stuleciu. Po czasopismach znajdują się wprawdzie mniéj lub więcéj dokładne wiadomości, mianowicie o malarzach Polakach, ale wiadomości te w rozproszeniu swojém nie mogą być dostępne dla ogółu czytającego, a tém samém nie wzbogacają zasobu jego wiedzy o sztuce krajowéj. Podobnież i historya zakładów tudzież towarzystw, mających na celu rozwijanie lub zachętę talentów, zostaje dotychczas w wielkiém zaniedbaniu; jednę bowiem zaledwie pracę w tym kierunku wymienić można tj. rozprawkę prof. Łuszczkiewicza o krakowskiéj Szkole Sztuk Pięknych. Stąd téż każde dzieło odnoszące się do dziejów sztuki naszéj podwójną ma cenę; najprzód jako rozjaśnienie szczegółow co do pewnéj danéj osobistości lub instytucyi, a powtóre jako przyczynek do obrazu naszego artyzmu.

Artur Grottger należy do najszczęśliwszych osobistości pod tym względem, ale po śmierci dopiéro. Kraszewski, Stanisław Tarnowski, Alfred Szczepański, Józef Rogacz skreślili albo życiorysy, albo sceny dzieł znakomitego malarza; zajęcie się jego postacią, rośnie z laty tak, że obecnie mamy przed sobą biografią podającą nam na-

der interesujące szczegóły, wzięte z materyałów nadzwyczaj cennych, bo z listów artysty i własnoręcznego jego dzienniczka. Szczegóły te należą wprawdzie, w ogóle biorąc, do potocznéj sfery życia; nie tylko jednak zaspakajają pospolitą ciekawość czytelnika, pragnącego naocznie się przekonać, że znakomity malarz był takimże człowiekiem, jak i on sam; lecz zarazem doskonale charakteryzują usposobienie natur poetycznych, tudzież stosunki nasze odnośnie do sztuki. Pozwalają więc nam one wniknąć głębiéj w umysł i serce twórcy „Wojny“, a nawet podpatrzéć niekiedy tajniki jego twórczości.

P. Kantecki śledzi życie swego bohatéra rok za rokiem, a gdzie można dzień za dniem; jeżeli zaś brak mu materyałów, nie stara się zapełniać powstających stąd luk domysłami lub gołosłownemi frazesami. Zadanie swoje pojmuje seryo jako historyk, a nie jak feljetonista. Nie znaczy to jednak bynajmniéj, jakoby wykład swój prowadził sucho, abstrakcyjnie, i owszem ożywienie w całéj pracy wielkie pociąga za sobą czytelnika i siłą swego uroku uprzyjemnia mu trud czytania.

Ojciec Artura był sam „doskonałym rysownikiem“ i widząc w dziecku szczególne zamiłowanie do rysunku, kierował pierwszemi jego próbami, nie szczędząc mu ani papiéru ani ołówków. To téż dziecko mało się bawiło, przenosząc ciągłe ćwiczenie rysunkowe nad zwykłe wieku swego rozrywki. Równocześnie obudziła się w niém wielka wrażliwość szczególniéj na względy kobiéce: w dziesiątym roku życia Artur chciał się otruć, a do tak rozpaczliwego postanowienia popchnęło go po części zawiedzione uczucie przywiązania (naturalnie do starszéj damy), a po części dotknięta trochę ambicya artystyczna, gdy ta pani nie zwróciła uwagi na jego rysunek. Lubił on illustrować opowiadanie ustne swego ojca, który dla ułatwienia mu tego trudnego zadania dawał do rąk bitwy Napoleońskie Adama. Z tych wrażeń pierwotnych łatwo sobie wyjaśnić skłonność młodziutkiego malarza do malowania bitew, co przez lat kilka stale się pojawiały. Pierwszym bezinteresownym nauczycielem Artura był przez czas jakiś Juliusz Kossak. Piérwszym entuzyastycznym niemal lubownikiem jego obrazków był Aleksander hr. Pappenheim, który serdecznie pokochał 14-letniego malarza i stał się odtąd jego czułym opiekunem.

Szczęśliwie a szybko narysowany *wjazd* cesarza Franciszka Józefa do Lwowa w r. 1851 zapewnił niezamożnemu młodzieńcowi szczupłe stypendyum, bo w ilości 20 reńskich miesięcznie, które mu dozwoliło kształcić swój talent najprzód w Krakowie, a potém w Wiedniu. Przewodnikiem szkoły sztuk pięknych w Krakowie był wów-

czas Wojciech Stattler. Był to zacny, zdaje się, człowiek, ale bardzo nieumiejętny pedagog i zamiast wskazówek praktycznych, zamiast jasno sformułowanych pojęć lubił się popisywać górnolotnemi frazesami o sztuce, zamiast usuwać przed początkującym trudności, podnosił je owszem filozofowaniem swojém do olbrzymich rozmiarów. „Dawszy uczniowi złomek martwéj natury do ręki np. kawałek spróchniałego drzewa, lub skorupę jaja, nie udzielał mu ani słowa objaśnienia, ani jednéj specyalnéj wskazówki, nie nauczył go, jak się ma zabiérać do téj pracy, ale mawiał krótko i węzłowato: masz to albo owo, rób jak widzisz.“ To téż nauczył niejednego górnie rozprawiać, ale nie zdołał nauczyć, jak narysować zwyczajny, pospolity nos. Zarówno na Grottgerze jak i na Matejce nie umiał się poznać, cenił ich nisko i traktował niechętnie. Stąd téż Artur bardzo często opuszczał lekcye w szkole, pracując według własnego natchnienia i żyjąc wesołém, roztrzepaném życiem artystyczném w gronie kolegów. Barwny opis tego życia znajdzie czytelnik w szkicu p. K. na str. 31—40.

Po kilku miesiącach wakacyj, przepędzonych we Lwowie na dawaniu lekcyj, malowaniu i hulance, przyczém jednakże nigdy nie zapomniał o potrzebach osieroconego śmiercią ojca rodzeństwa, wyjechał Grottger pod koniec 1854 r. do Wiednia, gdzie nastąpiła nowa faza jego życia, rozpoczynająca się od troski o chléb powszedni. We Lwowie roboty młodego malarza kupowano chętnie, bo był wśród swoich i zyskał bardzo wcześnie zachęcające do pracy uznanie; w Wiedniu był człowiekiem obcym, a jakkolwiek miał sporo listów polecających, oziębiwszy się po dwu niepomyślnych fatygach, zaniechał myśli zjednania sobie protektorów. Dodajmy do tego nieoględność artystyczną, nie umiejącą ściśle się z funduszami obrachowywać, a możemy sobie wystawić, jakiéj biédy doznawać musiał. Dowiadujemy się z jego dzienniczka, że już drugiego lub trzeciego dnia w miesiącu to jest bezpośrednio niemal po odebraniu stypendyum, kieszeń jego świeciła pustkami. W nieopalanéj izdebce, skostniały od zimna, z opuchłemi rękami nie mógł nawet ulubioną zajmować się pracą; a godziny całe spędzał w bibliotekach publicznych, gdzie mógł się naczytać dowoli w dobrze ogrzanéj sali. Jednostajność tego życia, w którém na trzydzieści dni w miesiącu dwadzieścia kilka przechodziło o głodzie i chłodzie, przerywały rozmowy z piękną córką restauratora, panną Różą Ertel, i znajomość z oficerem Saint-Claire, głośnym w 22 lat późniéj przywódcą powstania w górach rodopskich, który go w świat hulaszczy wiedeński wprowadził. Zaczął się zaniedbywać w lekcyach, wyjechał z niewiadomych powodów do Krakowa i oburzył przez to dyrektora akademii sztuk pięknych Ru-

bena i dopiéro wdanie się w tę sprawę hr. Poppenheima załagodziło burzę. Bardzo ważnym z tego czasu wypadkiem było zwiedzenie w r. 1858 „piérwszéj powszechnéj wystawy sztuki niemieckiéj,“ na któréj krédkowa, w 10 podobno obrazach kompozycya Schwinda: „Bajka o siedmiu krukach“ najwięcéj przemówiła do jego wyobraźni i skłoniła do wyłącznego niemal rysowania krédą i wcielania swych pomysłów w pewne cykle obrazów. W r. 1859 rozpoczyna się cały szereg jego ilustracyj do czasopisma Mussestunden.

Rok 1861 stanowi okres w rozwoju talentu Grottgera; wszystkie prace dotychczasowe były próbami, były szukaniem właściwego sobie trybu twórczości; teraz trafił na właściwy sobie rodzaj, który go miał unieśmiertelnić; teraz stworzył swoję „Polonią“. Ten utwór wielkiego natchnienia sprawił ogromne wrażenie w szerokich kołach publiczności nie tylko polskiéj, ale i zagranicznéj. W Wiedniu przed wystawami sklepów, w których rozwieszono obrazy Grottgera, stawały tłumy przechodniów i nie mogły oderwać oczu od tych nieznanych im światów. Bo téż artysta w obrazach tych złożył wszystko, co myślał, co czuł, co nad życie ukochał i w czém nadzieje swoje pokładał. Odtąd przygody codziennego życia ustępują w głąb'; a na piérwszym planie zjawiają się pomysły wielkie, potężne. Zmiana ta odbija się we wszystkiém, a więc i w listach z tego czasu. W porównaniu z dawniejszemi jego zapiskami są one wyraźnym dowodem wyrobienia się człowieka—myśliciela. Dawniéj zarówno w korespondencyi jak i w notatkach swoje najserdeczniejsze uczucia wypowiadał takim niesmacznym, patetycznym tonem, wzmocnionym jeszcze częstemi wykrzyknikami, że na nas dzisiaj robią wrażenie starych deklamacyjnych romansów; nie znać w nich fałszu uczucia samego, ale znać natomiast dysharmonią pomiędzy tém uczuciem a jego wyrażeniem. Teraz sposób pisania jest prosty, naturalny, obfitujący w opisy niepretensyonalne; a niekiedy spotyka się w tych listach i myśli podnioślejsze. Jako dowód mógłbym wskazać list pomieszczony w pracy p. K-go na str. 133, w którym wyjaśnia narzeczonéj swój pomysł „Wojny.“

Z zewnętrznych okoliczności życia niewiele można wydatniejszych zanotować; podróż do Włoch północnych z hrabią węgierskim Palffy, który nabył jego „Polskę“ za 3.000 zł.; praca na chléb, rozstanie się z Wiedniem z powodu odebrania mu stypendyum za to, że w wyborze przedmiotów do swych kompozycyj nie stosował się do dawanych z góry wskazówek; powrót do Galicyi, pobyt w domu hr. Tarnowskiego ze Śniatynki (1865), poznanie i pokochanie panny Wandy Monné (1866), wyjazd wreszcie do Paryża na wystawę z kończoną gorączkowo „Wojną“. Do Paryża wzdychał on oddawna,

sądząc, że on lepiéj do jego usposobienia przypadnie, aniżeli Rzym. „W Rzymie,“ mówił „panuje klasyczność, system, koloryt, starożytność: wszystko to nie dla mnie. Życie, duch, ruch: oto mój żywioł; muszę być wolnym od ograniczeń i reguł; na nic mi się nie zda monumentalność. Studyuję ją wprawdzie i uznaję jéj zasługę: piękno panuje wszędzie, gdziekolwiek istnieje; ale dla mnie bliższą jest Francya, niż Włochy“ (str. 118). Gdy przybył do Paryża i czas jakiś w nim zabawił; uznał wprawdzie, że jako miasto był dla niego tak nieznośnym, że gdyby tylko mógł, zarazby stamtąd uciekł; ale twierdził, że dla artysty kształcącego się jest może jedynym na świecie, gdyż wszystkie możliwe kierunki mają tam swoich przedstawicieli, tak że studya mogą się tam stać gruntowniejsze, niż gdziekolwiek indziéj.

Ostatnie karty pięknego szkicu p. Kanteckiego silném przejmują wzruszeniem; przedstawiają smutne, pełne grozy niemal tragicznéj, ostatnie już chwile życia artysty, zawiedzionego w nadziejach i nie mającego nawet téj pociechy, żeby chwile przedzgonne w towarzystwie narzeczonéj przepędzić, gdyż brakowało.... środków.

P. Ch.

Gajusz Lucyliusz, satyryk rzymski z czasów Rzeczypospolitéj. Przez Kazimierza Morawskiego („Przegl. Pols.“ 1879, Stycz.)

Samodzielne badania nad literaturą klasyczną należały i należą u nas do tak rzadkich zjawisk, a są tak potrzebne, że z troskliwością należy nam zaznaczyć każde w tym względzie usiłowanie. Prócz bardzo niedostatecznych np. a z natury rzeczy kompilacyjnych tylko ustępów w „historyach literatury powszechnéj, prócz króciutkiego zarysu napisanego jeszcze w 1851 przez p. Szmurłę, nie mamy do téj pory dziejów piśmiennictwa rzymskiego; a kto chce dokładniéj z niemi się zapoznać, musi zajrzéć do francuskich lub niemieckich książek. Wyborne uwagi Mommsena nad literaturą rzymską z czasów Rzeczypospolitéj, wchodzące do składu jego „Historyi“, zostały zaciemnione a niekiedy przeinaczone w lichém tłómaczeniu téj historyi. Cyceron, Juwenalis a szczególniéj Seneka znaleźli mniéj lub więcéj szczęśliwych historyków i krytyków; ale największe ozdoby Parnasu rzymskiego, Horacy i Wirgili, dotychczas ich oczekują. Za czasów Szkoły Głównéj zaczął się był budzić i w Warszawie pewien ruch w dziedzinie studyów klasycznych; ale trwał niedługo, tak że dziś głównie w Galicyi, jak dawniéj w Poznańskiém, znajdujemy jego śla-

dy. Jednym z tych śladów jest wymieniona w nadpisie rozprawa młodego filologa, który w r. 1874 za studyum dotyczące Kwintyliana otrzymał stopień doktora filozofii. Rozprawy owe wywołały dwa wydania fragmentów Lucyliusza: jedno przez Lucyana Müllera, a drugie z papiérów Lochmanna przez Mommsena i Vohlena. Wydania te, a mianowicie Müllerowskie pozwalają nam rozpatrzéć się dokładnie we wszystkich utworach Lucyliusza, które do naszych doszły czasów; przez co i pogląd na działalność pisarza łatwiejszym się staje.

Gajus Lucilius (ur. ok. 180 a zm. 103 przed Chrystusem) mało jest znany ze szczegółów życia; wiemy jedynie, że trzymał się zdala od polityki, że należał do kółka Scypionowego, że wraz z Scypionem Emilianem brał udział w wojnie Numantyńskiéj. Pochodził on ze stanu rycerskiego, co mu zapewniało zupełną samodzielność i swobodę w obec możnych; to téż stosunek jego do Scypiona był stosunkiem przyjaźni na stopie równości, nie zaś zależności; stąd nie potrzebował schlebiać w swych utworach ani plebsowi, ani optymatom; stąd wreszcie pochodziła śmiałość, z jaką przeciwko nie tylko stanom, ale i osobistościom występował. Lucyliusz jest twórcą satyry w tém artystyczném znaczeniu, jakie do tego gatunku poezyi dziś jeszcze przywiązujemy; dawniéj bowiem wyraz *satura* służył najprzód na określenie płodów humoru ludowego, które sceniczny miały charakter i zabawiały publiczność dyalogiem, śpiewaniem, tańcem z towarzyszeniem fletu; a potém u Euniusza na oznaczenie „wierszy różnych.“ I Lucyliusza satyry mieszczą w sobie wszystko, co „widział i słyszał,“ ale zawsze prawie z przymieszką krytyka, złośliwemi wycieczkami przeciw ludziom i stosunkom, których pisarz pochwalić nie mógł. „Satyrę“ Lucyliusza porównywa p. Morawski z naszą „gawędą,“ naznaczając jako rysy pokrewne: charakter indywidualny, skłonność do dyalogu, różnorodność treści, wreszcie ton potoczny, pewne zacięcie rubaszne. Dodaćby jeszcze było można i zabarwienie zachowawcze, którém się zarówno nasza gawęda jak i satyra Lucyliusza cechuje. Podobieństwo to jednak nie jest dokładne; odnosi się przeważnie do formy i tendencyi, nie dotykając treści, która w gawędzie zawsze jest opowiadaniem jakiegoś zdarzenia; gdy satyra ma przeważnie moralizujący charakter.

Czas wystąpienia Lucyliusza sprzyjał rozwojowi werwy satyrycznéj; był to bowiem czas gwałtownéj zmiany stosunków; czas rewolucyjny, czas Greków. W ustawie politycznéj, w obyczajach, w literaturze dokonywał się przełam, który miał oddzielić starorzymską od noworzymskiéj epoki, Lucyliusz odbija w swych satyrach ten rozstrój, jaki wówczas w pojęciach i postępkach objawiać się zaczął.

Wyśmiewa on np. zabobony dawnéj religii, drwi z tych, co drżeli przed „strasznemi upiorami, zaprowadzonemi przez Numę“; ale równocześnie mówi z wielkiém uszanowaniem o bogach rzymskich, nie chcąc zapewne niewiarą swoją szkodzić potężnéj instytucyi państwowéj, którą Mommsen mówiąc o tych czasach nazwał machiną, zrobioną dla użytku polityków maszynistów. Podobnież i w przekonaniach literackich nie był Lucyliusz wielbicielem poprzedników swoich; wyśmiewał ich skłonność do fałszywéj patetyczności, nadużywania synonimów, posługiwania nowo ukutemi wyrazami; całą prawie księgę (IX) satyr swoich poświęcił drobnostkom ortograficznym; a o wykwintności mowy dużo rozprawiał. Sam jednak ma wiele naleciałości pospolitych, ludowych, sam kuje nowe wyrazy i rubaszności się nie wystrzega. I ta właśnie okoliczność tj. ta wybitna jego indywidualność w posługiwaniu się językiem stanowi wielki urok jego utworów. Z innych cech jego talentu należy zaznaczyć nieczułość na piękności przyrody i częste zajmowanie czytelników swojemi własnemi przygodami, które dla nas mają interes o tyle, że przy téj sposobności dowiadujemy się wielu szczegółów ówczesnego życia rzymskiego, w którém jedzenie niemałoważną grało rolę. Lucyliusz stoi na przełomie między starą poezyą rzymską a nową, poprawną i wykwintną; przy całem swojém uszanowaniu dla nauki greckiéj umié zachować prawdziwie rodzimy, rzecby można chłopski humor i rozsądek, coś twardego i jędrnego w stylu i toku myśli. W drugim wieku przed Chrystusem, wśród wrzawy rewolucyjnéj napotykamy, jak powiada Mommsen, dwa najpotężniejsze talenta literackie w Rzymie Gaja Grachusa i Gaja Lucyliusza, którzy sami jedni się wynoszą po nad spółczesnych sobie mniéj lub więcéj miernych pisarzów tak, jak w analogicznéj chwili z dziejów literatury francuskiéj po nad niezliczoném mnóstwem pretensyonalnych nicości górują publicysta Paweł Courier i piosenkarz Béranger.

Rozprawka p. Morawskiego, napisana poprawnie i ożywiona po większéj części trafnemi zestawieniami z różnych epok literackich, czyta się z wielkiém zajęciem. *P. Ch.*

Język łaciński w organizmie publicznego wychowania przez M. Świtalskiego (W „Przewodniku naukowym i literackim“ r. 1878, zesz. wrześn. paźdz. i listopad.)

Rozprawka ta zawiéra dzieje języka łacińskiego w krótkości zebrane, o ile on wchodził jako czynnik wychowawczy. Dzieje te

doprowadził autor do końca wieku XVIII i podzielił je na dwa okrésy: scholastyczny i klasyczny. Po krótkim wstępie mającym na celu określenie znaczenia cywilizacyi rzymskiéj, p. Świtalski kreśli na podstawie kilku podręczników zarys wychowania średniowiecznego wykazując, że w niém nauka języka łacińskiego miała czysto-praktyczny kierunek, ponieważ zarówno kościół jak i państwo językiem tym się posługiwały. Średnie wieki całą niemal naukę szkolną przejęły od Rzymian, którzy ją od Greków wzięli; przedmioty szkolnego nauczania w języku łacińskim były opracowane; a największe na nie wpływ wywarł *Martianus Capella*, który wykład, „siedmiu sztuk wyzwolonych" w jednym podręczniku zawarł i przezeń w szkole przez lat blisko tysiąc panował. Szkolnictwo średniowieczne obchodzi się z łaciną jak z językiem żyjącym, tworzy nowe wyrazy i zwroty niby łacińskie, wprowadza wyrazy z własnéj mowy, a skutkiem tego w użyciu filozofów, teologów i medyków wyrobił się odrębny średniowieczny język łaciński do starożytnego tak mało podobny, że późniejsi filologowie pogardliwie o nim jako o barbarzyńskim się odzywali. Języki krajowe jako nieprzydatne do wykładu nauk służyły jedynie do lepszego nauczenia łaciny, a i w tym razie nawet bardzo oszczędnie je stosowano.

Wraz z rozpowszechnieniem się humanizmu czyli t. z. odrodzeniem starożytności klasycznéj nauka języka łacińskiego odmienny od średniowiecznego przybrała charakter. O ile dawniéj dowolnie z samym materyałem mowy się obchodzono, o tyle teraz niewolniczo nieraz trzymano się norm przyjętych w złotym okrésie literatury rzymskiéj. Filologia wprawdzie i teraz jeszcze nie stała się odrębną nauką w ścisłém znaczeniu wyrazu; była ona, jak powiada p. Ś., „owym wspólnym szczeblem w drabinie nauk, na który wstępował i na którym dłużéj zatrzymywał się każdy, ktokolwiek uchodzić pragnął za ukształconego. Dopiéro w stuleciu XVIII Ryszard Bentley, Hemsterhuis, Gesner, Ernesti, Heine i Wolf utworzyli z niéj umiejętność w sobie zamkniętą, dopóki znowu w naszych czasach językoznawstwo porównawcze nie rozszerzyło jéj zakrésu i nie pogłębiło jéj dociekań. Chąc wykazać przyczyny, ktore w tym okresie uczyniły naukę języka łacińskiego najgłówniejszym przedmiotem wykładanym w szkołach, kreśli autor króciutki zarys dziejów humanizmu, jego wpływu przeważnego na literatury europejskie, stanu szkolnictwa zarówno katolickiego (jezuickiego) jak i protestanckiego. Tu znajduje się między innemi ciekawa cytata z dzieła znamienitego filologa Reisiga, który twierdził, że osławiony, u nas szczególniéj, „Alwar" był gramatyką z istniejących wówczas (piérwsze wydanie r. 1572) najpraktyczniejszą, ponieważ znajdował się w niéj *nader jasny* wy-

kład reguł języka łacińskiego dla początkujących. W końcu nadmienia o piérwszych początkach *realizmu* w wychowaniu jak on w Niemczech zakiełkował; przyczém robi uwagę, że w XVIII wieku realizm bynajmniéj się jeszcze od starożytności klasycznéj nie oderwał. Założyciel piérwszéj szkoły realnéj w Berlinie *Hecker* łączy w jeden zakład klasy „niemieckie, realistyczne i łacińskie,“ jako zostające z sobą w pewnym związku wzajemnym; *Basedow*, ucząc realiów w sposób oryginalny, mówił do uczniów i uczniom do siebie mówić kazał po łacinie; a nauka języka łacińskiego od 8 do 12 roku życia uczniów zabiérała w jego filantropium połowę czasu na całą naukę przeznaczonego. W tym klasycznym okresie nie tylko względy praktyczne (t. j. zastosowanie łaciny w kościele, medycynie, sądownictwie, dyplomacyi), ale i czysto-naukowe, t. j. wyższość literatury łacińskiéj nad przeciętnie wziętą literaturą europejską, obrobienie języka łacińskiego pod względem gramatycznym, na czém zbywało językom nowszym, były powodem tak przeważnego stanowiska, jakie nauka łaciny w szkolnictwie Europy nowożytnéj zajmowała.

P. Ch.

Erazm Ciołek, biskup Płocki 1503—1522, dyplomata polski XVI-go wieku, przez Stanisława Lukasa. Warszawa 1878, 8-ka, str. 114, Wydanie redakcyi Biblioteki Warszawskiéj.

Niedostateczność dotychczasowych opisów żywota Ciołka, sprzeczność ich poglądów na tę osobistość zniewoliły autora niniejszéj monografii do nowego opracowania tego przedmiotu zwłaszcza, że w ostatnich czasach ukazały się nowe źródła i sama osobistość Ciołka nęciła ku sobie badawczy umysł tajemniczością, pokrywającą i jéj charakter i jéj czyny. Wyjaśnić ten i drugie było najbliższém zadaniem autora.

Czy autor rozwiązał to zadanie w zupełności? Pan L. zrobił wiele, więcéj daleko w każdym razie niż jego poprzednicy, ale nie wszystko; Erazm stoi przed nami wciąż jeszcze mgłą owiany; że jéj się zupełnie rozwiać nie udało, wina to jednak nie autora, ale materyałów historycznych, które są niewystarczające. Autor zrobił wszystko, co się dało; ze źródeł i dzieł dawnych i nowszych, niezwykłą znajomością, których celuje, z rękopisów Zakładu Ossolińskich, wyczerpał wszystkie wiadomości i wzmianki nawet o Ciołku, rozebrał je krytycznie i wyjaśnił, ułożył w całość o tyle pełną, kształtną i proporcyonalną, o ile takową być mogła, ze względu na źródła;

metoda badania, sposób przedstawienia, ugrupowanie materyj, techniczna w ogóle strona wykonania są bez zarzutu; dostrzédz tylko można pewną niedokładność i chwiejność zdania w charakterystyce biskupa, w któréj nie bardzo udaje się autorowi wziąć rzecz z gruntu, z wyższego filozoficznego stanowiska; pomijając to jednak, przyznaję z przyjacielską, jaką mam dla autora życzliwością, rezultat wypadł świetnie, z zaszczytem, nie tylko dla jego uzdolnienia i pracy, ale i dla prof. d-ra Liskego, pod którego umiejętnym kierunkiem autor odbywał studya w uniwersytecie Lwowskim.

Podniosę tu jeden zarzut, dotyczący pytania, którém w biografii Ciołka koniecznie zająć się trzeba, mianowicie czy jego pochodzenie było plebejuszowskiém, czy téż szlacheckiém? Przedstawienie téj sprawy w pracy p. Lucasa jest najsłabszém miejscem, świadectwa *za* i *przeciw* nie dosyć rozebrane, ani odpowiednio zgrupowane, że nawet nie wiemy ostatecznie jakie jest zdanie autora.

Między innemi rzecz się tak miała. W r. 1502 król Aleksander przedstawił Erazma jako kandydata na jednę z krakowskich kanonij, ale kapituła nie chciała go wybrać, jako nieszlachcica. W skutek tego Ciołek prosił króla, żeby mu pozwolił dowieść pochodzenia szlacheckiego; król zezwolił na przeprowadzenie procesu, po ukończeniu którego wydał Erazmowi dokument potwierdzający szlachectwo. Otóż p. L. (na str. 6) uważa rzecz tę za podrobioną, świadków za przekupionych, całą sprawę w ogóle za oszustwo, którego się dopuścił Erazm, ufny w łaskę królewską i nie widzący innego sposobu dostania się na kanonią. Takie zdanie jest, zdaje mi się, za śmiałe. Pomijając bowiem inne dowody *contra*, te nawet, które autor na poparcie swojego zdania przytacza, bynajmniéj wystarczające nie są. Nie tylko wówczas, ale i późniéj szlacheckiego pochodzenia tylko zeznaniami świadków dowodzono; zeznania dwóch pierwszych świadków nie są tego rodzaju, by z nich można wyprowadzać oryginalny dosyć wniosek, że „ojciec Erazma napiérał się szlachectwa;“ zeznań innych światków autor nie bierze pod uwagę; wyrazy dokumentu królewskiego „omnem nobilitatis geniturae defectum, si quis in eo esset abolendum et abolemus“ niczego również nie dowodzą, bo uważać je należy za zwykłą w podobnych dokumentach prawniczą formułę, z intencyą może źle zrozumianą przez autora; późniejsze zaś zdanie Jana Łaskiego, który razem z innymi badał świadków, o Ciołku wypowiedziane, że jest „ignobilis,“ nie może być brane za dowód, bo Łaski, jak o tém wié sam autor, był wrogiem Erazma, a nadto odznaczał się zmiennością zdania (Mon. Pol. hist. III 409). Pomimo to autor uważa proces dowodzenia szlachectwa za podrobiony — aliści na następnéj już stronicy podając fakt, że Niesiecki zali-

czył Erazma do herbu Ciołek, mówi: „nie dowodzi to jednak bynajmniéj szlacheckiego pochodzenia Erazma, *którego późniejszego szlachectwa, jako faktu niewątpliwego przeczyć nie myślimy.*“ Na podstawie więc czego to „późniejsze szlachectwo“ ma być „niewątpliwe,“ jeżeli proces dowodzący go właśnie został przez autora za fałszywy czy podrobiony uznanym? (1).

Do biografii Ciołka jako materyał posiadamy cztéry jego mowy, nieco listów doń i przezeń pisanych, nieliczne bulle papiezkie jego się dotyczące, kilka innych dokumentów, kilka wierszy dowcipnych a złośliwych przez Krzyckiego na Ciołka skomponowanych, a nadto sporą ilość urywkowych wzmianek w rozmaitych dziełach i w dyplomatach (jako świadka). Zasób to, zdawałoby się, zbyt szczupły, aby obszerną książkę mógł swoją treścią zapełnić. Ten rozmiar książki pochodzi najprzód od wielkiéj obfitości przypisków, czasami dosyć pośrednio łączących się z głównym przedmiotem, następnie zaś od dosyć obszernego przedstawiania innych wypadków, wiążących się lub objaśniających działalność Ciołka. Przypiski, co prawda, cenne są jako wskazówki i dowodzą wielkiéj erudycyi autora, od przedstawienia zaś współczesnych wypadków zyskuje, że tak powiem, tło obrazu; lubo główna na niém postać wyraźnemi nie mogła być nakreślona rysami. Zaledwie jednak możnaby za to winić autora; chyba za dobrą chęć wypełnienia braku źródeł mniéj pierwszorzędną pracą w tych dwóch kierunkach i zaoszczędzenia roboty tym, którzy w razie odkrycia nowych źródeł, do czego autor także podaje wskazówki, przedmiot niniejszy jeszcze raz opracowywać będą.

Do niniejszéj rozprawy, jak mi wiadomo, miały być dołączone niektóre nieznane dotąd dokumenty, przez autora użyte; że ich nie ma, wina podobno redadcyi Biblioteki Warszawskiéj, która rozprawę wydawała.

Teodor Wierzbowski.

---

(1) Ten zarzut recenzenta nie wydaje się nam dość słusznym. Wszakże Ciołek mógł przedstawić świadków, którzy niezgodne z prawdą złożyli zeznania. Skoro jednak na podstawie takiego wywodu król uznał szlachectwo Ciołka, to i Niesiecki i p. Lucas mogli go za szlachcica *od téj daty* uważać. (Przyp, red.).

Przewodnik opisowo-porównawczy do wyuczenia czytania i pisania po polsku wszystkich dorosłych i dzieci w krótkim czasie z illustracyami, przez nauczyciela Michała Józefa Konstantynowicza. Warszawa, 1879. Cena 60 k.

W ostatnich paru latach rozpoczęła się u nas wreszcie na dobre stanowcza walka w zaniedbanéj dotąd sferze nauki czytania. Jest to bój, wywołany i prowadzony przy pomocy nowych elementarzy i podręczników opartych na metodach ulepszonych i racyonalnych, przeciw przestarzałym, wypaczonym i przytępiającym tylko umysł sposobom nauczania. Walka to ważna, bo została podjęta i prowadzi się nie o próżną chęć sławy lub zysków materyalnych, lecz w imię ułatwienia społeczeństwu postępu w oświacie. W obec tego skwapliwie i z zaciekawieniem winniśmy spotykać każdego nowo zjawiającego się bojownika, każde nowe w dziedzinie nauki czytania dziełko. Ciekawość nasza powinna się przedewszystkiém zwracać ku temu, które szeregi nowy bojownik ma zasilić, do którego należy obozu, czy niesie on jakieś nowe ułatwienie, mające przyśpieszyć koniec walki i zgubę zastarzałego, trzymającego się dotąd tylko dzięki starym przyzwyczajeniom lub lenistwu przeciwnika; czy téż jest on tylko w nowe suknie przebranym przedstawicielem owéj staréj a nierozsądnéj metody, jak np. takie „Prześliczne Abecadła,“ „Nowe“ i „Wielkie elementarze,“ i t. p. utwory, łatwo dość znajdujące nakładców wśród protektorów własnéj kieszeni.

Taką powodowani myślą skwapliwie wzięliśmy do rąk wymienioną powyżéj pracę p. Konstantynowicza, a zaciekawienie nasze wzrosło tém bardziéj, gdyśmy przeczytali w przedmowie zapewnienie autora, że „rezultatem jego dziełka są: łatwość uczenia, ożywienie wykładu, krótkość czasu, pojęcie nauki przez mniéj jak mierne zdolności...“ Po dokładném jednak przejrzeniu całego dziełka nie zdołaliśmy zaspokoić ciekawości przynajmniéj o tyle, aby być w możności wydania sądu, do któréj z powyżéj przytoczonych kategoryj pracę p. K. zaliczyć należy. Dziełko p. K. nie wiele ma wspólnego z nowemi ulepszonemi metodami, któreby można rozdzielić na metodę czysto dźwiękową, met. piśmienną i met. poglądową. Metoda p. K. jest nie tylko oryginalną, ale i stanowi w swoim rodzaju curiosum.

O ile można przypuszczać, autor, snując swą pracę samodzielnie, miał w pamięci tylko stare metody, jakiemi po większéj części nas wszystkich uczono i jakie do niedawna panowały wszechwładnie, nie starał się zaś poznać postępu, do jakiego dziś już w spra-

wie metod nauki czytania doszliśmy. Przez to już samo praca p. K. została chybioną, i jakkolwiek samemu autorowi może się wydawać szczytem doskonałości, my jednak wątpimy, aby godnie mogła stanąć w szeregu.

Autor rozkłada swą naukę na 26 lekcyj, z których każda ma niby trwać tylko godzinę i to w szkole, gdzie jest gromada uczniów. Możnaby jednak śmiało przeznaczyć nagrodę stu wołów temu, ktoby, *trzymając się metody p. K.*, nauczył czytać i pisać w 26 godzinach już nie tylko całą gromadę i „mniéj jak mierne zdolności,“ ale nawet średnio zdolnego pojedyńczego ucznia.

Autor najprzód przeprowadza naukę liter małych, potém naukę liter dużych, daléj naukę pisania, a wreszcie współcześnie z nauką liter dużych i z początkami pisania podaje wiadomości o częściach mowy, ich podziale i odmianach.

Główną cechą i oryginalnością metody p. K. jest to, że każdéj z osobna literze nadaje nazwę jakiegoś przedmiotu, do którego stara się gwałtem znaléźć w literze podobieństwo. Cel ten osiąga drogą arcy śmiesznego co krok naciągania, przybierania samemu dziwacznéj postawy, lub wreszcie pokazywania do najwyższego stopnia niesmacznych, nieestetycznych, a przez to i niepedagogicznych obrazków. Tak np. *ó* każe nazywać wciąż *uszkiem*, *e—Edziem* (?!), *ę—Edziem z noskiem*, *u—różkami*, *j Judkiem* (żydem) i t. p. Gdy pokazuje uczniowi jakąś literę, np. *e* i pyta go, *co to jest*, uczeń powinien odpowiedać: „Edzio.“ Daléj na zapytanie, *jak się nazywa Edzio*, uczeń ma odpowiadać, że Edzio nazywa się „*e*.“ Gdy się pokaże literę *o*, uczeń powinien powiedziéć, *że to jest obręcz*, a potém na pytania *jak się nazywa obręcz*, uczeń odpowiada „o.“ Tym sposobem zamiast tego, żeby nauczyciel wyrabiał w uczniu należyte pojęcie o znaczeniu znaków, liter i ich stosunku do dźwięków i brzmień, tenże nauczyciel mąci i miesza owe pojęcia. Bo w istocie uczeń nie widzi np. obręczy, lecz tylko znak *o*, który *wprost oznacza pewien dźwięk;* obręcz zaś *nie nazywa się* „o,“ lecz obręczą. Ale co ważniejsza i dziwniejsza, że dziś, gdy wszyscy pedagogowie, dbali o ułatwienie nauki czytania, starają się o to, aby uczeń nie nadawał literom żadnych nazw sztucznych, lecz wyrażał je czystemi głoskami, które one wyobrażają, p. K. cofa się aż w owe zamierzchłe i bezpowrotnie minione czasy, stanowiące przejście od epoki hieroglifów, kiedy literom nadawano jakieś dziwaczne nazwy, jak np. w języku cerkiewnym „az,“ „buki,“ „wiedi“ „głagoł,“ zamiast mówić wprost a, b, w, d, i t. d. Podług téj metody, jeżeli uczeń ma napisać dajmy na to *kra* (str. 124), to autor każe mu najprzód sylabizować w ten sposób: konik, ramię, a—kra; *kły*—konik, łapacz, y, i t. p. Ztąd

wypływa, że jeżeli uczeń spojrzy np. na wyraz „logika“ (str. 113), to najprzód przesylabizuje w myśli tak: laska, o, głowa, i, konik, a, i dopiéro potém wymówi ten wyraz.

Śmiesznie zaiste musi wydawać się czytelnikowi niniejsze sprawozdanie, chociaż przytaczamy tu nie wyszukane, lecz piérwsze lepsze przykłady, których w dziełku jest tyle, z ilu drobnych cząstek cała praca p. K. się składa. Ale śmieszność ta jest niczém jeszcze w porównaniu z trywialnością sposobów, jakiemi autor dochodzi do nadania każdéj z kolei literze pewnéj nazwy. Trywialność ta, nie podnosząca bynajmniéj wartości pedagogicznéj dziełka i nie przyczyniająca się do przyśpieszenia nauki, lecz owszem, będąca dodatkiem zupełnie niepotrzebnym, jest jedyném, zapowiedzianém w przedmowie ożywieniem wykładu.

Z wyjątkiem owéj trywialności sama nauka przeprowadzona jest nadzwyczajnie sucho, monotonnie i nurząco. Uwieńczeniem każdéj lekcyi jest czytanie; otóż niewprawny, ma się rozumiéć, bo zaledwie początkujący uczeń musi odczytać codziennie na lekcyi, aż pół stronicy, albo całą stronicę i więcéj takich np. zajmujących ćwiczeń: eoęąąó, aóęąę, lub: sozożo, sóżóża i t. d. Samo już czytanie takich ćwiczeń zajmie przynajmniéj godzinę lub dwie dziennie, co nam z praktyki jest wiadomém. Ćwiczenia podobne są jedyném czytaniem przez cały prawie czas nauki liter małych (kilkanaście lekcyj).

W trakcie uczenia małych liter (spółgłosek), autor wykłada zarazem ich podział przyjęty przez gramatykę na wargowe, zębowe i t. d. Wykład tego tak wczesny zaprząta tylko zbytecznie terminologią pamięć ucznia. Przytém autor popełnia parę błędów, bo np. do wargowych nie zalicza *m*, a *n* nie umieszcza wśród płynnych podniebiennych; z pomiędzy szorstkich opuszcza *ż*, a o *rz* powiada, iż się wymawia z przyciskiem (?) dla odróżnienia od *ż*. Daléj uprawnia do identyfikowania głosek *h* i *ch*, wynurzając uczniom swe zdanie, że z czasem całkiem przestaną pisać *ch*. Błędnie też nazywa zmiękczenie głosu przez znak *i* zbiegiem dwóch głosów, przez co uczeń nie rozumié, że *i* miewa dwojakie znaczenie: bądź samogłoski, bądź znaku zmiękczenia, zarówno jak kréska. Podług p. K. w głosie *zio* tak samo niby słychać *i*, jak w głosie *zi* (str. 35).

Skończywszy naukę liter małych, p. K. przechodzi do liter wielkich i uczy ich z podobnym mozołem i naciąganiem, jak poprzednich. Jest to wcale niepotrzebne, bo skoro ktoś się nauczył czytać na literach małych, to podczas czytania dalszego znajomość liter dużych przyjdzie nieznacznie, prawie sama; znaczenie ich czytający będzie mógł sam odgadywać, jak nas uczy praktyka.

Jeszcze podczas nauki o literach małych p. K. rozpoczyna zarazem wykład o częściach mowy i o ich odmianach oraz podziałach. Wykład ten prowadzi prawie aż do końca książki, a przykłady do niego zastosowane i ułożone z mnóstwa pojedyńczych i oderwanych wyrazów są, w dalszym ciągu po dźwiękach, bez znaczenia, jedynėm czytaniem dla wprawy. Materyał to więc nadzwyczaj suchy, nudny, bezmyślny, który wcale na rozwinięcie umysłu wpłynąć nie może, lecz owszem, zniechęca tylko ucznia i usypia, a jedynym możliwym pożytkiem, jaki z podobnego czytania wypływa, jest wprawa mechaniczna i poznajomienie się z prawidłowėm wymawianiem niektórych wyrazów. Zamiast takich przykładów, czyż nie należało umieścić lepiéj przysłów, krótkich powiastek i t. p., któreby nie mniéj wprawiały w mechanizm czytania, a razem bawiły ucznia i rozwijały jego umysł. Niewiele téż pożytku przynieść może i sam wykład suchy o częściach mowy, o ich podziałach i o nazwach odmian. Sama terminologia gramatyczna umysłu nie wzbogaci, a mało rozwiniętych uczniów, jakimi po większéj części bywają ci, którzy dopiéro czytać się uczą, przytępiać tylko może i budzić w nich niesmak do nauki. O pożytku z takiéj nauki sam zresztą autor, nie chcąc, sąd wydał; bo o to w załączonéj ku końcowi pogadance, gdy ojciec mówi o różnych ciekawych rzeczach synowi, ten nagle robi zwrot ku formie wyrazów, z czego widać, że się przyzwyczaił przez naukę do większego zwracania uwagi na wyrazy niż na rzecz samę.

Już to autor zakochany jest widocznie w gramatyce, bo powiada np., że po nauce czytania i pisania ona jest nauką najpilniejszą i najusilniéj ją zaleca. Nie uwłaczamy wcale gramatyce, ale czyż ona jest istotnie najpilniejszą z nauk? Gramatyka jest rzeczą potrzebną, byle nie tak sucho pojęta jak u p. K.; ale są inne nauki przy elementarném wykształceniu jeszcze pilniejsze, bo rozwijają umysł, rozszerzają widnokrąg, dostarczają wiadomości potrzebnych w życiu praktyczném i wreszcie kształcą moralnie.

Wracając jeszcze do wykładu p. K., dostrzegliśmy w nim braku zupełnego litery *é*, która w niektórych razach nie mniéj bywa ważną od *ó*. Z powodu tego braku uczeń p. K. pisać może np. chlib, mliko i t. p. Pomiędzy częściami mowy opuszczony jest imiesłów.

Jak tytuł książki p. K. wskazuje, jest ona przeznaczona do wyuczania nie tylko czytania, ale i pisania zarazem. Otóż możemy uczynić jeszcze jeden zarzut zasadniczy. Dla czego autor, stawiając dla swéj pracy takie podwójne zadanie, nie połączył w zupełności nauki pisania z czytaniem, lecz pierwszą odłożył na koniec? Połączenie pisania z czytaniem od samego początku pozwoliłoby osiągnąć

cel o wiele prędzéj i skuteczniéj i wpływałoby zbawiennie na prawdziwy rozwój umysłu w uczniach.

Dziś książka p. K. taka jaką jest, mimo dobre chęci autora, widniejące z po za dewizy, na wstępie ze Słowackiego umieszczonéj, i odbijające się w ostatnim artykuliku, główněj ozdobie dziełka, nie bardzo wzbogaciło naszę literaraturę pedagogiczną i w obec postępu, do jakiego dziś dochodzą sposoby nauczania, jest zupełnie chybioną. Metoda p. K. ma znaczenie podobne temu, jakieby miał dajmy na to niespodziany wynalazek w dzisiejszych czasach świec woskowych, które byłyby postępem w porównaniu z oświetlaniem łuczywem, ale w obec wynalezionych już świéc stéarynowych, oświetlania naftą, gazem i elektrycznością nie miałyby znaczenia.

K. Prószyński.

Materyalizm współczesny przez prof. Pawła Janeta, Czł. Akad. Paryz., przekład z drugiego wydania oryginału..... przez Z. G. Kraków. 1878. W 12-ce, str. 168.

Że społeczeństwo nasze jest arcy-zachowawcze i arcy-niepostępowe, na to nie ja piérwszy i zapewne nie ostatni narzekam.

Jeden z licznych dowodów wstrętu naszego do zajmowania się nowemi pomysłami uczonych i filozofów zagranicznych widzę w dość często powtarzającym się u nas objawie, że z góry, przed wysłuchaniem sprawy, potępiają u nas każdą rzecz, która wychodzi po za koléj zwykłéj rutyny. Tak nam dobrze widać w tém ciepłém gniazdeczku, usłaném z wiekowych nawyknień i przesądów, że oburzamy się na samę myśl, iż podstawy nałogów naszych mogą butwieć; wytężamy więc całą energią bezwładności, aby stłumić głosy, dolatujące nas ze świata, i co prędzéj zatkać promienie światła, które się przedzierają przez gnijące ściany naszego starego domostwa. Jaki taki porywa maczugę i daléjże z nią na słońce. Zaczyna wołać, że kościół, ojczyzna, społeczność, rodzina, własność, są w niebezpieczeństwie, bo „niejaki Angielczyk“ napisał książkę, któréj wyrazy nie w takim idą porządku, jak w elementarzu, na którym obrońcę zagrożonéj ludzkości nauczono czytać. Chwyta więc za pióro i pisze lub tłómaczy straszną krytykę niebezpiecznego systemu lub autora, a czyni to z takim zapałem i przejęciem się, jak gdyby był owym kapitanem w powieści Gogola, który „poniekąd krew za ojczyznę przelewał.“

Kilkanaście lat temu dr. Małecki miał odczyt w Poznaniu o nowéj naówczas teoryi Darwina. Pewien obóz krzyknął: gwałtu, co się

dzieje, i wziął się do pióra. Ks. Wartenberg wystąpił z broszurką, którą, gdyby lat temu trzysta sporządził, nazwałby zapewne: „Młot na Darwina.“ Dowiódł w niéj, ku wielkiemu zadowoleniu jednomyślnych, że „hipoteza Darwinowa jest kacerską i bezzasadną,“ oraz że „wolność (którą ona między ludźmi rozszerzy) jest wolnością iście synów diabelskich i zwierza na boru. Wolność, co się zowie rozprzężeniem wszelkich stosunków, potarganiem wszelkich węzłów, podeptaniem wszelkich obowiązków społecznych, uchyleniem się z pod praw, wolność rozkiełznana, bez cugli i wodzy: swawola!“ (str. 12). „Hipoteza Darwinowa jest przeciw społeczną, bo rozwiązuje społeczność ludzi w hordy nieomal dzikie, w tabuny, gromady zwierzęcych, małpich, kangurowych, jaszczurowych wyrodków“ (str. 3).

Upływa od tych strasznych groźb rok trzynasty; dzieła Darwina rozeszły się u nas w przekładach i streszczeniach, zasady jego weszły w powszechne nauczanie, o ile się odnoszą do nauk przyrodniczych; a jednak jakoś jeszcze społeczeństwo nasze trzyma się i stoi; nikt nikogo nie upiekł i nie zjadł; są nawet dobroduszni ludzie, którzy twierdzą, że trochę zrozumnieliśmy...

Ale oto znowu drugi „Angielczyk“ nie daje spać obrońcom „węzłów społecznych“; gorszy on jeszcze od tamtego, bo Amerykanin. Odważył się napisać coś, co nie tak brzmi jak nasza stara piosenka: Si quis credit aliter, hic damnatur aeternaliter (jeżeli kto wierzy inaczéj, niech będzie potępiony na wieki). Hejże na niego! Nie czekajmy aż ohydna elukubracya ukaże się po polsku; dość że wyszła po francusku i niemiecku; trzeba wygubić złe w zarodku. Na ten raz jednak zabrakło krajowym zachowawcom własnego konceptu więc poszukali rozumu u Włochów i przełożyli „Rozbiór krytyczny“ dzieła, którego jeszcze piśmiennictwo nasze sobie nie przyswoiło. W „Rozbiorze“ tym dowiedziono jak dwa razy dwa cztery, że Draper prawi niedorzeczności i „wyprowadza takie nędzne banialuki i androny, że wstydzić się ich musi każdy“, oraz że postęp, jak go amerykański autor pojmuje, „nie postępem jest, ale cofaniem się w ciemności, zamieszaniem i zgubą“ (str. 161 i 173).

Mielibyśmy prawo przepowiadać tedy prędką „zgubę“ ludzkości, bo dzieło Drapera wkrótce się ukaże w tłómaczeniu polskiém; jedna rzecz tylko dodaje nam otuchy: oto, że koniec świata, zapowiedziany w r. 1866 przez ks. Wartenberga, jakoś każe na siebie czekać; więc może i proroctwa włoskiego pogromcy Drapera okażą się równie niedokładnemi...

Nim to nastąpi, p. Z. G. obdarza nas „młotem na materyalistów“, przełożonym z francuskiego oryginału Janeta. Opiérając się na po-

wyższych dwóch przykładach, ośmielamy się i my prorokować, że pojawienie się téj książeczki będzie zapowiedzią ukazania się u nas większych jakichś dzieł o materyalizmie, a może nawet całéj plejady materyalistów polskich.

Wprzód jednak nim o dziełku Janeta się rozpiszemy, powiédzmy kilka słów o krajowém pojmowaniu u nas *materyalizmu* i *materyalistów.*

Przeciętny obywatel przeciętnego miasta naszego pod wyrazem „materyalista“ rozumié kupca, utrzymującego skład materyałów aptecznych. Inteligencya zaś nasza zupełnie co innego pojmuje przez to orzeczenie: materyalista. Wyraz ten znaczy u niéj: człowiek zanurzony w interesach materyalnych, nie czujący żadnych aspiracyj duchowych, czciciel mamony, goniący za konfortem, użyciem, gromadzeniem piéniędzy, gotów nawet za pewną ilość srebrników sprzedać niejednę drogą, ba nawet świętą dla innych ideę. Typem „materyalisty“ w wyobraźni naszéj inteligencyi jest bogaty bankier, albo zamożny Niemiec, kupujący u nas majątek; obaj ludzie bez serca i wiary. Siedliskiem „materyalizmu“ (zawsze w oczach inteligencyi u nas) jest „zbutwiały, zmateryalizowany zachód“; tam fabryka, koléj żelazna, „królowa bawełna“, funt szterling, są bożyszczami, tam wszystko kupić można, bo w sercach zimno i ciemno, u nas, oczywiście, gniazdo idealizmu, serdeczności, wiary; u nas piéniądz jest niczém w obec cnoty, poświęcenia, miłości, bo „nie masz ziemi nad naszą ziemicę.“ Ale jest jeszcze i trzeci sposób pojmowania „materyalizmu“ i „materyalistów“. W filozofii tém ostatniém mianem nazywani są zwolennicy pewnéj szkoły, która materyą uważa za pierwotną, niespożytą i jedynę substancyą świata. Oczywiście ta szkoła ifilozoficzna nie ma nic wspólnego z pieniądzem, zgniłym zachodem i chłodem serca. Filozof materyalista, gdy go spytać o zasady moralne, stokroć energiczniejszym jest nawet wrogiem „zmateryalizowania“, czci rubla i egoizmu od najinteligentniejszych członków naszéj inteligencyi. Jedném słowem, „materyalizm“ życiowy, potoczny a „materyalizm“ filozoficzny tak są od siebie odległe, jak „spirytualizm“ butelkowy od „spirytualizmu“ filozoficznego.

Musiałem temi kilku słowami poprzedzić referat o dziełku Janeta, aby w należytém świetle okazać ten materyalizm, o którym autor francuski rozprawia. Nie znajdzie tedy czytelnik w piśmie tém ulubionéj u nas jeremiady nad zmateryalizowaniem XIX wieku w ogóle, a zachodu w szczególności, jakby się tego po tytule mógł spodziéwać. Janet walczy ze szkołą filozoficzną materyalistów i to głównie najnowszych niemieckich; jako sam filozof, człowiek uczony i umiarkowany, walczy w sposób prawdziwie naukowy, spokojny,

nie przepowiada społeczeństwu ani zguby, ani ciemnoty w razie zwycięstwa teoryi materyalistycznéj; nie używa wyrazów nieprzyzwoitych, przeciwników swych nie nazywa „niedorzecznymi,“ a twierdzeń ich „banialukami“. Jest zachowawcą i idealistą, a raczéj spirytualistą, ale jest obok tego pisarzem wytrawnym, dobrze wychowanym, oraz myślicielem szanującym cudze pojęcia i przekonania. Chociaż więc umieściliśmy przekład ten w szeregu pism uprzedzających pojawienie się u nas nowych dzieł i nowych kierunków, mających zagrażać jakoby spokojowi i szczęściu społeczeństwa; to jednak przyznajemy całą słuszność zaletom oryginału i wyborowi tłómacza, bo tego rodzaju polemika przyczynić się może tylko do wyjaśnienia prawdy, nie jątrząc stronnictw i nie mącąc sprawy naukowéj obcemi nauce zapędami.

Przypatrzmy się teraz treści rozprawy Janeta i osądźmy: czy tłómacz należycie się wywiązał ze swego zadania.

W dwóch pierwszych rozdziałach autor szkicuje rozwój filozoficzny Niemiec od r. 1840 i zapoznaje czytelnika z głównemi zasadami myślicieli należących do szkoły radykalnéj, czyli materyalistycznéj: Büchnerem, Moleschottem i innemi, oraz Viardotem, ich zwolennikiem francuskim. Teoryą Büchnera wykłada Janet bardziéj szczegółowo, bo ją uważa za najdokładniejszy obraz pojęć materyalistycznych. Według niéj, wszelka materya obdarzona jest siłą, materya bez siły, siła bez materyi istniéć nie mogą; we wszechświecie tylko materya jest nieśmiertelną, a z nią razem oczywiście i siła; działają one według praw stałych i niezmiennych, chociaż właściwie bez żadnego z góry nakreślonego celu. Co się zaś tyczy myśli, to jest ona, według Büchnera, niewidzialną siłą, wypływającą ze składu wszystkich sił zgromadzonych w mózgu, i pochodzi prawdopodobnie z działania elektryczności nerwowéj. Przeciwko tym twierdzeniom Janet walczy w następnych rozdziałach. W trzecim obszernie stara się ustalić zasadę, że materya nie jest czémś bezwzględném, samoistném; że się ona niczém nie różni, w teoryi materyalistów, od przestrzeni, wśród któréj się znajduje; że Büchner i towarzysze jego nie określili wyraźnie ani materyi, ani siły, ani ich wzajemnego stosunku. Następny rozdział autor poświęca uzasadnieniu i udowodnieniu licznemi przytoczeniami z dzieł najgłośniejszych matematyków i astronomów, że siła materyi, zwana przyciąganiem, a ujawniająca się w obrotach ciał niebieskich, właściwie jest zjawiskiem dotąd niewyjaśnioném, tak że z pewnością nie można twierdzić, czy jest ona skutkiem wewnętrznéj energii ciał tych, czy też zewnętrznych jakichś czynników; a materya ostatecznie jest rzeczą względną, wynikiem działania jakiéjś wyższéj zasady, nie dającéj się mierzyć zmysłami. Tu, we-

dług słów autora, „materyalizm ustępuje tronu idealizmowi“. Tém dobitniéj widzi to autor na kwestyach życia i myśli, o których w rozdziale piątym rozprawia. Co do siły życiowéj, nie może on zamknąć oczu na silne dowody najnowszych przyrodoznawców i filozofów, twierdzących, że jest ona po prostu wynikiem czynników fizycznych i chemicznych; więc aby uratować swą teoryą, odróżnia *zjawiska* zachodzące w istocie od *istoty saméj*, funkcie od owego centrum, łączącego wszystkie zjawiska życia w jednę całość. Przedewszystkiém, powiada on, rodzi się pytanie, skąd się wzięło życie istot organicznych? Materyaliści twierdzą, iż wytworzyło się ono samodzielnie, z pewnego przypadkowego sposobu zetknięcia się cząstek materyi, czyli drogą samorodztwa; otóż Janet w szóstym rozdziale swéj pracy, powołując się na najnowsze odkrycia przyrodoznawców, a szczególnie Pasteura, dowodzi, że samorodztwo nie istnieje, a przynajmniéj dotąd niezbicie okazaném nie zostało, a zatém powstanie zarodka i potęga wytwarzająca gatunki jest czémś przechodzącém wszystkie dane materyalistyczne. Tém bardziéj niemateryalną być musi myśl, twierdzi daléj autor w rozdz. siódmym; można dopuścić, że mózg jest warunkiem, naczyniem myśli, ale nigdy iżby był jéj przyczyną, jéj sprawcą; poczucie własnéj jaźni, czyli swéj tożsamości, od dzieciństwa aż do śmierci, poczucie jedności swéj myśli i własnéj odpowiedzialności, te trzy dowody, powiada Janet, przekonać muszą, że myśl jest czémś odrębném od materyi, bo ta się zmienia ciągle w organizmie, przebywa i ubywa, a myśl tkwi w świadomości naszéj z niewzruszoną ciągłością i nieprzerwaną jednością. W ostatnim rozdziale, napisanym dla trzeciego wydania, spokojny i poważny akademik traci na chwilę równowagę i z pewną gorączką kruszy kopię w obronie spirytualizmu przeciw krajowemu jéj krzewicielowi, panu Viardot; oczywiście nie razi go sprzeczność mniemania w Niemcu, lecz nie może jéj spokojnie znieść w rodaku: ale nawet i w tém ożywieniu prawdziwie umiarkowany autor nie przestaje być grzecznym i rozważnym. Dowody, które na obronę swych zasad przytacza, są zresztą bardzo nie nowe i doskonale znane od wieków, odkąd się toczy spór o istnieniu lub nieistnieniu duszy, jéj nieśmiertelności, osobowości Boga, celowości, stworzenia itd.

Przekład p. Z. G. jest na ogół dobry; odznacza się potoczystością polszczyzny, doskonale dobranemi wyrazami technicznemi z filozofii i przyrodoznawstwa, oraz wiernością, tak dalece posuniętą, że w wielu miejscach jest zbyteczną, to jest niewolniczo naśladującą i oddającą oryginał francuski; zresztą jest to rzeczą nieuniknioną, lub prawie nieuniknioną przy tłómaczeniu, szczególnie gdy się tłómaczy po raz pierwszy, jak sądzimy, że jest w tym razie. Zrozumiałości to

nie wadzi, bo niestety, publiczność nasza tak jest przejęta francuszczyzną, że galicyzmy jéj prawie nie rażą i znane są każdemu. W następnym spisie, dla ułatwiania rzeczy, zamieszczamy usterki, które przed czytaniem warto poprawić. Str. 15, 16 odsyłacz i 20 ods. zamiast *odtąd* powinno być *później* (depuis). Str. 19 zam. *cząstek* ma być *dokumentów* (pièces). Str. 22 zam. *niewidzialnego* lepiéj *niewidzialności*. Str. 24 zam. *samowładną* lepiéj *samodzielną*. Str. 28, 32, 42 zamiast *jeszcze* powinno być *także* (encore ma oba te znaczenia). Str. 28, 33, 101, 110 zamiast *środek* lepiéj *otoczenie*, lub, jak chcą niektórzy, *środowisko*. Str. 34 zam. *szczątki* ma być *zacządki*, albo *początki* (rudiments). Str. 64 „Odtąd nie będzie już więcéj dozwoloném rozprawiać“ lepiéj: Więc nie wypadałoby rozprawiać“ i t. d. Str. 6, 66 i gdzieindziéj *mieć miejsce* lepiéj zastąpić przez *zdarzać się*, *zachodzić*, *bywać być*, *dawać się widzieć* (avoir lieu). Str. 66 zam. *nie porusza się* powinno być *porusza się*. Str. 88 zam. *kilku* naturalistów oryginał ma *wielu*. Str. 94 zam. *tymczasowo* ma być *czasowo*. Str. 115 i 116 zamiast *balon* czytać *bania*. Str. 120 „na pierwszym wstępie“ zamienić na „na pierwszy rzut oka“ (au premier abord). Str. 128 *nie jako* powinno być *niejako*, a przecinek powinien się znajdować nie przed, ale po tym wyrazie. Str. 142 „dla własnego waszego wyznania“ zamienić należy na „według wasz. własn. wyznania“. Str. 151 zamiast „z wyjątkiem ich przeistoczenia“ powinno być „z zastrzeżeniem poprawek“. Str. 152 zam. *rurki* organu lepiéj *dudy*. Str. 154 zam. *skończoności* czytać *celowości* (finalité). Str. 164 *substratum* można wyrazić polskim wyrazem *podścielisko*, *podstawa*. Rusycyzmy: str. 121 „byłyby następstwami *a* nie przyczynami“ zamiast „*ale* nie przyczynami“; str. 145 „jakimby nie był“ powinno być „jakimbykolwiek był“. Oprócz tego w wielu miejscach szyk wyrazów jest nie czysto polski, a także razi (rozpowszechnione zresztą wbrew tradycyom języka naszego) używanie *jak* zamiast *niż*, *od* przy stopniu wyższym. Pomimo te drobne zboczenia, nieuniknione przy wszelkiéj pracy ludzkiéj w ogóle, a przy tłómaczeniu w szczególności, przekład p. Z. G. jest na ogół bardzo dobry; zważywszy więc trafność wyboru oryginału i wysokiéj zalety tłómaczenia, poczuwamy się do obowiązku podziękowania tłómaczowi za wzbogacenie piśmiennictwa naszego prawdziwie dobrą książką, spolszczoną wiernie i starannie.

Jan Karłowicz.

KRONIKA NAUKOWA.

Planeta między Słońcem a Merkurym.

Jedném z najznakomitszych odkryć w astronomii, jedném z odkryć najjaśniéj dowodzących potęgi i rozwoju dzisiejszéj nauki astronomicznéj, jest owo wszystkim znane odszukanie najdalszéj planety od słońca, Neptuna, na podstawie rachunku, przeprowadzonego przez Leverriera.

Znakomity ten mąż, którego nauka przed rokiem straciła, badając bieg planety Urana, w związku z biegiem innych ciał wchodzących do składu naszego układu słonecznego, zauważył w nim pewne zboczenia, których na podstawie teoryi wytłómaczyć nie mógł. Dopiéro, gdy przypuścił, że po za Uranem znajduje się niewidziane do owego czasu ciało, sprawa się wyjaśniła. Dokładny rachunek wykazał wielkość, położenie i bieg niewidzianéj planety, a niedługo potém astronomowie mogli już ją oglądać w lunetach. W ten sposób do szeregu ciał około słońca krążących, przybyło nowe, któremu dano na imię Neptun.

Podobnego rodzaju zboczenia, jak w Uranie, zauważył Leverrier w najbliższéj od słońca planecie, Merkurym. Było to jeszcze w roku 1859. W liście pisanym do Faya, konstatuje on, iż w biegu Merkurego są peryodyczne zmiany, których teoryą objaśnić nie można, chyba, że się przypuści, iż między Merkurym a słońcem znajduje się jedna lub kilka planet, które wpływają na zmianę biegu téj planety, a których nie można było dotychczas zobaczyć, w skutek ich niewielkiego oddalenia od gwiazdy dziennéj, w któréj blasku ginęły dla oka ludzkiego, nawet w lunetę uzbrojonego.

W liście swym zwraca Leverrier na ten punkt szczególniejszą uwagę astronomów; poleca im szczegółowe badanie przestrzeni międzymerkuryalnéj i saméj tarczy słonecznéj, na któréj możnaby ujrzéć nieznane ciała, jako okrągłe plewki przesuwające się po kręgu, w chwili, gdy zbiegiem okoliczności stanęłyby one między słońcem a ziemią.

Rzecz oczywista, że śmiałe przypuszczenie Leverriera poruszyło cały świat uczony. Zaczęto starannie badać okolice słońca i zestawiać dawniejsze obserwacye, które ginęły w zapomnieniu, tyczące się niewytłómaczonych przejść czarnych plamek okrągłych przez tarczę słońca, które w rozmaitych epokach były spostrzeżone.

Zebrano tą drogą dość sporą ilość obserwacyj, którym jednakowoż zupełnéj wiary, po większéj części, dawać nie było można. Zachodziła obawa, że owe okrągłe ciemne plamki mogą pochodzić nie od ciała przesuwającego się przed tarczą słoneczną, lecz są zwykłemi plamami na fotosferze słonecznéj, które w tych wypadkach miały kształt okrągły. W skutek téj niepewności sprawa została zawieszoną. Dopiéro w kilka miesięcy potém, otrzymał Leverrier list od p. Lescarbault, lekarza na prowincyi, zajmującego się z amatorstwa astronomią, w którym pisze, iż przed kilku miesiącami zrobił obserwacyą ciała przesuwającego się przez tarczę słońca, niepodlegającą żadnéj wątpliwości.

Leverrier, nie dowierzając dyletantowi w nauce, pojechał natychmiast na miejsce, zbadał sposób obserwacyi pana Lescarbault i wygłosił, iż musi być ona przyjętą w nauce.

Jednakowoż przez lat piętnaście, które potém nastąpiły, nie zauważono nic takiego, coby mogło potwierdzić istnienie nowéj planety, którą już ochrzczono nazwą „Wulkanu.“

Nareszcie, przyszła napowrót ta sprawa na porządek dzienny w roku 1876. Weber w Peckeloh, Wolff w Zurychu i Schmidt w Atenach zauważyli okrągłe ciało przesuwające się przed słońcem i dali o tém znać do Akademii Paryskiéj. Zaczęły się spory o autentyczność spostrzeżenia, wyprowadzono znowu całą sprawę na jaw; we Wrześniu tegoż roku Leverrier przedstawił swój pogląd ostateczny, oparty na zestawieniu wszystkich dawnych i nowych obserwacyj, z których wybrał pięć odpowiadających, według jego rachunku, przejściu jednego i tegoż samego ciała przez słońce.

Rachunek tak się zgadzał dokładnie, iż mógł Leverrier na wiosnę roku 1877 przepowiedziéć prawdopodobne nowe przejście.

Lecz mimo, iż lunety całego świata zwrócone były w oznaczonych terminach na słońce, nic nie zauważono. Leverrier wkrótce potém umarł, nie doczekawszy się potwierdzenia swych przypuszczeń.

Sprawa znowu była w zawieszeniu, aż do ubiegłego roku. Dnia 29 Lipca 1878 r. było całkowite zaćmienie słońca, podczas którego amerykański astronom Watson, przyglądał się gwiazdom, leżącym w bliskości tarczy słonecznéj, i rysował ich położenie.

Otóż wtedy zauważył w bliskości słońca dwie gwiazdy czwartéj wielkości, które się nie znajdowały na mapach niebieskich; więc wziął je Watson za nowe planety. Powszechnie zaczęto sądzić, iż są to właśnie owe przepowiedziane przez Leverriera ciała i takie jest mniemanie większości aż do obecnéj chwili, chociaż są także głosy twierdzące, iż odkrycie to jest fałszywém i opierającém się na niedokładnéj obserwacyi.

W zeszłym miesiącu przybył nowy przyczynek do téj ważnéj w dziedzinie astronomii sprawy. Znany astronom wiedeński Dr Oppolzer ogłosił w zeszłym miesiącu rezultat swych obliczeń, opartych na dotychczasowych spostrzeżeniach. Udało mu się wiele z dotychczasowych obserwacyj połączyć w jednę całość i oznaczyć elementa biegu Wulkanu ze ścisłością zadziwiającą.

Według niego nowa planeta robiłaby obrót w $15^{8}/_{10}$ dniach, a jéj położenie nie odpowiadałoby wcale obserwacyi Watsona.

Najbardziéj zajmującą sprawą jest to, iż przejście Wulkanu zapowiedzianém jest przez Oppolzera na miesiąc Marzec bieżącego roku. Dnia 19 w godzinach rannych ma Wulkan przez pięć godzin przesuwać się przez tarczę słońca. Sądzimy, że jeśli który z czytelników posiada jaką taką lunetę, to nie omieszka w dniu tym zwrócić ją na tarczę wschodzącego słońca.

A może i Oppolzera spotka zawód, tak jak dwa lata temu spotkał Leverriera?

Odkrycie Normana Lockyera.

W ostatnich kilku tygodniach wielką wrzawę wywołała wiadomość o odkryciu znakomitego fizyka angielskiego Lockyera, który jakoby zdołał udowodnić, że ciała, które dotąd uważane były za pierwiastki, dadzą się rozłożyć i że we wszechświecie jest jedna tylko materya zasadnicza, któréj wszystkie pierwiastki są tylko rozmaitemi stanami zgęszczenia.

Wiadomość tak niespodziana przyjętą została z niedowierzaniem przez koła naukowe; natomiast dzienniki rozniosły ją po świecie ze zwykłą przesadą i przedstawiły odkrycia Lockyera w barwach tak świetnych o jakich autorowi nawet się nie śniło.

Już mówiono, że udało się Lockyerowi rozłożyć wszystkie pierwiastki i dowieść, że wodór jest owém zasadniczém ciałem, które

potém w najrozmaitszych stanach, jako pierwiastki widzimy. Gdy przyszło oryginalne sprawozdanie, rzecz ta zeszła do mniejszych rozmiarów, lecz zawsze zachowała wiele wagi i jest sprawą pierwszorzędnéj doniosłości naukowéj. Radzibyśmy téż poznajomić z nią czytelników, lecz zanadto jest ona specyalną, żeby módz w popularnym artykule przedstawić ją dokładnie. Zadowolić się więc będziemy musieli ogólnikowym poglądem na te doniosłe poszukiwania.

Ostateczny wynik pracy Lockyera daje się streścić w sposób następujący: długoletnie poszukiwania widmowe dały mu *pewne poszlaki*, że ciała, uważane dotychczas za pierwiastki, są ciałami złożonemi. Nie jest więc to jeszcze pewność absolutna, lecz tylko hipoteza, niestwierdzona pozytywnemi faktami, lecz bardzo prawdopodobna.

Na czém polegają rozbiory widmowe, nie potrzebujemy się szeroko rozwodzić. Wiadomo wszystkim, że promień światła, przechodząc przez pryzmat szklany, rozszczepia się na szereg barwnych promieni, które na ścianie pojawiają się w odbiciu jako pasek złożony z siedmiu barw tęczowych, zwany widmem. Każde ciało świecące daje takie widmo, lecz na szczególniejszą uwagę zasługują widma pochodzące od ciał tak silnie rozżarzonych, że są w stanie pary. Widma od nich pochodzące nie są ciągłe, lecz złożone z prążków, które dla różnych ciał zajmują różne położenia.

I tak np. palący się wodór daje prążki w innem miejscu niż sod w stanie pary rozżarzonéj; inne znowu żelazo i inne każde ciało. Na podstawie téj zadziwiającéj własności zaczęto używać widm do rozbiorów chemicznych.

Badając położenie prążków, można obecnie z wielką dokładnością powiedzieć od jakiego ciała owe prążki pochodzą. Ten sposób rozbiorów, podany przez Kirchhoffa i Bunsena, podał możność poznania składu chemicznego ciał niebieskich. Promienie światła od gwiazd do nas przychodzące niosą z sobą cechy, wskazujące z jakich ciał zostały one wysłane. Przekonano się obecnie, że ciała spotykane na ziemi składają także i wszechświat.

W ostatnich czasach udoskonalono do możliwych już prawie granic przyrządy, służące do badania widm, tak zwane spektroskopy. Jednocześnie z rozwojem tych aparatów stawała się potrzeba dokładnych rysunków widm wszystkich znanych ciał, z którychby można było, po zrobieniu obserwacyi i po zmierzeniu położenia prążków, znaléść jakie ciała te prążki wywołały. Otóż Lockyer od czterech lat pracuje nad narysowaniem wielkich rozmiarów widma słonecznego, któreby jak najdokładniéj przedstawiało wszystkie znane prążki. Widmo to ma mieć około 100 metrów długości. Dla jego narysowania musiał wywoływać sztuczne widma, paląc rozmai-

te ciała w płomieniach gazowych, a dla wywołania większego ciepła w łuku Wolty lub iskrze indukcyjnéj i porównywać je z widmem słonecznem. W tym celu zdjął 2.000 fotografij z widm różnych metali i zrobił przeszło 100.000 samych obserwacyj.

Właśnie podczas robienia tych spostrzeżeń, spotkał się z niektóremi faktami, które go naprowadziły na ślad odkrycia przypuszczalnego, o którém wyżéj była mowa. Oto prążki od niektórych pierwiastków pochodzące, przy bardzo znaczném podwyższeniu temperatury, zmieniły swój kształt i położenie, tak jakby pierwiastek sam podlegał rozkładowi, i tworzyły się nowe ciała.

Już przeszło rok temu przedstawił Lockyer paryskiéj Akademii Umiejętności jeden z pierwszych i najbardziéj uderzających doświadczeń w tym kierunku. Miał wtedy do czynienia z metalem wapniem, wchodzącym do składu zwykłego wapna. Gdy metal ten, najprzód w połączeniu z chlorem, jako chlorek wapnia wstawiał do ognia, to otrzymywał prążki dla tego połączenia charakterystyczne. Gdy podniósł temparaturę, połączenie zaczęło się rozpadać i w widmie wystąpiły prążki charakterystyczne dla wapnia. Gdy temperatura podniesioną została jeszcze wyżéj, prążki wapniowe zaczęły się zmieniać, a natomiast wystąpiły prążki wodorowe. Doświadczenie to przemawiało za tém, że w wysokiéj temperaturze pierwiastek wapień rozszczepia się, zmienia swój stan zgęszczenia i przechodzi w najlżejszy ze znanych pierwiastków wodór.

To pierwsze odkrycie popchnęło Lockyera do poszukiwań dalszych, zmierzających do tegoż samego celu i niedawno zdał z nich sprawę w londyńskiém towarzystwie nauk. Rezultaty przezeń otrzymane popchnęły o tyle kwestyą naprzód, że doświadczenie dawniejsze z wapniem zostało powtórzone dla wielu innych ciał i zdobyto wiele faktów popiérających dawniejsze twierdzenie.

Lockyer podnosi przedewszystkiém zjawisko znane w astronomii fizycznéj, które każe mniemać, iż na niektórych gwiazdach w skutek podwyższenia temperatury, podwyższenia, o którém my na ziemi tylko słabe pojęcie mieć możemy, większość pierwiastków rozkłada się i zamienia się na jeden zasadniczy, zbliżony do wodoru, najlżejszego z gazów. I tak np. gwiazdy, posiadające najwyższą temperaturę, mają najprostsze widma o najmniejszéj ilości prążków i to prążków podobnych do wodorowych. Przykładem tego jest jasnoświecący Syryusz o wybitnym prążku wodorowym, a natomiast o bardzo cienkich prążkach metalicznych. Tymczasem gwiazdy zimniejsze, jak nasze słońce, zawiérają już mnóstwo wybitnych prążków, od metali wszelkiego rodzaju pochodzących. W gwiazdach jeszcze zimniejszych spotykamy obok prążków metalowych charakterystyczne

cechy ciał niemetalicznych i ich związków. Fakty te dają się wytłómaczyć za pomocą przypuszczenia, iż gdy temperatura wzrasta, ciała złożone rozpadają się najprzód na tak zwane pierwiastki, a następnie te pierwiastki podlegają, przy podnoszeniu temperatury, jeszcze dalszemu rozkładowi.

Nie możemy się wdawać w szczegółowy opis wszystkich podstaw, na których Lockyer opiéra swą hipotezę; są to rzeczy nadto specyalne; nadmienimy tylko, że dowodzą one niezmiernéj pracowitości i znakomitego panowania nad olbrzymim materyałem.

W każdym razie z tych wszystkich danych nie można jeszcze wnosić, jakoby już się posiadało pozytywny dowód, że we wszechświecie tak z jednością siły jak i z jednością materyi mamy do czynienia. Filozoficznie rzeczy biorąc, kwestya ta oddawna została rozwiązaną; lecz dowodów pewnych, namacalnych, takich, jakie chemik w laboratoryum otrzymuje, mimo ostatnich prac Lockyera jeszcze dotychczas nie posiadamy.

B. Abakanowicz.

KRONIKA MIESIĘCZNA.

Kwestya udzialu inteligencyi wiejskiéj w sprawach gminnych.—Głos p. H. W. w obronie inteligencyi.—Odpowiedź p. Prószyńskiego.—Kto ma słuszność?—Zabezpieczenie bytu klas pracujących w Warszawie.

Rozprawy o stosunkach wiejskich, tak liczne i ożywione w ciągu kilku lat poprzednich, od niejakiego czasu przycichły. Porównywając ówczesną ruchliwość dzienników z ich obecnym spokojem w tych kwestyach, mógłby ktoś dojść do wniosków fałszywych. Więc już służebności zostały uregulowane? sądy gminne nie są przeciążone pracą i mnóstwem formalności? szkółki elementarne funkcyonują w sposób zadawalniający? gminy rządzą się dobrze?..

O wszystkich tych rzeczach i wielu innych, pisano niegdyś gorliwie, wykazywano ich strony złe i szukano środków zaradczych. Dziś piszą mniéj, widocznie więc zaszła jakaś zmiana. Albo poprawił się ogół stosunków, albo osłabli i znużyli się mówcy. Drugie to przypuszczenie zdaje się być prawdopodobniejszém.

Sięgając myślą wstecz, u źródeł owego dziennikarsko-wiejskiego ruchu widzimy dwa fakta literackie i jeden społeczny. Pierwszym było wywieszenie przez *Niwę* sztandaru większéj własności ziemskiéj. Pismo to zauważyło, że powaga, wpływy i dochody większéj własności upadają, podniosło okrzyk trwogi i, w imię ratowania ginących, zebrało około siebie pewną liczbę osób obeznanych ze stosunkami wiejskiemi, wydrukowało kilkadziesiąt artykułów i odezw, a co ważniejsza pobudziło wiejskich czytelników swoich do korespondowania z prasą warszawską.

Obok zbiorowych usiłowań *Niwy*, zjawił się czynnik pojedynczy: nowella Sienkiewicza pod tytułem „Szkice Węglem". Utwór

ten ponure rzucił światło na dwory, chaty, karczmy i kancelarye gminne i na chwilę poruszył drzémiących. Jedni bronili dworów, inni kompromitowali w dalszym ciągu pisarzy i karczmarzy.

Obok tych bodźców czysto literackich, stanął fakt społeczny: utworzenie sądów gminnych i dał początek artykułom o wyborach, o postępowaniu nowych sądów, nawale spraw itd.

Sądzimy, że przypomnienie takie mieści w sobie pewną naukę. Wskazuje ono, że dla obudzenia ruchu umysłowego w danym kierunku potrzeba albo zmian faktycznych w stosunkach, albo zbiorowéj pracy kilkunastu jednostek, albo talentu pojedyńczego człowieka. Przypomnienie to uczy nas jeszcze innéj prawdy. Oto, że wiejskie stosunki nasze stanowią grunt niezmiernie surowy, na którym trudny posiew a plon niewielki. Rośnie tam wprawdzie wiele rzeczy z własnego popędu, niemi jednak nie ma się kto zajmować.

A szkoda! ludność bowiem wiejska formuje przeszło trzy czwarte społeczeństwa, jest masą, któréj rozwój decydować musi o cywilizacyjnéj przyszłości kraju.

I jeżeli dziś widzimy ubóstwo kraju, zastój, małą cywilizacyą, to w znacznéj części znowu dla tego, że fundament gmachu społecznego—ludność wiejska jest ubogą i ciemną.

Na nieszczęście, z powodu przyśpieszonego życia miast większych, a Warszawy przed innemi, prawda, którąśmy zaznaczyli powyżéj, nie dla wszystkich jest jasną. Dzięki potężniejszéj ruchliwości mieszczaństwa i dziennikom streszczającym jego życie, łudzimy się, że taki punkt jak Warszawa znaczy więcéj niż cały kraj; że to, co się w niéj dzieje, jest zawsze naśladowane wszędzie; że stopień żywotności warszawskiéj i jéj kierunek decydują o żywotności i kierunku ogółu.

Lecz niech w ustępie tym klasa „ziemiańska“ nie czyta własnego tryumfu. Niech nie sądzi, że poglądy jéj są prawdą, na któréj nie poznaliśmy się ongi, lecz do któréj dziś zostaliśmy nawróceni. Stan ziemiański, reprezentujący własność większą, mający niezaprzeczone znaczenie ze względu na obszar posiadłości i wyższą cywilizacyą w stosunku do swego otoczenia, jako czynnik społeczny składa się zaledwie z kilku tysięcy jednostek, nie tyle jak potrzeba ruchliwych i zostających prawie bez żadnéj między sobą spójni. Dziś zatém w rozwoju ogólnym mniéj znaczną odgrywa rolę, aniżeli Warszawa; mógłby jednak stać się potęgą, mógłby bieg spraw skierować na nowe drogi, ale jedynie wówczas, gdyby zechciał wziąć na się funkcye mózgu i nerwów wielomilionowéj masy, nazywanéj „chłopstwem“. Bez wypełnienia tego warunku, stan ziemiański będzie i nadal zbio-

rem indywiduów nie mających ani wielkiego wpływu dziś, ani wielkich widoków na przyszłość.

Czy są jakieś fakta wskazujące, że ów stan ziemiański, posiadacze własności większéj, inteligencya wiejska, odegra taką rolę, w jakiéj widziéćbyśmy ją pragnęli?

Odpowiedziéć nie śmiemy; wykażemy jednak, że nawet owi mniemani: „nieprzyjaciele szlachty“ chcą ją widziéć na stanowisku kierowniczém, od którego pewna część jéj *wymawia się*.

Na słowo *wymawia się*, kładziemy nacisk. Oto bowiem są poglądy inteligencyi wiejskiéj, streszczone przez p. H. W. w *Gazecie Polskiéj* (Nr. 36 r. b.).

„Częstokroć dają się słyszéć narzekania prasy, że inteligencya wiejska usuwa się od spraw miejscowych; że, nie rozumiejąc ich doniosłości, pozostawia autonomiczne instytucye gminne w ręku ciemnych mas, kierowanych przez podejrzane indywidua, swój jedynie zysk mające na celu. Tym sposobem autonomia gmin staje się martwą literą, a zarząd niemi pozostaje w ręku nie najgodniejszych, lecz najzręczniejszych.“

Narzekania te dziennikarstwa są, na nieszczęście, zbyt prawdziwe, opiérają się na faktach powszechnie wiadomych, i sam p. H. W. zmuszonym się widzi przyznać je w zupełności.

„Trudno zaprzeczyć,“ powiada, „że tak jest w istocie, niestety. Dość przyjrzéć się drogom, mostom, budowlom, porządkom miejskim i wiejskim, kasom oszczędności, szkółkom elementarnym, poborom wojskowym i innym sprawom prowincyi, oddalonéj zwłaszcza od centrów zarządów krajowych, lub choćby gubernialnych, aby się przekonać o tysiącznych ujemnych stronach naszego żywota.“

Czytając te słowa, czuliśmy, że wstępuje w nas pewna otucha, nadzieja zmiany na lepsze. Od tego, kto tak jasno widzi dolegliwości położenia obecnego, kto je tak krótko a dobitnie sformułować umié, spodziewaliśmy się, że i sam się weźmie do uprawy zapuszczonego ugorem pola pracy społecznéj i spółbraci swoich gorącém słowem do tego zachęci. Aliści spotkał nas tu bolesny zawód. Zamiast zachęty, zamiast przykładu, który jest najwymowniejszą zachętą, zamiast chociażby wskazówki praktycznéj, uczącéj jakby obecne położenie spraw gminnych polepszyć się dało, znajdujemy wyjaśnienie powodów, skłaniających inteligencyą do bezczynności, do przyglądania się smutnemu widowisku z założonemi na krzyż rękami. To wyjaśnienie treścią swoją zakrawa na obronę, na apologią bezwładności, a formą przypomina starą jak świat opowieść biblijną: Adamie, czemu jadłeś owoc zakazany? — Niewiasta dała mi jabłko.—Ewo, dla czegoś to uczyniła?—Wąż mnie uwiódł i jadłam.

Źle się dzieje, przyznaje p. H. W.; ale wnet dodaje: „Inna rzecz wszakże zwalać winę złego na ową inteligencyę, zredukowaną do cyfr, ginących w ogólnéj liczbie mieszkańców.“ Lud wiejski jest ciemnym; szkoła naucza go języka urzędowego, ale na rozwinięcie umysłu nie działa. „Książki dla ludu—o tych lepiéj nie mówić;“ pismo *Zorza* redagowane niepraktycznie; więc ani książek, ani *Zorzy* lud nie czyta. A tymczasem bałamucony jest przez szumowiny społeczne, które utrzymują go w ustawicznéj od siebie zależności; nie dowierza „dawnemu panu, dzięki sprzecznym interesom służebnościowych stosunków, silny liczbą, uchwala to, co zręcznie, a niekiedy podstępnie do uchwalenia podadzą, a głosy obietnicą, częstunkiem, groźbą i innemi mniéj godziwemi środkami zjednają.“ „Tak więc,“ konkluduje p. H. W., „kiedy przyjdzie wam ochota utyskiwać na inteligencyę wiejską, uderzcie się w piersi sami, szczególniéj zaś ci z inteligencyi miejskiéj, którzy wzięli na się obowiązek roznoszenia światła pomiędzy strzechy.“

Więc tedy odpowiedzialność za złe drogi, za dziurawe mosty, za brak kas oszczędności, za pijaństwo, za spory o służebności i t. d. ponosić winna biedna *Zorza* i elementarze, inteligencya w miastach i szumowiny społeczne, ciemnota ludu i szkółki wiejskie, wreszcie ktokolwiekbądź, byle nie inteligencya wiejska, bo ta „nie przejąwszy się dotąd zasadą, że cel uświęca środki, nie chcąc walczyć bronią jaką wybrał współzawodnik, mniéj wybredny w środkach, mimo woli pozostaje biernym widzem tego, co się w najbliższém jéj otoczeniu dzieje, a udział jéj w sprawach gminnych unicestwia.“

Taka jest treść artykułu p. H. W. Chcielibyśmy wierzyć, że wyłuszcza on tylko opinie odosobnionéj jednostki; byłoby to jednak dobrowolném łudzeniem się. Poglądy podobne lub blisko z niemi spokrewnione od czasu do czasu czytujemy w korespondencyach, nadsyłanych do dzienników z różnych stron kraju. Są wprawdzie przedstawiciele własności większéj, którzy myślą, piszą i działają inaczéj; stanowią oni przecież drobną tylko cząstkę klasy, do któréj należą, i bez uprzedzenia rzecz tę rozważając, przychodzi się do smutnego wniosku, że zdania, wygłoszone przez p. H. W., są wiernem mniéj więcéj echem zdań, mających przewagę w sferze większéj własności ziemskiéj. Też same wątpliwe twierdzenia, też same na ich poparcie przytoczone motywa, toż samo pragnienie umycia rąk od wszystkiego, taż chęć zwalenia ciężaru pracy na innych a zwolnienia się od odpowiedzialności nawet w obliczu własnego sumienia nie od wczoraj są już znane. Powtarzanie ustawicznie, z stereotypową niemal dokładnością zdań owych, mogłoby w oczach mniéj rozważnego czytelnika nadać im cechę prawdy; głosy przeto ludzi, zapa-

trujących się na stosunki wiejskie z innego stanowiska, mogą być pożyteczne; uważamy téż za dobrą na przyszłość wróżbę, że artykuł p. H. W. wywołał odpowiedź, również w *Gazecie Polskiéj* pomieszczoną (Nr. 46). Autorem jéj jest p. Konrad Prószyński, jeden, i kto wié, czy nie jedyny dziś pracownik na polu literatury ludowéj, zasłużony autor elementarza i książeczek do czytania, pisujący pod pseudonimem Kazimierza Promyka.

Jak pan H. W. niemożność wpływania na lud usprawiedliwia jego ciemnotą i nieufnością lub okolicznościami postronnemi; tak znowu p. Prószyński całą odpowiedzialność za tę ciemnotę wkłada na inteligencyą wiejską. Zarzuca on jéj:

Najprzód—bezczynność w obec indywiduów, działających szkodliwie na bieg interesów gminnych.

Powtóre—niedbalstwo o same sprawy gminne.

Po trzecie—nieprzyczynianie się do oświecenia ludu za pomocą rad, nauki, sprowadzania mu książek odpowiednich.

Po czwarte—dumę w stosunkach z ludem i nauczycielami wiejskimi.

Wyliczywszy te punkta, wskazuje p. Prószyński środki oświecenia ludu, pozyskania wpływu, dopomożenia mu w jego interesach.

Zdaniem p. P., inteligencya wiejska powinna szczerze zbliżyć się do ludu, obudzić w nim poczucie godności, wyplenić zabytki niewolniczéj uniżoności, traktować włościan jak sąsiadów, nie zaś jak pańszczyznianych chłopów, i dzieci swoje przyzwyczajać do podobnegoż postępowania. Winna daléj przygarnąć do siebie młodych nauczycieli wiejskich, udzielać im wskazówek praktycznych, pomagać ich biednemu położeniu. Pomimo, iż raz i drugi zostanie przegłosowana, winna stale uczęszczać na zebrania gminne, przedstawiać projekta odpowiednie interesom ludu, energicznie występować przeciw pogwałceniu prawa.

Kończąc, przypomina p. Prószyński przodków, którzy dla tego tylko zdobyli stanowiska w społeczeństwie, że pracowali dla jego dobra.

Poznaliśmy tedy dwa prądy wśród opinii publicznéj. Jeden broni inteligencyi wiejskiéj, drugi stawia jéj zarzuty; jeden żąda wpływu dla inteligencyi, drugi każe jéj wpływ zdobywać samodzielnie; jeden pragnie, aby lud i okoliczności nastroiły się na ton przedstawicieli własności większéj, drugi, przeciwnie, radzi tym ostatnim, aby z istniejących warunków położenia starali się wydobyć wszelkie możliwe pożytki.

Kto ma słuszność? Jaką drogą pójdą wypadki: czy w kierunku życzeń p. H. W., czy w kierunku programu p. Prószyńskiego?...

W sferze wiejskiego życia funkcyonuje wiele sił, rozwój jego zatém pójdzie w kierunku wypadkowéj tych sił i leżyć musi najbliżéj kierunku siły największéj. Chodzi o to, aby rozwój był szybkim a zdrowym, ażeby siły działające nie znosiły się wzajemnie, lecz wspomagały, aby pomyślne zdobycze przyszłości nie szły na wyłączną korzyść téj lub owéj klasy, lecz na dobro wszystkich klas, na dobro pospolite.

Na bieg spraw wiejskich piśmiennictwo wpływać bezpośrednio nie może; ale dając gościnę głosom wychodzącym z téj i owéj klasy, poglądom różnostronnym, może przyczynić się do wyjaśnienia kwestyj spornych, prostowania zdań mylnych, może wskazywać drogi pewne, chronić od błędnych manowców, radzić, upominać i karcić, odwoływać się do poczucia dobrze zrozumianego interesu własnego, budzić sumienie zbiorowe. W całéj téj czynności piśmiennictwo do kogóż się winno zwracać przeważnie, jeśli nie do téj klasy, która, mając najwięcéj zasobów, ma téż i najwięcéj obowiązków, do klasy, przez którą najlepiéj zrozumiane być może.

Klasa właścicieli większych, uważana ogółem, ze względu na stopień oświaty, możność duchowego rozwijania się, siłę uczuć ogarniających społeczeństwo, a wreszcie położenie majątkowe, bez porównania wyżéj stoi od przeciętnego mieszczanina lub wieśniaka. Nikt jéj téj wyższości nie zaprzecza; owszem, w imię téj wyższości, pragnęłoby się widzieć ją przewodniczką w każdéj sprawie ogółu dotyczącéj, a tém bardziéj w sprawach zarządu gminnego, tak ściśle z życiem wiejskiém związanego. I możnaż się dziwić, że prasa narzeka na usuwanie się inteligencyi od tego zarządu? Zresztą nie tylko na tę bierność narzekać można: dostrzegać się daje pewna jednostronność sądów, tchnących nie raz sobkostwem, uwzględniających potrzeby saméj tylko własności większéj. Dobro gospodarstw folwarcznych jest bez wątpienia ściśle związaném z pomyślnością całego kraju,—nie lekceważymy go téż wcale; ale otwarcie mówiąc nie uważamy go za jedyny interes społeczny: jest on jednym wśród wielu innych, które są nie mniéj nam drogie. Sąd o sprawach publicznych, wydawany z wyłącznego stanowiska interesów własności większéj, jest przeto, według naszego zdania, dalekim od wszechstronności; krytykować go powinno być dozwoloném, bez narażenia się na zarzut szkodzenia społeczeństwu lub nie przychylne dla obywatelstwa usposobienie. Jeżeli więc prasa wytyka jakiekolwiek wady inteligencyi wiejskiéj, jeżeli przytacza fakta rzeczywiste, jeżeli zajmuje się równomiernie potrzebami klas wszystkich, prasa spełnia

tylko swoje zadanie, i stanowisku, jakie zajęła w kwestyi zarządu gminnego, złéj wiary, ani jakiegoś uprzedzenia zarzucać nie można. Dobro ogólne cierpiéć musi na tém niewymownie, że ci, których pozycya społeczna i praktyczna znajomość rzeczy czynią najwłaściwszemi kierownikami gminy, rękę swą od steru cofnęli, pomimo, że sama tradycya domowa wskazuje im miejsce w pierwszym szeregu. Prasa przypominając o tém, powtarzamy, spełnia tylko swoje zadanie.

Ale nawet usuwając na chwilę ten wzgląd pierwszorzędny, nawet w interesie saméj własności większéj, na rozumowanie p. H. W. zgodzićbyśmy się nie mogli. Cóż w jego artykule znajdujemy? litanią skarg i żalów bezowocnych, świadczących o głębokiém zniechęceniu, lub zupełnéj niemocy. Są to uczucia, z któremi jeśli się nie walczy, kryćby się chyba należało, aby nie osłabiać energii tych, którzy jeszcze w zupełne zwątpienie nie popadli. Zresztą i sam autor artykułu podobno jeszcze nie stracił ochoty do pracy publicznéj, gdyż stawia warunki, od uprzedniego spełnienia których czyni zależném uczestnictwo inteligencyi w sprawach gminy. Domaga się on, „aby prawidła głosowania przestrzegały równowagi interesów wszystkich klas głosujących,“ aby „przy bezwzględnéj równości jednostek i sile głosów, klasa najliczniejsza nie stała się groźną dla innych,“ powołuje się na nowsze prawodawstwa, które „dzielą społeczność na kurye, klasy i t. p.;“ przytacza mianowicie przepis prawa hanowerskiego z r. 1842, przepis, który prostéj większości głosów przyznaje moc obowiązującą wtedy, gdy „ta większość w przestrzeni i wartości, do podatków ocenionéj, przynajmniéj $^2/_3$ wartości“ reprezentuje; wreszcie konkluduje, że „w kraju, gdzie takie, lub podobne temu prawo istnieje, inteligencya ma zapewnioną powagę.“

Wszystko to może być słusznem, ale ani na włos do polepszenia biegu spraw gminnych u nas nie przyczyni się. Nie o to chodzi, aby wiedziéć gdzie mianowicie powaga inteligencyi zapewnioną jest przez prawodawstwo, lecz o to jakim sposobem inteligencya w naszym kraju wpływ na sprawy gminne zjednać sobie może. Droga, na jakiéj pan H. W. stanął, zdaje się, że do tego celu nie doprowadzi. Do kogóż adresuje on swe żądania? Mająż im uczynić zadość dziennikarze, czy mieszkający po miastach czytelnicy gazet? Czy też autor rachował na to, że jakiś *deus ex machina* wysłucha jego życzeń, wszystkie trudności za jednym razem usunie i członkom téj sfery społecznéj, która się zowie inteligencyą wiejską, drzwi izby zebrań gminnych otworzy? Drzwi te otwarte są dla niéj oddawna; sama ustawa to uczyniła. Więc *deus ex machina* ma chyba kobierzec pod stopy oczekiwanych gości rozesłać! Ale daremnie byłoby

na to wyczekiwać. Kobierca nikt nie rozściele, a ciernie i zawady na drodze do domu gminnego, które inteligencyą zrażają, ona sama tylko usunąć lub zwyciężyć może i powinna, tak w imię dobra ogólnego, jak we własnym, dobrze zrozumianym interesie.

Chłop ciemny i obałamucony,—wołacie. Prawda; ten ciemny chłop jednakże na tyle jasno rzeczy widzi, że na zgromadzenia gminne uczęszcza, że w głosowaniu uczestniczy, lubo i on na swéj drodze zawady napotyka; ten chłop zbałamucony na tyle swój egoistyczny interes pojmuje, że wszelkie ciężary stara się rozłożyć na morgi i włóki. A wy ten ciężar ponosić jesteście zmuszeni, poprzestając na płonnych żalach; protestujecie swoją nieobecnością na zebraniu, chłopi więc protestu nie słyszą, zarzutów, jakiebyście stawić mogli, nie znają, o waszych argumentach nie wiedzą, a i nie-chłopi, którym one nie obce, nie zawsze o ich słuszności mogą być przekonani, gdy ich pod dyskusyą na zebraniu gminném nie poddajecie.

Chłop ciemny – powtarzacie. A któż go oświeci, jeżeli książki, pisma i szkoły ludowe są, jak nas p. H. W. zepewnia, nic warte? Któż go oświecać może, kto powinien, czyim to najbliższym interesem? Chyba tego, kto ma więcéj światła, kto tak mocno o wadliwości dotychczasowéj edukacyi ludu jest przekonany; chyba tego, kto jest w bezpośredniéj a codziennéj z nim styczności; chyba tego, kto na ciemnocie chłopskiéj najpierwszy i najwięcéj szkoduje. Krytykujecie książki i pisma ludowe, zarzucacie piszącym zupełną nieznajomość ludu i jego potrzeb. Może to jest słuszném po części; ale gdy lud tak dobrze znacie, moglibyście choćby dla wzoru pokazać praktycznie jak pisać dla ludu należy: wasz dobry przykład znalazłby niechybnie i w innych sferach naśladowców.

Chłop jest nieufny! Smutne to przyznanie, i warto byłoby wszystkie źródła nieufności rozpoznać, te, które od was zależą zamknąć; przeciw wpływom szkodliwym oddziaływać. Azaliż nie jesteście w stanie zrównoważyć i unicestwić wpływu „szumowin społecznych?“ Takiego *testimonium paupertatis* nikt jeszcze przeciwko wam nie wyrzekł: nie podpisujcież się na niém dobrowolnie. Ufność na rozkaz nie przychodzi, doraźnie się jéj nie zdobywa, ale zjednywa powoli; za to prawdziwie zasługujących nigdy ona nie ominie. W staraniach o zaufanie ludu wyręczyć nikt nikogo nie zdoła, każden musi ją zyskiwać dla siebie oddzielnie,—a im złe jest większe, im trwa dłużéj, tém gorliwsza musi być praca. Żaden artykuł prawa nie jest w stanie zalecić was zaufaniu ludowemu, ale téż żaden uczciwie zasłużonéj ufności nie pozbawi.

„Inteligencya powinna mieć zapewniony w sprawach gminnych udział przeważny.“ I owszem; któżby wam nie wtórował w tém

życzeniu z całego serca. Kierunek spraw w rękach sumiennéj i czynnéj inteligencyi—toć to szczyt ideału społecznego. Jeno, aby się ku temu celowi zbliżyć, wytężcie własne usiłowania: nie oglądajcie się na zmianę artykułów prawa podług waszéj myśli, bo ci, którzy na zmianę artykułów wpłynąćby mogli, artykułów waszych nie czytają. Wszelkie zmiany w pomyśle łatwemi się wydają, przy wykonaniu dopiéro dostrzegamy odwrotne ich strony. Co do upragnionéj téż przez p. H. W. reformy, pomimo, iż się przykładem prawa hanowerskiego zasłania, wieleby dało się jeszcze powiedziéć; oparcie liczby głosów na przestrzeni posiadanéj ziemi mogłoby w dalszéj konsekwencyi doprowadzić do tego, że pan kilkunastu folwarków przeważałby przy głosowaniu dziedziców, mających po jednéj tylko wiosce i mógłby np. budować kosztem gminy drogi, które dla niego tylko a nie dla gminy byłyby potrzebne.

Nie o reformie więc artykułów ustawy myśléć, lecz w czuwaniu nad ścisłém i gorliwém jéj wykonaniem (na brak czego słuszne częstokroć słyszéć się dają skargi) szukać należy poprawy dzisiejszych niedogodności. Majątek, pozycya, wykształcenie, rozum stanowią już same przez się znakomite czynniki wpływu; potrzeba tylko, aby znalazła się wola użycia tych dźwigni; potrzeba, aby ta wola nie cofała się przed piérwszą, mniéjszą czy większą przeszkodą, aby jéj towarzyszyła cierpliwość i wyrozumiałość dla ciemnych, aby była wytrwałą. Wtedy można będzie rokować jéj powodzenie, choćby nie natychmiastowe, ale nie mniéj pewne. Nie są to czcze przepowiednie. W wielu miejscach już dziś widzimy, że „dobre ziarno życzliwą ręką między lud rzucone przynosi plon obfity". Z korespondencyi p. Roli do *Gazety Lubelskiéj* przekonywamy się, jak wpływ starszéj, oświeconéj braci może być skutecznym i wielostronnym. Odczytajcie co p. Bruzdowicz w *Korrespondencie Płockim* (NN. 6—9 z r. b.) opowiada o owocach pracy Danielewskiego i innych w ziemi Chełmińskiéj, o działalności tamtejszéj inteligencyi, w bardzo niekorzystnych warunkach postawionéj,—a zobaczycie czego dobra wola i wytrwałość dokazały.

Znamy i u nas ziemian, którzy Chełmianom dotrzymują kroku; i ogół więc od takiéj pracy wymawiać się niepodobieństwem nie powinien. Jest to pole, wymagające bez wątpienia usilnego trudu, rodzić jednakże zdolne. Cofniecież się wtedy, gdy od tego przyszłość wasza i waszych dzieci zależy?

Trzeba z żywymi naprzód iść,
Po laury coraz nowe,—
Ale nie w zeschłych wieńców liść
Z uporem stroić głowę!

Głos poety przemówi do waszych rozumów i serc; rękojmię tego czerpiemy z dotychczasowéj działalności sądów gminnych, w których obowiązki sędziów spełniają po większéj części znaczniejsi właściciele ziemscy.

Posady te nie przynoszą im nic a nawet dużo kosztują czasu i wydatków; praca jest olbrzymia, sprawy często drażliwe. Pomimo to wszystko statystyka przekonywa nas o wyższości sądów gminnych nad sądami pokoju. Oto cyfry np. z roku 1877:

	W sądach gminnych.		U sędziów pokoju.
Pogodzono się w . . .	30%	spraw	18%
Zaapelowano od wyroków	26%o	„	36%o
Skazano w sprawach kryminalnych . . .	33%	„	28%

Widzimy z tego, że poczucie obowiązków, działalność pojednawcza obok sprawiedliwości i surowości, jest w wysokim stopniu udziałem sądów gminnych. W tym téż punkcie, w tych jedynych dziś szrankach służby publicznéj, w których włościanie spotkali się z posiadaczami większymi, obie strony dobrze zasłużyły się ogółowi. Niechże i nadal i na wszystkich innych polach, świeci nad nimi chwała uczciwie pełnionych obowiązków.

* *

*

Czytelnikom wiadomo, że choć warszawska ludność robocza nie jest ani tak liczną, ani tak rozwiniętą, ani tak wymagającą, ani wreszcie tak narażoną na nędzę, jak to ma miejsce w wielkich przemysłowych zbiorowiskach Europy, nie mniéj jednak przedsiębiercy interesują się jéj losem. Pomijamy już sprawę wygodnych a tanich mieszkań, o których budowie powtarzają się wieści co roku, lecz dotkniemy tu sprawy zabezpieczenia losu pracowników na starość lub wypadek choroby.

Otóż nie ma prawie w naszém mieście instytucyi obsadzonéj liczniéj, któraby nie posiadała jakichś zbiorowych funduszów na użytek swoich pracowników. W biurach rządowych mamy kasy wkładowo-zaliczkowe, powstałe ze składek uczestników i udzielające im pożyczek. Przy fabrykach znajdują się kasy dla chorych, również utworzone ze składek i dające robotnikom bezpowrotne wsparcia na czas choroby. Przy fabryce Lilpopa, Raua i Spółki, obowiązek wspierania chorych przyjął na siebie zarząd, lecz zarazem skłonił wszystkich robotników, aby oszczędzali pewien procent ze swych zarobków.

Drogi w końcu żelazne, jak Warszawsko-Wiedeńska i Terespolska, tudzież kilka cukrowni na prowincyi posiadają kasy chorych i kasy pożyczkowe i fundusze emerytalne.

Przezorność ta chlubne daje świadectwo naszym przedsiębiorcom, a dla kraju stanowi w pewnym stopniu zabezpieczenie od zatargów między robotnikami i pracodawcami, jakie gdzieindziéj mają miejsce. Podobnie smutne widoki są od nas tém dalsze, że wielcy przemysłowcy nie zasypiają na laurach, lecz myślą pracownikom swoim i w ogóle całéj téj klasie ludności zapewnić jak najtrwalsze warunki istnienia.

Kasy o jakich mowa znajdują się prawie wyłącznie w fabrykach większych i rzec można, że im pewien zakład przemysłowy posiada liczniejszy personel i znakomitszemi obraca kapitałami, tém byt jego pracowników jest lepiéj zabezpieczony. Okoliczność ta przedstawia jednak pewne niedogodności: najprzód bowiem nie każdy robotnik w Królestwie Polskiém może być spokojny o jutro, a powtóre ludzie potrzebujący pracy tłoczą się do zakładów wielkich (najbardziéj do kolei), co znowu niekorzystnie oddziaływa na stan rękodzieł i drobnych warsztatów.

Aby zapobiédz temu, aby ujednostajnić zabezpieczenie przyszłości wszystkich robotników, przemysłowcy i majstrowie warszawscy, z inicyatywy i pod prezydencyą p. Starynkiewicza, jeszcze w Listopadzie roku 1877, naradzali się nad urządzeniem jakiego ogólnego regulaminu oszczędności, zapomóg i ubezpieczeń.

Dla wszechstronnego zbadania przedmiotu utworzono trzy delegacye, z których każda przedstawiła swój projekt.

Jeden z nich proponował założenie towarzystwa ubezpieczeń dla wszystkich robotników. Drugi, zajmując się przeważnie rękodzielnikami i robotnikami małych warsztatów, chciał cechy zrobić owemi instytucyami przezorności i pomocy, wkładając przytém na każdego majstra obowiązek pobiérania składek od czeladzi. Trzeci nareszcie najogólniejszy projekt dotyczył utworzenia dla wszystkich pracowników w Warszawie kasy centralnéj, którąby przyjmowała oszczędności, składki emerytalne i zajmowała się wypłacaniem zapomóg tudzież emerytur.

Nie wdajemy się w rozbiór praktyczności ostatniego projektu, ani trudności jakie nastręcza każdy z nich; dyskusya bowiem komitetu nie skończyła się jeszcze, utknęła. W łonie zgromadzenia uwydatniły się dwie opinie, z których jedna chce, aby każdy robotnik należał obowiązkowo do instytucyi przezorności, druga zaś pragnie pozostawić im swobodę. Ponieważ każda z tych zasad zyskała sobie silny zastęp zwolenników i obie mają jednakową liczbę głosów,

żadna przeto uchwała zapaść nie mogła. Postanowiono więc odwołać się do opinii publicznéj za pośrednictwem broszur, w których każda partya przedstawi swoje poglądy.

Zasada odwoływania się do opinii publicznéj w rzeczach ogół obchodzących jest nowym dowodem poważnego nastroju i obywatelskiego ducha naszych przemysłowców. Szkoda jednak, że sprawa posuwa się tak wolnym krokiem.

Wszakże można przypuścić, że zwolennicy jednego projektu nie łatwo dadzą się nakłonić do porzucenia go na rzecz projektu drugiego; jedni i drudzy mogą na uzasadnienie swych myśli przytoczyć motywa poważne, i nie mało wody upłynie zanim rzecz się wszechstronnie wyjaśni i opinia ustali. Wtedy dopiéro mogłaby być mowa o ułożeniu ostatecznéj redakcyi projektu, o staraniach celem uzyskania sankcyi rządowéj, a następnie o wprowadzeniu go w wykonanie. Ileż to czasu z konieczności czekać przyjdzie, nim się dobroczynne skutki tych zamysłów ukażą. Tém więcéj zatém życzyć wypada, aby hasło do dyskusyi, to jest zapowiedziane ogłoszenie projektów, o ile podobna, jak najśpieszniéj nastąpiło. *Bis dat, qui cito dat.*

Wydawca, **W. Spasowicz.**—Redaktor, **J. Trejdosiewicz.**